

Simon Beckett

Wołanie Grobu

The Calling of the Grave

Przekład

Maciej Nowak-Kreyer



Hilary dedykuje

Prolog

Jeden. Dwa. Osiem.

Liczby rozkładu. Określają, jak szybko rozpadają się wszystkie organizmy, duże i małe. W wodzie, w powietrzu, w ziemi. W takich samych warunkach klimatycznych ciało zanurzone w cieczy rozkłada się dwukrotnie dłużej niż pozostawione na powierzchni. Pod ziemią - osiem razy dłużej. Jeden, dwa, osiem. Prosta wyliczanka, niezaprzeczalna prawda.

Im coś jest głębiej, tym dłużej przetrwa.

Zakop zwłoki, a ukryjesz je przed padlinożernymi owadami pasącymi się na martwym ciele. Bez powietrza mikroorganizmy nie mogą rozkładać tkanek miękkich, postęp rozkładu hamuje też chłodna otulina ziemi. Niska temperatura opóźnia reakcje biochemiczne, które w zwyczajnych warunkach prowadzą do samozniszczenia komórek. Proces, jaki w innych okolicznościach zająłby dni albo tygodnie, trwa miesiącami. Czasem latami.

Czasem jeszcze dłużej.

Martwe ciało odcięte od światła, powietrza i ciepła może trwać prawie wiecznie. Schowane w kokonie chłodnej jamy niemal się nie zmienia, obojętne na mijające pory roku.

Jednak tak jak wszędzie i tu obowiązuje zasada przyczyny oraz skutku. W naturze nic naprawdę nie ginie i nic też nie pozostaje całkiem ukryte. Martwe ciało zawsze może się jakoś objawić, nieważne jak głęboko leży.

Jeden. Dwa, Osiem.

Nic nie pozostaje ukryte na zawsze.

Osiem lat wcześniej

Rozdział 1

- Nazwisko?

Policjantka miała chłodną twarz - i to pod każdym względem. Policzki były spierzchnięte i zaczerwienione z zimna, obszerną żółtą kurtkę pokrywały mokre perły mgły, opadającej niczym przywiązana do ziemi chmura. Kobieta zmierzyła mnie spojrzeniem pełnym ledwie skrywanej odrazy, jakbym odpowiadał za paskudną pogodę i za to, że stała teraz pośrodku torfowiska.

- Doktor David Hunter. Z zespołu kryminalistycznego.

Czeka na mnie nadinspektor Simms.

Z wyraźną niechęcią zerknęła do notatnika, potem uniosła krótkofalówkę.

- Jest tu ktoś, kto chce się widzieć z prowadzącym dochodzenie. Jakiś pan David Hunter.

- Doktor Hunter - poprawiłem.

Spojrzeniem dała mi do zrozumienia, że dla niej wszystko jedno. W radiu zatrzeszczało, jakiś głos powiedział coś niezrozumiałego. Cokolwiek to było, nie poprawiło policjantce nastroju. Po raz ostatni popatrzyła na mnie krzywo, odsunęła się na bok i kazała jechać.

- Proszę jechać prosto, tam gdzie parkują samochody - poleciała sucho.

- Ależ dziękuję bardzo - mruknąłem, mijając ją.

Świat widziany przez przednią szybę samochodu okrywały kurtyny mgły. Były postrzępione i nieprzewidywalne, unosiły się na chwilę, odsłaniając ponure, wilgotne torfowisko, a potem znowu opatulały auto niczym biała gaza. Nieco dalej, na w miarę płaskim kawałku łąki, został zaimprovizowany policyjny parking. Jakiś policjant machnął na mnie, abym tam jechał. Kiedy zajmowałem wolne miejsce, mój citroen podskakiwał i szarpał na nierównym terenie.

Wyłączyłem silnik, przeciągnąłem się. Przejechałem spory kawałek, ani razu nie stając. Niecierpliwość i ciekawość skutecznie przezwyciężyły wszelką chęć zatrzymania się gdzieś po drodze. Simms, kiedy zadzwonił, nie podał mi zbyt wielu szczegółów, tylko że w Dartmoor znaleziono jakiś grób i chce, żebym był obecny przy odkopywaniu. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na rutynową sprawę, do której wzywano mnie ze cztery albo pięć razy w roku. Jednak przez ostatnich dwanaście miesięcy słowa „morderstwo” i „Dartmoor”

oznaczały jednego człowieka.

Jerome'a Monka.

Monk był seryjnym mordercą i gwałcicielem. Przyznał się do zabicia czterech kobiet. Trzy były jeszcze prawie dziećmi, ich ciała nigdy nie odnaleziono. Jeśli któraś spoczywała w tym grobie, bardzo możliwe że gdzieś w pobliżu pogrzebano też pozostałe. Wtedy cała sprawa stałaby się największym odkryciem i najważniejszą identyfikacją zwłok w tej dekadzie.

Zdecydowanie chciałem brać w tym udział.

- Wszyscy zawsze uważali, że właśnie tam zakopywał ofiary - oznajmiłem rano w kuchni swojej żonie Karze, pospiesznie szykując się do wyjścia. Już ponad rok mieszkaliśmy w wiktoriańskim domu na południowym zachodzie Londynu, ale wciąż musiałem ją pytać, co gdzie leży. - Dartmoor jest duże, ale przecież nie może być tam zakopanych dużo ciał.

- David - powiedziała Kara, wskazując na Alice jedzącą śniadanie.

Skrzywiłem się i mruknąłem „przepraszam”. Zwykle nie wspominałem przy pięcioletniej córce o makabrycznych szczegółach swojej pracy, ale tym razem entuzjazm sprawił, że się zapomniałem.

- Co to są och-fiary? - spytała Alice, marszcząc w skupieniu czoło i unosząc do ust łyżkę, z której ściekał malinowy jogurt. Niedawno uznała, że na owsiankę jest już za duża, i teraz żywiła się głównie nim.

- Chodzi o pracę tatusia - odparłem, mając nadzieję, że tyle wystarczy. Sądziłem, że kiedy nieco podrośnie, będę miał jeszcze dużo czasu, by zaznajomić ją z ciemnymi stronami życia.

- A dlaczego je się zakopuje? Bo nie żyją?

- Skarbie, kończ śniadanie - odezwała się Kara. - Tata zaraz musi wyjść, a my nie chcemy się spóźnić do szkoły.

- Kiedy wracasz? - zapytała mnie Alice.

- Niedługo. Będę w domu, zanim się obejrzyysz. - Pochyliłem się i uniosłem córkę. Jej drobne ciało było ciepłe i zabawnie lekkie, jednak nie przestawało mnie dziwić, jakie stało się solidne w porównaniu z ciałkiem niemowlaka, którym zdawałoby się była ledwie przed chwilą. Czy dzieci zawsze tak szybko rosną?

- Będiesz grzeczną dziewczynką, jak wyjadę?

- Zawsze jestem grzeczna - odparła urażona.

Cały czas trzymała łyżeczkę. Kropla jogurtu wylądowała na notatkach, które zostawiłem na stole.

- Ojej - Jęknęła Kara, odrywając kawałek kuchennego ręcznika. Wytarta jogurt. -

Zostanie plama, mam nadzieję, że to nic ważnego.

Alice wyglądała na zmartwioną.

- Przepraszam, tatusiu.

- Nic się nie stało. - Dałem jej buziaka, postawiłem na podłodze i zebrałem notatki. Na jednej kartce został lepki ślad po jogurcie. Schowałem papiery do teczki i odwróciłem się w stronę Kary.

- Na mnie już czas.

Odprowadziła mnie do holu, gdzie trzymałem torbę. Objąłem żonę, jej włosy pachniały wanilią.

- Zadzwoń później. Wtedy powinienem już wiedzieć, jak długo mnie nie będzie. Mam nadzieję, że tylko kilka dni.

- Jedź ostrożnie - powiedziała.

Oboje przyzwyczailiśmy się już do tych wyjazdów. Byłem w kraju jednym z niewielu antropologów specjalizujących się w kryminalistyce i moja praca polegała właśnie na wyjazdach tam, gdzie akurat znaleziono jakieś zwłoki. Przez ostatnich kilka lat wzywano mnie do śledztw prowadzonych zarówno za granicą, jak i na obszarze całego Zjednoczonego Królestwa. To, czym się zajmowałem, często bywało ponure, jednak zawsze potrzebne. Byłem dumny i ze swoich umiejętności, i coraz lepszej opinii.

Co jednak nie oznaczało, że przepadałem za tym aspektem pracy. Nigdy nie lubiłem rozstań z żoną i córką, ale tym razem chodziło tylko o kilka dni.

Zaparkowałem w miejscu wskazanym przez policjanta, na płaskim skrawku torfowiska, zaraz przy drodze, gdzie stały radiowozy i policyjne furgonetki. Wsiadłem z auta, stąpając ostrożnie po podmokłej łące. Pachniało wilgocią, wrzosem i spalinami. Podeszedłem do bagażnika. Z trzymanego tam pudła z jednorazową odzieżą ochronną wyjąłem dwa kombinezony. Zwykle dostarcza je policja, ale wołałem własne. Zapinając zamek błyskawiczny, wydobyłem też aluminiowy pojemnik, w którym wozłem narzędzia. Do niedawna zadowalałem się odrapaną walizką, ale Kara przekonała mnie, że powinienem wyglądać jak profesjonalny konsultant, a nie obwoźny sprzedawca.

I jak zwykle miała rację.

Kiedy ruszyłem między zaparkowanymi radiowozami, przyjechało jakieś auto. Jaskrawożółta karoseria powinna zwrócić moją uwagę, ale byłem zbyt zajęty i zareagowałem, dopiero kiedy ktoś krzyknął:

- Czyli że jakoś trafiłeś?

Obejrzałem się i zobaczyłem dwóch mężczyzn wysiadających z samochodu. Jeden był

niski, o ostrych rysach twarzy. Nie znałem go, znałem za to jego młodszego towarzysza. Wysoki, przystojny, szedł ze swobodną pewnością siebie, jaka cechuje atletę, a szerokie ramiona kołysały mu się w charakterystyczny sposób. Nie spodziewałem się zastać tutaj Terry'ego Connorsa, ale przecież powinienem go rozpoznać po tym wozie. Jaskrawe mitsubishi stanowiło jego dumę i radość, wyróżniając się na zazwyczaj szarym tle aut innych detektywów.

Uśmiechnąłem się, chociaż zwykle jego widok wzbudzał we mnie raczej mieszane uczucia. Dobrze było ujrzeć znajomą twarz, ale z jakiegoś powodu między mną a Terryem zawsze istniało napięcie, które nigdy całkiem nie zniknęło.

- Nie wiedziałem, że to ty prowadzisz dochodzenie powiedziałem, kiedy już podeszli.

Uśmiechnął się szeroko. Jak zwykle żuł gumę, poruszając szczękami. Trochę schudł od naszego ostatniego spotkania, dlatego rysy jego twarzy o kwadratowej szczęce wydawały się ostrzejsze.

- Jestem zastępcą prowadzącego dochodzenie. Jak myślisz, kto szepnął za tobą słówko?

Utrzymałem uśmiech na twarzy. Kiedy poznałem Terry'ego Connorsa, był komisarzem policji metropolitalnej, jednak nie spotkaliśmy się służbowo. Jego żona, Deborah, trafiła do tej samej kliniki położniczej co Kara i się zaprzyjaźniły. Początkowo Terry i ja byliśmy wobec siebie dosyć nieufni. Niewiele mieliśmy wspólnego, z wyjątkiem tego, że nasze zawody nieco się zazębiały. Connors był ambitny i bardzo lubił rywalizację. Zapalony sportowiec, dla którego kariera zawodowa stanowiła kolejną arenę do odnoszenia zwycięstw. Wcześniej nie spotkał antropologa sądowego, ale szybko dostrzegł możliwości wiążące się z taką znajomością. Jego pewność siebie i rozbuchane ego mogło drażnić, jednak rozwiązanie kilku spraw, podczas których współpracowaliśmy, żadnemu z nas nie zaszkodziło.

Potem, w zeszłym roku, zaskoczył wszystkich, odchodząc z metropolitalnej. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego odszedł. Podobno Deborah chciała mieszkać bliżej swojej rodziny w Exeter, ale zamiana Londynu, w którym policja pracuje na wysokich obrotach, na odległy Devon, wydawała się posunięciem niepasującym do Terry'ego.

Ostatnim razem widzieliśmy się na krótko przed ich przeprowadzką. Wybraliśmy się w czwórkę na kolację, ale wyjście niezbyt się udało. Przez cały wieczór między Terryem a jego żoną panowało ledwie tłumione napięcie i poczuliśmy ulgę, kiedy kolacja się skończyła. Potem Kara i Deborah starały się nie tracić ze sobą kontaktu, ale jednak przerwały znajomość i od tamtej pory nie rozmawiałem z Connorem.

Najwyraźniej dobrze mu się powiodło, skoro został zastępcą prowadzącego tak ważne śledztwo. Raczej spodziewałbym się, że takie odpowiedzialne zadanie zostanie powierzone

komuś o wyższym stopniu niż komisarz.

Jeśli pomyśleć, pod jaką musiał znajdować się presją, to nic dziwnego, że schudł.

- A ja się zastanawiałem, skąd Simms zna moje nazwisko - odparłem.

Chociaż byłem akredytowanym konsultantem policji, większość zleceń dostawałem właśnie dzięki rekomendacjom. Wolałbym tylko, żeby do potencjalnie tak dużego śledztwa nie polecał mnie akurat Terry Connors.

- Nieźle cię zareklamowałem, więc mnie nie zawieźdź.

Zdusiłem w sobie irytację.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Terry wskazał kciukiem towarzyszącego mu niższego mężczyznę.

- To detektyw Roper. Bob, to jest David Hunter, antropolog sądowy, o którym ci mówiłem. Potrafi odczytać z gnijących ciał więcej, niżbyś chciał wiedzieć.

Detektyw uśmiechnął się do mnie. Miał ostre rysy, krzywe zęby żółkłe od tytoniu i oczy, którym rzadko coś umykało. Kiedy skinął głową, dotarła do mnie fala mocnego zapachu taniej wody po goleniu.

- To akurat powinno panu podpasować - mówił z miejscowym nosowym akcentem.

- Zwłaszcza jeśli chodzi o to, o czym myślimy.

- Tego jeszcze nie wiemy - szorstko odezwał się do niego Terry. - Bob, zostaw nas na chwilę. Chcę zamienić z Davidem słowo na osobności.

Odprawił go prawie niegrzecznie. Oczy drugiego detektywa zwięzły się, jednak nie przestał się uśmiechać.

- Jak każesz, szefie.

Terry patrzył na niego, krzywiąc się.

- Uważaj na tego Ropera. To piesek prowadzącego dochodzenie. Tak głęboko siedzi Simmsowi w kieszeni, że mógłby go podrapać po jajach.

Zabrzmiało to ostro, jakby faktycznie były między nimi jakieś starcia, ale Terry zawsze miał z kimś na pieńku. Nie miałem zamiaru mieszać się do wewnętrznych rozgrywek policji.

- Są jakieś sprzeczne opinie co do tych zwłok?

- Nie ma żadnych sprzecznych opinii, tylko wszyscy bardzo liczą na to, że to robota Monka.

- A ty co myślisz?

- Nie mam pojęcia. Właśnie po to tutaj jesteś, żeby to sprawdzić. - Odetchnął głęboko. Wydawał się spięty. - Tak czy siak, chodź. Tędy. Simms już tam jest, lepiej, żeby nie czekał.

- Jaki on jest? - zapytałem, kiedy zesliśmy już z drogi, kierując się w stronę przyczep i

kontenerów mieszkalnych.

- To sukinsyn pozbawiony poczucia humoru. Nie chcę mu podpaść. Ale nie jest głupi, muszę mu to przyznać. Wiesz, że był prowadzącym pierwsze śledztwo w sprawie tego morderstwa?

Przytaknąłem. O Simmsie usłyszałem rok wcześniej, kiedy zasłynął jako ten, który wsadził Jerome'a Monka za kratki.

- To raczej nie zaszkodziło mu w karierze.

Pomyślałem, że uśmiech Terry'ego był nieco gorzki.

- Można tak powiedzieć. Podobno zamierza za kilka lat zająć stołek zastępcy naczelnika. To śledztwo może być dla niego przełomem, dlatego oczekuje sukcesów.

Nie tylko on, pomyślałem, zerkając na Terry'ego. Niemal dawało się wyczuć emanującą z niego nerwową energię. Ale trudno było się dziwić, skoro został zastępcą prowadzącego tak potencjalnie ważną sprawę.

Dotarliśmy do kontenerów i przyczep. Rozstawiono je przy ścieżce odchodzącej od drogi. Jak węże ciągnęły się między nimi grube czarne kable, a w mglistym powietrzu dawało się wyczuć spaliny z buczących dieslowskich agregatów. Terry zatrzymał się obok przyczepy zajmowanej przez jednostkę do spraw nadzwyczajnych.

- Znajdziesz Simmsa przy grobie. Jeśli wrócę na czas, to pozwolę ci postawić mi drinka. Mieszkamy w tym samym miejscu.

- Nie idziesz? - spytałem zaskoczony.

- Jak już się widziało jeden grób, to jakby widziało się wszystkie. - Starał się sprawiać wrażenie zblazowanego, ale nie całkiem mu to wychodziło. - Jestem tutaj tylko po to, żeby zabrać kilka dokumentów. Przede mną długa trasa.

- Dokąd?

Poklepał się po nosie.

- Później ci powiem. Ale życz mi szczęścia.

Wspiął się po stopniach do przyczepy jednostki do spraw nadzwyczajnych. Zastanawiałem się, do czego potrzebował szczęścia, ale teraz miałem też na głowie ważniejsze sprawy niż gierki Terry'ego.

Odwracając się, spojrzałem na torfowisko.

Rozpościerało się przede mną otulone mgłą pustkowie. Nie rosły tam drzewa, tylko ciemny, kłujący kolcolist. Rok wciąż był jeszcze młody, zaś wśród wrzosu, kamieni i grubej szorstkiej trawy gdzieniegdzie wystawały zbrązowiałe po zimie paprocie. Gdy spoglądało się od strony drogi, teren opadał łagodnie, a potem unosił się ponownie. Długie zbocze

wieńczyła, może z pięćset metrów od miejsca, gdzie stałem, niska, niedostępna formacja skalna, o której wspominał Simms.

Black Tor, Czarna Skała.

W Dartmoor były bardziej imponujące skały - skupiska zwietrzałych kamieni, jak wrzody wystające z wrzosowiska. Jednak ukształtowanej wiatrem Black Tor, widniejącej na tle nieba, nie dało się pomylić z niczym innym. Na szczycie niskiego wzniesienia stała szeroka, toporna wieżyca, jakby płaskie głązy poustawiało tam dziecko olbrzymów, jeden na drugim. Wcale nie wyglądała na ciemniejszą od innych formacji, jakie tu widziałem. Może nazwa nawiązywała do jakichś mrocznych wydarzeń z przeszłości. Brzmiała odpowiednio posepnie, więc pewnie chętnie podchwycą ją gazety.

Zwłaszcza jeśli Jerome Monk urządził tutaj cmentarz.

Po telefonie od Simmsa pospiesznie przeszukałem Internet, żeby zorientować się w sprawie. Monk był wręcz marzeniem dziennikarza. Wyrzutek i samotnik, który pracował dorywczo za marne pieniądze, a dorabiał sobie kłusownictwem i kradzieżą. Był sierotą, matka zmarła przy porodzie, co brukowce przedstawiły tak, jakby była jego pierwszą ofiarą. Poważniejsze gazety opisały Monka jako włóczęgę, chociaż mijало się to z prawdą. Większość życia spędził w okolicach Dartmoor, wędrując z cygańskim taborem, jednak miejscowi Romowie też go odrzucili, podobnie jak reszta społeczeństwa. Nieprzewidywalny, skłonny do brutalnej przemocy - Jego charakter bardzo pasował do jego postury.

Jeśli ktokolwiek wyglądał na mordercę, to z pewnością Monk.

Niesamowicie silny fizycznie, wyglądał wręcz groteskowo, niczym jakiś wybryk natury. Na fotografiach i materiale filmowym z procesu widać było potężnego mężczyznę o łysej głowie wielkiej jak armatnia kula i topornie wyciosanych, ponurych rysach. Małe czarne oczka były pozbawione wyrazu jak u lalki, usta zdawał się ciągle krzywić ze wzdargą. Jeszcze bardziej nieprzyjemne było wgłębienie na skroni, jakby gigantyczny kciuk przycisnął kulę gliny. Widok takiego zniekształcenia niepokoił, bo powinno być śmiertelne.

Zdaniem większości ludzi szkoda, że takim się nie okazało.

Zbrodnie popełnione przez Monka aż tak nie szokowały, chociaż miały w sobie wystarczająco dużo zła. Przerażała natomiast sadystyczna przyjemność, jaką najwyraźniej odczuwał, wyszukując bezbronnych ofiary z okolic Dartmoor. Pierwsza, Zoe Bennett, była ciemnowłosa, ładną siedemnastolatką, która chciała zostać modelką. Pewnego wieczoru wyszła z nocnego klubu, jednak nie dotarła do domu. Trzy dni później zaginęła druga dziewczyna.

Lindsey Bennett, siostra bliźniaczka Zoe.

Rutynowe poszukiwania zaginionej nagle stały się sensacją z pierwszych stron gazet. Nikt nie wątpił, że za wszystko odpowiada jeden człowiek. Kiedy w koszu na śmieci odnaleziono torebkę Lindsey co ostatecznie przekreśliło nadzieję na to, że siostry jeszcze żyją, opinia publiczna aż zawrzała z oburzenia. Strata jednej córki była strasznym ciosem dla rodziny, ale aż dwie? W dodatku bliźniaczki?

Kiedy zaginęła również Tina Williams, atrakcyjna, ciemnowłosa dziewiętnastolatka, zaczęła się nieunikniona w takiej sytuacji histeria i fałszywe alarmy. Wydawało się wtedy, że pojawił się jakiś trop - w miejscu, gdzie ostatnio widziano Lindsey Bennett oraz Tinę Williams, kamery ochrony zarejestrowały, a świadkowie zobaczyli białego sedana.

A potem Monk sięgnął po czwartą ofiarę i przypieczętował swoją reputację potwora. Dwudziestopięcioletnia Angela Carson była starsza od pozostałych, W przeciwieństwie do nich nie miała też ani urody, ani ciemnych włosów. Różniła się też w inny, znacznie istotniejszy sposób.

Była całkiem głucha i nie potrafiła mówić.

Potem sąsiedzi opisywali, jak to słyszeli śmiech Monka, kiedy gwałcił i katował dziewczynę w jej mieszkaniu. Kiedy dwóch policjantów, którzy odpowiedzieli na zgłoszenie z linii 112, wyłamało drzwi, zastali Monka nad ciałem Angeli, w zdemolowanej sypialni, zakrwawionego i oszalałego. Żaden z funkcjonariuszy nie należał do ułomków, jednak obaj zostali pobici do nieprzytomności, po czym sprawca zniknął wśród nocy.

Następnie, jak się wydawało, także z powierzchni ziemi.

Pomimo jednej z największych obław w historii Zjednoczonego Królestwa nie natrafiono nawet na ślad Monka. Ani bliźniaczek Bennett, ani Tyny Williams. Pod przyczepą uciekiniera znaleziono natomiast szczotkę do włosów oraz szminekę zaginionych siostr, jednak samych dziewcząt już nie. Monka ponownie zobaczono dopiero po trzech miesiącach. Ktoś zauważył go na poboczu drogi, w samym środku Dartmoor. Brudny i cuchnący nie utrudniał zatrzymania, nie starał się też zaprzeczać oskarżeniom. W trakcie procesu przyznał się do czterech morderstw, jednak odmówił ujawnienia miejsca ukrycia ciał albo pobytu dziewczyn. Według popularnej teorii zakopał zwłoki na torfowisku, jeszcze zanim się tam ukrył. Sam Monk tylko uśmiechał się z zadowoleniem i milczał.

Kiedy morderca trafił za kraty, opinia publiczna przestała interesować się tą historią, a zaginione dziewczyny stały się tylko kolejnymi ofiarami o nieznanym losach.

To właśnie miało się zmienić.

Jasnoniebieski namiot techników kryminalistycznych odznaczał się wśród ponurego torfowiska jak latarnia. Stał mniej więcej pośrodku drogi między drogą a formacją skalną,

nieopodal nierównej ścieżki prowadzącej do skał. Przez chwilę stałem w mżawce, wdychając bogaty zapach wilgotnego torfu oraz zastanawiając się, co też znajdę w środku.

Rozdział 2

Ze środka ścieżki do namiotu techników kryminalistycznych utworzono korytarz z policyjnej taśmy. Ustawiczne tupanie wielu stóp przemielilo wrzosowisko, zmieniając je w czarne błoto, które chlupotało mi pod butami, kiedy szedłem między łopoczącymi taśmami. Ogrodzono przestrzeń wokół namiotu, a wejścia pilnował umundurowany policjant z psem. Podskakiwał raz na jednej nodze, raz na drugiej, chcąc się rozgrzać, a gdy się zbliżałem, przyglądał mi się razem ze swoim wilczurem.

- Przyszedłem zobaczyć się z nadinspektorem Simmsem - oznajmiłem nieco zdyszany.

Zanim zdołał odpowiedzieć, odchyłono połę namiotu, a w powstałej szczelinie pojawił się jakiś mężczyzna. Był po czterdziestce, ale wyglądał, jakby chciał być starszy. Miał na sobie kombinezon technika kryminalistycznego, który jednak jakoś źle na nim leżał. Twarzy w zadziwiający sposób brakowało zmarszczek i jakby po to, aby zrównoważyć gładkość rysów, nieznajomy zapuścił wąsy nadające mu nieco wojskowy wygląd. Zdjął ochronny kaptur, zaś czarne włosy pod spodem nadal pozostały gładko zaczesane, wyglądały jak kask.

- Doktor Hunter? Nazywam się Simms.

Tyle sam bym się domyślił, nawet nie rozpoznając głosu. Jego ton był stanowczy i oficjalny, jak u kogoś pewnego swojej władzy. Przyjrzał mi się czarnymi oczami, poczułem, że właśnie mnie oceniono.

- Spodziewaliśmy się pana już pół godziny temu - powiedział Simms, zanim zniknął wewnątrz namiotu.

Mnie też miło pana poznać. Policjant z psem odsunął się, aby mnie wpuścić, skracając przy tym smycz. Kiedy ich mijałem, cały czas miałem nieprzyjemną świadomość, że owczarek bacznie mnie obserwuje.

Po otwartej przestrzeni torfowiska pod plandeką wydawało się ciasno. Tłoczyły się postacie w kombinezonach. Rozproszone światło, przechodząc przez niebieskie ściany, nadawało wszystkiemu jakiś taki nieziemski wygląd. Było wilgotno i zimno, czułem woń stęchlizny typową dla namiotów. Skrywał się pod nią jeszcze inny zapach: świeżo wykopanej

ziemi i czegoś znacznie mniej przyjemnego.

Grób był pośrodku.

Wokół niego ustawiono przenośne reflektory, delikatnie parujące w wilgotnym powietrzu. Wokół prostokąta ciemnego torfu obramowanego sznurkową siatką ułożono metalowy chodnik. Klęczał na nim ktoś, kogo uznałem za pracownika laboratorium kryminalistycznego. Duży mężczyzna, z zastygłymi w powietrzu dłońmi w gumowych rękawiczkach. Przypominał chirurga, któremu przeszkodzono w trakcie operacji. Przed nim z ziemi wystawało coś ubłoconego. Na pierwszy rzut oka mogło to być cokolwiek - kamień, korzeń - dopóki nie przyjrzało się uważniej.

To była gnijąca dłoń, kości przebijały strzępy ciała.

- Obawiam się, że brakuje tu panu patologa, ale wróci, kiedy tylko zwłoki będą gotowe do wydobywania - oznajmił Simms, odwracając moją uwagę od grobu. - Doktorze Hunter, oto profesor Wainwright, archeolog sądowy. Będzie nadzorował wydobywanie ciała. Może pan o nim słyszał.

Po raz pierwszy uważnie przyjrzałem się postaci klęczącej przy mogile. Wainwright? Poczulem, jak ścisną mi się żołądek.

Jasne, że o nim słyszałem. Leonard Wainwright, nauczyciel akademicki z Cambridge, który został konsultantem policji, był jednym z najlepszych ekspertów od kryminalistyki w kraju, postacią niezwykłą, a jego nazwisko natychmiast dodawało wiarygodności każdemu śledztwu. Jednak Wainwright miał także reputację osoby bezlitosnej dla każdego, kogo uznawał za rywala. Ostro krytykował to, co nazywał „modnymi technikami kryminalistycznymi”, a co w gruncie rzeczy dotyczyło przedstawicieli każdej innej dyscypliny naukowej. Niechęć budziła w nim antropologia sądowa, parweniuszowska dziedzina badań, pod wieloma względami pokrywająca się z jego dziedziną. Zaledwie rok wcześniej opublikował w jakimś czasopiśmie naukowym artykuł wyśmiewający pomysł, że rozkład ciała może stanowić rzetelny wskaźnik czasu, jaki upłynął od śmierci. Tytuł brzmiał *Totalna zgnilizna*. Przeczytałem tekst bardziej z rozbawieniem niż ze złością.

Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będę musiał z Wainwrightem pracować.

Profesor wyprostował się z trudem, zatrzeszczały mu kolana dotknięte artretyzmem. Miał około sześćdziesięciu lat, był olbrzymim mężczyzną w ubłoconym kombinezonie, ciasno opinającym jego ciało. Kiedy zdejmował z twarzy maseczkę chirurgiczną, jego mięsiste palce w białych lateksowych rękawiczkach przypominały parówki. Maską odsłoniła rysy, które z pewną dozą pobłażliwości można by nazwać arystokratycznymi. Uśmiechnął się obojętnie.

- Doktorze, jestem pewien, że praca z panem będzie przyjemnością.

Mówił dudniącym barytonem urodzonego oratora. Mnie także udało się uśmiechnąć.

- Ja również.

- Grób znaleźli turyści wczoraj późnym popołudniem - wyjaśniał Simms, spoglądając na rękę wystającą z ziemi. - Jak panowie widzicie, jest płytki. Sondowaliśmy i wychodzi na to, że mniej niż sześćdziesiąt centymetrów pod powierzchnią jest tu warstwa granitu. Niezbyt dobre miejsce do ukrycia zwłok, ale na szczęście zabójca tego nie wiedział.

Przyklęknąłem, by przyjrzeć się zmarzniętej ciemnej ziemi, z której sterczała ręka.

- Torf sprawia, że różne rzeczy robią się ciekawsze.

Wainwright przytaknął ostrożnie, jednak się nie odezwał. Jako archeolog lepiej ode mnie znał problemy związane z torfowymi mogiłami.

- Wygląda na to, że deszcz zmył z ręki górną warstwę gleby, a resztę wykopały zwierzęta - kontynuował Simms. - Turyści znaleźli tę rękę wystającą z ziemi. Niestety, nie wiedzieli na początku, co to jest, więc żeby się upewnić, wykopali trochę ziemi.

- Boże, strzeż nas przed amatorami - zaintonował Wainwright. Może tylko przypadkiem patrzył akurat na mnie.

Przykucnąłem na metalowym chodniku, chcąc uważniej przyjrzeć się dłoni. Odsłonięto ją do kości nadgarstka. Większość tkanki miękkiej była obgryziona, a pierwsze dwa palce, te które najbardziej wystawały, całkiem zniknęły.

Można się było tego spodziewać - większe drapieżniki, jak lisy, a nawet co większe ptaki, jak kruki albo mewy, jak najbardziej były w stanie je oderwać.

Zaciekawiło mnie jednak, że poniżej śladów zębów na kości połamane powierzchnie paliczków wydawały się gładkie.

- Czy któryś z turystów nadepnął na dłoń albo ją uszkodził, kiedy kopali? - zapytałem.

- Twierdzą, że nie. - Twarz Simmsa, kiedy na mnie patrzył, była pozbawiona wyrazu. - Dlaczego?

- Pewnie to nic nie znaczy. Tyle że palce są połamane. Wygląda na to, że pękły wszystkie od razu. Czyli że to nie robota zwierzęcia.

- Tak, też to zauważyłem - odezwał się Wainwright, cedząc słowa.

- Uważa pan, że to istotne? - zapytał Simms.

Wainwright nie dał mi szansy odpowiedzieć.

- Jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Chyba że doktor Hunter ma jakąś teorię...

Nie zamierzałem spekulować.

- Jeszcze nie teraz. Czy znalazł pan jeszcze coś innego?

Pracownicy laboratorium wybrali już z przestrzeni okrytej plandeką wszystkie ewentualne dowody.

- Nic szczególnego. Dwie małe kości na powierzchni, sądzimy, że królicze. W każdym razie na pewno nie ludzkie, ale oczywiście może pan spojrzeć. - Simms zerknął na zegarek. - Teraz, jeśli to już wszystko, muszę iść na konferencję prasową. Profesor Wainwright zaznajomi pana ze wszystkim, co powinien pan wiedzieć. Będzie pan pracował pod jego kierownictwem.

Wainwright przyglądał mi się z lekkim zainteresowaniem. Tak jak w przypadku szczątków decydujący głos miał patolog, tak też odpowiedzialność związana z archeologią sądową w naturalny sposób spadała na niego. Nie stanowiło to dla mnie problemu, przynajmniej w teorii. Znałem jednak przypadki, kiedy ciało uszkodzono wskutek nieumiejętnego albo zbyt entuzjastycznego wykopywania, a rozbicie czaszki kilofem czy łopatą z pewnością nie ułatwiłoby mi pracy.

I nie zamierzałem także pełnić roli asystenta Wainwrighta.

- Zgadza się, jeśli chodzi o wydobywanie ciała - oznajmiłem.

- Oczywiście, oczekuję, że będzie ze mną konsultowane wszystko, co tyczy się samych szczątków.

W namiocie zapadła cisza, Simms spojrzał na mnie chłodno.

- Doktorze Hunter, znamy się z Leonardem już od dłuższego czasu. W przeszłości pracowaliśmy razem przy wielu dochodzeniach. Mogę dodać, że zakończonych dużymi sukcesami.

- Ja nie...

- Bardzo pana chwalono, jednak chcę kogoś, kto umie grać w zespole. Z przyczyn osobistych bardzo mi zależy na powodzeniu tego śledztwa, dlatego nie będę tolerował żadnych utrudnień. Z czyjejkolwiek strony. Czy wyraziłem się jasno?

Wiedziałem, że Wainwright obserwuje wszystko, i miałem pewność, iż wcześniej poinstruował Simmsa. Wzdrygnąłem się na myśl o takim układzie, ale pracowałem już z tyloma trudnymi prowadzącymi śledztwo, że wiedziałem, iż lepiej nie dyskutować. Miałem równie obojętny wyraz twarzy jak on.

- Tak, oczywiście.

- Dobrze. Chyba nie muszę panu mówić, jak ważne jest to śledztwo. Jerome Monk może i trafił za kratki, ale jestem pewien, że moje zadanie wypełnię, dopiero gdy jego ofiary zostaną odnalezione i zwrócone rodzinom. Jeśli... jeśli... to jest jedna z nich, muszę o tym wiedzieć.

Simms przyglądał mi się jeszcze chwilę, aż wreszcie, usatysfakcjonowany, przeszedł do

sedna.

- Panowie, pozostawiam was z waszą pracą.

Wysunął się pod połami namiotu. Przez chwilę ani ja, ani Wainwright się nie odzywaliśmy. Potem archeolog chrząknął teatralnie.

- A zatem, doktorze Hunter, możemy zaczynać?

W blasku reflektorów zdawało się, że czas stanął w miejscu. Ciemny torf niechętnie pozwalał zabrać zwłoki, mokra ziemia przylgnęła do ciała stopniowo wyłaniającego się spod jej powierzchni. Prace postępowały powoli. Zwykle kształt grobów, czyli ich „wykrój”, łatwo zdefiniować. Wypełniająca je ziemia, którą najpierw usunięto, a potem wsypano ponownie, robi się luźniejsza i mniej zwarta niż ta nienaruszona wokół grobu. Pozwala to określić krawędzie otworu. Jeśli grób został wykopany w torfie, takie rozgraniczenie przestaje być oczywiste. Torf wciąga wilgoć jak gąbka, dlatego nie kruszy się jak inne rodzaje gleby. Wykroj mogiły nadal można odnaleźć, co jednak wymaga już większej uwagi oraz dużych umiejętności.

Wainwright miał i jedno, i drugie.

Już sama jego fizyczna obecność przytłaczała w zamkniętej przestrzeni namiotu, między delikatnie falującymi niebieskimi ścianami. Na wpół oczekiwałem, że zaraz odsunie mnie na bok, jednak niespodziewanie ucieszył się z mojej pomocy. Kiedy urażona duma przestała już boleć, musiałem przyznać, że jest bardzo dobrym archeologiem sądowym. Wielkie ręce okazały się zaskakująco zręczne, delikatnie zdrapywały wilgotny torf i odsłaniały pogrzebane szczątki, a grube palce miał tak precyzyjne jak chirurg. Pracował systematycznie, klęcząc na metalowym chodniku rozłożonym wokół grobu, a zwłoki stopniowo wyłaniały się z ziemi. Powoli rewidowałem swoją opinię na jego temat.

Przez jakiś czas pracowaliśmy w ciszy, aż wreszcie na szpachelce uniósł połowę przeciętej dżdżownicy.

- Niezwykła istota, nieprawdaż? *Limbricus terrestris*. Ma prosty organizm, pozbawiony mózgu i ledwie z jakimś tam układem nerwowym, a gdy przetnie się ją wpół, ucięta część odrasta. Oto nauka dla pana: zbytnie komplikowanie szkodzi. - Cisnął dżdżownicę we wrzos i odłożył szpachelkę, krzywiąc się, gdy kolana głośno mu chrupnęły. - Z wiekiem wcale nie robi się łatwiej. Ale cóż. Pan jest za młody, aby o tym wiedzieć. Jest pan londyńczykiem, prawda?

- Owszem, mieszkam w Londynie. A pan?

- Och, ja jestem miejscowy. Z Torbay. Dzięki Bogu, można spokojnie dojechać

samochodem, dlatego nie muszę spać w jakiejś zapchlonej dziurze wyszukanej przez policję. Nie zazdrozczę panu. - Potarł się po krzyżu. - A jak się panu podoba Dartmoor?

- Z tego, co widziałem, ponuro tutaj.

- Ach, ale nie widział pan tego, co tutaj najlepsze. To raj, zwłaszcza dla archeologa. Największe w całej Brytanii skupisko zabytków z epoki brązu, a to torfowisko jest jednym wielkim muzeum techniki. Wciąż jeszcze można tu znaleźć stare kopalnie ołowiu i cyny, pełno ich jak much w bursztynie. Coś cudownego! W każdym razie dla takich dinozaurów jak ja. Jest pan żonaty?

Z trudem za nim nadążałem.

- Tak, jestem.

- Rozsądny człowiek. Dobra kobieta pozwala nam zachować zdrowe zmysły. Chociaż to, jak one w ogóle z nami wytrzymują, to już inna sprawa. Moja żona zasługuje na medal, o czym mi zresztą regularnie przypomina. - Zachichotał. - Ma pan dzieci?

- Dziewczynkę, Alice. Ma pięć lat.

- Ach. Dobry wiek. Mam dwie córki, obie już wyfrunęły z gniazda. Niech się pan nacieszy córką, dopóki jest jeszcze mała. Proszę mi wierzyć, za dziesięć lat będzie się pan zastanawiał, gdzie się podziała pana mała dziewczynka. Uśmiechnąłem się posłusznie.

- Minie jeszcze sporo czasu, zanim będzie nastolatką.

- Proszę go jak najlepiej wykorzystać. A mogę dać panu jedną radę?

- Proszę bardzo.

Nie takiego Wainwrighta się spodziewałem.

- Niech pan nigdy nie zabiera pracy do domu. Oczywiście, mówię w przenośni. Ale w naszym fachu ważny jest wyraźny rozdział, zwłaszcza jeśli ma pan rodzinę. W innym wypadku praca pana wyniszczy. Niezależnie od tego, co pan zobaczy i jak bardzo to będzie odrażające, proszę pamiętać, że to jedynie praca.

Ponownie chwycił szpachelkę i odwrócił się w stronę szczątków.

- Prawdę mówiąc, ostatnio rozmawiałem z kimś, kto pana zna. Podobno miał pan być lekarzem?

- Owszem, zanim zająłem się antropologią, skończyłem medycynę. Kto panu o tym mówił?

Zmarszczył brwi.

- Wie pan, właśnie się głowię, żeby sobie przypomnieć. Mam już słabą pamięć, nie to co kiedyś. Myślę, że to było na jakiejś konferencji kryminalistycznej. Rozmawialiśmy o nowym pokoleniu w naszej dziedzinie nauki. Wymieniono pana nazwisko.

Byłem zaskoczony, że Wainwright przyznał, że o mnie słyszał. Wbrew sobie poczułem dumę.

- Niezły przeskok, z medycyny do antropologii - kontynuował, zdrapując ziemię ze zwłok, z łokcia.

- Domyślam się, że kształcił się pan w Stanach? W tym ośrodku badawczym w Tennessee, nieprawdaż? Tym, który specjalizuje się w rozkładzie?

- Ośrodkiem Badań Antropologicznych. Spędziłem tam rok.

To było, zanim poznałem Karę, gdy zmieniłem już zawód, a pracę z żywymi na pracę ze zmarłymi. Czekałem, aż padnie jakaś złośliwa uwaga. Nie padła.

- Brzmi niezłe, ale to nie dla mnie. Muszę się przyznać, że nie jestem zbyt wielkim fanem *Calliphoridae*. Paskudztwo.

- Ja też nie jestem ich wielkim fanem, ale się przydają. - *Calliphoridae* była nazwą rodziny much, których cykl życiowy stanowił „zegar” przy badaniu rozkładu. Najwyraźniej Wainwright lubił łacińskie nazwy.

- Tak przypuszczam. Jednak, niestety, nie w tym przypadku. O wiele za zimno. - Szpachelką wskazał zwłoki. - A zatem, co pan tutaj widzi?

- Będę mógł lepiej się rozeznąć, jak ciało znajdzie się w kostnicy.

- Oczywiście. Ale jestem pewien, że wyciągnął pan już jakieś wnioski.

Widziałem, że uśmiecha się pod maseczką chirurgiczną. Nie chciałem mówić o swoich przypuszczeniach, wiedząc, jak wszystko może się zmienić po oczyszczeniu szczątków. Jednak Wainwright wcale nie okazał się potworem, którego się spodziewałem, no i było nas tutaj tylko dwóch. Biorąc pod uwagę dawną antypatię archeologa do antropologii sądowej, nie zaszkodziłoby uświadomić mu, że nie jest jedynym ekspertem.

Przykucnąłem, aby ocenić to, co odkryliśmy.

Torf jest substancją wyjątkową. Złożony z częściowo rozłożonych szczątków roślin, zwierząt oraz insektów stanowi środowisko nieprzyjazne większości tych bakterii i owadów, które zwykle mieszkają w ziemi. Mając niską zawartość tlenu, kwaśny jak ocet potrafi zamarynować materiał organiczny, garbując go niczym okazy w laboratoryjnym słoiku. Na torfowiskach odnajdowano już całe kły mamutów, a trupy ludzi pochowanych setki lat temu wydobywano w zdumiewająco dobrym stanie. Ciało mężczyzny odkryte w latach pięćdziesiątych w duńskiej miejscowości Toliund było tak świetnie zakonserwowane, że wzięto go za ofiarę morderstwa. Zresztą pewnie był, zważywszy na linę zaciśniętą na szyi - tyle że morderstwo popełniono dwa tysiące lat wcześniej.

Jednak te same właściwości torfu, czyniące go kopalnią złota dla archeologa, robią też z

niego koszmar kryminologa. Dokładne ustalenie czasu, jaki minął od chwili zgonu, już samo w sobie jest trudne, a bez wskazówek, których dostarcza rozkładające się ciało, staje się wręcz niemożliwe.

Nie sądziłem jednak, by teraz stanowiło to aż taki problem. Odsłoniliśmy już około połowy zwłok. Leżały na boku, kolana były nieco podciągnięte, a górna część ciała skulona w pozycji embrionalnej. Zarówno cienką bluzkę opinającą tułów, przez którą dawało się dostrzec zarys stanika, jak i krotką spódniczkę wykonano z modnych teraz materiałów syntetycznych. Co prawda nie mogłem nazwać się ekspertem, jednak pantofel na wysokim obcasie okrywający prawą stopę też wydawał mi się stosunkowo zgodny z modą.

Włosy, skórę i ubranie oblepiał ciemny szlam, przez co ciało nabrało jednolitego koloru, jakby składało się z torfu. Nic jednak nie mogło ukryć strasznych obrażeń. Pod ubłoconym materiałem wyraźnie odznaczały się kontury połamanych żeber, a na ramionach i na nogach strzaskane kości w wielu miejscach poprzebijały mięśnie. Czaszka była zmiażdżona i zniekształcona, policzki i jama nosowa wgniecione.

- Jeszcze niewiele mogę stwierdzić, poza tym co oczywiste - powiedziałem ostrożnie.

- Czyli?

Wzruszyłem ramionami, nie chcąc wydawać opinii na tym etapie.

- To kobieta, chociaż istnieje możliwość, że to transseksualista.

Wainwright parsknął.

- Dobry Boże. Za moich czasów czegoś takiego w ogóle nie brano pod uwagę. Kiedyż to sprawy aż tak się skomplikowały? Proszę dalej.

Zaczynałem się rozgrzewać.

- Trudno jeszcze stwierdzić, jak długo była zakopana. Rozkład wydaje się bardziej zaawansowany, niżbym się spodziewał.

Zwłaszcza jeśli to jedna z ofiar Monka, zamordowana w zeszłym roku.

Ale jeszcze nie byłem gotowy na tak śmiałe stwierdzenie.

- Prawdopodobnie można to wytłumaczyć tym, że ciało było płytko zakopane.

Bakterie tlenowe mogły rozkładać tkanki miękkie nawet w torfowym grobie, chociaż wolniej. Wainwright pokiwał głową, zgadzając się ze mną.

- A obrażenia?

- Jeszcze za wcześnie, aby określić, czy zadano je przed śmiercią, czy po, jednak ewidentnie denatka została ciężko pobita. Przypuszczalnie jakimś narzędziem. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek połamał kości gołymi rękoma.

- Nawet Jerome Monk? - Uśmiechnął się ku mojemu zmieszaniu. - No proszę, panie

Davidzie, niech pan sam przyzna. Ona wygląda na jedną z jego ofiar.

- Będę więcej wiedział, gdy zwłoki zostaną już oczyszczone i obejrzę szkielet.

- Jest pan ostrożny. To mi się podoba. Ale ona jest w odpowiednim wieku, można to poznać po ubraniu. Nikt, kto by miał więcej niż dwadzieścia jeden lat, nie odważyłby się włożyć takiej krótkiej spódniczki.

- Nie sędzę...

Zachichotał basem.

- Wiem, wiem, to niezbyt poprawne politycznie. Ale jeśli to nie jest tryk czy nawet baran, przebrany za owieczkę, to mamy tutaj nastolatkę lub młodą kobietę, okrutnie pobitą i pochowaną na podwórku Jerome'a Monka. Wie pan, jak to mówią, gdy coś wygląda jak ryba i pachnie jak ryba...

Jego zachowanie raziło, jednak Wainwright mówił to, co sam myślałem.

- Możliwe.

- No oczywiście! Ja co prawda powiedziałbym „przypuszczalne”, ale nieważne. W takim razie pojawia się pytanie, która to z nieszczęsnych oblubienic Monka? Jedna z bliźniaczek Bennett czy dziewczyna Williamsów?

- Przypuszczalnie wyjaśni nam to jej ubranie.

- Prawda, ale to bardziej pańska specjalność niż moja. I podejrzewam, że pan już więcej wie o zmarłej. - Zachichotał. - Proszę się nie obawiać, nie zeznaje pan teraz jako świadek. Proszę zaspokoić moją ciekawość.

Trudno mu było odmówić.

- Na tym etapie mogę tylko zgadywać, ale...

- Tak?

- Siostry Bennett były dosyć wysokie. - Dowiedziałem się tego przy okazji pospiesznych poszukiwań informacji po telefonie od Simmsa. Zoe i Lindsey miały figurę modelek z wybiegu. - Ktokolwiek to jest, ona jest drobniejsza. Trudno dokładnie określić wzrost, kiedy ciało jest tak skulone, jednak na podstawie wielkości kości udowej można wyrobić sobie całkiem niezłe pojęcie o posturze. Nie sędzę, żeby, ktokolwiek to jest, miał więcej niż metr pięćdziesiąt siedem, metr sześćdziesiąt.

Kość udowa, nawet całkowicie oczyszczona z tkanki miękkiej, co akurat tutaj nie miało miejsca, stanowiła jedynie orientacyjną wskazówkę co do wzrostu. Ale wyrobiłem już sobie oko do takich spraw i, nawet patrząc na zdeformowane, oblepione błotem szczątki, miałem podstawy, by twierdzić, że zmarła nie była tak wysoka jak siostry Bennett.

Wainwright zmarszczył czoło, spoglądając na górną część nogi.

- Do licha, sam powinienem to zauważyć.

- To tylko domysły. Zresztą jak pan sam powiedział, to bardziej moja specjalizacja niż pana.

Rzucił mi spojrzenie, w którym nie było ani trochę jowialności sprzed chwili. Potem zmrużył oczy. Zaniósł się dudniącym śmiechem.

- Tak, ma pan zupełną rację. Zapomniałem, że Tina Williams nie była taka wysoka jak bliźniaczki. Czyli że bardzo możliwe, iż to są jej zwłoki. - Klasnął. - Tak czy siak, wszystko po kolei. Teraz skończmy ją wykopywać, dobrze?

Uniósłszy szpachelkę, powrócił do pracy, zostawiając mnie z niejasnym wrażeniem, że snucie tych spekulacji było moim pomysłem.

Potem już niewiele rozmawialiśmy, ale praca szła nam dobrze. Raz tylko przeszkodzili technicy kryminalistyczni, którzy zjawili się, aby przesiać torf z grobu. Jednak poza jeszcze paroma zajęczymi kośćmi nie znaleźli niczego ciekawego.

Kiedy ciało było gotowe do przeniesienia, na dworze zrobiło się już ciemno. Zwłoki leżały na dnie błotnistego dołu, brudne i żalosne. Kiedy skończyliśmy, Simms już wrócił, w towarzystwie patologa, którego przedstawił jako doktora Piriego.

Pirie okazał się dość niezwykłą osobą. Nie mógł mieć więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, więc nowiutki kombinezon wydawał się na niego za duży. Twarz widoczna spod kaptura miała tak delikatne rysy, że mogłaby należeć do dziecka, jednak skóra na niej była pomarszczona, oczy zaś za okularami połówkami w złotych oprawkach - stare i mądre.

- Dobry wieczór, panowie. Jakież postępy? - zapytał, podchodząc do grobu. Głos miał piskliwy i nieprzyjemny.

Przy wielkim Wainwrightcie drobny patolog wydawał się jeszcze mniejszy, taki piesek chihuahua obok doga. Jednak otaczająca go aura powagi nie pozostawiała żadnych wątpliwości, z kim ma się do czynienia.

Wainwright odsunął się, aby zrobić Piriemu miejsce. Pomyślałem, że niechętnie.

- Prawie gotowe. Miałem już to przekazać technikom do dokończenia.

- Dobrze. - Patolog wydał małe usta, kiedy ukucnął obok płytkiego grobu. - Och tak, bardzo ładnie...

Nie wiedziałem, czy mówi o wykopaliskach, czy o samych szczątkach. Patologów znano jako dziwaków. Najwyraźniej Pirie nie stanowił wyjątku.

- Ofiara to kobieta przed dwudziestką albo mająca niewiele więcej lat niż dwadzieścia, sądząc po ubraniu. Wainwright, gdy odsunął się od grobu, zdjął maseczkę. Skrzywił usta z rozbawieniem. - Doktor Hunter sądzi, że to mógł być transseksualista, ale myślę, że raczej

możemy to wykluczyć.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Simms parsknął lekceważąco.

- Całkowicie.

- Panowie, sami możecie zobaczyć obrażenia - dudnił Wainwright, teraz już tonem profesjonalisty. - Przypuszczalnie zadane tęnym narzędziem albo przez kogoś o niesamowitej sile.

- Sądzę, że nieco za wcześnie, aby tak twierdzić - skomentował Pirie znad krawędzi grobu.

- Tak, oczywiście. Wykaże to sekcja zwłok. - Wainwright od razu się poprawił. - A jeśli chodzi o to, jak długo tutaj leży, to gdyby ktoś mnie pytał, powiedziałbym, że ponad rok.

- Jest pan pewien? - surowo zapytał Simms.

Wainwright rozłożył ręce.

- Na tym etapie to jedynie domysły, ale biorąc pod uwagę właściwości torfu oraz stopień rozkładu, jestem prawie pewien.

Przyglądałem się temu, nie mogąc uwierzyć, że przedstawia moją opinię jako własną. Simms kiwał głową z zadowoleniem.

- Czyli że pod względem czasu zgonu mogłaby to być ofiara Monka.

- Och, powiedziałbym nawet, że prawie na pewno... Szczerze mówiąc, gdybym miał zaryzykować i zgadywać, to powiedziałbym, że ta dzierlatka może być córką Williamsów. Kość udowa jest o wiele za krótka jak na wysokie bliźniaczki Bennett, ale jeśli dobrze pamiętam, to ona miała, och, metr sześćdziesiąt? To by pasowało. A obrażenia wskazują na Monka, zwłaszcza po tym, co zrobił Angeli Carter.

Carson. Angeli Carson, nie Carter. Byłem jednak zbyt wściekły, aby się odezwać. Wainwright bez zażenowania przywłaszczył sobie wszystko, co mu powiedziałem, a nie mogłem zaprotestować, nie wychodząc przy tym na małostkowego. Pirie spojrzał sponad grobu.

- Na pewno trudno jest dokonać takiej identyfikacji.

Wainwright lekceważąco wzruszył ramionami.

- Można to nazwać uczoną zgadywanką. W każdym razie uważam, że warto jako pierwszą zająć się dziewczyną Williamsów. Dobrze byłoby ustalić, kto to jest, najszybciej, jak to możliwe...

Uniósł brwi, spoglądając na Simmsa. Policjant zdawał się ożywiony, uderzył dłonią o udo.

- Zgadzam się. Doktorze Pirie, kiedy będzie pan mógł stwierdzić, czy to córka

Williamsów?

- Wszystko zależy od stanu, w jakim będą szczątki, jak już zostaną oczyszczone. -
Malutki patolog spojrzał na mnie. - Czy nie pójdzie szybciej, jeśli doktor Hunter będzie pracował razem ze mną? Jak sądzę, szkielet to bardziej jego dziedzina niż moja?

Mówił z taką specyficzną, śpiewną intonacją, przez którą większość wypowiedzianych przez niego zdań brzmiała jak pytania. Przytaknąłem, wściekły i oszołomiony tym, co zrobił Wainwright.

- Cokolwiek panu potrzeba. - Zdawało się, że Simms już nie słucha. - Im wcześniej ogłosimy, kto to jest, tym lepiej. A jeśli Monk zakopał tu jedną ze swoich ofiar, można założyć, że pozostałe leżą gdzieś niedaleko. Doskonała praca. Leonardzie, dziękuję. Pozdrów ode mnie Jean. Jeśli nie macie planów na ten weekend, to może przyjdziecie w niedzielę na obiad?

- Nie będziemy mogli się doczekać - zapewnił Wainwright.

Po namyśle Simms odwrócił się do mnie.

- Doktorze Hunter, czy ma pan coś do dodania?

Spojrzałem na archeologa. Wyraz twarzy miał uprzejmie pytający, lecz w oczach satysfakcję drapieżnika. Dobra, skoro tak właśnie chcesz...

- Nie.

Rozdział 3

Wieczorem, kiedy już dotarłem do zajazdu, w którym mnie zakwaterowano, wciąż jeszcze byłem wściekły. Znajdował się kilkanaście kilometrów od Black Tor, w miejscowości o nazwie Oldwich, do której, jak mi powiedziano, samochodem jechało się dwadzieścia minut. Albo te założenia okazały się zbyt optymistyczne, albo gdzieś źle skręciłem, bo dopiero po trzech kwadransach przed sobą zobaczyłem światło.

W samą porę. To był długi dzień, a jazda przez wrzosowiska w całkowitych ciemnościach nie należała do moich ulubionych zajęć. Wciąż jeszcze paliło mnie wspomnienie tego, jak dałem się wymanewrować Wainwrightowi. Znając jego reputację, powinienem zachować większą ostrożność. Kiedy parkowałem obok pubu, mglista mżawka plamiła przednią szybę, rozszczepiając blask przednich świateł. Na budynku wisiał obłazący z farby szyld, napis „Pod

Żarłokiem" prawie już zupełnie na nim wyblakł.

Z zewnątrz niewiele było do oglądania - długi, niski budynek pomalowany łuszczącą się białą farbą, z zapadłym, krytym strzechą dachem. Pierwsze wrażenie potwierdziło się, gdy przepchnąłem się za porysowane skrzypiące drzwi. Odór stęchłego piwa komponował się z wytartymi dywanami oraz tanimi, ozdobnymi plakietkami z upręży wiszącymi na ścianach. Było pusto, w kominku wygasło. Ale przecież zatrzymywałem się już w gorszych miejscach.

Właściciel okazał się mężczyzną po pięćdziesiątce, z kwaśną miną, straszliwie chudym, wyjąwszy zaskakująco wystający brzuch, który wydawał się twardy jak kula do kręgli.

- Jeśli chce pan coś zjeść, to kuchnia kończy pracę za dwadzieścia minut - oznajmił mi, z łaski przesuwając pęknięty brelok z kluczami po zniszczonym kontuarze.

Pokój okazał się mniej więcej taki, jakiego się spodziewałem - ani zbyt czysty, ani też na tyle kiepski, by narzekać. Materac zatrzeszczał, uginając się pod ciężarem torby. Chętnie wziąłbym prysznic, ale byłem za bardzo głodny, zresztą we wspólnej łazience stała tylko rdzewiejąca wanna.

Jednak jedzenie i odświeżenie się mogły jeszcze poczekać. Komórka złapała zasięg, co stanowiło dobry znak. Wybierając numer do domu, krzesło o twardym oparciu przesunąłem bliżej niewielkiego kaloryfera.

Zawsze starałem się dzwonić mniej więcej o tej samej porze, tak aby Alice przywykła do regularnych rozmów z tatą. Kara przez trzy dni w tygodniu pracowała w szpitalu, jednak w takich godzinach, że kiedy gdzieś wyjeżdżałem, mogła odebrać córkę ze szkoły. Była radiologiem - kiedy zaszła w ciążę, stało się to dla nas powodem wielu długich dyskusji. Nie planowaliśmy mieć dzieci przez kilka pierwszych lat, dopóki nie zacznę dostawać z policji tyle zleceń, żebym dorobił do swojej uniwersyteckiej pensji tyle, żeby Kara mogła zostać w domu i opiekować się niemowlakiem.

Oczywiście, sprawy nie całkiem ułożyły się tak, jak zaplanowaliśmy. Jednak żadne z nas nie żałowało. Chociaż tak naprawdę teraz Kara już nie musiała pracować, nie oponowałem, gdy po tym, jak Alice poszła do szkoły, postanowiła wrócić na część etatu. Lubiła swoją pracę, a dodatkowe pieniądze by nam nie zaszkodziły. Zresztą trudno, żebym protestował, jeśli wziąć pod uwagę wymagania związane z moim fachem.

- Dokładnie o czasie - oznajmiła Kara, odbierając telefon. - Jest tu pewna młoda dama, która miała nadzieję, że zadzwonisz, zanim położysz się spać.

Uśmiechnąłem się, kiedy przekazała słuchawkę Alice.

- Tatusiu, narysowałam ci obrazek!

- Wspaniale! Nowy konik?

- Nie, to nasz dom, tylko z żółtymi zasłonami, bo takie wolę. Mamusia powiedziała, że ona też...

Słuchając opowieści córki, poczułem, jak odpływa ze mnie nieco wściekłości i frustracji. Kara w końcu odesłała Alice, kazać jej myć zęby, i przejęła telefon. Usłyszałem, jak sadowi się na krześle.

- Jak poszło? - zapytała.

Wymanewrowanie przez Wainwrighta już nie wydawało się czymś ważnym.

- Och... Mogło być gorzej. Zastępcą prowadzącego dochodzenie jest Terry Connors, więc przynajmniej jakaś znajoma twarz.

- Terry? Proszę, przekaż mu ode mnie pozdrowienia dla Deborah. - W jej głosie wcale nie słyszałem sympatii. - Wiesz już, jak długo tam zostaniesz?

- Jeszcze co najmniej kilka dni. Jutro będę w kostnicy, ale zamierzają szukać następnych grobów, więc wszystko zależy od tego, jak im pójdzie.

Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas, aż wreszcie przyszła pora, by Kara położyła Alice spać. Myśląc o tym, jak bardzo bym chciał z nią być i o wszystkim opowiedzieć, umyłem się i przebrałem, a potem zszedłem do baru. Zapomniałem o ostrzeżeniu, że kuchnia niedługo kończy pracę, a minęło już prawie dwadzieścia minut. Kiedy zamawiałem jedzenie, właściciel wymownie spojrział na zegarek i skrzywił się z niezadowoleniem.

- Jeszcze dwie minuty i byłoby za późno - rzucił.

- W takim razie mam szczęście, że zdążyłem.

Z zaciśniętymi ustami odszedł zrealizować zamówienie. W barze pojawiała się teraz więcej ludzi. Zgadywałem, że niemało z nich to policjanci albo inne osoby związane z dochodzeniem.

Został tylko jeden wolny stolik, więc tam zaniósłem swojego drinka. Przy stoliku obok siedziała samotnie jakaś młoda kobieta, z roztargnieniem grzebiąc widelcem w jedzeniu i czytając coś z otwartej teczki obok talerza. Kiedy zająłem miejsce, nie uniosła wzroku.

Zjawił się właściciel ze sztucami.

- Nie może pan tutaj usiąść, ten stolik jest zarezerwowany.

- Nigdzie nie jest napisane, że jest zarezerwowany.

- Bo nie musi - odparł z satysfakcją. - Musi pan się przenieść.

Nie mogłem sobie teraz zwracać głowy sporami. Rozejrzałem się za jakimś innym miejscem, ale jedyne wolne było przy stoliku tamtej młodej kobiety.

- Czy mógłbym... - zacząłem, ale właściciel mnie uprzedził, kładąc sztucce na blacie.

- Państwo muszą się zmieścić - oznajmił.

Młoda kobieta, zaskoczona, spoglądała to na niego, to na mnie.

Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem.

- Czarujące miejsce i miła obsługa. Tu jest i jedno, i drugie.

- Niech pan poczeka, aż spróbuje jedzenia. - Zamknęła teczkę, wyglądała na zirytowaną.

- Jeśli sprawia jakiś problem, to mogę poszukać innego miejsca - zaproponowałem.

Przez chwilę zdawało się, że kusi ją taka możliwość, ale potem zrezygnowała, machnięciem ręki wskazując wolne krzesło.

- Nie, może być. I tak już skończyłam. - Odłożyła widelec. - Będzie pan coś jadł?

- Taką mam nadzieję.

- Powodzenia - oznajmiła, odsuwając talerz.

Była atrakcyjna, w taki dyskretny sposób. Miała na sobie stare dzinsy i luźny sweter, gęste kasztanowe włosy przytrzymywała zwyczajną opaską. Wydała mi się kimś, kto niezbyt przejmuje się własnym wyglądem, ale wcale nie musi się nim przejmować. Kara miała tak samo. Mogła włożyć cokolwiek, a i tak wyglądała świetnie.

Zerknąłem na teczkę, z której czytała. Nawet teraz, kiedy leżała do góry nogami, dostrzegłem, że wygląda jak policyjny raport.

- Przyjechała pani tutaj w sprawie śledztwa? - zapytałem.

Wymownym gestem podniosła teczkę i schowała do torby.

- Pan jest dziennikarzem?

W jej głosie zabrzmiał lodowaty ton.

- Ja? Broń Boże - odparłem zaskoczony. - Przepraszam, nazywam się David Hunter, jestem antropologiem sądowym. Należę do zespołu nadinspektora Simmsa.

Odprężyła się, uśmiechając z zakłopotaniem.

- Proszę mi wybaczyć. Dostaję lekkiej paranoi, gdy ktokolwiek zaczyna mnie wypytywać o pracę. Tak, biorę udział w śledztwie.

Wyciągnęła ku mnie dłoń.

- Sophie Keller.

Miała mocny uścisk, dłoń silną i suchą. Najwyraźniej przywykła do torowania sobie drogi w tradycyjnie męskim środowisku policji.

- A zatem, Sophie, czym się zajmujesz? Czy może znowu jestem za wścibski?

Uśmiechnęła się. Miała miły uśmiech.

- Jestem policyjnym doradcą behawioralnym.

- Aha.

Chwila ciszy. Roześmiała się.

- W porządku, w całym kraju jest nas tylko kilkoro, A ja też tak do końca nie wiem, co robi antropolog sądowy.

- Czy doradca behawioralny to taki profiler? - zapytałem, pamiętając, aby zachowywać się dyplomatycznie. Nie za bardzo wierzyłem w skuteczność podobnych metod.

- To jest aspekt psychologiczny, ale chodzi mniej więcej o coś takiego. Nie tylko doradzam w sprawach charakterystyki i motywacji sprawcy, ale także określam miejsce zbrodni, szukam odpowiedniej strategii do przesłuchiwania podejrzanych i tak dalej.

- To dlaczego nie było cię dzisiaj przy grobie?

- To drażliwa sprawa. Nie słyszałam o nim aż do dzisiejszego popołudnia, więc musiałam sobie poradzić sama, oglądając fotografie. To nie najlepsza metoda, a przecież tak naprawdę nie po to mnie tutaj ściągnięto.

- Och...

Zawahała się.

- Dobra, nie sądzę, żeby to była jakaś tajemnica. Zaprośili mnie dlatego, że jeśli to jedna z ofiar Monka, w pobliżu mogą też być pogrzebane pozostałe. Chcą, żebym doradziła, gdzie najprawdopodobniej są inne groby. To taka moja specjalność, znajdowanie ukrytych rzeczy. Zwłaszcza ciał.

- Jak to robisz? - Zaciekawiła mnie. W ciągu ostatnich kilku lat pojawiło się sporo nowoczesnych środków technicznych, umożliwiających lokalizację zakopanych zwłok: od fotografii lotniczej po tomografię geofizyczną i termowizję. Ale i tak odnalezienie mogiły nadal stanowiło kwestię ślepego trafu, zwłaszcza w takich miejscach jak Dartmoor. Tak do końca nie wiedziałem, w czym mógłby tutaj pomóc specjalista od behawiorystyki.

- Och, są sposoby - odparła wymijająco. - W każdym razie już wiesz, co robi doradca behawioralny. Teraz twoja kolej

Z grubsza opisałem jej, czym się zajmuję. Przerwałem, gdy zjawił się właściciel, niosąc jedzenie. Postawił przede mną talerz na tyle gwałtownie, że sos chlapnął na stół. W każdym razie miałem nadzieję, że to sos. Tłusta, brunatna ciecz mogła być wszystkim.

Sophie i ja przyglądaliśmy się masie rozgotowanych warzyw oraz szarego mięsa.

- Czyli że jednak wżgardziłaś wędzonym łososiem i foie gras? - powiedziała po chwili.

- Właśnie takie dodatkowe korzyści czynią naszą pracę interesującą - odparłem, starając się nadzieć na widelec zdeintegrowaną marchewkę. - Skąd jesteś? Nie mówisz jak miejscowi.

- Jestem z Bristolu, ale teraz mieszkam w Londynie. Jak byłam małą dziewczynką, jeździłam tutaj na wakacje, więc nieźle znam Dartmoor, Po prostu uwielbiam te otwarte

przestrzenie. Chciałabym kiedyś się tutaj przeprowadzić, ale praca... Zresztą sam wiesz, jak to jest. Może, jak kiedyś zmęcę się byciem doradcą behawioralnym...

- Co do Dartmoor, to na razie powstrzymam się od oceny, ale trochę znam Bristol. Leży w ładnej okolicy. Moja żona jest z Bath.

- Och, to świetnie.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, świadomi że właśnie zostały określone granice. Teraz, kiedy już ustaliliśmy, że jestem żonaty, mogliśmy się odprężyć, bez obawy, że wysłamy jakieś mylne sygnały.

Sophie okazała się świetnym towarzystwem, była bystra i dowcipna. Rozmawialiśmy o jej domu oraz planach na przyszłość, opowiedziałem o Karze i Alice. Mówiliśmy też o pracy, chociaż pomijając temat bieżącego śledztwa. Sprawa była w toku i żadne z nas nie chciało zdradzać zbyt wiele właściwie obcej osobie.

Jednak kiedy spojrzałem na salę i zobaczyłem zmierzających do nas Terry'ego i Ropera, wiedziałem już, że to zaraz się zmieni. Connors, widząc nas oboje przy stoliku, jakby się zdziwił. Kiedy podchodził, przybrał ostrożny wyraz twarzy.

- Nie wiedziałem, że się znacie - powiedział.

Roper trzymał się zaraz za nim. W pomieszczeniu jego woda po goleniu pachniała jeszcze mocniej.

Sophie uśmiechnęła się do Terry'ego, jakby trochę złośliwie.

- Teraz już się znamy. David opowiadał, czym się zajmuje. To naprawdę fascynujące.

- W rzeczy samej - beznamiętnie odparł Terry.

- Chcecie się przysiąść? - zapytałem, czując się nieswojo w tej nagle napiętej atmosferze.

- Nie, nie chcemy przeszkadzać. Przyszedłem tylko, żeby przekazać kilka nowych wiadomości. - Bob, idź po piwo - rzucił przez ramię do Ropera.

Policjant zmrużył oczy, jednak zdołał ukryć niezadowolenie z tych ciągłych rozkazów. Ruszył w stronę baru, za nim ciągnął się zapach wody po goleniu.

- Jakich nowych wiadomości? - zapytałem.

Terry zwrócił się bezpośrednio do mnie, tak jakby Sophie w ogóle tutaj nie było.

- Pamiętasz, jak rano ci mówiłem, że gdzieś jadę? No dobra, pojechałem do więzienia Dartmoor zobaczyć się z Jerome'em Monkiem.

To wyjaśniało wcześniejszą tajemniczość Terry'ego. Nic dziwnego, że wyglądał na tak zdenerwowanego.

- Będziesz go przesłuchiwać? Dlaczego nic mi nie powiedziano? - wyrwała się Sophie, zanim zdołałem o cokolwiek zapytać.

- Spytaj Simmsa. Zresztą i tak bez różnicy. Chcieliśmy uderzyć w Monka nowiną o tej mogile i zobaczyć, czy nam powie, kto tam leży, ale adwokat kazał mu siedzieć cicho. Nie udało się od niego niczego wyciągnąć, nawet zaprzeczenia, co moim zdaniem byłoby równie dobre jak przyznanie się do winy.

- Na pewno sąd ci uwierzy! - Sophie nadal była wściekła. - Nie do wiary, że go przesłuchiwałeś, nie konsultując się wcześniej ze mną! Po co sprowadzać doradcę behawioralnego, jak się nie korzysta z jego usług. To po prostu głupota!

Postarałem się nie skrzywić. Najwyraźniej dyplomacja nie należała do jej mocnych stron. Twarz Terry'ego pociemniała.

- Prowadzący śledztwo na pewno chętnie posłucha, jaki był głupi.

- Mówiłeś, że masz jakieś nowiny? - odezwałem się, próbując zażegnać kłótnię.

Terry rzucił Sophie ostatnie wściekłe spojrzenie, a potem odwrócił się w moją stronę.

- Monk zgodził się współpracować.

- Współpracować?

Connors wyglądał tak, jakby sam w to do końca nie wierzył.

Rozdział 4

Więzienna furgonetka podskakiwała na wybojach wąskiej drogi. Przed nią i za nią jechały radiowozy oraz policjanci na motorach. Błyskały niebieskie światła. Konwój minął zarośniętą trawą ruiny starego, wodnego kołowrotu, jedną z pozostałości dawnych kopalni cyny, tych, o których opowiadał Wainwright. Potem zatrzymał się w pobliżu śmigłowca stojącego na torfowisku. Wirnik maszyny obracał się leniwie. Otworzyły się drzwi radiowozów, wyszli z nich uzbrojeni policjanci. W porannej mżawce sterczały matowe lufy. Następnie otworzyły się przednie drzwi furgonetki. Wysiadło dwóch strażników, poszli na tył wozu. Tłum mundurowych policjantów ich zasłaniał, ale po chwili rozwarły się również tylne drzwi pojazdu.

Wyszedł przez nie jakiś mężczyzna. Policjanci i strażnicy więzienni szybko otoczyli go ścisłym kordonem, nie pozwalając dokładnie się przyjrzeć. Jednak doskonale była widoczna duża, ogolona głowa, wśród otaczających postaci wyróżniającą się jak biała futbolówka. Pospiesznie przeprowadzono więźnia do oczekującego helikoptera. Przygarbił się, kiedy

eskortowany przez dwóch strażników przechodził pod wirującymi łopatomy śmigła. Niezdarnie wspiął się do kabiny, jakby nie miał w tym wprawy. Podciągając się, poślizgnął się i upadł na kolano. Z wnętrza maszyny wysunęły się czyjeś ręce, podtrzymując go za ramię. Przez chwilę był cały widoczny, bezkształtny w więziennym ubraniu.

Po chwili znalazł się w środku. Razem z nim na pokład wszedł także jeden ze strażników, a potem drzwi się zatrzasnęły. Śmigło zaczęło obracać się szybciej, a drugi członek eskorty wycofał się w stronę furgonetki, przytrzymując sobie czapkę na głowie, kiedy podmuch śmigła marszczył trawę. Maszyna uniosła się w powietrze, przechylając nieco podczas skrętu, a następnie łukiem odleciała z torfowiska, malejąc w oddali i wreszcie zmieniając się w czarną kropkę na tle szarego nieba.

Kiedy ucichł dźwięk śmigła, Terry odłożył lornetkę.

- I co o tym myślisz?

Wzruszyłem ramionami, ręce miałem wciśnięte głęboko w kieszenie płaszcza. Mój oddech parował w delikatnej mżawce.

- Nieźle, poza tym że się poślizgnął. Skąd go wzięłeś?

- Sobowtóra? To jakiś łysol z komendy głównej. Niepodobny do Monka, jeśli mu się bliżej przyjrzeć, ale to najlepsze, co mogliśmy załatwić. - Terry przygryzł wargę. - Co sądzisz o broni? To był mój pomysł,

- Bardzo dramatyczne.

Spojrzał na mnie.

- To znaczy?

- Zdaje się, że z tym wszystkim było mnóstwo kłopotu.

- Taka jest cena wolności prasy. Dzięki temu oni mieli co sfotografować, a my możemy sobie pracować bez tych sukinsynów wchodzących nam w drogę

Nie mogłem mieć do niego pretensji, że jest taki rozzłoszczony. Choć udział Monka w śledztwie pewnie stanowił tajemnicę, wiadomość wyciekła. Nie dało się trzymać dziennikarzy z dala od torfowiska, więc podstęp miał odciągnąć ich uwagę w trakcie prowadzenia prawdziwych czynności dochodzeniowych. Szukanie grobu stanowiło wystarczająco trudne zadanie nawet bez dziennikarzy zdeptujących torfowisko.

- Chyba coś się dzieje - oznajmił Terry, patrząc przez lornetkę.

Mniej więcej dwa kilometry od nas, inną drogą, pędził sznur samochodów i furgonetek, kierując się tam, gdzie poleciał śmigłowiec. Connors mruknął z satysfakcją.

- Już po strachu. - Zerknął na zegarek. - Chodźmy. Ten prawdziwy zaraz tu będzie.

Załatwianie całej roboty papierkowej i dokonywanie ustaleń koniecznych do czasowego zwolnienia Monka z więzienia zajęło dwa dni. Większość tego czasu spędziłem w kostnicy. Po oczyszczeniu zwłok z grubej warstwy torfu obrażenia młodej kobiety okazały się wręcz szokujące. Wydawało się, że trudno znaleźć jakiś nieuszkodzony fragment szkieletu. Czasem kości trzymały w jednym kawałku tylko rozkładające się ścięgna i tkanka miękka. Takich uszkodzeń można było się spodziewać u ofiary wypadku samochodowego, a nie pobicia.

- Podczas sekcji nie zdołano ustalić ostatecznej przyczyny śmierci - oznajmił Pirie, najwyraźniej w ogóle nieporuszony. - Mamy tutaj wiele obrażeń, z których każde mogło okazać się przyczyną zgonu. Organy wewnętrzne i tkanka miękka są porozrywane, kość gnykowa została złamana, a także kilka kręgów szyjnych, co prawie na pewno okazało się śmiertelne. Podobnie jak uraz klatki piersiowej, gdzie złamane żebra wbiły się w serce i płuca. Szczerze mówiąc, obrażenia, jakie odniosła ta młoda dama, są tak ciężkie, że mógł ją zabić nawet sam szok.

„Młoda dama” zabrzmiało dziwacznie staroświecko. Prawie afektowanie. Poczulem do dziwnego patologa jakoś tak więcej sympatii.

- Ale...? - dopytywałem się.

Odpowiedział mi ze słabym uśmiechem.

- Doktorze Hunter, jak mówiłem wczoraj, obrażenia kośćca to bardziej pańska działka. Nie mogę wykluczyć uduszenia, jednak ciosy zadane w głowę były tak mocne, że kręgi oraz kość gnykowa i tak by się złamały. Atak musiał być bardzo brutalny.

- Jak wypadają te obrażenia w porównaniu z obrażeniami Angeli Carson?

Kopię raportu z poprzedniej sekcji dostałem dopiero dzisiaj rano i jeszcze nie miałem okazji go przeczytać. Monk w dalszym ciągu nic nie mówił o swojej ostatniej ofierze, ale podobieństwo jej urazów do obrażeń tej młodej kobiety było niezaprzeczalne.

- Niestety, tkanka miękka uległa zbyt daleko posuniętemu rozkładowi, aby udało się rozpoznać jakiegokolwiek oznaki napaści na tle seksualnym. Miałem nadzieję, że torf mógł ją odpowiednio zakonserwować, jednak urazy fizyczne i płytkość grobu działały przeciwko nam. Szkoda - westchnął z żalem.

- Carson również doznała głównie urazów twarzy i czaszki, chociaż nie tak poważnych, jak tutaj. Jednak, jak podejrzewam, wtedy Monkowi przeszkodziła policja, co może tłumaczyć, dlaczego obrażenia tutaj są znacznie bardziej... wyraźne.

Niewątpliwie, wyraźne. Na matowym srebrnym stole laboratoryjnego twarz nieznaney dziewczyny ledwie wyglądała na ludzką. Przód czaszki był zmiażdżony jak stłuczone jajko, a resztki skóry oraz tkanki miękkiej twarzy wgniecione w popękane kości policzków i jamy

nosowej.

- Jak sądzę, zdaniem psychologów takie zniekształcenia twarzy stanowiłyby sposób wyrażenia przez zabójcę poczucia winy. To wymazanie oskarżycielskiego wzroku ofiary. Czyż właśnie takiego wyjaśnienia się nie przyjmuje?

- Coś w tym stylu - zgodziłem się. - Ale Jerome Monk jakoś mi się nie widzi jako osoba nękana wyrzutami sumienia.

- Owszem. A w takim razie albo ma zaiste przerażające usposobienie, albo oszpeca ofiary dla przyjemności. - Spojrzał na mnie sponad okularów połówek. - Szczerze mówiąc, nie wiem, co jest bardziej niepokojące.

Ja również. Już za ledwie ułamek wykorzystanej tutaj siły wystarczyłoby, żeby zabić. Kimkolwiek była ofiara, nie została po prostu pobita na śmierć, tylko rozbita na miazgę. Totalna masakra, dosłownie.

Spodziewałem się, że patolog zostawi mnie w kostnicy z asystentem, jednak pomógł przy makabrycznym zajęciu, jakim jest preparowanie szczątków. Najpierw odciąłem tkankę miękką, co pomogło mi oczyścić szkielet na tyle, abym mógł go zanurzyć w detergencie. Stanowiło to konieczny element moich badań, jednak nie ten, który lubiłem. Zwłaszcza kiedy ofiara dopiero co przestała być dziewczynką, a sam miałem córkę.

Pirie nie miał takich skrupułów.

- Zawsze chętnie uczę się nowych rzeczy - oznajmił, delikatnie odcinając ścięgno od kości. - Chociaż akceptuję fakt, że w tych czasach jestem w mniejszości, jak przypuszczam.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że żartuje.

Potwierdzenie, że ciało należy do Tiny Williams, okazało się stosunkowo łatwe. Ubranie i biżuteria, w których ją pochowano, zgadzały się z opisem tych, jakie ta atrakcyjna dziesiętnastolatka miała na sobie, gdy zniknęła z Okehampton - miasteczka na północy Dartmoor. Ostatecznie tożsamość potwierdziły dane stomatologiczne. Szczeka i zuchwa zostały strzaskane, a przednie zęby wybite, to jednak pozostało ich wystarczająco dużo, żeby dokonać identyfikacji. Obrażenia były rozległe, jednak nie zadawano ich metodycznie. Albo Monk nie uświadamiał sobie, że ofiara może zostać zidentyfikowana dzięki rejestrom dentystycznym, albo o to nie dbał.

Pewnie w ogóle się nie spodziewał, że ktoś znajdzie ciało.

Niewiele mogłem dodać do tego, o czym i tak już wiedzieliśmy. Tinie Williams zadano straszliwe rany tłuczone. Na większości żeber i obojczykach znajdowały się proste złamania spowodowane siłą działającą z impetem w dół, podobnie na kościach śródreżca oraz palców obu dłoni. Na twarzy były złamania typu LeForta powstające, gdy siła uderzenia rozchodzi się

po konkretnych obszarach przypór czaszki. Tył czaszki był z kolei nietknięty. To sugerowało, że kiedy zadano obrażenia, dziewczyna leżała twarzą do góry, na jakiejś miękkiej powierzchni.

Wyglądało na to, że nie próbowała się bronić. Zazwyczaj, kiedy przedramię unosi się, aby zablokować cios, większość siły uderzenia przyjmuje na siebie kość łokciowa, czego skutkiem jest złamanie w kształcie klina, nazywane „obronnym”. W tym przypadku złamanie kości łokciowej i kości promieniowej w obu przedramionach były bardziej złożone, mocniej je potrzaskano, co wskazywało na dwa scenariusze zdarzeń. Albo Tina Williams podczas ataku już nie żyła, ewentualnie była nieprzytomna, albo leżała związana i bezbronna, a Monk złamał jej większość kości.

Miałem nadzieję na to pierwsze.

Trudno było dokładnie stwierdzić, co spowodowało te obrażenia, chociaż sądziłem, że się domyślam. Monk miał wystarczająco dużo siły, aby większość ran zadać gołymi rękoma, jednak na przedniej części czaszki Tiny Williams - jej czole - widniało charakterystyczne łukowate złamanie. Zbyt duże, aby zadano je młotkiem, zresztą najprawdopodobniej przebiłby się przez kość. Wyglądało mi to raczej na ślad obcasa pantofla albo ciężkiego buta.

Nadepnięto na nią.

Pracowałem przy wielu przypadkach gwałtownego zgonu, jednak obraz przywołany tą śmiercią był szczególnie niepokojący. A teraz miałem stanąć twarzą w twarz z odpowiedzialnym za to człowiekiem.

Dźwięk wirnika śmigłowca całkiem już ucichł, kiedy razem z Terrym wróciłem do miasteczka z samochodów, furgonetek i policyjnych przyczep, które nagle wyrosło nieopodal ścieżki przez wrzosowisko. Torf nasiąkł wodą jak gąbka, a bezustanny ruch zmienił okolicę w trzęsawisko. Rozłożono kratownice, aby posłużyły jako tymczasowe chodniki, jednak czarny muł przesączał się między listewkami, przez co zrobiły się zdradziecko śliskie.

Spodziewałem się, że spędzę poza domem tylko kilka dni.

Jednak niespodziewana oferta Monka, że wskaże, gdzie pochował Zoe i Lindsey Bennett wszystko zmieniła, Wainwright nadal miał odpowiadać za wszystkie prace wykopaliskowe. Connors oznajmił mi, że Simms chce, abym był pod ręką gdy - jeśli - zostaną znalezione jakieś następne ciała.

- Denerwujesz się? Chodzi mi o to spotkanie z Monkiem? - dzień wcześniej zapytała Kara.

- Oczywiście, że nie. - Musiałem przyznać, że przede wszystkim byłem go ciekawy. - Nie

co dzień spotyka się potwora.

- Pod warunkiem że nie będziesz za blisko.

- Nie sądzę, żeby było niebezpiecznie. Wszyscy mamy trzymać się na dystans. Zresztą będę się chował za policjantami.

- Mam nadzieję. - Kara się nie roześmiała. - Jak tam Terry?

- Myślę, że w porządku. Dlaczego pytasz?

- Wczoraj wieczorem dzwoniłam do Deborah. Nie rozmawiałam z nią od wieków, więc pomyślałam sobie, że sprawdzę, co u niej. Była jakaś dziwna.

- Dziwna?

- Nie wiem. Rozkojarzona. Przygnębiona. Nie chciała nic mówić. Zastanawiałam się, czy między nimi wszystko w porządku.

Terry nic by mi nie powiedział, nawet gdyby coś było nie tak. Nigdy nie łączyła nas aż tak bliska znajomość.

- Nie za bardzo mam okazję z nim porozmawiać, ale jest pod sporą presją. Może właśnie o to chodzi.

- Może - odpowiedziała Kara, Cokolwiek działo się z życiem rodzinnym Terry'ego, u niego samego dawało o sobie znać napięcie związane z całą operacją. Przepęniało go takie intensywne, nadmierne podekscytowanie człowieka śpiącego za mało i pijącego za dużo kawy. Trudno było się dziwić, bo z tego, co widziałem, Simms na barki zastępcy zrzucał wszystko oprócz konferencji prasowych, w których koniecznie musiał brać udział. Przypisał sobie całą zasługę identyfikacji Tiny Williams. Miałem wrażenie, że za każdym razem, gdy oglądałem wiadomości, widzę za mikrofonami i wśród błysków fleszy tę jego jakby odlaną z wosku twarz. Ciągłe powtarzano wypowiedź Simmsa: „Człowiek odpowiedzialny za śmierć Angeli Carson, Tiny Williams oraz Zoe i Lindsey Bennett może i już jest za kratami, jednak to śledztwo jeszcze się nie zakończyło. Nie spocznę, dopóki wszystkie ofiary Jerome'a Monka nie zostaną odnalezione, a ich ciała zwrócone rodzinom”.

Zdumiewająco przypominało to słowa, jakie pierwszego dnia Simms wypowiedział w namiocie techników kryminalistycznych. Zastanawiałem się, czy już wtedy wypróbował wpadające w ucho frazy. Zwierzchnik Terry'ego brylował przed kamerami, stając się twarzą śledztwa, on sam zaś musiał ponosić ciężar prowadzenia sprawy. Pracując w policji metropolitalnej, brał już udział w ważnych dochodzeniach, ale jeszcze nigdy w czymś takim.

Miałem nadzieję, że daje sobie radę.

Kiedy znowu dreptaliśmy po chodnikach, nerwowo zerknął na zegarek.

- Wszystko w porządku? - zapytałem.

- A dlaczego miałyby nie być? Jeden z najniebezpieczniejszych ludzi w kraju ma zostać przekazany z więzienia pod moją opiekę, a ja ciągle nie mam pojęcia, dlaczego ten sukinsyn nagle postanowił współpracować. Tak, kurwa, jest po prostu doskonale.

Spojrzałem na niego. Skrzywił się, przesuwał dłoń po twarzy.

- Przepraszam. Po prostu zajmuję się tymi przygotowaniami i staram zadbać o to, żebyśmy niczego nie przeoczyli.

- Myślisz, że nie mówił poważnie, że pokaże nam, gdzie są groby?

- Bóg jeden wie. Byłbym szczęśliwszy, gdyby... ach... chrzanić to. Zaraz się dowiemy. - Zesztywniał, spoglądając przed siebie. - O, super.

Z przyczepy służącej jako ruchomy bufet właśnie wyłoniła się Sophie Keller, niosąc parujący styropianowy kubek z kawą. Opatulona w niezgrabny kombinezon, wyglądała jak mała dziewczynka ubrana w robocze ubranie ojca. Gęste włosy zczesła do tyłu, pod prostą opaskę. Towarzyszył jej nieznan mi mężczyzna w średnim wieku, krępy i o miłej twarzy. Słuchała go, kiwając głową, jednak gdy zobaczyła Terry'ego, na jej twarzy pojawił się chłód.

Oboje niezbyt się starali, aby ukryć wzajemną niechęć. Niezależnie od tego, czy wynikała z czegoś, co wydarzyło się w trakcie poprzedniego śledztwa, czy po prostu ze złej chemii pomiędzy nimi, stanowili podręcznikowy wręcz przykład osób żyjących jak kot z psem. Gdy zbliżyliśmy się do Sophie, twarz Terry'ego stwardniała, zmieniając się w beznamiętną maskę.

Sophie nie zwróciła na niego uwagi i uśmiechnęła się do mnie ciepło, delikatnie kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Cześć. David. Poznałeś już Jima Lucasa?

- Jim jest naszym konsultantem do spraw poszukiwań - wyjaśnił Terry, patrząc na nią obojętnie. - Stara się utrzymywać jakiś porządek w tym cyrku.

Uścisk dłoni policyjnego konsultanta do spraw poszukiwań należał do tych, które zdolne są łamać kości. Gęste siwe włosy Lucasa przypominały drucianą szczotkę do garnków.

- Miło mi pana poznać, doktorze Hunter. Gotów na wielki dzień?

- Później panu powiem.

- Rozsądnie. Ale i tak niecodziennie ktoś taki jak Jerome Monk postanawia stanąć po stronie tych dobrych, prawda?

- Oczywiście, jeśli to właśnie robi - zauważyła Sophie, spoglądając na Terry'ego. - Mogłabym sobie wyrobić lepsze pojęcie, gdybym miała do niego dostęp.

I znowu chodzi o to samo, pomyślałem, widząc jak Connors zaciska szczęki.

- Już to przerabialiśmy. Towarzyszysz ekipie wyprowadzającej Monka, ale bez bezpośredniego kontaktu. Jak to ci się nie podoba, porozmawiaj z Simmsem.

- Nie odbiera moich telefonów.

- Ciekawie dlaczego.

- Przecież to śmieszne! Mogłabym ocenić stan psychiczny Monka, określić, czy ta jego zmiana jest szczerą, a zamiast tego...

- Decyzja już zapadła. Monk z nikim nie rozmawia, a priorytetem jest nakłonienie go do wskazania pozostałych mogił.

- Chyba priorytetem Simmsa!

- Mówię o priorytecie tego dochodzenia, a z tego, co ostatnio sprawdzałem, to przy nim pracujesz. Jak chcesz, żeby było inaczej, wystarczy, że mi powiesz.

Kiedy patrzyli na siebie. Terry'emu wystąpiły żyły na szyi. Lucas zdawał się równie zakłopotany jak ja. Sytuację rozładowało pojawienie się Ropera. Spojrzenie detektywa szybko przesunęło się po Terry'm i Sophie, nic mu nie umknęło. Ruszył za Terry'm jak cień, bez wątpienia licząc, że ogrzeje się w odbitym blasku chwały wschodzącej gwiazdy policji metropolitalnej. Jednak miałem nadzieję, że Connors zabezpiecza sobie tyły.

- O co chodzi? - rzucił Terry.

- Konwój już tu jedzie. Będą za dziesięć minut. Z Terry'ego spłynęła złość. Wyprostował ramiona.

- Jasne.

- Poczekaj - zaprotestowała Sophie. - A co z...

Jednak Connors już odchodził, stukając butami. Roper zwlekał na tyle długo, aby jeszcze posłać Sophie odsłaniający zęby uśmiech, przy okazji ukazując też linię bladych dziąseł nad siekaczami.

- Nie przejmuj się, złotko. On ma mnóstwo na głowie.

Kiedy ruszył w ślad za Terry'm, Sophie rzuciła mu wściekle spojrzenie. Lucas potarł bok nosa, wyglądał na zmieszanego.

- No, ja też już muszę iść. - Zawahał się, zerkając niepewnie na Sophie. - Słuchaj, to nie moja sprawa, ale ja bym tak mocno nie naciskał. Dzisiaj gra będzie szła naprawdę o wysoką stawkę.

- Kolejny dowód na to, że powinnam mieć możliwość wykonania swojej pracy.

Lucas wyglądał, jakby miał coś jeszcze powiedzieć, ale potem uznał, że to chyba nie najlepszy pomysł.

- Po prostu na siebie uważaj. Monk to niebezpieczny skurczybyk. Moim zdaniem lepiej, żebyś się trzymała z daleka.

Przez chwilę myślałem, że Sophie warknie i na niego, jednak tylko posłała Lucasowi

niechętnie spojrzenie.

- Potrafię się o siebie zatroszczyć.

Mężczyzna zachował swoje zdanie dla siebie. Ukłonił się mi.

- Do widzenia, doktorze Hunter.

Patrzyliśmy, jak odchodzi. Sophie ze złością wypuściła powietrze.

- Boże, jak ja czasem nienawidzę swojej pracy.

Nie kryła niezadowolenia z faktu, że wyłączono ją z procesu decyzyjnego. A to wcale nie ułatwiało kontaktów z Terryem. Nawet jeśli oboje mieli jakieś wątpliwości co do motywów Monka, zła chemia między nimi zmieniała każde pole, na którym się spotykali, w pole minowe.

- Wcale tak nie myślisz - zauważyłem.

- Nie bądź taki pewien. Po prostu nie rozumiem, dlaczego Monk tak nagle zechciał nam pomóc! I proszę, nie mów, że przez wyrzuty sumienia!

- Może chce złożyć apelację i sądzi, że mu to ułatwi złagodzenie wyroku.

- I tak by miał jeszcze co najmniej trzydzieści pięć lat do odsiadki, więc jakoś go nie widzę snującego aż tak dalekosiężne plany.

- Twoim zdaniem liczy na to, że ucieknie? - zapytałem.

Nie odważyłbym się wspomnieć o czymś takim Terry'emu, pamiętając o presji, pod jaką się właśnie znajdował, starając się zapobiec akurat czemuś takiemu. Tranzyt zawsze stanowił najniebezpieczniejszą część przenosin więźnia, wszyscy jednak doskonale wiedzieli, do czego zdolny jest Jerome Monk. Z drugiej strony, trudno sobie wyobrazić, aby liczył, że zdoła stąd uciec otoczony strażnikami, gdy ledwie kilka chwil drogi stąd stoi przygotowany śmigłowiec. Nawet gdyby spróbował użyć siły.

Sophie wsunęła ręce do kieszeni, krzywiąc się ze złością.

- Nie wiem, jakby mógł uciec, ale byłabym szczęśliwsza, gdyby, do cholery, najpierw podał nam jakąś wskazówkę, gdzie są te groby. Ale nie! On nalega, że wyjdzie i sam nam pokaże! A Simms mu na to pozwala! Tak się zafiksował na odnalezieniu bliźniaczek Bennett, na tym, żeby móc ogłosić, że znalazł wszystkie ofiary, że teraz pozwala Monkowi dyktować warunki. To kompletna głupota! Ale mnie nikt nie posłucha.

Nie dlatego, że nie próbujesz, pomyślałem, jednak uznałem, że lepiej zachować to dla siebie.

- Nawet jeśli pozostałe groby są w okolicy, bez Monka trudno nam będzie je odnaleźć. Wcale mi się nie podoba, że mówię tak, jakbym zgadzał się z Simmsem, ale jaki mamy wybór?

Sophie, rozdrażniona, uniosła brwi.

- Mógłby zrobić to, co proponowałam przez ostatnie dwa dni! Określiłam już kilka najbardziej prawdopodobnych miejsc ukrycia zwłok, ale nie mając niczego więcej, pracuję na ślepo. Gdyby Monk dał nam chociaż jakąś wskazówkę, gdzie są pochowane bliźniaczki Bennett, chociażby jakiś punkt orientacyjny, sama zdołałabym je odnaleźć!

Spojrzałem na otaczające nas wysmagane wiatrem pustkowia, pokryte skałami, wrzosem i zwiędłymi paprociami. Ciągnęły się kilometrami. Nie odezwałem się ani słowem, jednak musiałem sprawić wrażenie sceptyka. Na policzkach Sophie pojawiły się dwie czerwone plamy.

- Ty też nie uważasz, że potrafiłabym to zrobić. O cholera.

- Nie, ja tylko... Wiesz, to jest duża przestrzeń.

- Słyszałeś kiedyś o winthroppingu? - Nie słyszałem, jednak nie dała mi odpowiedzi. - To technika opracowana w latach siedemdziesiątych przez wojsko, służąca do odnajdywania ukrytych składów broni. Każdy, kto szuka miejsca, żeby coś schować albo zakopać ciało, odruchowo kieruje się ukształtowaniem terenu lub korzysta z punktów odniesienia, takich jak drzewo czy charakterystyczny kamień, żeby potem jakoś ustalić położenie kryjówki. Winthropping to sposób czytania krajobrazu służący do określenia najprawdopodobniejszego miejsca ukrycia czegoś.

- I to działa? - spytałem bez zastanowienia.

- O dziwo, całkiem nieźle - oparła szorstko. - Nie jest niezawodne, ale przydaje się w takich sytuacjach jak ta. Nie obchodzi mnie to, że podobno Monk dobrze zna te torfowiska. Minał już rok, od kiedy zabił siostry Bennett. Ich groby już zarosły, a przypuszczalnie kopał nocą. Nawet jeśli chce, to jakoś sobie nie wyobrażam, żeby zdołał sobie przypomnieć, gdzie są. Nie bez czyjejś pomocy. W antropologii podobało mi się, że jest taka jednoznaczna, nie graniczy z wpatrywaniem się w szklaną kulę. Jednak Sophie przedstawiła całkiem przekonujące argumenty, Ale teraz dyskusja i tak byłaby czysto akademicka. Oboje umilkliśmy, widząc na drodze konwój zmierzający w naszą stronę.

Rozdział 5

Po dramatycznym wejściu sobowtóra zjawienie się prawdziwego Monka prawie

rozczarowywało. Nie było migoczących świateł ani motocykli, nie czekał żaden śmigłowiec. Przyjechała tylko nieoznakowana furgonetka eskortowana przez dwa radiowozy. Gdy zbliżali się do miejsca, gdzie Terry czekał z Roperem i grupą umundurowanych funkcjonariuszy, wszystko wokół jakby zamarło. Obok stał treser psa, na krótkiej smyczy trzymając skupionego wilczura. Furgonetka i radiowozy zatrzymały się w sporej odległości od pozostałych pojazdów. W ciszy, która zapadła po zgaszeniu silników, w wilgotnym powietrzu poniósł się brzęk otwieranych drzwi. W przeciwieństwie do policjantów towarzyszących dublerowi Monka teraz żaden z funkcjonariuszy nie miał broni. Musiałaby istnieć jakaś realna możliwość ucieczki, aby ją zabrali. Wszyscy jednak byli wysokimi, zwalistymi mężczyznami, których dłonie natychmiast powędrowały ku przyczepionym do pasów pałkom, kiedy stanęli w półkolu wokół tylnych drzwi furgonetki.

- Bardzo melodramatyczne - skomentowała Sophie.

Nie odpowiedziałem. Z tyłu furgonetki coś się poruszyło. Okrągłego i bladego. Wyłaniając się na światło dzienne, przybrało kształt łysej głowy. Tyłne wyjście z pojazdu wypełniła przykucnięta postać, która, nie zwracając uwagi na schodki, zeskoczyła na ziemię, a potem się rozprostowała. Po raz pierwszy na własne oczy zobaczyłem Jerome'a Monka.

Nawet z miejsca, gdzie staliśmy - dwadzieścia metrów dzieliło nas od jego potężnej sylwetki - nie dałoby się go pomylić z nikim innym. Niezgrabnie trzymał przed sobą skrupowane ręce i, zaszokowany, dostrzegłem, że ma także kajdany na nogach. Wydawało mu się to jednak zbyt nie przeszkadzać, a przygarbione ramiona wyglądały na wystarczająco silne, by bez wysiłku rozerwać kajdanki. Miał olbrzymi tułów, lecz ogolona głowa i tak była jak gdyby za duża.

- Paskudne bydlę, prawda?

Byłem tak skupiony, że nie zauważyłem, że dołączył do nas Wainwright. Archeolog sądowy ubrał się w podniszczony, ale drogi strój turystyczny, na szyi zaś ekstrawagancko zawiązał chustkę. Nie starał się ściszyć głosu i jego słowa poniosły się w spokojnym powietrzu.

Tego tylko brakowało, pomyślałem, gdy wielka jak księżyc głowa Monka odwróciła się w naszą stronę.

Fotografie, na których go wcześniej widziałem, nie oddawały wiernie jego wyglądu. Wglębienie na czole okazało się jeszcze gorsze, tak jakby uderzono go młotkiem i jakoś to przeżył. Poniżej twarz zorana była bliznami, zaś pokryte strupem żółtawe otarcie na policzku wskazywało, że przynajmniej niektóre z tych szram powstały niedawno. Usta wykrzywiały się w półśmiechu, który, zdawało się, nigdy z nich nie znikał. Monk jakby wiedział o

odrazie, jaką wzbudzał, i kpił sobie z tego.

Jednak najbardziej niepokojące były oczy. Małe, bystre, bez wyrazu, niczym czarne szkło. W ogóle ich nie mrużył.

Przeszedł mnie dreszcz, kiedy popatrzyły w moją stronę, jednak wzbudziłem tylko przelotne zainteresowanie. Spojrzenie martwych oczu powędrowało ku Sophie, spoczęło na niej przez chwilę, a potem przeniosło się na Wainwrighta.

- Na co się, kurwa, gapisz?

Monk mówił z tutejszym akcentem, jednak głos zaskakiwał: szorstki i niepokojąco łagodny. Wainwright powinien zignorować tę odzywkę. Archeolog jednak nie przywykł, aby tak się do niego zwracano, zwłaszcza publicznie. Parsknął z pogardą.

- Mój Boże, to coś umie mówić!

Łańcuchy na nogach Monka napięły się, gdy zrobił krok w stronę profesora, zaszurał stopami niezgrabnie po mokrej trawie. Dalej nie dotarł, bo dwaj strażnicy więzienni chwycili go za ramiona. Obaj byli wielkimi mężczyznami, jednak przy Monku się skurczyli. Widziałem, jak się wyteżają, aby go przytrzymać.

- No, Jerome, zachowuj się! - powiedział jeden ze strażników, starszy mężczyzna o siwych włosach i pomarszczonej twarzy. Morderca w dalszym ciągu wpatrywał się w Wainwrighta, luźno trzymał przed sobą skrupowane kajdankami ręce. Ramiona i barki miał ogromne, jakby ktoś upakował mu pod kurtkę kule do kregli. Utkwił wzrok w archeologu.

- Masz jakieś nazwisko?

Terry, zaszokowany, do tej pory tylko przyglądał się tej nagłej konfrontacji. Teraz jednak się wmieszał.

- Jego nazwisko to nie twoja sprawa.

- Wszystko w porządku. Jeśli chce wiedzieć, z kim ma do czynienia, to powiem mu z wielką przyjemnością. - Wainwright zebrał się w sobie i wyprostował, aby spojrzeć na skazańca jak najbardziej z góry. Przypominał podstarzałego doga, stawiającego czoła rottweilerowi. - Jestem profesor Leonard Wainwright. Mam się zająć wydobyciem ciał tych młodych kobiet, które zamordowałeś. A jeśli zachowałeś odrobinę rozsądku, to radzę ci, abyś współpracował.

- Jezu! - Obok mnie westchnęła Sophie.

Monk się skrzywił.

- Profesor - uśmiechnął się szyderczo, jakby wypróbowując słowo. Bez ostrzeżenia łypnął na mnie - A ten to kto?

Terry wyglądał, jakby nie wiedział, co ma robić, więc odpowiedziałem:

- David Hunter.
- Hunter - powtórzył Monk. - Odpowiednie nazwisko.
- Tak jak Monk* - stwierdziłem odruchowo.

Czarne oczy mnie prześwidrowały. Potem rozległo się rżenie i uświadomiłem sobie, że Monk się śmieje.

- Cwaniak z ciebie, co?

Dopiero wtedy odważyłem się odwrócić i spojrzeć na Sophie. Miałem wrażenie, że Monk cały czas był świadomy jej obecności, tylko Terry nie dał mu szansy spytać, kim ona jest.

- Dobra, zostałeś już przedstawiony. - Connors gestem polecił strażnikom, aby odprowadzili więźnia. - Chodźmy, nie traćmy czasu.

- Słyszałeś, Wesołku? - drugi strażnik, krępy, brodaty mężczyzna próbował odciągnąć Monka. Równie dobrze mógłby odciągnąć pomnik. Skazaniec przekreślił głowę, zwracając ku niemu wzrok bazyliżka.

- Nie szarp mnie, kurwa.

Do tej pory atmosfera zrobiła się już napięta, a teraz nagle nastrój znalazł się na skraju eksplozji. Dostrzegłem, że klatka piersiowa więźnia unosi się i opada, a oddech staje się coraz szybszy. W kąciку ust pojawiła się bańka śliny. Policyjny pies wpatrywał się w Monka wyczekująco. Potem przez krąg policjantów przepchnął się jakiś wysoki, szczupły mężczyzna w brązowym płaszczu.

- Komisarzu, jestem Clyde Dobbs, adwokat pana Monka. Mój klient dobrowolnie zgodził się na współpracę przy poszukiwaniach. Raczej nie sadzę, żeby go tu wezwano, aby napastować.

Miał wysoki nosowy głos, o tonie jednocześnie znudzonym i rozkazującym. Wcześniej go nie zauważyłem. Był po pięćdziesiątce, w poprzek różowej łysiny zaczesał rzednące siwe włosy. Trzymał teczkę, która w tym otoczeniu wyglądała dosyć zabawnie.

- Nikt tu nikogo nie napastuje - rzucił Terry. Spojrzał na brodatego strażnika. Mężczyzna niechętnie puścił ramię Monka.

- Dziękuję - powiedział adwokat. - Proszę kontynuować.

Terry zacisnął zęby. Szarpnięciem głowy dał znak strażnikom.

- Przeprowadzić go.

- Wypierdalać! - wrzasnął Monk, gwałtownie odwracając głowę. Strażnicy wyteżyli się, aby go odciągnąć. Oczy miał szalone. Przyglądałem się temu oszołomiony, nie mogąc

* Gra słów. W języku angielskim, „hunter” to myśliwy, a „monk” - mnich (przyp, tłum.).

uwierzyć, że tak szybko coś poszło nie tak. Czekałem, aż Terry zareaguje, obejmie dowodzenie, ale wydawał się sparaliżowany. Chwila napięcia przedłużała się, gotowa zaraz eksplodować przemocą.

A potem Sophie zrobiła krok do przodu.

- Cześć, jestem Sophie Keller - powiedziała spokojnie. - Chcę ci pomóc w znalezieniu tych grobów.

Przez chwilę nie było żadnej odpowiedzi. Potem czarne oczka oderwały się od Terry'ego i łypnęły ku niej. Monk zamrugał, poruszając ustami, jakby przypomniawszy sobie, jak się formuje słowa.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy.

- Świetnie, w takim razie nam wszystkim będzie łatwiej. Jednak zostanę tutaj, tak na wszelki wypadek, dobrze? - Uśmiechnęła się do niego ani zalotnie, ani nerwowo. Po prostu takim normalnym, codziennym uśmiechem. - Och, pewnie też chcesz, żeby ci zdjęto kajdany z nóg. Nie dojdiesz w nich zbyt daleko.

Odwróciła się, ciągle się uśmiechając, a swój ostatni komentarz skierowała również do Terry'ego. Widziałem, jak inni policjanci spoglądają po sobie. Twarz Connorsa poczerwieniała. Skinął głową ku strażnikom.

- Tylko nogi. Zostawcie kajdanki.

Mówił szorstkim tonem, ale chyba wszyscy zauważyli, że bliski był utraty panowania nad sobą. Spostrzegłem, że Roper nerwowo się przygląda, jak Terry stara się odzyskać chociaż pozory autorytetu. Pozostali policjanci rzucali znaczące spojrzenia. Przecież gdyby nie Sophie, nie wiadomo, do czego by zaraz doszło. Nie tylko rozładowała sytuację, ale także udało jej się nawiązać jakąś wątłą nić porozumienia z Monkiem.

Po wybuchu sprzed kilku chwil skazaniec wydawał się teraz ponury i przygaszony. Kiedy sprowadzono go ze ścieżki, odwrócił masywną głowę w stronę Sophie.

- Wygląda na to, że panna Keller ma nowego pupilka - zauważył Wainwright, gdy szliśmy z tyłu, a nasze oddechy parowały w chłodzie poranka.

- Dobrze jej poszło.

Pomyślałem, że nie tylko Terry właśnie stracił twarz.

- Tak pan myśli? - Wainwright nieprzyjaźnie spojrzał na idących przed nim. - Miejmy nadzieję, że nie postanowi jej ugryźć.

Zdawało się, że torfowisko robi co tylko może, aby nam przeszkodzić. Temperatura się obniżyła i spadł deszcz, przyginając żółtą trawę i wrzosu. Monotonna mżawka, ziębiąca

duszę i ciało.

Jerome Monk zdawał się nie zwracać na to uwagi. Stał przy pustej mogile Tiny Williams, deszcz spływał mu po łysej czaszce i skapywał z twarzy, której rysy mogłyby ozdobić gargulca ze średniowiecznego kościoła. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle się tym nie przejmował.

O nas nie dałoby się powiedzieć tego samego.

- To beznadziejne! - rzucił Wainwright, ocierając twarz z deszczu. Archeolog włożył wytrzymały kombinezon, który sprawił, że jego potężna postać wydawała się jeszcze większa. Ciasno opinający ubranie, wysmarowany czarnym błotem, wyglądał na równie nadwerężony co nerwy profesora.

Tym razem mu współczułem. Mój kombinezon ocierał mi szyję i nadgarstki, pocilem się w nim pomimo zimna. Z czubka kaptura srebrnymi kroplami skapywała woda, a od czasu do czasu chłodny strumyczek znajdował drogę do środka. Mogilę wciąż ogradzała policyjna taśma, jednak złożono już namiot techników kryminalistycznych. Pusty grób wypełniał się błotnistą wodą. Przez te dni, kiedy mnie tutaj nie było, paskudna pogoda i ustawiczne dreptanie wielu stóp zmieniły okolicę w zdradzieckie grzęzawisko.

Policjanci klęli, kiedy tam szliśmy, a Wainwright raz nawet się poślizgnął i o mało nie upadł. Kiedy zbliżyłem się, aby go podtrzymać, archeolog rzucił szorstkie „nic mi nie jest”. Wyglądało na to, że nawet Monk idzie z trudem, a skute ręce utrudniały mu zachowanie równowagi.

Wyjąwszy adwokata Monka, to cywile - Wainwright, Sophie i ja - trzymali się nieco na uboczu, z dala od grupy otaczającej skazańca, tak jak polecała instrukcja. Towarzyszył nam pies wyszkolony do odnajdowania zwłok, razem ze swoją treserką. Springer spaniel potrafił wywąchać najdelikatniejszy ślad gazów gnilnych, jednak najpierw musieliśmy odnaleźć jakiś grób. Wyglądało na to, że Monkowi wcale się nie spieszy, aby nam pomóc.

Mając po bokach dwóch strażników, patrzył w dół, w płytki dół, gdzie leżała Tina Williams, i krzywił wargi w swoim nieodłącznym uśmiešku, jakby rozbawiony żartem zrozumiałym tylko dla niego samego. Zaczynałem już rozumieć, że to prostu jego naturalny grymas, bez związku z żadną z myśli, kryjących się za guzikowymi oczkami. Taki jak sierpowaty uśmiech rekina.

- Monk, przypomniało ci się coś? - zapytał Terry.

Nie padła żadna odpowiedź. Równie dobrze więzień mógłby być wyciosany z tego samego granitu co skały Black Tor, bo w takim samym stopniu zwracał uwagę na wszystko, co działo się wokół.

Brodaty strażnik go szturchnął

- Słyszalesz, Wesołku, co pan powiedział?

- Trzymaj przy sobie te swoje pierdolone łapy - zgrzytnął Monk, nie odwracając głowy.

Kiedy strażnik się obruszył, adwokat westchnął przesadnie głośno.

- Jestem pewien, że nie muszę nikomu przypominać, iż mój klient jest tutaj z własnej woli. Jeśli ma być teraz nękanym, to możemy wszystko odwołać.

- Nikt tu nikogo nie nęka. - Terry garbił się, jednak nie z powodu deszczu. Napięcie trzaskało wokół niego jak elektryczne wyładowania. - Pański „klient” sam chciał tutaj się zjawić. A ja mam prawo zapytać, dlaczego.

Rzadkie włosy Dobbsa powiewały na wietrze, przez co wyglądał niczym roztargniony pisklak. Z jakiegoś powodu zabrał ze sobą teczkę, która wyglądała nieco zabawnie w zestawieniu z kaloszami i kurtką przeciwdeszczową. Zastanawiałem się, czy w tej teczce jest coś ważnego, czy może po prostu nosi ją z przyzwyczajenia.

- Warunki zwolnienia mojego klienta jasno określają, że zjawił się tutaj, aby pomóc w odnalezieniu grobów Zoe i Lindsey Bennett i nic ponadto. Jeśli chce pan zapytać go o cokolwiek innego, możemy wrócić do więzienia, aby mógł pan przeprowadzić formalne przesłuchanie w odpowiednich warunkach.

- I co, mamy myśleć, że nic z nim nie można zrobić?

Adwokat zdjął zachlapane deszczem okulary, wytarł je chusteczką.

- Panie komisarzu, może pan myśleć, cokolwiek pan sobie zażyczy. Ja właśnie wyjaśniłem, że fakt, iż mój klient zgodził się na współpracę w tej akurat sprawie, w żadnym wypadku nie powinien być uznawany za sugestię jakiegokolwiek wiedzy o...

- O tak, wiem. - Terry nie starał się ukrywać obrzydzenia. - Monk, czas minął. Już się wystarczająco przyjrzałeś. Teraz nam powiesz, gdzie są pozostałe groby, albo możesz zaraz wracać do celu.

Monk podniósł oczy znad dołu, spojrzał poprzez torfowisko. Kajdany zabrzęczały, kiedy uniósł dłonie i potarł nimi głowę.

- Tędy.

Wszyscy popatrzyli we wskazanym kierunku. Idąc w tamtą stronę, jeszcze bardziej oddalono by się od drogi i ścieżki. Jeśli nie brać pod uwagę nielicznych skał czy kępek janowca, była to płaska, przestrzeń porośnięta wrzosem oraz trawą, bez żadnych punktów charakterystycznych.

- A gdzie dokładnie? - zapytał Terry.

- Już powiedziałem, tamtędy.

- Czyli że nie ma ich w pobliżu miejsca, gdzie zakopałeś Tinę Williams?
- Nigdy nie mówiłem, że są.
- To po co, do cholery, nas tutaj przyprowadziłeś?

Z wyrazu czarnych oczu Monka niczego nie dało się wyczytać.

- Chciałem zobaczyć.

Twarz Connorsa stężała. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak rozdrażnionego, jednak teraz nie mógł sobie pozwolić na stratę panowania nad sobą. Żałowałem, że nie ma z nami Lucasa. Obecność tego starszego mężczyzny działała uspokajająco, a stawało się oczywiste, że Terry traci grunt pod nogami. Jednak oficer do spraw poszukiwań składał teraz raport Simmsowi, a następnym funkcjonariuszem starszym stopniem był Roper. Chudy detektyw chyba wolał się trzymać na uboczu. Przypatrywał się wszystkiemu z zainteresowaniem, jednak nie wykazywał żadnych chęci, aby się mieszać.

- Jak daleko stąd? - zapytał Terry, z wyraźnym wysiłkiem biorąc się w garść. - Pięćdziesiąt metrów? Sto? Kilometr?

- Będę wiedział, jak tam dojdę.

- A potrafisz sobie przypomnieć, czy w pobliżu były jakieś charakterystyczne miejsca? - szybko zapytała Sophie. Przez twarz Connorsa przemknęła irytacja, ale nie przeszkodził. - Jakaś wielka skała, kępa janowca, coś w tym rodzaju?

Monk spojrzał na nią.

- Nie mogę sobie przypomnieć.

Wainwright parsknął pogardliwie.

- Jak sądzę, o takich rzeczach akurat trudno zapamiętać.

Słowa archeologa, wypowiedziane dudniącym basem, znowu wyraźnie poniosły się przez wilgotne powietrze. Monk odwrócił głowę w jego stronę.

- Jerome, a co potrafisz sobie przypomnieć? Może, jeśli się postarasz... - zaczęła Sophie, ale Terry jej przerwał.

- Dobra, załatwmy to już. Po prostu nam pokaż.

Sophie wyglądała na wściekłą, jednak gromada mundurowych otaczająca charakterystyczną sylwetkę Monka zdążyła się już przesunąć.

- To jakaś farsa - burknął Wainwright, gdy powlekliśmy się za nimi, a buty chlupotały w bagnistym torfowisku. - Nie wierzę, żeby ta kreatura zamierzała nam cokolwiek powiedzieć. On z nas drwi.

- Może coś się zmieni, jak pan przestanie go do nas zrażać - odezwała się Sophie, wciąż zła.

- Kreaturom takim jak ta nie wolno okazywać swojej słabości. Powinien wiedzieć, kto tu rządzi.

- Naprawdę? - Ton Sophie stał się niebezpiecznie słodki. - Powiem coś panu. Pan mi nie będzie mówił, jak mam wykonywać swoją pracę, a ja nie będę panu mówić, jak pan ma kopać dołki.

Archeolog rzucił jej piorunujące spojrzenie.

- Z pewnością przekażę pani opinię nadinspektorowi Simmsowi - oznajmił, a potem odszedł.

- Co za kutas. - Sophie mruknęła pod nosem, jednak nie na tyle cicho, by nie mógł tego usłyszeć. Spojrzała na mnie.

- I co?

- Nic nie mówiłem.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Nie musiałeś.

Wzruszyłem ramionami.

- Jak chcesz pokłócić się z całym zespołem, to proszę, nie będę cię powstrzymywał.

- Przepraszam, ale to jest po prostu cholernie frustrujące. Jaki jest sens, żebym tutaj była, skoro nie pozwalają mi wykonywać mojej pracy? A co do Terry'ego Connorsa... - Westchnęła i pokręciła głową. - Oni tutaj wszystko robią źle. Nie powinniśmy tak po prostu pozwolić Monkowi, żeby tak nas wodził za nos, nie przyciskając go, aby najpierw dał nam jakąś wskazówkę co do umiejscowienia grobów. Jak zamierza je odnaleźć, skoro nie pamięta punktów charakterystycznych?

- Myślisz, że kłamię?

- Trudno powiedzieć. Raz wygląda na zagubionego, a raz na pewnego siebie. Zachowuje się jak ktoś, kto wie, dokąd idzie, ale to byłaby cholernie długa droga dla kogoś, kto dźwiga ciało. - Zmarszczyła czoło, patrząc tam, gdzie błada głowa Monka wystawała ponad otaczające go ciemne mundury. - Zamierzam się przejść. Później was dogonię.

Ruszyła z powrotem w stronę ścieżki prowadzącej do Black Tor. Potrafiłem zrozumieć jej wątpliwości, ale nic nie mogłem zrobić. Im bardziej zagłębialiśmy się we wrzosowiska, tym trudniej nam się szło. Nasiąknięty wodą torf wciągał buty, a wrzos i długa bagienna trawa szarpały za nogi. Monk szedł z coraz większym trudem, zadając kłam mitowi, jak to dobrze zna okolicę. Kilka razy potknął się i zachwiał, warcząc na podtrzymujących go strażników.

Zauważyłem, że Roper został z tyłu i rozmawia przez krótkofalówkę. Ściszył głos, ale gdy się zbliżyłem, wiatr przyniósł mi urywki słów.

- ...sir, nie jest pewny siebie... tak... tak... Oczywiście, sir... będę pana informował na bieżąco.

Na mój widok zakończył połączenie. To „sir” brzmiało złowieszczo. Nie trzeba było geniusza, aby się domyślić, że Roper zdaje raport Simmsowi. Ciekawe, czy Terry o tym wiedział.

- Podoba się panu spacer, doktorze Hunter? - Detektyw uśmiechnął się, dopasowując krok do mojego tempa. Robi się z tego niezły maraton, prawda?

Ten człowiek jakoś mnie drażnił. Nie można było mieć do niego pretensji o uśmiech ze szczerzymi ząbkami, jednak ten uśmiech pojawiał się za szybko i był zbyt przymilny, abym mu ufał.

- Świeże powietrze dobrze mi robi.

Pokiwał głową, chichocząc, jakbym powiedział niezły dowcip.

- Jak na mój gust, trochę go za dużo, ale proszę bardzo. I co pan myśli o tym Monku? Niezły jest, prawda?

Cholera, twarz jak z Picassa.

Dobrze, że ciebie nikt nie namalował.

- Skąd ma te siniaki na twarzy? Bił się?

- Nie całkiem. - Roper uśmiechnął się szerzej, jednak oczy, wbite w plecy Monka, pozostały chytre. - Wczoraj w nocy rzucił się na kogoś i trzeba go było obezwładnić. O mało wszystkiego przez to nie odwołaliśmy. Napad złości w trakcie ciszy nocnej to podobno jeden z jego typowych numerów. Strażnicy nazywają go Wesołkiem. Wygląda na to, że go bardzo śmieszy to, co innych nie. Halo, co tam się dzieje?

Przed nami zaczęło się jakieś zamieszanie. Treser przytrzymał owczarka ujadającego na grupę eskortującą więźnia. Początkowo nie wiedziałem, co się dzieje, bo widok zasłaniaли mi mundurowi, ale potem dwóch odsunęło się na bok.

Monk upadł. Olbrzymi mężczyzna leżał teraz na błotnistej trawie, próbując wstać. Policjanci i strażnicy więzienni kłębili się wokół, nie wiedząc, czy mają go podciągnąć i postawić na nogi.

- ...odpierdolicie się ode mnie! - zaklął, niezgrabnie starając się podnieść w kajdankach, a jego adwokat mówił coś Terry'emu.

- ...zostanie poszkodowany, to pan poniesie całkowitą odpowiedzialność! To jest całkowicie nie do przyjęcia!

- Nic mu nie jest! - odparł Connors, ale ton głosu miał ponury, bronił się.

- Mam nadzieję, bo inaczej obciążę pana odpowiedzialnością. Nie ma żadnego powodu,

aby mój klient pozostawał w kajdankach! Nie robi nic, co sugerowałyby zamiar ucieczki, a w tym terenie chodzenie w kajdankach jest niebezpieczne!

- Nie zdejmę ich.

- W takim razie może pan nas zabierać z powrotem do furgonetki, bo tutaj już skończyliśmy!

- Och, do...

- Nie chcę, żeby mój klient ucierpiał wskutek uporczywości policji! Albo kajdanki zostaną zdjęte, albo on kończy współpracę przy poszukiwaniach!

Monk w dalszym ciągu leżał bez ruchu, jego oddech parował, kiedy gromił policjantów wzrokiem.

- Chcecie sprawdzić, jak się z tym chodzi? - dopytywał się, wyciągając przed siebie skute rękę.

Terry zrobił krok w jego stronę i przez chwilę naprawdę myślałem, że zaraz kopnie go w twarz. Potem się zatrzymał, cały spięty.

- Chce pan, żebym zadzwonił do prowadzącego dochodzenie? - zapytał Roper.

Gdybym nie podsłuchiwał, jak wcześniej donosił Simmsowi, może i bym uwierzył, że stara się pomóc. Jego sugestia nakłoniła Connorsa do podjęcia decyzji.

- Nie. - Zaciskając usta, skinął na jakiegoś policjanta.

- Zdejmij mu je.

Funkcjonariusz podszedł i rozpiął kajdanki. Wyraz twarzy Monka, gdy wstał, w przemokniętym i wysmarowanym błotem ubraniu, w ogóle się nie zmienił. Napiął nadgarstki, wielkie dłonie otworzyły się i zamknęły jak klamry.

- Teraz w porządku? - zapytał Terry Dobbsa.

Nie dając mu szansy na odpowiedź, podszedł do Monka. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, jednak więzień w jakiś sposób zdawał się dwukrotnie większy.

- Chcesz mi zrobić prawdziwą przyjemność? To tylko spróbuj coś wywinąć. Proszę.

Monk się nie odezwał. Usta wciąż krzywił się w tym złudnym półśmieszku, ale czarne oczy pozostawały martwe jak kamienie.

- Naprawdę, nie sędzę... - zaczął Dobbs.

- Zamknij się. - Terry nie odrywał oczu od Monka. - Daleko jeszcze?

Wielka głowa skazańca odwróciła się, aby spojrzeć na wrzosowisko, ale wtedy w oddali rozległ się czyjś krzyk.

- Tutaj! Chodźcie tutaj!

Wszyscy się odwrócili. W pewnej odległości od nas, na niewielkim wzniesieniu stała

Sophie, machając rękami nad głową. Mimo mżawki i mgły było wyraźnie widać, że jest podekscytowana.

Rozdział 6

Zakopane ciało zawsze pozostawia ślad. Przede wszystkim zwłoki wypierają glebę, którą je zasypano, przez co na powierzchni tworzy się wyraźne wzniesienie. Kiedy jednak zaczyna się powolny proces rozkładu, a treść ciała oraz mięśni wycieka do gleby, wzniesienie zaczyna się wyrównywać. Wreszcie, kiedy szczątki całkiem zgniją i pozostaną tylko kości, w ziemi robi się niewielkie wgłębienie, wskazując miejsce pochówku.

Przydatnych wskazówek może także dostarczyć roślinność. Krzaki i trawa poruszone kopaniem potrzebują czasu, żeby wrócić do poprzedniego stanu. Gdy mijają kolejne miesiące, a trup zaczyna się rozkładać, wydzielane przez niego substancje odżywcze karmią rośliny na mogile, powodując ich szybszy rozwój. Stają się wtedy bujniejsze niż te rosnące obok. Różnica jest subtelna, często nie można na niej polegać, jednak istnieje, jeśli tylko wie się, czego szukać, Sophie stanęła obok niskiego wzniesienia pośrodku głębokiego dołu, może z pięćdziesiąt metrów od ścieżki. Porastała je bagienna trawa, splątane, szorstkie źdźbła drżały na wietrze. Ruszyłem tam z Wainwrightem i Terryem, zostawiając Ropera z Monkiem i policjantami. Nasza trójka, aby dotrzeć do Sophie, musiała obejść gąszcz janowca, a także kawałek grzędawiska. Psycholog nie próbowała do nas podejść, tylko stała zniecierpliwiona obok wzniesienia, jakby bała się, że ono zniknie, gdy tylko odwróci się plecami.

- Myślę, że to może być grób - oznajmiła zdyszana, kiedy schodziliśmy, ślizgając się.

Miała rację, to rzeczywiście mógł być grób. Ale też coś zupełnie innego. Wzniesienie miało około półtora metra długości, w najwyższym miejscu tak z pół metra. Gdyby znajdowało się na płaskim polu albo na łące, wtedy łatwiej dałoby się je zauważyć. Jednak wokół rozciągały się torfowiska, surowy krajobraz pełen rozsianych zagłębień i niskich pagórków. Trawa porastająca wzniesienie zbytnio się nie wyróżniała.

- Niezbyt mi to wygląda na mogiłę. - Terry z powątpiewaniem spojrział na Wainwrighta. - A co pan o tym sądzi?

Archeolog przyglądał się wzniesieniu, wydymając wargi. Takie sprawy stanowiły raczej jego działkę, a nie moją - i nie Sophie, jeśli już o tym mowa.

- Myślę, że jak będziemy się nadmiernie ekscytować każdą górką, to to będą bardzo długie poszukiwania.

Na policzkach Sophie pojawiły się rumieńce.

- Wcale nie jestem nadmiernie podekscytowana. I nie jestem idiotką. Wiem, czego szukać.

- Zaiste. - Wainwright wypowiedział to słowo z dużym przekąsem. Nie przebaczył jej wcześniejszego afrontu. - Pozwoli pani, że się nie zgodzę. Ale ja przecież mam tylko trzydzieści lat archeologicznego doświadczenia.

Terry odwrócił się, chcąc już wracać.

- Nie mamy tyle czasu, żeby go tracić na coś takiego.

- Nie, poczekaj - powiedziała Sophie. - Może i nie jestem archeologiem...

- Co do tego możemy się zgodzić - wtrącił się Wainwright.

- ...ale chociaż mnie wysłuchaj. Dwie minuty, tylko tyle, dobrze?

- Dwie minuty.

Sophie odetchnęła głęboko, a potem zaczęła szybko mówić:

- To miejsce, gdzie nas prowadzi Monk, ono zupełnie nie ma sensu. Grób Tiny Williams był dokładnie tam, gdzie się go spodziewałam...

- Łatwo tak mówić, jak już wiemy, gdzie jest - parsknął Wainwright.

Zignorowała go, skupiła się na Terry.

- Był niedaleko ścieżki, co znaczy, że można było się tam stosunkowo łatwo dostać. I pasuje do otoczenia: każdy, kto mniej więcej tam zszedłby ze ścieżki, w naturalny sposób znalazłby się w owym miejscu. Dotarcie tam jest sensowne.

- I co?

- Monk wcale nie wskaże grobów. On nas po prostu prowadzi coraz głębiej we wrzosowiska. Przecież musiałby nieść ciała taki kawał, na dodatek po ciemku. Nieważne jak bardzo jest silny, to jak w ogóle dałby radę coś takiego zrobić? I jeszcze teraz mówi, że nie potrafi sobie przypomnieć żadnych punktów orientacyjnych naprowadzających na miejsce, gdzie pochował ofiary.

Terry zmarszczył brwi.

- I co myślisz?

- Spodziewałabym się raczej, że coś sobie przypomni. Gdy się coś chowa, to używa się punktów orientacyjnych, żeby samemu wiedzieć, gdzie to jest, nieważne czy świadomie, czy nie. Ale kierunek, w którym nas prowadzi Monk, zwyczajnie wygląda na przypadkowy. Albo wszystko zapomniał, albo celowo prowadzi nas w złą stronę.

- Albo po prostu może się pani mylić - dodał Wainwright. Odwrócił się do Connorsa, uśmiechając wyniośle. - Znam technikę winthtroppingu, tę, do której odnosi się panna Keller. Sam czasem jej używałem, ale chodzi w niej głównie o zdrowy rozsądek. Uważam, że się ją przecenia.

- To w takim razie nie używał pan jej prawidłowo - odparowała Sophie. - Zawróciłam do ścieżki, żeby znaleźć najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym ktoś niosący ciało mógłby je pozostawić w sytuacji, kiedy idzie się łatwo i przyjemnie, nie jest zbyt stromo ani za bagnaście. W ciągu ostatnich kilku dni znalazłam kilka takich miejsc, ale tym razem spróbowałam pójść nieco dalej.

Wskazała na ścieżkę, na jej odcinek o kilkaset metrów dalszy niż miejsce, w którym zeszliśmy z niej, idąc do grobu Tiny Williams.

- Jest tam taki punkt, gdzie torfowisko delikatnie opada, począwszy od ścieżki. To naturalne miejsce, w którym ktoś dźwigający ciężkie ciała zszedłby na wrzosowisko. Ukształtowanie terenu tworzy szlak wiodący do tej dużej połaci kolcolistu. Łatwiej jest iść po dolnej krawędzi niż u góry, a potem trafia się do wąwozu prowadzącego dokładnie tutaj. Do ukrytego zagłębienia, gdzie akurat mamy ziemne wzniesienie w kształcie mogiły.

Skrzyżowała ramiona, rzucając wyzwanie Terry'emu, by znalazł lukę w jej rozumowaniu. Zaciskał usta, gdy odwracał się ku wzniesieniu.

- To jakaś bzdura - zagrzmiał Wainwright, już nie kryjąc niechęci. - To myślenie życzeniowe, a nie nauka!

- Nie, to tylko zdrowy rozsądek, tak jak pan sam mówił - odcięła się Sophie.

- Wolę to od oślego uporu.

Archeolog zebrał się w sobie, aby coś odpowiedzieć, jednak zrezygnował.

- Nie ma sensu stać wokół tego wzniesienia i się kłócić. Niech sprawdzi je pies do wykrywania zwłok, jak coś znajdzie, będziemy to musieli rozkopać. Jeśli nie, stracimy tylko kilka chwil.

Sophie błysnęła do mnie uśmiechem, a Wainwright zdał się jeszcze bardziej naburmuszony. Nie mogłem się powstrzymać, aby też mu trochę nie dopiec.

- Chyba że jest pan całkowicie pewien, że niczego tutaj nie ma? - zapytałem, starając się zbytnio nie cieszyć jego zakłopotaniem. - Przecież jest pan ekspertem.

- Zakładam, że nie zaszkoziłoby się upewnić... - przyznał, jakby to sam wpadł na taki pomysł.

Terry spojrzał na wzniesienie, potem westchnął i ruszył na górę, wychodząc z dołu.

- Hej, tam! - zawołał do Ropera i pozostałych, a potem odwrócił się ku Sophie. - Proszę

na słówko.

Oboje wyszli poza zasięg głosu. Nie słyszałem, o czym rozmawiali, jednak dyskusja wydawała się gorąca. Tymczasem Wainwright kręcił się wokół wzniesienia, badając je stopami.

- Zdecydowanie bardziej miękko - wymamrotał.

Założył gruby, skórzany pas przybornikowy, taki, na którym budowlańcy noszą narzędzia. Wyciągnął z niego jakąś metalową pałeczkę, zaczął ją rozkładać. Okazała się sondą - tubą metrowej długości, rozsuwaną, z ostrym końcem.

- Co pan robi? - zapytałem.

Zmarszczył czoło, w skupieniu rozkładając krótkie rączki sondy, przez co próbnik zaczął przypominać stylisko szpadla.

- Rzecz jasna, zamierzam tutaj sondować.

Poruszona ziemia jest zwykle mniej ubita od tej, która ją otacza, co stanowi kolejną wskazówkę co do umiejscowienia grobu. Ale nie o to mi chodziło.

- Jeśli tutaj coś zakopano, pan to uszkodzi.

- I tak potrzebujemy jakiegoś szybu dla psa.

Miał rację. Nawet jeśli pies potrafił wyczuć woń rozkładu przez prawie metr gleby, podobne otwory by mu pomogły. Ale istniały mniej inwazyjne metody ich wykonywania.

- Nie sądzę...

- Dziękuję, doktorze Hunter, ale jeśli zechcę rady, to sam o nią poproszę.

Wainwright, chwyciwszy sondę za grube rączki, z impetem wbił ją we wzniesienie. Zacisnąłem zęby, kiedy wyszarpnął próbnik. Po czym znowu wbił. Sondowanie stanowiło podstawową technikę używaną przez archeologów, ale w kryminalistyce miało swoje wady. Potrafiłbym odróżnić uszkodzenie kości, do którego doszło przed śmiercią, od spowodowanego metalowym próbnikiem, ale to byłaby niepotrzebna komplikacja. Wainwright wiedział o tym równie dobrze jak ja, Ale to stanowiło mój problem, nie jego.

Gdy dotarł do nas Roper wraz z pozostałymi, Sophie i Terry przzerwali dyskusję. Żadne nie wyglądało na zadowolone. Connors ruszył prosto do Monka oraz jego adwokata, stojących na skraju zagłębienia i patrzących na wzniesienie.

- Coś ci to przypomina?

Monk spoglądał w dół, a ręce luźno zwisały mu po bokach. Usta wciąż krzywił w szyderym uśmiechu, lecz w oczach pojawiła się ostrożność.

- Nie.

- Czyli że to nie jest jeden z tych grobów?

- Mówiłem już, że są tam.

- Nagle jakoś się zrobiłeś bardzo pewny. Jeszcze nie tak dawno temu twierdziłeś, że nie potrafisz sobie przypomnieć.

- Mówiłem, że one są tam!

Brodaty strażnik z rozmachem położył Monkowi dłoń na barku.

- Nie podnoś głosu. Wesołku, słyszymy, co mówisz.

- Odpierdol się, Monaghan!

- Chcesz z powrotem kajdanki?

Monk jakby napęczniał.

Jednak nim zdołał jeszcze cokolwiek zrobić, odezwała się Sophie.

- Jerome, można?

Uśmiechnęła się lekko, gdy wielka głowa odwróciła się w jej stronę. Tym razem Terry nie starał się wtrącić, a ja odgadłem, że wmieszanie się Sophie wynikało z ich dyskusji.

- Nikt w ciebie nie wątpi. Ale ja tylko chcę, żebyś sobie o czymś pomyślał. Musiałeś wykopać groby nocą, prawda?

To było pewne. Niewielu morderców ryzykuje grzebanie ofiar w blasku dnia. Adwokat Monka w dalszym ciągu nie dawał za wygraną.

- Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Już wyjaśniłem, że...

- Zamknij się.

Monk nawet na niego nie spojrzał. Jego oczy jak guziki, wpatrując się w Sophie, wydawały się mętne. Po kilku sekundach szarpnął głową, przytakując.

- To zawsze jest noc.

Nie do końca wiedziałem, o co mu chodzi. Sądząc po krótkiej pauzie, jaką zrobiła Sophie, ona również, jednak udała, że wszystko rozumie.

- Noc potrafi zmylić. Łatwo jest pobłądzić, zwłaszcza że później chce się coś sobie przypomnieć. Czy możliwe, że wykopałeś tutaj co najmniej jeden grób? Albo i nawet oba?

Spojrzenie Monka powędrowało od Sophie w stronę wzniesienia. Dłonią potarł łysinę.

- To może być...

Przez chwilę więzień wydawał się zmieszany. Ale potem odezwał się Terry i cokolwiek oglądałem, zniknęło.

- Nie mam czasu. Tak czy nie?

Nagle do oczu skazańca powróciły żar i szaleństwo. Kiedy Monk odwrócił się do Connorsa, krzywy uśmiech wyglądał jak grymas wariata.

- Nie.

- Jerome, poczekaj, czy... - zapytała Sophie, ale nie dano jej szansy.

- Dobra, o to chodzi. A teraz wracamy - oznajmił Terry, zbierając się do wyjścia z zagłębienia.

- Już jest ten pies do znajdowania ciał! - zaprotestowała. - Chociaż jemu daj szansę!

Connors zatrzymał się, na jego twarzy pojawiło się wahanie. Pomyślałem, że chociaż mógł ją zbyć, to już nie mógł zlekceważyć Wainwrighta. Archeolog cały czas pobierał próbki.

- Prawie gotowe - oznajmił, znowu wciskając sondę w ziemię. - Gleba wydaje się stawiać mniejszy opór, ale to jest torf, więc wątpię...

A potem rozległ się głośny trzask, gdy próbnik trafił w coś twardego. Wainwright zastygł bez ruchu. Przywołał na twarz wyraz skupienia, unikając patrzenia w moją stronę.

- No i wygląda na to, że coś tutaj jest...

Terry się pochylił.

- Kamień?

- Nie, nie, nie sądzę. - Archeolog kiwnął palcem na, treserkę psa, szybko zaznaczając, że on tu rządzi. - Zaczniście od tej dziury, którą właśnie zrobiłem.

Opiekunka spaniela, młoda policjantka o rudych włosach i bladej, zaczerwienionej od wiatru twarzy, zaprowadziła zwierzę w stronę wzniesienia.

- Nie! Jesteśmy w złym miejscu! - krzyknął Monk, zaciskając potężne pięści.

- Powiedz pan swojemu klientowi - Terry rzucił do Dobbsa - że jeśli jeszcze choć piśnie, to znowu będzie w kajdankach.

Obrońca spojrział z niechęcią, ale groźba poskutkowała. Wargi Monka zadrżały, kiedy zerknął za siebie na otwarte wrzosowisko i rozprostował dłonie.

- Bez kajdanek.

Spaniel z zapalem węszył po wzniesieniu, prawie wychodząc z siebie z podekscytowania. W kraju było tylko kilka psów przeszkolonych do odnajdowania zwłok, ale słyszałem o nich same dobre rzeczy. Jednak miałem swoje wątpliwości. Torf opóźnia rozkład, czasem praktycznie go powstrzymuje. Nieważne, jak czuły nos ma pies, przecież nie może wyczuć czegoś, czego nie ma.

Jednak spaniel niemal od razu zadarł uszy. Piszcząc z podniecenia, zaczął grzebać przy ostatnim ze zrobionych przez Wainwrighta otworów. Opiekunka szybko go odciągnęła.

- Mądry piesek! - Głaszcząc psa, spojrzała na Connorsa. - Nie ma innej możliwości. Tam coś jest.

Zgromdzonych przeszedł dreszcz wyczekiwania. Terry wyglądał na zdenerwowanego, jednak biorąc pod uwagę presję, jaką odczuwał, wcale mu się nie dziwiłem. To, co tutaj

znajdziemy, mogło odmienić jego karierę.

- Szefie, co pan zamierza zrobić? - Uśmiech zniknął z twarzy Ropera.

Connors jakby się otrząsnął, zebrał w sobie.

- Przyjrzyjmy się.

Wainwright klasnął, najwyraźniej zapomniawszy o wcześniejszym sceptycyzmie.

- Dobra, no to zobaczmy, co znaleźliśmy!

Jakiś technik kryminalistyczny przyniósł do zagłębienia torbę na narzędzia, w której były motyki, szpadle oraz narzędzia do kopania. Z brzdękiem upadła na ziemię. Wainwright rozsunął zamek błyskawiczny, wyjął łopatkę.

- Pomogę - zaproponowałem, ale to była strata czasu.

- Och, nie sądzę, żeby to było konieczne. Dam panu znać, jeśli będę potrzebował pomocy.

Słowo „pomoc” wypowiedział z lekceważeniem. Teraz, kiedy zdawało się, że coś znaleźliśmy, archeolog nagle zrobił się zaborczy. Jeśli to rzeczywiście był grób, mogłem się domyślić, komu zostanie przypisany sukces. Powtarzałem sobie, że tak naprawdę to bez znaczenia, ale i tak bolało.

Pozostali mogli tylko oglądać Wainwrighta, jak we wzniesieniu wycina szpadlem kontury wąskiego prostokąta. Wykonanie wykopu badawczego było znacznie skuteczniejszym sposobem otwarcia potencjalnego grobu niż odkopywanie wszystkiego w całości. Pozwalało się rozeznąć, z czym ma się do czynienia, sprawdzić przed rozpoczęciem właściwego kopania, w którą stronę ułożone jest ciało i jak głęboko je pogrzebano.

W wykonaniu Wainwrighta wyglądało to na coś łatwego, jednak z doświadczenia wiedziałem, że wcale takie nie jest. Ostrze szpadla zagłębiało się w ziemię dynamicznie i skutecznie, wydobywając schludne bryły torfu.

- Są oznaki poruszenia torfu - mruknął. - Tu się na coś zanosi.

Zerknąłem na Monka. Oczy skazańca były puste jak oczy lalki. Słyszeliśmy tylko odgłosy kopania i cichy trzask rozrywanych korzeni, gdy archeolog dźwigał ostatni fragment ziemi. Po usunięciu okrywy trawy Wainwright zaczął pogłębiać wykop. Torf był wilgotny i włóknisty. Kiedy profesor dotarł na głębokość mniej więcej trzydziestu centymetrów, nagle przestał.

- Podajcie mi szpachelkę.

Swojego polecenia nie skierował do nikogo konkretnego, ale to ja stałem najbliżej, nie miałem więc wyboru. Podałem Wainwrightowi szpachelkę, stając po drugiej stronie wąskiego wykopu. Archeolog przykucnął, aby odrapać znalezisko z torfu.

- Co to jest? - zapytał Terry.

Profesor zmarszczył czoło, przyjrzał się temu bliżej.

- Nie jestem pewien... Myślę, że to może być...

- To jest kość - powiedziałem.

W ciemnym mule leżało coś gładkiego i bladego. Niewiele widziałem, ale wręcz zjadłem zęby na odróżnianiu gładkiej, stwardniałej powierzchni kości od kamienia albo korzenia drzewa.

- Ludzka? - zapytała Sophie.

- Nie widzę jeszcze wystarczająco dużo, żeby to określić.

- Jednak to z pewnością kość - oznajmił Wainwright, w jego głosie dało się usłyszeć niezadowolenie z mojego wtrącenia. Po całym zagłębieniu poniosło się szuranie szpachelki, gdy archeolog zaczął wybierać torf otaczający kość. Teraz na nim skupiła się cała uwaga. Terry stał z przygarbionymi ramionami, dłonie wetknął głęboko w kieszenie, tak jakby chciał się nimi przytrzymać. Zaraz za nim stał Roper, gryząc wargę. Tylko Monk zdawał się niczym nie przejmować. Zauważyłem, że w ogóle się nie przygląda. Odwrócił wielką głowę, patrząc na rozciągające się za nim torfowisko.

Potem znowu odezwał się Wainwright.

- Tutaj jest jakiś materiał. Może ubranie. Nie, chwileczkę, myślę, że to... - Nachylił się jeszcze bardziej, zasłaniając to, cokolwiek znalazł. Nagle jakby opuściło go całe napięcie. - To jest sierść.

- Sierść? - Terry podszedł szybko, żeby przyjrzeć się samemu.

Wainwright odgrzebywał torf gwałtownymi ruchami.

- Tak, to sierść. To jest jakieś cholerne zwierzę.

Kość, którą odsłonił, okazała się fragmentem połamanej miednicy, wystającym ze szczeciniastej skóry pokrytej torfem.

- Co to jest, lis?

- Borsuk. - Wainwright szarpnięciem wy dobył z mułu ubłoconą łapę, łącznie z oblepionymi ziemią zakrzywionymi pazurami służącymi zwierzęciu do rycia. Opuścił ją. - Gratulacje, panno Keller, Metodą Winthropa znalazła pani drogę do starego borsuczego leża.

Po raz pierwszy Sophie mu nie odpowiedziała. Gdy wszyscy podeszli bliżej, aby lepiej się przyjrzeć znalezisku, wyglądała, jakby sama chciała wczłochać się do dziury.

Zbliżyłem się do martwego borsuka. Był bardzo poraniony, złamane kości sterczały ze zmatowiałego futra.

- Musimy się jeszcze upewnić - powiedziałem rozzłoszczony. - Z tego, co wiemy, to jednak może być grób, Wainwright uśmiechnął się lodowato.

- Doktorze Hunter, ani pan, ani panna Keller nie jesteście archeologami sądowymi. Może w przyszłości będziecie...

Nie widziałem tego, co się potem wydarzyło, jedynie usłyszałem odgłosy nagłego poruszenia. Ktoś krzyknął za naszymi plecami, a gdy się obejrzałem, zobaczyłem, że dwaj strażnicy więzienni leżą, w tym jeden na policjancie.

Za nimi jak tłoki poruszały się grube nogi. To Monk uciekał z zagłębienia.

Czekał na chwilę, kiedy wszyscy spuszcza go z oczu. Teraz rzucił się ku niemu jakiś inny policjant, jednak więzień nawet nie zmniejszył tempa. Staranował mężczyznę, który runął w bok.

Jakby trafiony przez byka.

A wtedy przed Monkiem była już tylko otwarta przestrzeń wrzosowiska.

- Łapać go! - wrzasnął Terry, ruszając sprintem.

Brutalna siła i zaskoczenie dały Monkowi kilka metrów przewagi, ale to było za mało. W powietrzu rozbrzmiewały przekleństwa, a za uciekinierem załomotały w biegu ciężkie buty. Zbliżało się już do niego kilku funkcjonariuszy. Nawet Monk nie mógł liczyć, że się przez nich przedrze.

Wtedy gwałtownie skręcił, a policjanci, którzy już mieli go chwycić, nagle znaleźli się w chlupoczącym, trawiastym grzędawisku. Musieli raptownie się zatrzymać, rozmokłe błoto wciągnęło im stopy i je przytrzymało.

Monk prawie w ogóle nie zwolnił. Zniknęła gdzieś poprzednia niezdarność, która doprowadziła do zdjęcia kajdanek. Wydawało się, że dokładnie wie, gdzie stawiać stopy, tak aby znajdować twardy grunt, pozornie nie od odróżnienia od grzędawiska. Teraz już zrozumiałem, dlaczego przypatrywał się torfowisku, a nie Wainwrightowi.

Planował drogę ucieczki.

- Wypuścić psa! Wypuścić tego cholernego psa! - wrzeszczał Terry, starając się brnąć przez muł.

Treser nie potrzebował zachęty. Gdy tylko uwolnił wilczura, ten od razu pomknął w stronę uciekiniera. Mniejsza waga albo szczęście pomogły psu pokonać błoto i w kilka sekund pokonał dzielący ich dystans. Zobaczyłem, że Monk odwraca bladą twarz w stronę psa. Jeszcze bardziej tracąc przewagę, zwolnił, aby niezgrabnie zdjąć kurtkę. Co on, do cholery, robił?

Chwilę później zrozumiałem. Gdy wilczur go dopadł, odwrócił się, wyprostowując ramię owinięte kurtką. Kiedy zwierzę skoczyło, zacisnęło zęby na grubym wymoszczeniu, a uciekinier zrobił krok w tył pchnięty ciężarem. Potem drugą ręką złapał tył psiej szyi i

szarpnął. Powietrze rozdarł przenikliwy skowyt, który zaraz ucichł. Niemal bez zatrzymywania. Monk okręcił się i cisnął na bok zwiotczone ciało, potem pobiegł dalej.

Dźwięcząca w uszach ciszę przeciął krzyk, gdy opiekun owczarka zaczął biec w stronę nieruchomego zwierzęcia.

- Jezu Chryste! - Roper wziął głęboki oddech. Sięgnął po krótkofalówkę. - Poderwać śmigłowiec! Nie pytaj, kurwa, tylko to rób!

Monk przyspieszał, z taką łatwością sadząc susy po wyboistym torfowisku, jakby właśnie uprawiał jogging w parku. Większość policjantów wciąż brnęła przez błoto, ale Terry zdołał ominąć najgorsze grzęzawisko. Zabicie psa kosztowało Monka jego przewagę odległości. Będąc u góry, na krawędzi zagłębienia terenu, gdzie pospieszyłem, aby pomóc rannym, zobaczyłem, że Connors zaraz go dopadnie. Oddech mi przyspieszył.

Sophie zasłoniła usta dłońmi.

- O Boże, on go zabije!

Miała rację. Terry mógł sobie poradzić z większością mężczyzn, ale przecież właśnie widzieliśmy, jak Monk złamał kark policyjnemu psu.

Ale to przecież był Terry. Rzucił się ku uciekinierowi jak gracz rugby, uderzając go poniżej kolan. Monk padł jak długi, waląc o ziemię, ramiona Connorsa wciąż oplatały mu nogi. Zdawało się jednak, że nawet nie pozbawiło go to tchu. Obrócił się, zaczął grzmocić pięściami, starając się sięgnąć detektywa, który przywarł do jego nóg. Terry schował głowę między ramionami i trzymał dalej. Potem jeden z ciosów trafił, a Connors wzdrygnął się i puścił. Monk wyszarpnął się, podniósł się na kolana, ale tylko tyle zdążył zrobić, zanim jakiś obryzany błotem policjant runął na niego, odpychając od leżącego na ziemi Terry'ego. Potem skoczył na nich jeszcze jeden funkcjonariusz, a następnie na uciekinierze wręcz zakłębili się mundurowi, jak mrówki na martwej osie.

- No, dalej, sukinsyny!

Pałki wznosiły się i opadały, a Monk bił na oślep, odpierając atakujących, jednak powaliła go sama przewaga liczebna. Raz jeszcze stanął, wyłaniając się spod mundurowych, potem jakaś pałka znowu podcięła mu nogi. Upadł twarzą do ziemi, szarpał się, próbując wstać, podczas gdy już wykręcano mu ręce za plecy. Nie uwolnił się, założono mu kajdanki i tak wszystko się skończyło.

- Nie! Nie! Nie! Nie!

Wył jak ranne zwierzę, gdy przygniatający go policjanci krępowali mu również kostki stóp. Potem wstali, a Monk szarpał się na ziemi, oszalały i bezsilny. Kilku funkcjonariuszy poszło zająć się Terrym. Stał na czworakach, ciągle jeszcze oszołomiony. Gdy patrzyliśmy na

niego, lekceważącym machnięciem odprawił tych, którzy chcieli mu pomóc, i wstał sam. Staliśmy za daleko, aby słyszeć, co mówił, ale chyba żartował. Otaczający go mężczyźni wybuchnęli śmiechem, głośnym i nieco histerycznym.

Sophie ciężko się na mnie wsparła.

- O Boże.

Odruchowo ją objąłem. Obaj strażnicy więzienni i policjant, których Monk powalił w trakcie ucieczki, stali już o własnych siłach. Starszy strażnik miał twarz usmarowaną krwią ciekącą ze złamanego nosa, ale był w stanie chodzić. Błady i roztrzęsiony odchylił głowę, tamując krew otrzymanymi ode mnie chusteczkami. Z dwójki pilnujących to właśnie on traktował Monka bardziej ludzko. Nie wyszło mu to na dobre.

Adwokat wyraźnie ucichł, jednak zbliżył się tam, gdzie Terry i funkcjonariusze stali wokół jego klienta, poczuł się chyba zobligowany, aby coś powiedzieć.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że to oznacza niedopełnienie przez policję obowiązków związanych z opieką nad moim klientem - wydyszał do Ropera, starając się dotrzymywać mu kroku, teczkę trzymał pod pachą. - W żadnym wypadku nie powinno mu się pozwolić na ucieczkę. Zamierzam teraz złożyć formalne zażalenie na sposób, w jaki przeprowadzono całe to przedsięwzięcie...

- Ależ proszę bardzo - odparł Roper.

Jego obojętność ośmieliła Dobbsa.

- A co do użycia przemocy...! Sposób, w jaki go obezwładniono, był przesadny, to był podręcznikowy przykład brutalności policji!

Detektyw odwrócił się, obnażył szczurze ząbki w zwierzęcym uśmiechu.

- Jak się zaraz nie zamkniesz, to wsadzę ci tę twoją teczkę w dupę.

Wtedy adwokat zamilkł.

Wszyscy policjanci otaczający Monka byli poobijani. Wśród wysmarowanych błotem funkcjonariuszy nie było takiego, który by nie krwawił albo nie ucierpiał w inny sposób. Terry wydawał się nabuzowany całym zajściem, adrenalina przydała mu odrobinę szaleństwa. Na czole miał otarcie i guza wielkości kurzego jaja, jednak nic poważnego mu się nie stało.

- Nieźle, szefie - powiedział Roper, klepiąc go po plecach. - Jak tam głowa?

Connors ostrożnie pomacał guz.

- Nic mi nie będzie. - Uśmiechnął się do Sophie. - Chyba nie zbrzydnę od tego?

- Może być już tylko lepiej - odparła chłodno.

Wainwright podszedł tam, gdzie skrępowany Monk leżał na trawie i wrzosie. Piers skazańca unosiła się ciężko, a twarz miał śliską od krwi. Przestał wierzgać, tylko od czasu do

czasu szarpał więzami, sprawdzając ich wytrzymałość.

Kajdanki na dłoniach wykonano z hartowanej stali, zaś pasek z nylonowego włókna na stopach nie wyglądał, jakby miał zaraz pęknąć - ale i tak się cieszyłem, że to nie ja muszę zabierać go z powrotem do więzienia.

Wainwright wziął się pod boki i spojrzał na Monka z góry.

- Takie zwierzęta powinny siedzieć w klatce. Mój Boże, a pomyśleć, że społeczeństwo traci pieniądze na ich pobyt w więzieniu.

Monk się uspokoił. Miał zęby poplamione krwią. Odwrócił głowę, aby spojrzeć na archeologa. W jego oczach nie było ani złości, ani strachu, tylko chłodne oszacowywanie.

- Och, na litość boską, niech pan da mu spokój! - odezwała się Sophie. - Na nikim pan nie robi wrażenia!

- Podobnie jak pani - odparował Wainwright. - A po tym, jak się pani tutaj popisała, to będzie miała szczęście, jeśli policja jeszcze kiedykolwiek panią zatrudni!

- Już wystarczy - powiedział Terry, podchodząc. Szalencza energia, która jeszcze kilka minut temu aż w nim buzowała, teraz, gdy zatonął w paskudnej rzeczywistości, jakby zniknęła. - Tutaj już skończyliśmy. Poczekamy na helikopter, ale reszta może wracać.

- A co z grobami? - zapytała Sophie. Wyglądała na przygnębioną. Uwaga Wainwrighta musiała się okazać celna.

Terry przypatrywał się treserowi, niosącemu do nas ciało owczarka. Głowa psa dyndała, zwisając luźno.

- Co wy na to? - zapytał, odwracając się.

Razem z Sophie ruszyłem w stronę ścieżki - tamtędy łatwiej szło się do drogi, do naszych samochodów, niż brnąć przez grząskie torfowisko. Milczała, a ja się nie odzywałem, dopóki nie zauważyłem, że ze złością ociera łzy.

- Nie przejmuj się Wainwrightem. To nie była twoja wina.

- Tak, jasne.

- To mógł być grób. Musieliśmy sprawdzić. Błysnęła mi jakaś myśl, jakby na krawędzi umysłu, jednak nie potrafiłem jej sprecyzować. Nie wydawała się istotna. Dałem więc spokój, skupiając się na Sophie. Uśmiechnęła się do mnie słabo.

- Jestem pewna, że Simms jednak uzna moją winę. Boże, zrobiłam z siebie idiotkę, prawda? Proponowałam Monkowi, że pomogę mu przypomnieć sobie, byłam tak pewna siebie, jakbym doskonale wiedziała, co się dzieje. Wszystkich nas nabrał. Tylko dlatego nam powiedział, że pokaże, gdzie są groby, bo chciał mieć okazję do ucieczki.

- Nie wiedziałas o tym.

Nie słuchała.

- Ja tego zwyczajnie nie rozumiem! Co on myślał, że jak daleko zdoła uciec? Gdzie on chciał iść?

- Nie wiem. - Sam czułem się zbyt przygnębiony, aby brać się teraz do analizowania dlaczego coś poszło źle. - Chyba w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Po prostu improwizował.

- Nie wierzę. - Sophie wyglądała na zmartwioną. Odsunęła z twarzy kosmyk włosów. - Nikt niczego nie robi bez powodu.

Rozdział 7

Wiosna nadeszła i przeminęła. Lato ustąpiło miejsca jesieni, a jesień zimie. Zbliżało się Boże Narodzenie, Alice miała kolejne urodziny, zaczęła chodzić na balet i złapała ospę wietrzną. Kara dostała awans i niewielką podwyżkę. Chcąc to uczcić, kupiliśmy na kredyt nowy samochód, volvo. Coś ładnego i bezpiecznego dla Kary i Alice. Poleciałem na Bałkany, żeby pracować przy masowym grobie, dostałem grypy przez tamtejsze chłody. Życie biegło swoim rytmem.

Zakończone fiaskiem poszukiwania ofiar Jerome'a Monka należały do przeszłości.

Spodziewałem się, że po tamtej nieudanej próbie ucieczki będzie więcej krzyku i zamieszania, ale Simms jakoś zdołał ukryć tę historię przed dziennikarzami. Operację kontynuowano, ale już bez przekonania. Nadinspektor sprowadził techników ze sprzętem do badań geofizycznych. Miał nadzieję, że opór elektryczny podłoża oraz pole magnetyczne pozwolą odnaleźć zwłoki. To jednak były już desperackie kroki, bo tego typu urządzenia nie nadawały się do poszukiwań na wyboistym, torfowym wrzosowisku, o czym świetnie wiedzieliśmy. Po kilku dniach wszystko dyskretnie odwołano.

Lindsey i Zoe Bennett, gdziekolwiek je pochowano, miały już tam pozostać.

Mój udział w poszukiwaniach zakończył się jeszcze wcześniej. Wezwano mnie głównie na wypadek odnalezienia następnych ciał, co jednak wydawało się coraz mniej prawdopodobne. Spędziłem w Dartmoor jeszcze jeden dzień, razem z Piriem badając zwłoki Tiny Williams, a potem już nie było żadnego powodu, abym zostawał dłużej.

Wyjeżdżałem bez żalu. Tutejsze doświadczenie nie było miłe, tęskniłem też za rodziną.

Żałowałem tylko, że nie pożegnałem się z Sophie. Wyjechała przede mną, wciąż obwiniając się za to, co się stało. Miałem nadzieję, że jakoś sobie poradzi. Takie incydenty zwykły się ciągnąć za ludźmi, zwłaszcza jeśli prowadzący dochodzenie szukał kogoś, na kogo mógłby rzucić winę.

Jednak Simms znalazł sobie innego kozła ofiarnego.

Przed wyjazdem tylko raz rozmawiałem z Terry. Chowałem bagaże do samochodu, na parkingu obok pubu Pod Żarłokiem. Gdy zatrzasnąłem bagażnik, zatrzymało się przy mnie jaskrawożółte mitsubishi Connorsa.

- Już jedziesz? - zapytał, kiedy wysiadł.

- Przede mną długa trasa. Kiepsko wyglądasz. Wszystko w porządku?

Wyglądał, jakby nie spał. Pocierany guz na czole, którego nabił mu Monk, zaczął pokrywać się strupem, przez co zrobił się jeszcze gorszy. Terry potarł ręką i tak już zaczerwienione oczy.

- Kapitalnie.

- Jak poszło z Simmsem?

- Simmsem? - Spojrzał zaskoczony, jakby przez chwilę nie wiedział, o czym w ogóle mówię. - Nie da mi rekomendacji, tego jestem pewien.

- Obwinia cię?

- Jasne, że tak. Chyba nie myślisz, że ma coś sobie do zarzucenia?

- Ale to prowadzący dochodzenie, to on był odpowiedzialny za...

- Simms wszystko na mnie zwali, jeśli tylko będzie mógł się jakoś wybielić. A nie sądzisz, że są tutaj tacy, co chętnie by sobie popatrzyli, jak chłoptas z policji metropolitalnej dostaje prztyczka w nos?

Miał rację. Zastanawiałem się, czy powinienem wspomnieć, że podsłuchałem Ropera.

Jak składał raport Simmsowi. Ale to było tylko podejrzenie, a Terry i bez tego miał dość zmartwień.

- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Uśmiechnął się ponuro.

- Tylko jeśli umiesz cofnąć czas.

Jeszcze nigdy nie widziałem Terry'ego w takim stanie.

- Aż tak źle?

Nieprzekonująco usiłował wszystko zbagatelizować.

- Nie. Mało spałem, tylko tyle. Jest gdzieś tutaj Sophie?

- Wyjechała wczoraj wieczorem.

- Wczoraj wieczorem? To dlaczego, do cholery, nic o tym nie wiedziałem?

- Ja też nie wiedziałem, kiedy odjeżdża. Wątpię, żeby chciała się tutaj kręcić. Kiepsko się czuła po tym wszystkim, co zaszło.

- Nie tylko ona.

- To nie była jej wina. Na jej miejscu zrobiłbym pewnie to samo.

Terry popatrzył na mnie. To nie było przyjazne spojrzenie. Nagle poczułem się, jakbym prawie w ogóle go nie znał.

- Co tak nagle się za nią wstawiasz?

- Ja tylko mówię...

- Wiem, co mówisz. Cała operacja się zwała i moja głowa poleciała, ale ty się bardziej przejmujesz cholerną Sophie Keller. No ale zauważyłem, że się całkiem nieźle zaprzyjaźniliście.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli... - urwał. - Nieważne. Słuchaj, muszę jechać. Pozdrów Karę.

Wsiadł do auta, zatrzasnął drzwi i odjechał tak szybko, że aż sypnął mi żwirem pod nogi. Stałem przez chwilę, rozdarty między złością a zakłopotaniem.

Jednak nie martwiłem się długo. Terry umiał o siebie zadbać, a chociaż byłem mu wdzięczny za polecenie Simmsowi, za dobrze go znałem, by nie sądzić, że liczył, iż każdy mój sukces też i jego ukaże w dobrym świetle. Co go jednak nie upoważniało do wyładowywania na mnie złości.

Zresztą w moim życiu za dużo się działo, abym dłużej roztrząsał tamtą sprawę. Wydawało się, że Alice rośnie coraz szybciej, kiedy tylko spuszczałem z niej wzrok. Zaczęliśmy rozmawiać z Karą, czy może by tak nie postarać się o braciszka albo siostrzyczkę dla córki. Jeśli chodzi o pracę, miałem jej jeszcze więcej. Operacja w Dartmoor może i nie zakończyła się sukcesem, jednak nie zaszkodziła mi w karierze. Coraz częściej dostawałem zlecenia z policji i czasem się dziwiłem, że potrafię przewidzieć, kiedy znowu zadzwoni telefon i dowiem się o kolejnych okaleczonych albo rozkładających się zwłokach... No tak, tłumaczyłem sobie, przecież to zrozumiałe. Utrzymywałem się z tego zajęcia, musiałem zachowywać pewien dystans - ale kto by się nie cieszył, że jego kariera się rozwija?

A potem był ten masowy grób w Bośni-Hercegowinie. Pojechałem tam jako członek międzynarodowego zespołu mającego dokonać ekshumacji, a jeśli okaże się to możliwe, również identyfikacji ofiar. Trzy dni wyczerpującej miesięcznej wyprawy spędziłem w łóżku, kaszląc i gorączkując. Wróciłem do domu chudszy o jakieś trzy kilo i zawstydzony tym, do jak nieludzkich czynów jesteśmy zdolni i to na wręcz przemysłową skalę. Jeszcze nigdy tak

bardzo się nie cieszyłem z powrotu do domu i początkowo wyciszenie Kary brałem za sposób na to, abym mógł spokojnie przestawić się na inny tryb życia. Dopiero gdy pierwszego wieczoru po przyjeździe przeczytałem już Alice bajkę na dobranoc i po kolacji usiadłem z żoną przy butelce wina, uświadomiłem sobie, że chodzi o coś jeszcze.

- Dobra, teraz mi powiesz, co jest nie tak? - zapytałem.

Przez kilka chwil patrzyła gdzieś w przestrzeń. Nie pasowało do niej takie wycofanie się, zwłaszcza nie po trwającej tygodnie rozłące.

- Hm? Och, przepraszam, zamyśliłam się.

- Wiem. O co chodzi?

- O nic. Naprawdę, jestem tylko troszkę zmartwiona. - Uśmiechnęła się, próbując wszystko zbagatelizować - Chodź, pozmywamy naczynia.

- Kara...?

Wzdychając, odłożyła talerze.

- Obiecuj mi, że niczego nie zrobisz.

- Dlaczego? Co się stało?

- Kilka dni temu zajrzał tutaj Terry Connors.

Nie rozmawiałem z nim od Dartmoor.

- Terry? Po co?

- Powiedział, że akurat był w Londynie i pomyślał, że zajrzy do ciebie, ale... Miałam wrażenie, że wiedział, że ciebie nie ma.

Poczułem, jak oblewa mnie chłód.

- Mów dalej.

- Było coś nie tak. Nie potrafiłam wyczuć, czy pił, ale dlaczego najpierw nie zadzwonił, żeby się upewnić, czy jesteś? Zrobiłam mu kawę, ale zostaliśmy w kuchni. Nie chciałam siedzieć z nim w salonie. Czulałam się przy nim... nieswojo.

- Co to znaczy, że czułaś się nieswojo?

Kara się zarumieniła.

- Czy ja ci muszę dokładnie tłumaczyć?

Uświadomiłem sobie, że mocno ściskam krawędź stołu. Zmusiłem się, aby kontynuować.

- Co się stało?

- Powiedziałam mu, że już powinien iść... No i wtedy zapytał, czy na pewno tego chcę. Powiedział... powiedział, że nie wiem, co ty wyprawiasz, kiedy jesteś poza domem. Uniosła kieliszek z winem, a potem odstawiła go, nie pijąc. - Wtedy obudziła się Alice, zawołała z góry, czy to ty wróciłeś. Naprawdę wtedy mi ulżyło. Chyba to nim jakoś wstrząsnęło i

wyszedł.

Kręciło mi się w głowie, jakbym za szybko wstał, chociaż wcale się nie poruszyłem.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Stałaś po kolana w jakimś grobie w Europie. Co by to dało? Zresztą, tak naprawdę nie się nie wydarzyło.

- Jezu! On po prostu tak sobie przyszedł i... i...!

- David, uspokój się.

- Uspokój się? - Odsunąłem się na krześle, nie potrafiąc już usiedzieć spokojnie. - To, co o mnie powiedział... To nieprawda.

Kara wstała i podeszła. Dotknęła mojej twarzy.

- Wiem. Terry po prostu myśli, że wszyscy są tacy jak on.

- O co ci chodzi?

- Na pewno wiesz, jaki jest. O tych jego romansach.

- Romansach? - powtórzyłem ogłupiały.

Uśmiechnęła się do mnie żartobliwie.

- Naprawdę? Nie wiedziałaś? Nie mam pojęcia, dlaczego Deborah tak długo z nim jest. Powiedziała mi, że już lata temu straciła nadzieję, że będzie jej wierny, i teraz po prostu chce, żeby był dyskretny. Chyba się domyślam, że to właśnie dlatego Terry musiał wyjechać z Londynu. Miał romans z kimś z pracy i zrobiło się zamieszanie.

To była dla mnie nowość, jednak wyjaśniała napięcie podczas naszego ostatniego wspólnego wyjścia we czwórkę. Byłem aż tak ślepy?

- Dlaczego nic mi wcześniej nie mówiłaś? - zapytałem, obejmując Karę.

- Bo to nie była nasza sprawa, a ja nie chciałam, żeby zrobiło się jakoś niezręcznie. Nie, kiedy musiałeś z nim pracować.

- Teraz już nie muszę.

Kara odchyliła się, aby spojrzeć mi w twarz.

- Obiecuj, że nie zrobisz nic głupiego.

- Jak co, na przykład?

- Jak cokolwiek. Po prostu daj spokój. Dobrze? On nie jest tego wart, żeby tracić na niego czas. - Przesunęła dłonie w dół pleców. - I naprawdę, nie chcę spędzić reszty pierwszego wieczoru po twoim powrocie na rozmowach o Terry Connorsie.

Ani ja. Więc go tak nie spędziliśmy.

Jednak nie potrafiłem zapomnieć. Terry przyszedł do mojego domu, żeby uwięzić moją żonę, a jakby tego było mało, usiłował przekonać Karę, że ją zdradzam. Już ta sama myśl

sprawiła, że aż kręciło mi się w głowie z wściekłości. Jednak powiedziałem sobie, że przez kilka dni niczego nie będę robił, tak żeby dać sobie ochłonąć.

Wytrzymałem do następnego wieczoru.

Po powrocie z Bałkanów powoli wracałem do normalnego rytmu pracy. Tamtego dnia zaplanowałem, że tak czy siak skończę wcześniej. Chciałem odebrać Alice ze szkoły, jednak przez noc moja wściekłość na Terry'ego urosła. Dusłem ją w sobie kilka godzin, aż wreszcie zadzwoniłem do Kary, do szpitala.

- Bardzo cię przepraszam, ale czy mogłabyś później jeszcze odebrać Alice? - zapytałem.

- Chyba tak. Cos ci wypadło?

Zdażyłem już pożałować, że zadzwoniłem. Kara pracowała na część etatu, miała ruchomy czas pracy, często zamieniała się z kolegami, gdy ją o to prosili. Ale tu przecież chodziło o naszą córkę, a ja dopiero co wróciłem z delegacji. Powinienem skupić się na ważnych sprawach, a nie szarżować na takiego typa jak Terry Connors.

- Słuchaj, nieważne. Zapomnij.

- Ależ nie, w porządku. I tak zostałam tylko na zebranie personelu, więc się cieszę, że mam jakąś wymówkę.

- Ton jej głosu stał się ostrożny. - A co się stało?

- Nic. Niech już zostanie...

Miałem dodać „tak jak jest”, jednak w tle usłyszałem jakieś zamieszanie. Podniesione głosy i trzask ciężkich drzwi.

- Przepraszam, Potrzebują mnie - powiedziała pospiesznie. - Odbiorę Alice, a potem mi wyjaśnisz, o co chodzi. Pa!

Rozłączyła się, zanim zdażyłem się pożegnać. Odłożyłem słuchawkę, czując się jakoś nieswojo. Postanowiłem, że zadzwonię do niej później i oznajmię, że zmieniłem zdanie i sam odbiorę Alice. Odczekałem pół godziny, ale kiedy spróbowałem ponownie, linia była zajęta. A ja zacząłem już rozmyślać o tym, co zrobił Terry, wzbierał we mnie coraz większy gniew. Nie było sensu znowu przeszkadzać Karze w pracy, zresztą pewnie zdażyła już sobie wszystko poprzestawiać.

Zatelefonowałem do Terry'ego.

Nawet nie wiedziałem, czy odbierze, widząc, że to ja dzwonię, jednak odebrał. Tak jak zwykle mówił z tonem pewnego siebie cwaniaka.

- David! Co tam u ciebie?

- Chcę się z tobą spotkać.

Wahał się tylko chwilę.

- Słuchaj, chętnie bym się z tobą zobaczył, ale teraz mamy trochę zamieszania. Zadzwoń, jak...

- To może poczekać u ciebie w domu?

Nie miałem zamiaru mieszać w to jego rodziny, ale nie zamierzałem dać się zbyć. Tym razem pauza była dłuższa.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

Tak, jednak zamierzałem zrobić to osobiście.

- Mogę być w Exeter za mniej więcej cztery godziny. Powiedz gdzie.

- Mogę ci oszczędzić podróży. Jestem jeszcze w Londynie. Nawet postawię ci piwo - mówił protekcyjnym tonem. - Jak za dawnych czasów.

Idąc na spotkanie, postanowiłem, że nie stracę panowania nad sobą. Zaproponował jakiś pub w Soho, a kiedy tam dotarłem, wiedziałem już dlaczego. Lokal udekorowano na Boże Narodzenie, wieszając najwyraźniej te same wyblakłe serpentyny i świecidełka, które kurzyły się tu od lat. Bez wątplenia była to knajpa policjantów. Większość klienteli chodziła tym trudnym do opisu sprężystym krokiem, charakterystycznym dla funkcjonariuszy po służbie. Terry był przy barze, śmiejąc się wśród grupki mężczyzn.

Kiedy wszedłem, przeprosił ich i podszedł jak zwykle się uśmiechał, ale jego oczy spoglądały czujnie.

- Napijesz się?

- Nie, dzięki.

- Jak chcesz. - Ze szklanką w ręku wygodnie oparł się o blat. - No dobra. Co cię gryzie?

- Trzymaj się z daleka od Kary.

- O czym ty mówisz?

- Wiesz, o czym mówię. Nie chcę cię więcej widzieć w moim domu.

Ciągle się uśmiechał, ale od szyi oblał rumieńcem.

- Hej, poczekaj chwilę. Nie wiem, co ci naopowiadała, ale nie wiedziałem, że ciebie nie ma...

- Owszem, wiedziałeś. Wszędzie było głośno o tym masowym grobie, nie trzeba było geniusza, aby się domyślić, że tam jestem. Właśnie dlatego wcześniej nie zadzwoniłaś, bo wtedy nie miałabyś pretekstu, żeby przyjść.

- Słuchaj...

- Próbowaleś nawet zrobić tak, żeby pomyślała, że spotykam się z kimś innym! Dlaczego, do cholery, to zrobiłaś?

Pomyślałem, że w jego oczach chyba pojawiło się coś, co można by uznać za żal albo

poczucie winy. Jednak zniknęło tak prędko, że może tylko mi się wydawało.

Wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie?

- I tylko tyle?

- A co byś chciał, żebym ci powiedział? Kara jest niezła. To ci powinno nawet schlebiać.

Uśmiechał się kpiąco. Nie pozwól mu się podpuścić. Spokojnie. Tutaj był u siebie. Jeśli stracę nad sobą panowanie, to wytrze mną podłogę. Cały pub jest pełen jego kolegów, oni chętnie poświadczą, że zacząłem. Nie miałem pojęcia, co mu zrobiłem, ale już przestałem się przejmować. A uświadamiając to sobie, uświadomiłem jeszcze coś.

- Terry, sprawy nie idą najlepiej, co?

Zmrużył oczy.

- O czym ty gadasz?

- Właśnie dlatego tutaj jesteś, prawda? - Wskazałem głową na pub. - Wspominasz dawne dobre czasy. Po tym, co się stało z Monkiem, twoja reputacja musiała niezłe ucierpieć.

Uśmiech zniknął. Wyraz twarzy Connorsa zrobił się paskudny.

- Wszystko w porządku. Po prostu mam kilka dni wolnego.

Po jego oczach widać było, że kłamie. Terry'ego cechowała taka niefrasobliwość, zresztą stanowiącą część jego uroku. Teraz widziałem, że jest także autodestrukcyjna. Zawsze polegał na swoim szczęściu i sile przebicia, a teraz, gdy zawiodło jedno i drugie, miotał się sfrustrowany.

Po prostu okazałem się dogodnym celem.

Nie było sensu zostawać tam dłużej. Kara miała rację: konfrontacja z Terryem niczego nie dała. Wychodząc, słyszałem jeszcze, jak cos mówi mężczyznom przy barze. Ich hałaśliwy śmiech podążył za mną do drzwi. Potem się za mną zamknęły i znalazłem się z powrotem na ulicy.

Ruszyłem prosto do domu. Było już za późno, żeby odebrać Alice ze szkoły, tak trochę spodziewałem się, że po powrocie już zastanę żonę i córkę na miejscu. Jednak ich nie było, więc wziąłem się do przygotowywania kolacji. Żałowałem spotkania z Connorsem, miałem do siebie żal, że przeze mnie Kara musiała jechać po Alice. Postanowiłem, że im obu jakoś to wynagrodzę. Zabiorę gdzieś na weekend, najpierw pójdziemy z Alice do zoo, a potem znajdę opiekunkę, żeby wieczorem móc wyjść gdzieś tylko z Karą. Tak byłem zajęty planowaniem, że dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że już ich bardzo długo nie ma. Zadzwoiłem do żony na komórkę, ale nie odbierała.

Co dziwne, nie włączyła się też jej poczta głosowa. Jednak nie miałem czasu się tym

martwić, dopóki nie zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Jeśli to jakiś akwizytor... - wymamrotałem, wycierając ręce.

To nie był akwizytor. Na zewnątrz stał policjant i jakaś kobieta. Przyszli, aby mi powiedzieć, że jakiś pijany biznesmen po służbowym lunchu stracił panowanie nad swoim bmw i uderzył w samochód z Karą i Alice. Wepchnął je prosto pod tira, który zmiażdżył nowe volvo, jakby było z balsy. Moja żona i córka zginęły na miejscu.

I tak oto nagle skończyło się moje stare życie.

Teraźniejszość

Rozdział 8

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, właśnie wychodziłem spod prysznic. Zakląłem i chwyciłem szlafrok. Idąc szybko korytarzem, wycierałem włosy ręcznikiem i zerknąłem na zegar w kuchni, zastanawiając się, kto odwiedza mnie o dziewiątej rano w niedzielę.

Zatrzymałem się, aby spojrzeć przez wizjer, który zamontowałem w drzwiach wejściowych. Spodziewałem się zobaczyć parę uprzejmych młodzieńców w niedopasowanych garniturach i o ewangelicznym spojrzeniu mających nadzieję, że sprzedadzą mi sen o życiu wiecznym. Przez wykrzywiony szklany bąbel zdołałem jedynie dostrzec jakiegoś mężczyznę. Odwrócił się akurat w stronę ulicy, więc widziałem tylko jego szerokie ramiona i krótkie ciemne włosy. Zaczynały już rzednąć, ukazując łysinę wielkości wnętrza dłoni, którą przybysz bez powodzenia starał się zaczesać.

Otworzyłem drzwi. Po tym, jak mnie napadnięto, policja radziła, żebym zamontował w nich łańcuch, jednak nigdy nie zamierzałem tego robić. Wciąż jeszcze nie złapano sprawcy, ale już samo posiadanie wizjera było wystarczająco paranoiczne.

Miałem nadzieję, że nic się nie stanie.

Kiedy otworzyłem drzwi, ołowiane niebo zajaśniało zimnym blaskiem. Lipy rosnące wzdłuż pobliskiej ulicy straciły już większość liści, które teraz okryły ziemię jak szeleszcząca żółta mata. Październikowy ranek był zimny i wilgotny, lecz gość był tylko w garniturze. Odwrócił się i uśmiechnął lekko, zerkając na mój szlafrok.

- Cześć David. Nie przeszkadzam?

Później mnie uderzyło, jak zwyczajnie się wtedy poczułem. Tak, jakbyśmy nie widzieli się zaledwie kilka tygodni. A nie siedem... nie, musiało już minąć osiem lat.

Terry Connors się nie zmienił. Owszem, postarzał - czoło zaczynało się teraz wyżej, a skóra nabrała bladego odcienia, efekt długich godzin spędzonych w zadymionych biurach. Wokół oczu pojawiły się nowe zmarszczki. Ząb czasu nadgryzł jego urodę, jednak kwadratowe szczęki, chociaż nieco bardziej obwisłe, niż pamiętałem, zasadniczo pozostały takie same. Podobnie jak nieodłączna zarozumiałość. Terry nadal spoglądał z góry, dosłownie i w przenośni: chociaż stał na niższym stopniu, jego mętne oczy były na tym samym poziomie co moje. Zauważyłem, że lustrują mnie szybko, na pewno tak ja wyłapując wszystkie różnice.

Zastanawiałem się, jak bardzo się zmieniłem po tak długim czasie.

I dopiero wtedy dotarł do mnie szok wynikający z tego spotkania.

Nie miałem pojęcia, co powinienem teraz powiedzieć. Terry znowu zerknął na ulicę, jakby prowadziła do leżącej za nami przeszłości. Zauważyłem, że gdzieś zniknęła małżowina jego lewego ucha, jakby gładko odcięta parą nożyc, i zastanowiłem się, kiedy to się wydarzyło.

Zresztą mnie też przybyło blizn od ostatniego spotkania.

- Przepraszam, że zjawiam się tak bez zapowiedzi, ale uznałem, że lepiej, żebyś się nie dowiedział o tym z gazet. Odwrócił się do mnie i wcale nie patrzył przepraszająco. Jerome Monk uciekł z więzienia.

Nie słyszałem tego nazwiska od lat. Milczałem przez chwilę, gdy dotarło wreszcie do mnie znaczenie tego, co powiedział Terry, przywołując echa ponurego krajobrazu Dartmoor i woń torfu. Potem cofnąłem się w otwartych drzwiach.

- Lepiej wejść.

Ubierałem się, a Terry czekał w salonie. Nie spieszyło mi się. Stałem w sypialni, oddychając szybko i płytko. Ciasno zacisnąłem dłonie w pięści. Spokojnie, wysłuchaj tego, co ma do powiedzenia. Jak automat włożyłem ubranie, niezgrabnie zapinając guziki. I wtedy zrozumiałem, że odwlekam chwilę, kiedy stanę z nim twarzą w twarz.

Stał przy półce z książkami, odwrócony plecami. Przechylił głowę, odczytując tytuły z grzbietów. Odezwał się, nie spoglądając na mnie:

- Ładnie tu u ciebie. Mieszkasz sam?

- Tak.

Zdjął z półki jakąś książkę i przeczytał tytuł:

- *Trupia farma*. Niezbyt lekka lektura, prawda?

- Nie mam dużo czasu. - Zdusiłem w sobie złość. Nawet gdy jeszcze byliśmy kolegami, Terry miał talent do zachodzenia mi za skórę. Między innymi właśnie ta umiejętność czyniła go dobrym policjantem. - Przynieść ci kawy czy herbaty?

- Napiję się kawy, pod warunkiem że nie jest bezkofeinowa. Czarna, dwie łyżeczki cukru.

- Odłożył książkę i poszedł za mną do kuchni. Stał w drzwiach, a ja przygotowałem kafeterkę.

- Jakoś mi nie wyglądasz na zbyt zmartwionego z powodu Monka.

- A powinienem?

- Nie chcesz się dowiedzieć, co się stało?

- To może poczekać, aż zaparzę kawę. - Poczulem na sobie jego spojrzenie i postawiłem

kafeterkę na ogniu. - Jak tam Deborah?

- Od czasu rozvodu rozkwita.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Jej nie było przykro. Przynajmniej dzieciaki były już na tyle duże, żeby zdecydować, z kim chcą mieszkać. - Uśmiechnął się, ale oczy miał zimne. - Mogę je teraz widywać co drugi weekend. Niewiele mogłem na to powiedzieć.

- Wciąż jesteś w Exeter?

- Tak, wciąż w komendzie.

- Zostałeś już inspektorem?

- Nie, ciągle jestem komisarzem.

Powiedział to tak, jakby chciał mnie ośmielić do jakiegoś komentarza.

- Kawa zaraz będzie - oznajmiłem.

Kuchnia była na tyle duża, że służyła też za jadalnię. Siedziało się w niej znacznie wygodniej niż w salonie, ale nie chciałem, żeby Connors tutaj został. I tak już czułem się nieswojo, przyjmując go u siebie.

Siadł naprzeciwko mnie. Już zapomniałem, jaki był wysoki. Najwyraźniej starał się utrzymać formę, ale i tak widziałem oznaki nadciągającego wieku średniego.

Ta łysinka musiała go dobijać.

Milczeliśmy. Wiedziałem, co teraz będzie.

- Kopę lat. - Patrzył na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Ciągle się zbierałem, żeby się do ciebie odezwać. Po tym, co się stało z Karą i Alice.

Tylko pokiwałem głową. Czekałem na nieuniknione kondolencje, w podobny sposób, jak napinając mięśnie, czeka się na cios. Nawet po tych wszystkich latach żadne słowa tutaj nie pasowały, jakby śmierć mojej żony i córki naruszyła fundamentalne prawa wszechświata.

Miałem więc nadzieję, że Terry na tym poprzestanie, spełniwszy obowiązek. Jednak nie.

- Chciałem do ciebie napisać czy coś w tym rodzaju, ale wiesz, jak to jest. Potem dowiedziałem się, że się przeprowadziłeś, rzuciłeś kryminalistykę i zostałeś lekarzem w jakiejś dziurze w Norfolk, więc to już nie miało sensu.

Nie miało. Wtedy nie chciałem widywać ludzi z mojego starego życia. Zwłaszcza Terry'ego.

- Ale cieszę się, że wróciłeś na stare tory - kontynuował, gdy nie odpowiadałem. - Wróble ćwierkają, że robisz kawał dobrej roboty. Wróciłeś na uniwersytet, do zakładu kryminalistyki, prawda?

- Na jakiś czas. - Nie chciałem o tym opowiadać. Nie jemu. - Kiedy uciekł Monk?

- Wczoraj wieczorem. Podadzą to w porannych wiadomościach. Cholerni dziennikarze będą teraz mieli używanie. - Wyraz twarzy Terry'ego pasował do jego skwaszonego tonu. Nigdy nie lubił dziennikarzy i najwyraźniej to się nie zmieniło.

- A co się stało?

- Dostał ataku serca. - Uśmiechnął się niewesoło. - Kto by pomyślał, że taki sukinsyn w ogóle ma serce. Ale udało mu się przekonać lekarzy z Belmarsh, żeby go przenieść do cywilnego szpitala. W połowie drogi zerwał więzy, wpięprzył strażnikom i kierowcy karetki, a potem zniknął.

- Czyli że udawał?

Terry wzruszył ramionami.

- Tego jeszcze nie wiadomo. Miał wszystkie objawy. Ciśnienie krwi wysokie jak diabli, nieregularna praca serca, wszystko pasowało, więc albo udawał, albo naprawdę miał atak serca i mimo tego zdołał uciec.

W zwykłych okolicznościach powiedziałbym, że jedno i drugie jest niemożliwe. Więzienie o zaostrowym rygorze, takie jak Belmarsh, na pewno dysponowało dobrze wyposażonym skrzydłem szpitalnym, z EKG i urządzeniami do pomiaru ciśnienia krwi. Osadzony wykazujący tak poważne objawy, że wymagał natychmiastowej opieki, nie miałby siły uciekać. Już sama próba ucieczki by go zabiła. Ale przecież nie rozmawialiśmy o zwykłym człowieku.

To był Jerome Monk.

Kafeterka zaczęła bulgotać. Ciesząc się, że mogę się czymś zająć, wstałem i wlałem parującą kawę do dwóch kubków.

- Myślałem, że Monk siedzi w Dartmoor, a nie w Belmarsh.

- Zgadza się, ale te wrażliwe lalusie stwierdziły, że Dartmoor jest zbyt „niehumanitarne”, i kilka lat temu zmieniono kategorię więzienia z A na C. Potem go przenosili od jednego więzienia o zaostrowym rygorze do drugiego, aż wreszcie pecha mieli w Belmarsh i wypadło na nich. Większość ludzi twierdzi, że więzienie wcale go nie rozmiękczyło. Parę miesięcy temu zatłukł na śmierć współwięźnia i posłał do szpitala dwóch strażników, kiedy próbowali go odciągnąć. - Terry uniósł brwi, wpatrując się we mnie. - Dziwne, że o tym nie słyszałeś.

Mogło to być tylko takie niewinne spostrzeżenie, ale wątpilem. Przez pewien czas byłem w USA i zanim doszedłem do siebie po ataku nożem, nie przysłuchiwałem się wiadomościom. Nie potrafiłem stwierdzić, czy Terry o tym wiedział, jednak coś mi mówiło, że jednak tak.

Najwyraźniej badał moją reakcję, ot tak, dla sportu.

Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, nasypałem cukru do jednej z kaw i wręczyłem mu kubek.

- Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim?

Terry wziął kawę, nie podziękował.

- Tak na wszelki wypadek. Ostrzegamy każdą osobę, do której Monk może żywić jakąś urazę.

- I myślisz, że mnie to też dotyczy? Wątpię, żeby w ogóle pamiętał, kim ja jestem.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz, ale nie chciałbym przewidywać, co Monk zamierza teraz zrobić. Wiesz równie dobrze jak ja, do czego jest zdolny.

Temu nie dało się zaprzeczyć. Sam badałem jedną z jego ofiar, na własne oczy widziałem, jak strasznie i brutalnie zmasakrował tamtą nastolatkę. Ale i tak nie rozumiałem, dlaczego miałbym czuć się zagrożony.

- Rozmawiamy o czymś, co wydarzyło się osiem lat temu - odparłem. - Nie mam nic wspólnego ze skazaniem Monka, uczestniczyłem tylko w późniejszej operacji poszukiwania ciała. Poważnie myślisz, że będzie się czymś takim przejmował?

- Należałeś do policyjnej ekipy, a Monk nie jest osobą, która by dostrzegła jakąś różnicę. Albo która wybacza. I byłeś z nim pod koniec, kiedy wszystko poszło nie tak. Nie możesz o tym zapominać.

Nie zapomniałem. Ale też od dawna o tym nie myślałem.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Będę pamiętał.

- Powinieneś. - Ostrożnie upił łyk z kubka, potem go odsunął. - Utrzymujesz kontakty z pozostałymi?

Pytanie wydawało się dość niewinne, ale za dobrze znałem Terry'ego.

- Nie.

- Nie? Myślałem, że może współpracowałeś z Wainwrightem przy jakichś innych sprawach.

- Nie po Monku.

- Jakiś czas temu przeszedł na emeryturę. - Terry chuchnął delikatnie na kawę. - A Sophie Keller? Widziałeś ją jeszcze?

- Nie. A dlaczego miałbym widzieć? - To już zaczynało mnie męczyć. - Dlaczego mi nie powiesz, po co tak naprawdę przyszedłeś?

Poczerwieniał, a ja poczułem, że też się rumienię. Zapłonął dawny antagonizm. Długo nie trzeba było czekać, prawda?

- Już ci mówiłem, że tylko na wszelki wypadek. Powiadamy wszystkich, którzy...

- Terry, nie jestem idiotą. Mogłeś zadzwonić albo powiedzieć komuś innemu, żeby zadzwonił. Dlaczego jechałeś aż do Londynu, żeby mi to wszystko powiedzieć osobiście?

Przestał się już zachowywać przyjaźnie. Wbił we mnie zimne spojrzenie policjanta.

- Miałem w mieście jeszcze inne sprawy do załatwienia. Pomyślałem, że wpadnę i sam przekażę ci wieści. Przez wzgląd na dawne czasy. Mój błąd.

Jednak nie dałem się tak łatwo zbyć.

- Jeśli Monk zamierza dopaść kogoś z przeszłości, to chyba raczej nie mnie, prawda?

Twarz Terry'ego jeszcze bardziej pociemniała.

- Tylko przyszedłem cię ostrzec. Uznaj się za ostrzeżonego. - Zaszurał krzesłem, wstając.

- Dzięki za kawę. Znam drogę do drzwi.

Poszedł do holu, ale potem jakby zmienił zdanie. Zatrzymał się i odwrócił. Kiedy patrzył na mnie, jego usta były jedną wąską linią.

- Myślałem, że może się zmieniłeś. Powinienem być mądrzejszy.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Stałem przy stole, tak blisko przeszłości, że aż czułem się, jakbym w nią wszedł. „Czy mogłabyś później jeszcze odebrać Alice?”

Zdawało się, że mieszkanie delikatnie się zmieniło, stało się już mniej moje. Jednak kiedy zabierałem kubki, dłonie miałem spokojne. Swojej kawy nawet nie tknąłem, zresztą i tak straciłem ochotę. Wylałem ją, patrząc, jak wirujące fusy spływają do zlewu. Nie wiedziałem, dlaczego tak naprawdę Terry przyszedł do mnie. Ale przez te wszystkie lata jedno się w nim nie zmieniło.

Rozdział 9

Ucieczka Monka była główną informacją w południowych dziennikach. Zuchwała ucieczka groźnego mordercy zawsze jest świetnym tematem, nieważne o kogo dokładnie chodzi. A jeśli chodzi o Jerome'a Monka...

Kiedy jechałem do laboratorium, właśnie mówili o nim w radiu. Posłuchałem zapowiedzi, a potem wyłączyłem odbiornik. Nie powiedziano nic, o czym i tak bym nie wiedział, a mimo ostrzeżeń Connorsa niezbyt mnie to martwiło. Żałowałem, że Monk znalazł się na wolności, przy okazji krzywdząc następnych ludzi, jednak nie stanowił problemu. Osiem lat to kawał czasu, za dużo, aby i mną się interesował. Albo ja nim.

Nie, przeczekam to.

Jednak po spotkaniu z Terryem nie potrafiłem się nie denerwować, chociaż ze wszystkich sił starałem się udawać, że jest inaczej. Dawno przestałem zrzucać na Connorsa część winy za to, co się wydarzyło, lecz jego wizyta odgrzebała bolesne wspomnienia, poruszyła osad sentymentów, który nie chciał teraz spokojnie opaść. Spodziewałem się dzisiaj spokojnej niedzieli, jednego z moich niewielu wolnych dni. W Henley nad Tamizą miałem zjeść lunch z dwoma kolegami i ich żonami, co obiecywałem już od tygodni. Pojawienie się Terry'ego wszystko zmieniło. Wiedziałem, że teraz nie będę dobrym towarzystwem, dlatego zadzwoniłem i odwołałem spotkanie. Potrzebowałem spokoju, żeby dojść z sobą do ładu, schować wspomnienia z powrotem do pudełka.

Potrzebowałem pracy.

Gdy zatrzymałem się na parkingu przed zakładem kryminalistyki, przeszłość owionęła mnie jak chłodny wiatr. Kiedy wróciłem do Londynu z Norfolk, początkowo nie chciałem iść do dawnej pracy, bałem się, że utonę w starych znajomościach - Jednak brakowało mi też wystarczających powodów, aby tego nie zrobić. Od trzech lat miałem tam etat, formalnie jako pracownik wydziału, ale mogący skupiać się na konsultacjach dla policji. Uniwersytet proponował mi samodzielną stałą posadę, ale na razie daleki byłem od jej przyjęcia. Obecny układ najwyraźniej się sprawdzał, nawet jeśli zdawał się tymczasowy. Mogłem z tym żyć. Moje doświadczenia sprawiły, że nieufnie podchodziłem do zapuszczania korzeni.

Zakład kryminalistyki w niedzielę był zamknięty, ale i tak często przyjeżdżałem tam popracować. Miałem własne klucze, przywykłem do samotności. Jednak zmierzając w stronę wejścia, rozejrzałem się po pustym parkingu. Miejsca, które są na co dzień zatłoczone, kiedy opustoszeją, zawsze wzbudzają taki delikatny niepokój. Nie martwiłem się, że przyjdzie po mnie Monk, ale inni żywili do mnie konkretniejsze urazy.

Blizna na brzuchu przestrzegała przed zbytnim zadowoleniem z siebie.

Katedra antropologii sądowej mieściła się w suterenie wiktoriańskiego budynku z czerwonej cegły, w którym kiedyś znajdował się szpital. Zjeżdżało się tam rozklekotaną starą windą, zawsze cuchnącą środkami dezynfekcyjnymi, albo schodziło schodami dwie kondygnacje. Zwykle wybierałem schody. Budynek był zabytkowy, a klatka schodowa miała oryginalne wiktoriańskie kafelki i kamienne stopnie. Osamotnione echo moich kroków tylko podkreślało weekendową ciszę.

Jednak gdy przekroczyłem drzwi na samym dole, znowu znalazłem się w XXI wieku. Mieściło się tam kilka laboratoriów, wszystkie nowoczesne i dobrze wyposażone. Mój gabinet przylegał do laboratorium na drugim końcu korytarza. Niezbyt wielki, jednak

wystarczał. Otworzyłem go i włączyłem światło. Tutaj na dole nie było okien. Poczekalem w korytarzu, aż z migotaniem ożyją świetlóówki na suficie.

W środku panował chłód, bo na weekend wyłączano ogrzewanie. Przywykłem już do tego. Gabinet urządzono prosto i praktycznie, gros miejsca zajmowały biurko i stare, żelazne szafki. Uruchomiłem komputer zajmujący większość blatu, a kiedy startował, włożyłem biały kitel wiszący za drzwiami. Potem wszedłem do laboratorium.

Najbardziej makabryczne zajęcia związane z moim zawodem - ostrożne usuwanie ze zwłok rozkładającej się tkanki miękkiej albo odtłuszczanie ludzkich kości w detergencie - zwykle wykonywałem w kostnicy. Większość ciał trafiających do laboratorium proces ten przechodziła już wcześniej albo należały do osób zmarłych tak dawno, że czas oraz rozkład i tak zmieniły je w wyschnięte kości.

Przypadek, którym obecnie się zajmowałem, należał do pierwszej kategorii. Na aluminiowym stole sekcyjnym, obrany z ciała, schludnie leżał niekompletny szkielet trzydziestoletniego mężczyzny. Przynajmniej taki wiek uważałem za najbardziej prawdopodobny. Płeć było stosunkowo łatwo określić z powodu kształtu miednicy i dużego rozmiaru kości. Wiek oszacowałem, opierając się na stanie kręgosłupa oraz wytarciu spojenia łonowego - miejsca obręczy miednicowej, w którym spotykają się dwie kości łonowe.

Zazwyczaj szkielet zawiera jeszcze inne wskazówki, pomagając określić wiek i płeć oraz zidentyfikować właściciela kości - Jednak nie w tym wypadku. Zaawansowany stopień rozkładu sugerował, że ktokolwiek to był, umarł co najmniej dwa lata temu, jednak nie miałem jak określić dokładnej daty. I nie mogłem nawet zacząć określać przypuszczalnej przyczyny zgonu. Tak naprawdę wiedziałem jedynie, że tego mężczyznę zamordowano.

Chociaż w grę wchodziło również samobójstwo albo śmierć wskutek wypadku, który od tułowia oddzielił ramiona, nogi i głowę.

Tors mężczyzny odnalazł pracownik budowlany. Zwłoki leżały w studni, w opuszczonej farmie w Surrey. Ani w tej studni, ani nigdzie indziej na terenie posesji nie odkryto brakujących części ciała. Bez zębów denata, które można by porównać z rejestrami dentystycznymi, albo bez cech charakterystycznych ocalałych kości identyfikacja była trudnym zadaniem.

Miałem jednak nadzieję, że przynajmniej ustalę, jak został rozkawałkowany. Brakowało obrażeń wskazujących na użycie siekiery czy tasaka, co sugerowałoby wykorzystanie noża albo piły. Ostrze pozostawiłoby na kości charakterystyczne ślady, a na razie takich nie widziałem, więc uznałem za prawdopodobne, że użyto jakiegoś elektrycznego narzędzia. Stawiałem na pilę łańcuchową, ale żeby się upewnić, musiałem zbadać powierzchnię kości

pod mikroskopem. To była monotonna, systematyczna praca, jednak identyfikacja narzędzi mogła stanowić pierwszy krok na długiej drodze do schwytania mordercy.

Miewałem już do czynienia z dziwniejszymi sprawami.

Umieściłem pierwszy preparat pod mikroskopem i spróbowałem skupić się na pracy. Jednak wpatrywałem się przez okular w powiększony wycinek kości, tak naprawdę go nie widząc. Czyste cięcie, ani śladu drzazg... Coś zazgrzytało mi w podświadomości, irytujące skojarzenie, którego nie potrafiłem wydobyć na światło dzienne. Wyprostowałem się, czując, że znalazło się już na samym skraju wyłonienia się, ale potem rozproszyły mnie fanfary dobiegające z gabinetu. To komputer zakończył proces uruchamiania się.

Cokolwiek próbowałem sobie przypomnieć, zniknęło. Westchnąłem, poddając się temu, co nieuniknione. Dobra, po prostu usuń to z drogi, a potem możesz już o wszystkim zapomnieć i zająć się pracą. Gdy wszedłem do gabinetu, otworzyłem stronę internetowego portalu informacyjnego. Spodziewałem się, że głównym tematem będzie ucieczka Monka. Była.

Ale nie spodziewałem się, jaki przeżyję wstrząs, ponownie widząc jego twarz.

Jerome Monk wpatrywał się we mnie z ekranu jak kadr z filmu grozy. Na sam widok obrzydliwego wgniecenia na czole robiło mi się słabo, a oczy...

Oczy miał martwe.

Przewinałem ekran do fotografii jego ofiar. Zdjęcia wydawały się już trącić myszką, przedstawione na nich osoby zastygły w czasie. Siostry Bennett miałyby teraz... ile? Dwadzieścia osiem lat, a Tina Williams dwadzieścia dziewięć. Angela Carson, najstarsza, trzydzieści sześć. Wystarczająco dużo, aby wyjść za mąż, mieć dzieci. Tymczasem ich życie brutalnie skrócono.

A teraz zabójca znowu był na wolności.

Przetarłem oczy, smak porażki okazał się równie gorzki jak wtedy. Jeszcze raz odniosłem wrażenie, że istnieje coś, o czym powinienem sobie przypomnieć. Już nie tak mocne jak uprzednio, teraz to była jedynie męcząca obecność gdzieś w głębi umysłu. Zacząłem na nowo przewijać stronę, by przeczytać artykuł, kiedy na biurku rozdzwonił się telefon. Aż podskoczyłem.

Zdjęcie na ekranie rozrosło się dwukrotnie, gdy przypadkiem kliknąłem na „powiększenie”. Klnąc pod nosem, chwyciłem słuchawkę.

- Halo?

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

- David? David Hunter?

Kobięcy głos, mocny i nieco gardłowy, chociaż teraz na skraju niepewności. Miał w sobie coś znajomego.

- Tak. Kto mówi?

- Sophie Keller - odparła, a kolejny fragment przeszłości wskoczył na swoje miejsce. - Pracowaliśmy razem kilka lat temu? Przy sprawie Jerome'a Monka?

Wypowiedziała to jak pytanie, jak gdyby wciąż nie była pewna, czy wiem, kim jest. Nie musiała się tak przejmować - minęło zaledwie kilka godzin, od kiedy Terry Connors zapytał, czy coś o niej słyszałem.

- Jasne, oczywiście. - Spróbowałem wziąć się w garść. Przepraszam, to tylko niesamowity zbieg okoliczności.

Właśnie czytałem o Monku.

- Słyszałeś, że uciekł?

- Tak, słyszałem.

Nie byłem pewien, czy wspominać również o spotkaniu z Terrym, więc nie wspomniałem. Tym dwojgu nigdy się nie układało. Nastąpiła chwila pełnej zakłopotania ciszy.

- Numer do twojego gabinetu znalazłam na stronie uniwersytetu, ale zadzwoniłam tylko po to, żeby nagrać wiadomość. Nie sądziłam, że będziesz tutaj w niedzielę. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

- Nie, jestem tylko trochę zaskoczony, to wszystko.

- Wiem, przepraszam, tak naprawdę wyskoczyłam ni stąd, ni zowąd, ale... - Usłyszałem, jak nabiera oddechu. - Możemy się jakoś spotkać?

Dzisiaj niespodzianki przychodziły jedna po drugiej.

- Chodzi o Monka?

- Wolałabym raczej powiedzieć, o co chodzi, jak już się z tobą spotkam. Obiecuję, że nie zajmę dużo czasu.

W głosie Sophie słyszałem napięcie, chociaż starała się je ukryć.

- W porządku. Mieszkasz jeszcze w Londynie? - zapytałem.

Kolejna przerwa.

- Nie, teraz mieszkam w Dartmoor. W takiej małej miejscowości, nazywa się Padbury.

Zaskoczyła mnie. Nigdy nie wyglądała na kogoś rozmiłowanego w wiejskim życiu, chociaż przypomniałem sobie, że mówiła, iż lubi wrzosowiska.

- Czyli że tam teraz sobie żyjesz?

- Co? Och... tak, tak sądzę. - Wydawała się jakaś rozkojarzona. - Słuchaj, wiem, że proszę o wiele, ale gdybyś mógł mi poświęcić kilka godzin, to naprawdę byłabym wdzięczna.

Proszę.

Nie miałem wątpliwości, w jej głosie słyszałem niepokój, usilną prośbę kogoś w potrzebie. Zachowanie bardzo niepasujące do pewnej siebie młodej kobiety, którą zapamiętałem.

- Masz jakieś kłopoty?

- Nie, tylko... Słuchaj, wszystko ci opowiem, jak się spotkamy.

Przekonywałem sam siebie, aby nie wracać do starych spraw, że zagłębianie się w przeszłość okaże się bolesne i pozbawione sensu. Ale przecież ta sprawa tak naprawdę się nie zestarzała. Co więcej, teraz, kiedy Monk uciekł, znowu stała się jak najbardziej aktualna.

I było jeszcze to takie podświadome drażnienie, gdzieś w głębi umysłu. Aż do dzisiaj, przez prawie dekadę wszystko, co wiązało się z tamtym dochodzeniem, spokojnie drzemało. Dlaczego teraz nagle wydało się niedokończone?

- Może jutro? - Usłyszałem swoją propozycję.

Dzisiaj było już za późno. Nie przyjechałbym przed wieczorem.

Ulgę Sophie dawało się odczuć nawet przez telefon.

- Byłoby wspaniale! Jesteś pewien...?

- Chętnie znajdę jakiś pretekst, żeby wyrwać się z Londynu.

Jesteś pewien, że to jedyny powód? Zignorowałem tę sardoniczną myśl.

- Pamiętasz Pod Żarłokiem w Oldwich?

Nazwa wywołała kolejny przebłysk wspomnień. Nie wszystkie były dobre.

- Pamiętam. Czy teraz dają tam lepsze jedzenie?

Roześmiała się. Już zapomniałem, jak ładnie się śmiała, tak szczerze i bez skrępowania. Śmiech nie potrwał długo.

- Trochę lepsze. Ale tak będzie łatwiej, niż ci tłumaczyć, jak dojechać tam, gdzie mieszkam. Dasz radę przyjechać na lunch?

Odparłem, że mógłbym. Ustaliliśmy godzinę i wymieniliśmy się numerami komórek.

- David, jeszcze raz dziękuję. Naprawdę, jestem ci i bardzo wdzięczna - dodała Sophie, zanim się rozłączyła.

Jednak wcale nie wydawała się wdzięczna. Wydawała się zrozpaczona.

Zadumany odłożyłem słuchawkę. Niezły dzień na odnawianie znajomości, pomyślałem. Najpierw Terry Connors, teraz Sophie Keller. Z jakiegokolwiek powodu chciała się ze mną widzieć, wątpiłem, by przypadkiem działo się to akurat tego samego dnia, w którym uciekł Jerome Monk. Naprawdę musiało chodzić o coś poważnego, skoro odezwała się po tylu latach. Sophie, jaką znałem, nie wydawała się kimś łatwo wpadającym w panikę.

Jednak osiem lat to sporo czasu. Ludzie się zmieniają. Przyłapałem się na tym, że zastanawiam się, czy i ona się zmieniła. Czy wciąż wygląda tak samo.

Czy wyszła za mąż.

Możesz to zaraz uciąć, pomyślałem, lecz jednocześnie się uśmiechnąłem. Potem nagle się wzdrygnąłem. „Ktoś chodzi po twoim grobie”. Spojrzałem na monitor komputera, ekran wypełniała monstrualna twarz Monka. Czarne paciorki oczu zdawały się na mnie patrzeć, gdy morderca krzywił usta w szyderczym uśmieszku. Rozłączyłem się z Internetem i fotografia zniknęła.

Rozdział 10

Na wrzosie pozostało jeszcze kilka kępek purpury, ale jesień wyprała już krajobraz z kolorów, otulając torfowisko martwymi zimowymi barwami zieleni i brązu. Rozciągało się tak daleko jak sięgał wzrok, spłowiełe, wysmagane wiatrem. Połacie sięgających ud paproci zaczynały już obumierać, a monotonii krajobrazu nie przerywało nic oprócz głązów wielkich jak domy i niedających się obejść kępiastych zarośli kolcolistu.

Ostatnie śledztwo zaprowadziło mnie na szkocką wyspę, jeszcze bardziej odludną, jednak tamtejsze krajobrazy miały imponujący rozmach i przepych. Moim zdaniem okolice Dartmoor wyglądały ponuro i przytłaczająco, jednak musiałem przyznać, że nie jestem bezstronny.

Miałem złe wspomnienia związane z tym miejscem.

Widok nieba zapowiadał deszcz, ale na razie zapowiedź się nie ziściła. Chmury wisiały nisko, lecz słońce przebijało się przez nie, niezwykle wyraźnie ukazując wrzos i kolcolist - by po chwili znowu zasłonił go cień. Podróż z Londynu nie trwała długo, wyjąwszy korek, przez który przedzierałem się na autostradzie M5. Pierwszy raz od wielu lat wybrałem się tak daleko na zachód, okazało się jednak, że przypominam sobie kolejne etapy trasy i kolejne miejscowości, o których do tej pory nie pamiętałem. Później dotarłem do samego wrzosowiska i miałem wrażenie, jakbym cofnął się w czasie.

Mijałem tablice z nazwami na wpół zapomnianych miejsc, punkty orientacyjne poruszające zardzewiałe struny pamięci. Przejechałem obok zarośniętych trawą ruin wodnego kołowrotu starej kopalni cyny, tam gdzie sobowtór Monka odciągnął uwagę prasy. Teraz

zgliszcza wydawały się jeszcze bardziej zarośnięte, mniejsze, niż zapamiętałem. Czułem, jak wokół gęstnieje przeszłość, a potem droga zakręciła i z daleka ujrzałem skalne rumowisko Black Tor.

Zwolniłem, chcąc mu się przyjrzeć. Nawet jeśli się tego spodziewałem, widok i tak przyniósł wspomnienie chłodnej mgły i trzaskania policyjnej taśmy drżącej na wietrze. Potem minąłem zjazd z drogi. Otrząsnąwszy się ze wspomnień, ruszyłem na spotkanie z Sophie.

Oldwich leżało na skraju wojskowego poligonu, sporego obszaru parku narodowego zaanektowanego przez armię do ćwiczeń ze strzelania i walki. Wyjąwszy dni manewrów, wstęp na większość tych rejonów był wolny.

Dzisiaj nie odbywały się żadne manewry. Minąłem znak ostrzegawczy, jednak nigdzie nie dostrzegłem czerwonej flagi, informującej o zamknięciu tego rejonu. Samo Oldwich było dosyć dziwnym miejscem, najwyraźniej nie potrafiło się zdecydować, czy jest wsią, czy miasteczkiem. Nie zauważyłem, aby zbytnio się zmieniło od mojej ostatniej wizyty. Na obrzeżach pojawiły się nowsze domy, jednak centrum pozostało tak samo bezbarwne i nudne, jakim je zapamiętałem. Budynki, pokryte tynkiem kamyczkowym, zawsze kojarzącym mi się z nadmorskimi miejscowościami, stały zwrócone ku pustkowiom wrzosowisk - jakby w stronę nieruchomego zielonego morza.

Kiedy jechałem, obok niespiesznie przetoczyła się dwuwagonowa kolejka, wlokąc się poprzez wrzosowiska, jak gdyby czuła się zmęczona. Pub Pod Żarłokiem stał nieopodal maleńkiej stacji. Ostatnim razem, kiedy go odwiedziłem, był podniszczony i wyglądał przygnębiająco. Teraz dach doczekał się nowej strzechy, a mury świeżo pobielono. Przynajmniej niektóre rzeczy zmieniły się na lepsze.

Z tyłu był niewielki parking. Kiedy tam się zatrzymałem i wyłączyłem silnik, poczułem się dziwnie zdenerwowany. Powiedziałem sobie, że przecież nie ma się czym przejmować, a potem ruszyłem do wejścia. Drzwi były niskie, musiałem się zatrzymać, aby nie uderzyć w głowę. W środku panował półmrok, lecz gdy oczy już mi przywykły, zauważyłem, że nie tylko słomiany dach jest tutaj nowy. Odslonięte kamienne płyty podłogi stanowiły znaczącą odmianę na lepsze po tym lepiącym się dywanie, jaki zapamiętałem. Odłóżąca tapeta, kiedyś uświetniająca ściany, ustąpiła miejsca schludnie pomalowanemu gipsowi.

Tylko kilka stolików było zajętych. Siedzieli przy nich głównie turyści, właśnie kończący późny lunch. Większość miejsc pozostawała wolna. Już po chwili zauważyłem, że Sophie tutaj nie ma, ale przyszedłem trochę za wcześnie. Spokojnie, pewnie już jedzie.

Za barem stała sympatyczna pulchna kobieta. Domyśliłem się, że ponury gospodarz zniknął tak samo jak odłóżąca tapeta i zalany piwem dywan. Zamówiłem kawę i ruszyłem do

jednego z wolnych sosnowych stolików, nieopodal kominka. Nie palił się w nim ogień, ale w środku piętrzyły się świeżo porąbane szczapy, zaś popiół na ruszcie sugerował, że piec nie stoi tylko dla ozdoby.

Napiłem się kawy, potem znowu zastanowiłem, czego może chcieć Sophie. Na pewno wiązało się to jakoś z ucieczką Jerome'a Monka, ale nie miałem zielonego pojęcia jak. Nie domyślałem się również, dlaczego w ogóle się ze mną skontaktowała. Owszem, lubiliśmy swoje towarzystwo, jednak żadne z nas nie mogło nazwać drugiego przyjacielem i żadne też nie starało się podtrzymywać znajomości.

Dlaczego chciała się ze mną spotkać po tak długim czasie?

Kawa ostygła. Zerknąwszy na zegarek, zobaczyłem, że już prawie wpół do drugiej. Zmarszczyłem brwi: po wczorajszym brzmieniu głosu Sophie nie spodziewałem się, że się spóźni. Jednak nie wiedziałem, skąd musiała dojechać. Mogła zwyczajnie utknąć gdzieś po drodze. Podniosłem menu i niecierpliwie przekartkowałem, co kilka chwil zerkając w stronę wejścia.

Odczekałem jeszcze kwadrans, potem zadzwoniłem do Sophie na komórkę. Przynajmniej miałem tutaj zasięg, co na wrzosowiskach nie zawsze było takie pewne. Usłyszałem kliknięcie połączenia, a potem jej głos: „Cześć, tutaj Sophie. Proszę, nagraj wiadomość”.

Poprosiłem, żeby do mnie oddzwoniła, i odłożyłem słuchawkę. Może źle zapamiętałem o której się umówiliśmy? A może to ona myśli, że umówiliśmy się godzinę później?

Minęła jednak godzina druga i wciąż nie dostałem od niej żadnego sygnału. Zniecierpliwiony ponownie spojrzałem na zegarek. Nawet jeśli Sophie utknęła gdzieś w korku, powinna już dać jakiś znak. A może jedzie pociągiem? Z góry założyłem, że przybędzie samochodem, ale przecież nie zapytałem. Odsunąłem zimną kawę, podszedłem do baru.

- Może mi pani powiedzieć, kiedy przyjeżdża najbliższy pociąg?

Barmanka zerknęła na zegar za kontuarem.

- Dopiero za dwie godziny. - Uśmiechnęła się promiennie. - Ona się spóźnia, prawda?

Uprzejmie odwzajemniłem uśmiech i wróciłem do stolika. Nie było sensu dłużej czekać. Zabrałem płaszcz, wyszedłem.

Gdy przemierzyłem sto metrów dzielących mnie od stacji, słońce zniknęło za wysokim dywanem chmur, rzucając rozmyte opalizujące światło. Stacja była tak mała, że nawet nie sprzedawano na niej biletów, składała się tylko z dwóch odsłoniętych peronów, połączonych krótką kładką. Na żadnym nikt nie stał, jednak na tablicy wisiał rozkład jazdy. Barmanka miała rację - najbliższy pociąg przyjeżdżał za dwie godziny. Jedynym wcześniejszym musiał

być ten, którego odjazd widziałem, przybywając do Oldwich. Najwyraźniej Sophie nim nie przyjechała.

W takim razie gdzie była?

Zaskrzeczał jakiś kruk, krążąc mi nad głową. Poza tym panowała cisza. Stałem na skraju peronu, wpatrując się w dal torów. Nie porzdewiały tylko same szczyty szyn, co pokazywało, jak niewiele pociągów tędy przejeżdża. Tory wiodły prosto, skręcając z pola widzenia tuż przed widnokregiem.

I co teraz?

Nie miałem pojęcia. Nawet nie wiedziałem, co w ogóle tutaj robię. Przejechałem ponad trzysta kilometrów z powodu kobiety, której nie widziałem od ośmiu lat, i okazało się, że wystawiła mnie do wiatru. Próbowałem przekonać sam siebie, że istnieje jakieś zwyczajne wytłumaczenie, ale jakoś nie potrafiłem uwierzyć. Sophie mówiła przez telefon tak, jakby rozpaczliwie chciała się ze mną zobaczyć. Gdyby wiedziała, że się spóźni, na pewno by mnie uprzedziła.

Coś poszło nie tak

Wróciłem do samochodu, wyjąłem z bagażnika atlas samochodowy. Miałem GPS, ale mapa w dużej skali pozwalała lepiej zorientować w topografii okolicy. Sophie mówiła, że mieszka w jakiejś małej miejscowości o nazwie Padbury, a ta, według mapy, leżała kilkanaście kilometrów stąd. Nie miałem adresu, ale Padbury na pewno nie było duże. Trochę popytam i pewnie znajdę kogoś, kto ją zna.

To lepsze od beczynności.

Drogę do Padbury dobrze oznakowano, ale każdy z tych drogowskazów zdawał się kierować mnie coraz dalej od cywilizacji. Drogi stawały się coraz mniejsze, aż wreszcie znalazłem się na wąskiej jednopasmowej szosie, obwiedzonej wysokimi, jeżynowymi żywopłotami. Zostało na nich tylko kilka zwiędłych liści, wznosiły się ponad autem niczym monotonne ściany labiryntu. Gdyby padał śnieg albo nawierzchnia byłaby oblodzona, w ogóle nie dałoby się tamtędy jechać. Kiedy wrzuciłem kolejny bieg, pokonując zakręt z ograniczoną widocznością, zastanowiłem się, co do cholery, sprowadziło Sophie aż tutaj.

Ale potem się już nie zastanawiałem. Przecież kiedyś zrobiłem to samo co ona.

Po przejechaniu kolejnego kilometra, może dwóch, żywopłoty ustąpiły miejsca laskom karłowatych dębów. Zdawało się, że pochłaniają to, co pozostało ze światła dnia. Chociaż dopiero było popołudnie, musiałem włączyć przednie światła. Zacząłem się zastawiać, czy w ogóle już nie minąłem Padbury, a potem skręciłem i wjechałem do tej miejscowości.

I zaraz wyjechałem. Padbury okazało się bardziej osadą niż wsią, opuściłem je, zanim w

ogóle zdążyłem się zorientować, że jestem na miejscu. Musiałem przejechać jeszcze z kilometr, zanim droga była na tyle szeroka, żebym mógł zawrócić.

Gdy wracałem do Padbury, ogarnęły mnie złe przeczucia. Liczyłem, że znajdę tam co najmniej pub albo pocztę, a w nich kogoś, kto wie, gdzie mieszka Sophie - Jednak oprócz kilku kamiennych chat ujrzałem tylko niewielki kościół oddalony od drogi. Zatrzymałem się na poboczu, jednak nie wychodziłem z auta. Teraz, gdy już znalazłem się u celu, wszystko wydawało się takie głupie. Nawet gdybym odnalazł dom Sophie, takie nagłe pojawienie się na progu, bez zapowiedzi, coraz bardziej zdawało się przesadzoną reakcją.

No, ale przecież już tutaj byłem. Wzdychając, wysiadłem z samochodu i ruszyłem ścieżką w stronę kościoła. Przy dróżce stały kamienne nagrobki, wiele z nich poprzewracało się w przerośniętą darni, a napisy na nich się zatarty. Kościół miał drewniane drzwi, poczerniałe ze starości, twarde jak żelazo. I zamknięte.

- W czym mogę pomóc?

Akcent był czysto devoński, brzmiał jak z dawnej, spokojniejszej epoki. Odwróciłem się i zobaczyłem starszą kobietę stojącą przy wejściu do kościoła. Miała na sobie pikowaną kurtkę i tweedową spódnicę, a wyraz twarzy równie czujny co uprzejmy.

- Szukam kogoś o nazwisku Sophie Keller. Jak sądzę, mieszka w tej miejscowości?

Kobieta zastanowiła się, wolno pokręciła głową.

- Nie, myślę, że nie.

- To Padbury, prawda? - zapytałem, zastanawiając się, czy może trafiłem w złe miejsce.

- Owszem, ale nie mieszka tutaj żadna Sophie Keller. - Jej twarz pojaśniała. - Ale mieszka tutaj Sophie Trask. Jest pan pewien, że nie chodzi o takie nazwisko?

Możliwe że Sophie je zmieniła - albo wyszła za mąż - od kiedy się widzieliśmy. Jednak gdy ostatnio rozmawialiśmy, o niczym podobnym nie wspomniała. Tak czy siak, mogłem to sprawdzić. Zgodziłem się z kobietą, że pewnie się pomyliłem, i poprosiłem o wskazanie drogi.

- Na pewno pan trafi - wołała za mną, kiedy z powrotem wsiadałem do auta. - Niech pan szuka takiego pieca do wypalania gliny.

Pieca? To jeszcze mniej pasowało do Sophie, jaką znałem. Jednak dosyć szybko zorientowałem się, o czym mowa. Wyjechałem z wioski, minąłem miejsce, gdzie zawróciłem, a potem, wśród nagich drzew, pięćset metrów dalej, zobaczyłem przed sobą obły kształt: szeroki odwrócony stożek, zbudowany z takich samych cegieł o rdzawym kolorze, co dom obok. Piec wyglądał, jakby zaraz miał się zawalić. Z boku przywierało do niego rachityczne rusztowanie wzniesione, by ułatwić naprawę albo go podeprzeć.

Zatrzymałem się na skraju zarośniętej furtki do ogrodu. Gęstniał już mrok, jednak w oknach nie paliło się światło. Chyba nikogo nie było w domu. Do jednego z drewnianych słupków bramy przytwierdzono zgrabny, współczesny szyld: „Trask - wyroby ceramiczne”.

Na ten widok o mało nie zawróciłem. Tutaj na pewno mieszkał ktoś inny. Ale przecież Sophie mówiła, że mieszka w Padbury, a zgodnie z mapą w okolicy Dartmoor była tylko jedna miejscowość o takiej nazwie. Skoro dotarłeś tak daleko...

Do domu poprowadziła mnie ścieżka z kamiennych płyt, wiodąca przez stylowo zarośnięty ogród. Z boku był niewielki sad z karłowatymi jabłonkami, teraz ogołoconymi z liści i owoców. Na drugim skraju ogrodu wznosił się piec, wysoki, nieco złowieszczy. Kiedy otworzyłem bramę, wyczułem unoszącą się w powietrzu, typową dla późnej jesieni woń dymu ze spalonego drewna. Niejasne wrażenie, że wtargnąłem na czyjś prywatny teren, mieszało się we mnie z zakłopotaniem wynikającym z tego, że w ogóle tu się zjawilem. Znowu pomyślałem, jakie to wszystko głupie, do czego doszło jeszcze nieprzyjemne *déjà vu*. Kiedyś już znalazłem się w podobnej sytuacji, odwiedziłem znajomego, chcąc się przekonać, czy martwię się niepotrzebnie.

Miałem nadzieję, że tym razem historia się nie powtórzy.

Kiedy szedłem ścieżką, liście opadłe z drzew szeleściły mi pod nogami. W dalszym ciągu w domu nie dostrzegałem żadnych oznak życia. Okna pozostały ciemnymi taflami szyb. Jeśli ktoś był w środku, zawsze mogłem przeprosić za wtargnięcie. A jeśli nie... Dobra, po kolei. Wyciągnąłem rękę, chcąc zapukać do drzwi.

I zobaczyłem niedawno roztrzaskane drewno, tam, gdzie wyłamano zamek. Dokładnie w tej chwili zniknęły wszystkie wątpliwości, jakie jeszcze miałem. Drzwi były częściowo uchylone, ale ich nie otworzyłem. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może to jednak nie ten dom, że istnieje jakieś niewinne wytłumaczenie wyłamanego zamka, ale odrzuciłem taki pomysł. Rozejrzałem się dookoła, na wpół oczekując, że ktoś za mną stoi. Ujrzałem tylko ciemną ścieżkę i szepczące gałęzie drzew.

Drzwi zaskrzypiały, gdy pchnąłem je opuszkami palców. Uchyliły się, ukazując mroczną sień.

- Jest tam kto?

Cisza aż ogłuszała. Jeśli wszedłbym do środka, naraziłbym się na wszelkiego rodzaju kłopoty, ale nie widziałem innej możliwości. Gdy zadzwonię na policję, co im powiem? Oznajmię, że widziałem ślady włamania na domu, który należy albo i nie należy do kogoś, kogo znam?

Jeżeli ktoś tutaj zwyczajnie zgubił klucz, to naprawdę się nieźle wygłupisz, pomyślałem i

wszedłem do sieni. Wszystko zdawało się wyglądać normalnie, ale wtedy dostrzegłem starą sosnową szafkę u dołu schodów. Miała powysuwane szuflady, których zawartość porzrucano. Nieopodal leżał roztrzaskany wazon, a kawałki ceramiki wyglądały na podłodze jak rozsypane kości.

- Sophie!

Szybko wszedłem do środka, zapaliłem światło. Wciąż nikt nie odpowiadał. Wiedziałem, że powinienem zadzwonić na policję, ale nie chciałem, by kazano mi czekać na zewnątrz, aż nie przyjedzie radiowóz.

Wtedy mogło się okazać, że jest już za późno.

Szybko sprawdziłem pomieszczenia na parterze. Przetrząsnięto je, a szuflady oraz szafki pootwierano i opróżniono. W sofie i krzesłach wypruto wymoszczenia. Nie znalazłem nikogo, więc pobiegłem na górę. Zauważyłem na dywanie jakieś wilgotne ślady, jednak zignorowałem je, przekonawszy się, że to tylko woda. Wszystkie drzwi na górze pozamykano - oprócz drzwi do łazienki. Te były lekko uchylone.

Przez szczelinę dostrzegłem na posadzce parę nagich nóg.

Szybko ruszyłem przed siebie. Za drzwiami, tarasując je, leżało ciało jakiejś kobiety. Musiałem się przecisnąć.

Leżała na plecach, w rozchylonym szlafroku kąpielowym. Jedną rękę miała na twarzy, drugą kryła płatanina wciąż jeszcze wilgotnych włosów.

Nie ma krwi - taka była moja pierwsza myśl. Jednak gdy uklęknałem obok kobiety, dostrzegłem, że z boku twarzy ma spuchnięty fioletowy krwiak.

Nawet teraz, po ośmiu latach, rozpoznałem Sophie Keller.

Odsunąłem pukiel włosów i pomacałem szyję. Skóra była chłodna, ale puls stabilny. Dzięki Bogu. Ułożyłem Sophie w pozycji bocznej, delikatnie naciągając szlafrok, żeby ją osłonić. Komórka nie miała tutaj zasięgu, więc pobiegłem do telefonu, który widziałem w kuchni. Kiedy zadzwoniłem na policję, nie potrafiłem mówić spokojnie.

Rozdział 11

Kiedy karetka już zawiozła Sophie do szpitala, musiałem zostać na miejscu, żeby złożyć zeznania. Widziałem, jak ambulans zjeżdża ze ścieżki zaraz za drzwiami wejściowymi,

jeszcze bez włączonej syreny, ale już z migającym niebieskim światłem połyskującym przez ciemne gałęzie.

Zanim przybyli ratownicy medyczni, minęło prawie czterdzieści minut. Przez ten czas nigdzie się nie ruszałem, siedziałem w kucki na podłodze łazienki razem z Sophie, bez przerwy coś do niej mówiąc i zapewniając, że pomoc jest już w drodze i wszystko będzie w porządku. Nie miałem pojęcia, czy mnie słyszy. Istnieją jednak różne stopnie świadomości. Jeśli Sophie na którymś poziomie pozostawała przytomna, zawsze istniała szansa, że moje słowa do niej dotrą.

Niewiele więcej mogłem zrobić.

Ratownicy medyczni niedużo mi wyjaśnili. Stan Sophie był stabilny, to już coś. Nie określono jednak, jak poważny jest uraz głowy albo czy odniosła jakieś obrażenia wewnętrzne. Policja zjawiała się, gdy ekipa ambulansu zносиła raną po schodach. Czerń nocy na wsi rozdarły oślepiające światła, sprawiając, że nagie drzewa w sadzie nabrały niesamowitego upiornego odcienia. Bezradnie stałem z boku, gdy zabierano Sophie do oczekującej karetki, i odpowiadałem na pytania policjantki o monotonnym głosie. Kiedy chciała się dowiedzieć, co łączy mnie z poszkodowaną, zahałem się.

- Jest starą przyjaciółką - odparłem, nie do końca pewien, czy to prawda.

Kiedy oczekiwałem na przybycie pomocy, zastanawiałem się, co mam mówić. Nie było sposobu, aby się dowiedzieć, czy całe zdarzenie miało jakiś związek z Jerome'em Monkiem. Splądrowany dom wyglądałby po prostu, jakby podczas zwykłego włamania coś poszło nie tak - gdyby nie ta zbieżność w czasie. Sophie zadzwoniła z prośbą o pomoc niedługo po wizycie Terry'ego Connorsa, a on przyszedł ostrzec mnie o ucieczce Monka. Ktokolwiek zaatakował Sophie, zrobił to, zanim zdołała się ze mną spotkać i powiedzieć, o co chodzi.

Ostatecznie powiedziałem policji o wszystkim, tak żeby już sami uznali, czy mają coś robić w tej sprawie. Mundurowa policjantka ożywiła się, słysząc nazwisko Monka, wtedy też zaczęła częściej zadawać pytania. Wreszcie jednak, sfrustrowana powtarzanym „nie wiem”, dała za wygraną.

- Powinna pani zadzwonić do inspektora Terry'ego Connorsa - poradziłem.

Bardzo mi się nie podobało, że go w to wciągają, ale nie miałem większego wyboru. Sam czując się jak przestępca, znalazłem się więc na tylnym siedzeniu radiowozu, razem z partnerem policjantki, a ona poszła zadzwonić. Wreszcie wróciła.

- W porządku, może pan już iść.

Nie tego się spodziewałem. Nie chciała ze mną rozmawiać?

- Mamy pańskie zeznanie. Ktoś się z panem skontaktuje. - Uśmiechnęła się do mnie,

nawet życzliwie. - Mam nadzieję, że pańskiej przyjaciółce nic nie będzie.

Ja też.

Ambulans zabrał Sophie do szpitala w Exeter. Potem, kiedy sam już tam jechałem, starałem się zbyt nie wspominać, że kiedy ostatni raz pokonywałem trasę, osiem lat temu, jechałem do kostnicy. Szpital zmodernizowano, ale nie tak bardzo, żebym go nie rozpoznał. Za kontuarem w izbie przyjęć siedziała otyła kobieta, o schludnie przyciętej, siwiejącej grzywce. Kiedy podałem nazwisko Sophie, zmarszczyła brwi, spoglądając na monitor komputera.

- Dzisiaj nikogo takiego nie przyjęliśmy - oznajmiła. Na pewno nie pomylił pan szpitala? Już miałem się zacząć spierać, kiedy uświadomiłem sobie własny błąd.

- Przepraszam. Proszę sprawdzić pod nazwiskiem Sophie Trask.

Spojrzała na mnie dziwnie, ale postukała w klawiaturę.

- Mniej więcej godzinę temu przyjęto ją na oddział intensywnej terapii.

Chociaż właśnie czegoś takiego się spodziewałem, słowa „intensywna terapia” miały w sobie coś złowieszczonego.

- Mogę się dowiedzieć, jak się czuje?

- A jest pan członkiem rodziny?

- Nie, tylko przyjacielem.

- Nie możemy podawać panu takich informacji, jeśli nie jest pan jej krewnym albo partnerem.

Westchnąłem, starając się nie wkurzyć.

- Chcę tylko wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku.

- Przykro mi. Może, jeśli zadzwoni pan jutro rano...

Sfrustrowany wyszedłem na zewnątrz, ale na dworze frustracja wcale mi nie minęła. Kiedy wracałem do samochodu, szpital był czarnym prostokątem za moimi plecami, jasne kwadraty okien ze zwodniczą wesołością lśniły w ciemnościach. I teraz co? Sam bym zadzwonił do Terry'ego, ale nie miałem przy sobie numeru jego komórki, a wątpiłem, żeby tak późnym wieczorem siedział jeszcze przy biurku.

Nie było sensu zostawać tutaj dłużej. Nie spakowałem się na wyjazd z noclegiem, zresztą jeśli coś by się wydarzyło, w domu dowiedziałbym się o tym równie szybko, jak w każdym innym miejscu. Jednak, kiedy uruchomiłem silnik i zostawiłem już za sobą szpital, poczułem się jak uciekinier. Zatrzymałem się na pierwszej stacji, kupiłem kanapkę i napój energetyczny. Jedzenie okazało się bez smaku, napój mdląco-słodki, jednak nie miałem niczego w ustach od śniadania, a do Londynu było jeszcze daleko.

Gdy jechałem, powracały do mnie wydarzenia dzisiejszego dnia. Pojechałem na spotkanie z Sophie, spodziewając się uzyskać odpowiedzi na co najmniej kilka pytań. A tymczasem pytań zrobiło się jeszcze więcej.

Na drogach było spokojnie i początkowo jechałem całkiem szybko, ale potem deszcz zaczął padać mocniej, zmieniając się w prawdziwy potop, który zamglił widok rozpyloną wodą - pomimo wściekłych wysiłków wycieraczek rozsmarowujących ją na przedniej szybie jak wazelinę. Musiałem zwolnić i wyteżać wzrok, by widzieć drogę przed sobą, bo tylne światła innych samochodów zmieniły się w pomarańczowe smugi. Kiedy docierałem już do przedmieść Londynu, ulewa zelżała, jednak dopiero wtedy gdy szyja i skronie zaczęły mnie boleć z napięcia. Mrużyłem oczy na widok ulicznych świateł oraz jaskrawo oświetlonych sklepów, ich blask był jeszcze bardziej nieznośny, bo odbijał się w lśniących od deszczu chodnikach.

Poczułem ulgę, kiedy wreszcie skręciłem na swoją ulicę i zaparkowałem pod domem. Było już po północy. Nie paliły się żadne światła, co znaczyło, że sąsiedzi albo spali, albo gdzieś wyszli. Po otwarciu drzwi schyliłem się po zwykły zestaw rachunków i ulotek, a kiedy się wyprostowałem, odniosłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

Szybko się odwróciłem, lecz na ciemnej ulicy nie było nikogo. Spostrzegłem, że wstrzymując oddech, czekam, aż coś roztrzaska zaraz ciszę, i zmusiłem się do spokoju.

Jesteś zmęczony i tylko ci się wydaje. Nic się nie dzieje.

Jednak, kiedy zamknąłem drzwi, zaniepokoiłem się samym sobą. Już ponad rok minął od kiedy niemal zabito mnie pod własnymi drzwiami. Sądziłem, że już za sobą mam nerwowe rozglądanie się w ciemnościach.

Najwyraźniej nie.

Wszedłem do mieszkania, zapaliłem światła. Tak jak zwykle wydawało się zbyt ciche. Włączyłem telewizor i odruchowo kanał z wiadomościami, ścisząc dźwięk tak bardzo, by migoczące obrazy stały się tylko poszeptywaniem w tle.

Już nie czułem się zmęczony. Adrenalina wypłukała znużenie, wiedziałem, że jeśli teraz się położę, nie zdołam zasnąć. Podeszedłem do szafki w salonie i wyjąłem butelkę burbona w dziwacznym kształcie, z miniaturowym koniem i dżokejem. Była prawie pusta. Przywiozłem ją sobie w tym roku z Tennessee i ciągle odwlekałem chwilę, gdy wreszcie ją skończę.

Czułem jednak, że teraz zasłużyłem na drinka. A także potrzebowałem drinka, żeby zrobić to, co właśnie zamierzałem.

Nalałem sobie starannie odmierzoną porcję i pociągnąłem długi łyk. Bourbon był jednocześnie gładki i szorstki, a gdy przenikał mnie jego płomień, wyszedłem z salonu,

ruszając do pomieszczenia na końcu korytarza. Teoretycznie przeznaczono je na trzecią sypialnię, ale łóżko ledwie by się tam zmieściło. Większość ludzi ma taką pudełkowatą komórkę, gdzie gromadzi stare meble i inne graty, zapominając o nich, jednak ich nie wyrzucając. Moja klitka dosłownie była pudełkowata.

Pełna pudełek.

Włączyłem światło. Pudła stały jedno na drugim, zbiór zwykłych kartonów i pojemników na dokumenty, wypełniających regały sięgające od podłogi po sufit. Każdy ma jakąś przeszłość. Nieważne, czy dobrą, czy złą, ona czyni nas tym, kim jesteśmy.

A tutaj była moja przeszłość.

Po śmierci Kary i Alice próbowałem uciec od dawnego życia. Porzuciłem przyjaciół i kolegów, przeciąłem więzy ze wszystkimi oraz ze wszystkim, co łączyło mnie z tym, co utraciłem. Większość swoich rzeczy sprzedałem albo oddałem, pozostały mi jednak takie, z którymi nie wiedziałem, co robić, albo których nie potrafiłem się pozbyć. Ukryłem je i zrobiłem wszystko co w mojej mocy, aby o nich nie pamiętać tak długo, aż nie poczuję się na siłach, by wrócić, na nowo podjąć wątki starego życia. Teraz wszystko, co zostało, znajdowało się w tych właśnie pudłach. Zdjęcia, zapiski, dzienniki, wspomnienia.

Praca.

Nalałem sobie kolejnego drinka i postawiłem szklankę na półce. Nie ustawiałem pudeł według jakiegoś klucza, jednak wszystko, co tyczyło się spraw osobistych, znalazło się w tych zwykłych, niepasujących do siebie kartonach, powrzuć tam w ledwie pamiętanym oszołomieniu. Ciągle jeszcze nie byłem gotów, aby do nich zajrzeć. W pudłach na dokumenty trzymałem swoje badania i teczki, a te przynajmniej były opatrzone etykietami.

Zanim znalazłem teczkę, której szukałem, zdążyłem się zakurzyć i spocić. Zaniósłem ją do salonu, położyłem na niskim stoliku kawowym i otworzyłem. Uniosła się stęchła woń starego papieru. Teczki poukładałem w kolejności alfabetycznej, więc bez trudu dotarłem do swoich notatek na temat sprawy Monka. Zajmowały kilka pękatych kartonowych folderów, połączonych grubą gumką. Gumka przez lata sparciała i pękła, kiedy je wyciągnąłem. Już sam wygląd owych teczek poruszył zakurzonymi echemi wspomnień: miały charakterystyczne okładki, w niebieski marmurkowy wzór. Przypomniałem sobie, że kupiłem je wszystkie razem, żeby było taniej.

Szybko tłumiąc tę myśl, otworzyłem pierwszy z folderów. Wyślizgnęła się stamtąd garść starych dyskietek, bardzo starannie opisanych, jednak bezużytecznych we współczesnych komputerach. Odsunąwszy przestarzałe prostokąty plastiku, wyjąłem resztę zawartości. Znajdowała się tam przezroczysta koperta ze zdjęciami rozkopanego grobu, ukrytego pod

namiotem techników kryminalistycznych. Przewertowałem fotografie, oblepione torfem szczątki były bardzo wyraźne w blasku flesza. Każda fotografia wzbudzała drganie wspomnień, jednak zdjęcia mogły zaczekać.

Zająłem się notatkami dotyczącymi samego dochodzenia. Większość była komputerowymi wydrukami, jednak między nie wmieszały się kartki pisane odręcznie, z pewnością moim charakterem pisma, jednak nieco innym niż teraz. Z biegiem czasu wszystko się zmienia, łącznie z pismem.

Nie byłem nawet pewien, czy człowiek, który na nich notował, wciąż istnieje.

Na jednej z kartek zobaczyłem ciemną smugę. Strona zawierała tylko kilka wstępnych notatek, nabazgranych pośpiesznie i już miałem ją odłożyć, kiedy zrozumiałem.

„Ojej - Jęknęła Kara, odrywając kawałek kuchennego ręcznika. Wytarła jogurt. - Zostanie plama, mam nadzieję, że to nic ważnego”.

Poczułem się, jakby ktoś właśnie uderzył mnie prosto w serce. Nagle w pokoju zabrakło powietrza. Upuściłem pobrudzoną kartkę na stół i szybko wyszedłem na korytarz. Zimne odświeżone deszczem powietrze owionęło mnie, kiedy otworzyłem drzwi wejściowe. Nabrałem haustu, nie przejmując się już, kto może się czaić na zewnątrz. Mokre ulice pobłyskiwały w świetle latarni. Trwała nocna cisza po burzy, podkreślana kapaniem i szumem wody w rynnach oraz odległym gwarem ulicznego ruchu. Stopniowo odzyskiwałem jako taki spokój. Emocjonalny diabełek z pudełka wrócił do miejsca, które dla niego stworzyłem, gdzie mógł się znowu przyczaić i czekać.

Aż do następnego razu.

Zamknąłem drzwi wejściowe i wróciłem do salonu. Pudło z dokumentami oraz papiery leżały na stole, tam, gdzie je zostawiłem. Podniosłem stronę z ciemną smugą i ostrożnie włożyłem z powrotem do teczki.

Rozdział 12

Kiedy nazajutrz rano ktoś zadzwonił do moich drzwi, domyślałem się, że nie oznacza to żadnych dobrych wiadomości. Kiedy wreszcie położyłem się spać, było już po trzeciej nad ranem. Pocilem się nad swoimi starymi notatkami dotyczącymi śledztwa w sprawie Monka, aż zaczęły mi się rozplýwać przed oczami. Byłem pewien, że coś mi umknęło, że wśród tych

suchych zapisków skrywa się jakaś bardzo ważna informacja. Jednak nie wyjawily mi niczego, o czym bym już nie wiedział. Tina Williams odniosła straszne obrażenia, jednak wcale nie jakieś wyjątkowe. Widywałem gorsze rzeczy, a nawet pracowałem kiedyś przy nierozwiązanej sprawie seryjnego mordercy ze Szkocji, podobnie mrożącej krew w żyłach. Przygnębiała mnie świadomość, że są jeszcze inni ludzie tacy jak Monk i wciąż przebywają na wolności.

Ostatecznie moje wysiłki zakończyły się nawrotem bólu głowy i poczuciem, że osiem lat to zarazem dużo czasu, jak i tylko chwila.

Najpierw zadzwoniłem do szpitala, chcąc się dowiedzieć, jak się czuje Sophie - Jednak tylko po to, aby usłyszeć, że nie można mi udzielić żadnych informacji. Sfrustrowany, zastanawiałem się, co mam teraz robić - chociaż niezbyt długo. Jakikolwiek były odpowiedzi na dręczące mnie pytania, nie znajdę ich w Londynie. Zadzwoniłem na uniwersytet i oznajmiłem, że biorę kilka dni wolnego. I tak urlop mi się należał, a Erica, sekretarka, od paru tygodni powtarzała, że powinienem wreszcie zrobić sobie przerwę.

Chociaż pewnie nie chodziło jej o coś takiego.

Nie wiedziałem, na jak długo wyjeżdżam, więc spakowałem wszystkie potrzebne rzeczy. Kiedy już zapinałem zamek torby, po mieszkaniu rozniósł się echem dźwięk dzwonka do drzwi. Zatrzymałem się, czując, jak z napięcia ciśnie mnie w dołku.

Wiedziałem, kto to może być.

Terry wyglądał, jakby prawie nie spał, i może rzeczywiście tak było, biorąc pod uwagę, ile czasu musiał mu zabrać dojazd. Twarz miał obrzmiałą, o ziemistej cerze, podbródek zsiniały od zarostu, i nawet miętowa guma do żucia nie skrywała kwaśnego odoru alkoholu w jego oddechu.

- To już się robi zwyczajem, co? - zapytał.

Niechętnie odsunąłem się, aby go wpuścić.

- Coś nowego o Sophie?

- Nie. Bez zmian.

- To po co przyszedłeś? Z Dartmoor daleka droga.

- Nie pochlebiaj sobie, nie przejechałem tej całej trasy tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć. Muszę się jeszcze spotkać z innymi, dopóki tutaj jestem.

Bez pytania wszedł do salonu. Moja torba leżała na podłodze, obok stolika na kawę. Nie spakowałem jeszcze notatek dotyczących śledztwa w sprawie Monka. Terry nachylił się i uniósł jedną kartkę.

- Odrabiasz pracę domową?

- Tylko przeglądam notatki. - Zabrałem mu kartkę, schowałem do teczki i zamknąłem ją.
- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Tym razem tak bez kawy?

- Zaraz wychodzę.

Zerknął na torbę.

- Widzę. Wybierasz się w jakieś miłe miejsce?

- Terry, powiedz, czego chcesz.

- Na początek chcę, żebyś mi opowiedział, co się wydarzyło wczoraj.

Zeszłego wieczoru już wiele razy opowiadałem to na policji, jednak wiedziałem, że nie ma sensu się spierać. Powtórzyłem więc dokładnie wszystko, zaczynając od telefonu Sophie, a kończąc na tym, jak znalazłem ją nieprzytomną na podłodze łazienki. Kiedy skończyłem, Terry przyglądał mi się w milczeniu. To był taki stary policyjny trik, widywałem go za często, aby dać się podejść. Odwzajemniłem spojrzenie i czekałem.

- Myślałem, że mówiłeś, że nie utrzymujesz kontaktów z Sophie Keller - powiedział w końcu.

- Nie utrzymywałem.

- Mam ci uwierzyć, że tak po prostu do ciebie zadzwoniła? Po ośmiu latach?

- Zgadza się.

Przyglądał mi się bez emocji, żuł gumę, poruszając szczękami. Westchnąłem rozdrażniony.

- Słuchaj, nie mam pojęcia, w jakich była tarapatach i dlaczego do mnie zadzwoniła. Chciałbym powiedzieć ci coś więcej, ale nie mogę. Rozmawiałeś już z kimś z tej wsi? Przyjaciółmi, kimś, kto by wiedział, dlaczego ją napadnięto?

- Próbujesz mnie pouczać, jak mam prowadzić dochodzenie?

Trzymałem nerwy na wodzy.

- Nie. To, że napadnięto Sophie tak szybko po ucieczce Jerome'a Monka, nie wygląda na zbieg okoliczności. To nie znaczy jednak, że on się włamał i ją zaatakował, ale musi istnieć jakiś związek.

Terry przestał żuć.

- Dlaczego jesteś taki pewien, że to nie on?

- A dlaczego miałby atakować Sophie? Była jedyną osobą, która próbowała mu pomóc. I skąd by w ogóle wiedział, gdzie jej szukać?

- Myślisz, że takich rzeczy nie można się dowiedzieć w więzieniu? Dorośnij. A jeśli szukasz przyczyny, to prawdopodobnie była ostatnią kobietą, jaką widział. Miał całe lata na

to, by leżeć sobie w celi i rozmyślać, co by z nią zrobił.

To prowadziło do pytania, którego nie chciałem zadawać. Jednak Terry już wyciągnął je na światło dzienne.

- Czy została zgwałcona?

- Nie. - Spojrzenie Connorsa było zimne.

Przynajmniej za to byłem wdzięczny.

- To nie pasuje do Monka, prawda? Zresztą on zwykle nie zostawia swoich ofiar żywych.

- Coś mu mogło przeszkodzić albo go wystraszyć.

- Monka? - Pomysł wydał mi się tak absurdalny, że prawie się roześmiałem. - A co takiego?

- No dobra, jeśli to nie był on, to przypomnij mi, co robiłeś w domu Sophie?

- Już ci mówiłem.

- Och, jasne! Ktoś, kogo nie widziałeś prawie dziesięć lat, dzwoni z prośbą o pomoc, a ty zaraz wskakujesz do samochodu i jedziesz ponad trzysta kilometrów, żeby zjeść z nim lunch. A kiedy ona nie przychodzi, to się dowiadujesz, gdzie mieszka, trafiasz do jej domu i znajdujesz ją nieprzytomną!

- Tak się właśnie stało!

- Czyżby? A może spróbujmy tak. Idziesz do jej domu i się włamujesz. Stois naga pod prysznicem, wyciągasz ją stamtąd. Bum! Potem panikujesz i dzwonis, tak jakbyś ty ją znalazł.

Patrzyłem na niego zbulwersowany.

- Dlaczego miałbym krzywdzić Sophie? Nie widzieliśmy się od lat!

- Ty tak mówisz. W trakcie poszukiwań ciągle byliście ze sobą blisko. Zawsze się zastanawiałem, czy czegoś między wami nie ma.

Spostrzegłem, że zaciskam pięści. Rozwarłem je, walcząc ze sobą, by nie stracić panowania. Wiedziałem, właśnie tego chce, żebym wybuchnął.

- Terry, nie wszyscy są tacy jak ty.

Zaśmiał się.

- A, tu cię mam! Zastanawiałem się, jak długo to potrwa!

- Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Sophie. Kiedy się obudzi, powie to samo...

- Jeśli się obudzi.

To mnie uciszyło. Terry pokiwał głową.

- Przy takim urazie nic nie wiadomo. Co stawia cię w dosyć niezręcznym położeniu, prawda?

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. Szukałem na twarzy Terry'ego jakiejś wskazówki, że tylko się ze mną drażni. A jednak nie. Wyciągnął wizytówkę z portfela i rzucił na stolik.

- Cokolwiek się jeszcze wydarzy, dzwoń do mnie. Masz tutaj mój numer na komórkę. Nie zwracaj sobie głowy telefonem służbowym, nigdy mnie przy nim nie ma. - Poszedł do przedpokoju, zatrzymał się. Miał paskudny wyraz twarzy. - Hunter, nie udawaj, że się ode mnie różnisz. Nie jesteś od nikogo lepszy.

Trzasnął drzwiami, tak mocno, że zadrżały ściany. Przez jakiś czas nie ruszałem się z miejsca, a potem poszedłem do najbliższego krzesła, usiadłem. Byłem oszołomiony zarówno wrogością Terry'ego, jak i oskarżeniami. Nigdy się jakoś specjalnie nie lubiliśmy, ale czy naprawdę mógłby sądzić, że zrobiłem coś takiego? Zaatakowałem Sophie?

Najwyraźniej tak.

Znowu zaczęła ogarniać mnie wściekłość. Ruszyłem dokończyć pakowanie. Ponure myśli w niczym mi nie pomogą, podobnie jak uzalanie się nad sobą.

Miałem już wyrzucić wizytówkę Terry'ego, ale w ostatniej chwili wetknąłem ją do portfela. Potem włączyłem w mieszkaniu alarm, wrzuciłem torbę do bagażnika i odjechałem. Jeśli nie utknę gdzieś po drodze, po południu powinienem dojechać do Exeter.

Skoro już miałem dokopywać się do przeszłości, to na początek świetny był archeolog.

Przez lata w ogóle nie myślałem o Leonardzie Wainwrightcie. Byłbym szczęśliwszy, gdyby mogło tak pozostać, ale uznałem, że przydałoby się chociaż z nim porozmawiać. Teraz, kiedy Monk znowu podniósł ohydną głowę, nie zaszkodzi sprawdzić, czy profesor może cokolwiek wniesić do mojej skąpej wiedzy o całej sprawie.

Kiedy zbliżałem się do Exeter, pogoda stale się pogarszała, a kiedy przyjechałem na miejsce, już lało. Zatrzymałem się w jakimś anonimowym hotelu, nieopodal szpitala. Należał do jednej z tych nijakich sieci, których placówki stoją w większości centrów miast, takie noclegownie z muzyką w windach i plastikowym menu z odgrzewanymi potrawami.

Był jednak tani i wygodny, a w pokoju oprócz widoku na parking miałem też łącze Wi-Fi. Wyjąłem laptop, zamówiłem kanapkę i zasiadłem do pracy.

Odnalezienie Wainwrighta okazało się trudniejsze, niż sądziłem. Nie dotarłem do jego adresu ani numeru telefonu, a Terry mówił, że archeolog przeszedł na emeryturę. Ale i tak spróbowałem dowiedzieć się czegoś w jego dawnej katedrze w Cambridge. Miałem nadzieję, że znajdę tam kogoś mogącego mi pomóc. Recepcjonistka szybko przekonała mnie, że trafiłem kulą w płot.

- Nie możemy podawać danych osobistych - oznajmiła kąśliwie.

Spędziłem pół godziny, bezowocnie przeszukując Internet, aż wreszcie olśniło mnie, żeby spróbować rzeczy oczywistej. Lata temu Wainwright mówił, że mieszkał w Torbay. Nie miałem gwarancji, że nadal tam jest, możliwe, że już wtedy było to przeszłością. Jednak gdy wstukałem nazwisko archeologa do internetowej książki telefonicznej, pojawiło się: „Wainwright, L., prof.". Podany był zarówno numer telefonu, jak i adres zamieszkania.

Genialnie, pomyślałem z żalem, masując zesztywniały kark.

Dzwoniłem dłuższą chwilę, zanim ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

- Dom Wainwrightów, słucham?

Kobięcy głos, rwący się, nadgorliwy.

- Czy mógłbym rozmawiać z panem Leonardem Wainwrightem?

Chwila ciszy.

- A kto mówi?

- Nazywam się David Hunter. Kilka lat temu pracowałem z profesorem Wainwrightem - dodałem jeszcze, nie mając pewności, czy archeolog mnie pamięta.

Tym razem przerwa nie trwała długo.

- Nie przypominam sobie pańskiego nazwiska. Czy panowie znacie się z Cambridge?

- Nie, my byliśmy... - szukałem odpowiedniego wyrażenia, w końcu się poddałem. - To było w trakcie policyjnego śledztwa. Jestem akurat w okolicy i...

Nie pozwoliła mi dokończyć.

- Och, rozumiem. Obawiam się, że Leonard nie może podejść do telefonu, ale jestem jego żoną. Pan mówił, że jest w okolicy?

- Tak, ale...

- To musi pan do nas zajrzeć! Leonard na pewno się ucieszy na widok dawnego kolegi.

Wątpiłem.

- Może powinienem zadzwonić później...?

- Skądże! Może pan przyjść jutro na lunch? Zwykle jemy coś lekkiego około pierwszej po południu. Oczywiście, pod warunkiem że nie jest pan wtedy umówiony gdzie indziej...?

Lunch? To było ostatnie, czego się spodziewałem.

- Jeśli na pewno nie sprawię kłopotu...

- W ogóle żadnego kłopotu! Och, wspaniale! Leonard nie będzie się mógł doczekać!

Odłożyłem słuchawkę oszołomiony zaproszeniem, zastanawiając się, co dokładnie oznaczało to, że archeolog nie może podejść do telefonu. Perspektywa lunchu z Wainwrightem i jego małżonką nie stanowiła czegoś, co zbytnio mnie cieszyło, wątpiłem także, aby Leonard był za to wdzięczny żonie. Ale już przyjąłem zaproszenie. Musiałem więc

znaleźć sobie jakieś zajęcie na resztę wieczoru. Zastanawiałem się właśnie, co mam robić, kiedy zadzwieczył mój telefon. Dzwonili ze szpitala.

Rozdział 13

Traumatyczny uraz mózgu to nie złamana ręka. Jego nieprzewidywalna natura sprawia, że trudno snuć jakiegokolwiek prognozy, ale zasadniczo im dłużej poszkodowany pozostaje nieprzytomny, tym większe ryzyko jakichś poważnych uszkodzeń.

Sophie miała szczęście. Cios w głowę spowodował poważny wstrząs mózgu, ale czaszka nie pękła, a skany nie wykazały komplikacji w rodzaju krwotoku, krwiaka czy wylewów podczaszkowych, które mogłyby przebiegać bezobjawowo, a następnie obezwładnić lub zabić wiele dni po pierwszym urazie.

Sophie obudziła się zeszłej nocy, ledwie kilka godzin po tym, jak opuściłem szpital. Początkowo była otumaniona, odzyskiwała i ponownie traciła przytomność, ale już samo przebudzenie stanowiło dobrą wiadomość. To ona zażądała, by do mnie zatelefonowano. Teraz siedziała na łóżku, w szpitalnej piżamie, za nią leżały niedbale rozrzucone poduszki. Brązowe włosy związała z tyłu, więc doskonale widziałem obrażenia twarzy. Czaszka może i nie pękła, jednak kość policzka tak. Opuchlizna zaczynała już ustępować, siniec rozciągający się od czoła po szczękę mienił się niezwykle kalejdoskopem barw.

- Dzięki, że przyjechałeś - powiedziała, gdy usiadłem. W zamyśleniu dotknęła identyfikacyjnej bransoletki na nadgarstku. - Nie wiem, czy powinnam ci dziękować, czy cię przeproszać.

- Nie musisz robić ani jednego, ani drugiego.

- Jasne, że muszę. To ja wpakowałam cię w kłopoty, a gdybyś mnie nie znalazł...

- Ale znalazłem. I wcale nie wpakowałaś mnie w kłopoty.

Spojrzała na mnie krzywo.

- Tak, jasne.

Uśmiechnąłem się, wciąż czując ulgę, że nic jej nie jest. Zwłaszcza mając w pamięci wizytę Terry'ego. Deszcz siekł okna, w których odbijał się przenicowany wizerunek surowej szpitalnej sali, oświetlonej jaskrawym światłem. Łóżko Sophie stało w rogu, a łóżko obok było puste. Mogliśmy więc swobodnie rozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha.

- Jak się czujesz? - zapytałem.

Sophie uśmiechnęła się słabo.

- Poza tym, że czuję się, jakbym miała najgorszego kaca na świecie i pewnie tak samo wyglądam?

Biorąc po uwagę, co przeszła, wyglądała wyjątkowo dobrze. Osiem lat ledwie pozostawiło na niej ślad. Na twarzy nie miała zmarszczek, a wyjąwszy siniaki, zdawało się, że niewiele się zmieniła, od kiedy widziałem ją ostatni raz. Sophie miała taką strukturę kości, która zawsze pozwalała się pięknie starzeć.

Spojrzała na swoje dłonie.

- Myślę, że przede wszystkim czuję się zakłopotana. I skołowana. Nie wiem, co jest gorsze, to że ktoś włamał się do mojego domu i mi to zrobił, czy to, że niczego sobie nie potrafię przypomnieć.

Krótkoterminowa utrata pamięci często się zdarza po urazach głowy, co jednak w najmniejszym stopniu nie czyniło jej mniej dokuczliwą.

- W ogóle niczego sobie nie przypominasz? Tego, kto cię zaatakował?

- Nawet nie pamiętam, że mnie zaatakowano. - Sophie w zamyśleniu szarpała bransoletkę identyfikacyjną. - Naprawdę czuję się głupio, ale jest tak, jak już mówiłam policji. Właśnie skończyłam brać prysznic, kiedy usłyszałam hałas na dole i... i to wszystko. Z tego, co wiem, mogłam się zwyczajnie poślizgnąć i uderzyć w głowę.

To byłoby prawdopodobne, gdyby nie wyłamany zamek w drzwiach. Cokolwiek jej się przytrafiło, z pewnością nie był to wypadek.

- Pamięć może ci wrócić za kilka dni.

- Nie wiem, czy tego chcę. - Wydawała się taka bezbronna w szpitalnej koszuli, zupełnie inna od Sophie, którą zapamiętałem. - Policja mówi, że to nie była... że to nie była napaść na tle seksualnym. Ale to okropne pomyśleć, że ktoś się włamał, a ja nawet nie mogę sobie tego przypomnieć!

- Masz jakiś pomysł, kto to mógł być? Ktoś, kto miał do ciebie jakąś urazę?

- Nie, w ogóle. Teraz z nikim nie jestem w związku i nie byłam od... no, od długiego czasu. Policja chyba uważa, że to był jakiś włamywacz. Myślał, że gdzieś wyszłam, i spanikował, jak zobaczył, że jestem pod prysznicem.

To było dla mnie coś nowego.

- Rozmawiałaś z Terryem Connorem?

Chyba ją zaskoczyłem tym nazwiskiem

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Przyszedł do mnie - zawahałem się, ale przecież miała prawo wiedzieć. - Zdaje się, że uważa, że atak mógł mieć jakiś związek z Jerome'em Monkiem.

- Monkiem? Przecież to śmieszne! - Zmarszczyła brwi, spoglądając na mnie. - To jeszcze nie wszystko, prawda?

- Powiedział mi, że też jestem podejrzany. Przecież ciebie znalazłem, a skoro niczego nie pamiętasz...

- Ty? - Szeroko otworzyła oczy, a potem szybko się rozejrzała. Ścisnęło mnie w dołku, zastanawiałem się, czy może i ona w to nie uwierzyła. Jednak gdy odezwała się ponownie, złość w jej głosie rozwiało tamto wrażenie.

- Chryste, cały on! To jakaś głupota!

- Cieszę się, że tak uważasz. Wszystko w porządku? - zapytałem, widząc, że nagle poblądła.

- Trochę mi się kręci w głowie... Słuchaj, jestem ci winna wyjaśnienia, ale czy możesz poczekać? Tak naprawdę nie czuję się na siłach, aby teraz rozmawiać... Ja... Ja po prostu chcę wrócić do domu.

- Jasne. Nie martw się.

- Dzięki. - Posłała mi jeszcze jeden słaby uśmiech, który prędko znikł. - Myślę... że...

Sięgnęła po nerkową miseczkę, stojącą na szafce obok łóżka. Uprzedziłem ją i sam podałem naczynie.

- Mam zawołać pielęgniarkę?

- Nie, tylko ciągle mam mdłości. Powiedzieli, że miną. - Położyła głowę na poduszce, zamykając oczy. - Przepraszam, chyba powinnam się przespać...

Błazniana miska powoli wysuwała się z jej palców, w miarę słabnięcia głosu. Wstałem, uważając, aby nie zaszurać krzesłem. Odłożyłem naczynie na szafkę, później cicho wsunąłem krzesło i wstałem.

- David...

Sophie się nie poruszyła, ale patrzyła na mnie.

- Wrócisz?

- Oczywiście.

Delikatnie skinęła głową zadowolona. Powieki zaczęły jej ponownie opadać, kiedy mówiła, głos miała niewyraźny, niewiele głośniejszy od szeptu.

- Nie chodziło mi o...

- O co ci nie chodziło? - zapytałem niepewny, czy dobrze słyszę.

Ale już zasnęła. Patrzyłem, jak jej pierś spokojnie unosi się w rytm oddechu, a potem

cichutko wyszedłem z sali. Kiedy przemierzałem korytarz, zastanawiałem się nad tym, co powiedziała mi Sophie. I nad tym, czego mi nie powiedziała.

Zastanawiałem się, co ukrywa.

Następnego ranka chmury i deszcz ustąpiły miejsca czystemu błękitnemu niebu oraz jasnemu blaskowi słońca. Poprzedni wieczór spędziłem, układając sobie wszystko w głowie, gdy jadłem samotny posiłek w na wpół pustej włoskiej restauracji. Chociaż uspokoilem się, gdy Sophie się przebudziła, to położyłem się spać, czując się wymięty i będąc przekonany, że coś przeoczyłem.

Sen poprawił mi humor, a pogodny jesienny dzień sprawił, że kiedy opuszczałem hotel, wybierając się na lunch z Wainwrightem, niemal przepelniał mnie optymizm. Tak naprawdę teraz, kiedy Sophie odzyskała przytomność, spotkanie z archeologiem nie miało sensu, ale już przyjąłem zaproszenie od jego żony i nie mogłem tak po prostu się wycofać.

Niezależnie od tego, jak bardzo bym chciał.

Archeolog mieszkał nieopodal Sharkham Point, przylądka na południowym skraju Torbay. Miałem tam niecałą godzinę samochodem, dlatego wybrałem dłuższą trasę, chcąc lepiej przyjrzeć się wybrzeżu. Były tam wysokie klify, za którymi słońce odbijało się od nieco wzburzonego morza. Pomimo ziąbu jechałem z otwartym oknem, rozkoszując się świeżą bryzą. Tej części kraju nie znałem dobrze, jednak ją lubiłem. Chociaż Dartmoor leżało zaledwie trzydzieści parę kilometrów dalej, tutaj był całkiem inny świat, jaśniejszy i nie tak przytłaczający. Wcale się nie dziwiłem Wainwrightowi, że zamieszkał w tej okolicy.

Dom zdołałem odnaleźć stosunkowo łatwo: w pobliżu nie stało wiele innych budynków. Od drogi odgradzał go rząd wysokich, bezlistnych lip. Willę w stylu lat dwudziestych okrywał kamyczkowy tynk, poprzecinany czarnymi, krzyżującymi się belkami. Po bokach długiego podjazdu z niszczonego asfaltu rosło jeszcze więcej lip, a kolejne otaczały podłużny trawnik.

Przed podwójnym garażem stała jasnoniebieska toyota. Zaparkowałem obok i po schodach dotarłem do drzwi wejściowych. W ścianie był stary mosiężny dzwonek. Nacisnąłem go. Słuchałem odległego dzwonięcia, dobiegającego gdzieś z głębi domu. Naprzód, do boju, pomyślałem wyprostowując ramiona, gdy usłyszałem energiczne kroki.

Kobieta, która mi otworzyła, zbyt idealnie pasowała do głosu z telefonu, aby być kimkolwiek innym jak żoną Wainwrighta. Nie przypominała dostojnej matrony aż tak bardzo, jak się spodziewałem, miała na sobie czerwony sweter oraz wełnianą spódnicę, a nie zapinany sweter na wełnianej bluzce i perły, jak sobie wyobrażałem. Jednak perfekcyjnie uczesane

siwe włosy i staranny makijaż zgadzały się z moimi oczekiwaniami, podobnie bystre spojrzenie oczu.

Jednak teraz skóra wokół tych oczu marszczyła się w uśmiechu, zaskakująco ciepłym.

- Pan to na pewno David Hunter?

- Zgadza się.

- Jestem Jean Wainwright. Tak się cieszę, że pan nas znalazł. Mieszkamy nieco na uboczu, ale tak właśnie lubimy. - Odsunęła się na bok, nadal uśmiechając. - Proszę wejść.

Wkroczyłem do domu. Przedpokój miał piękną drewnianą posadzkę oraz ściany wyłożone boazerią. Na starym mahoniowym biurku stał duży wazon z białymi chryzantemami, a ich mocny zapach ścierał się z wonią perfum i pudru. Kiedy żona Wainwrighta prowadziła mnie korytarzem, niskie obcasy wybijały staccato na parkiecie.

- Leonard jest w gabinecie. Nie może się doczekać spotkania z panem.

Coś podobnego wydawało się tak nieprawdopodobne, że nagle nabrałem pewności, że się pomyliłem. Może to jednak jakiś inny Leonard Wainwright. Ale cóż, już za późno. Kobieta otworzyła drzwi na końcu korytarza i poprosiła, abym wszedł. Po ciemnym, krytym boazerią przedpokoju w tym pomieszczeniu wydało mi się oślepiająco jasno. Przez ogromne okno wykuszowe, rozciągające się na prawie całą szerokość ściany, wpływał słoneczny blask. Pod ścianami stały regały z książkami, a z boku ładne biurko o blacie obitym skórą, teraz puste, wyjąwszy kolejny wazon z chryzantemami.

Ich zapach wypełniał pokój, nad którym dominował widok zza okna wychodzącego na trawnik, biegnący w dół aż po krawędź klifu, a dalej było już tylko morze. Sięgało aż po horyzont, więc można się było poczuć prawie jak na dziobie okrętu.

Widok zapierał dech, aż trudno mi było skupić się na czymkolwiek innym. Wtedy odezwała się żona Wainwrighta.

- Leonardzie, to pan David Hunter, twój dawny kolega. Pamiętasz go, prawda?

Podeszła do skórzanego fotela z wysokim oparciem. Nie widziałem, by ktoś tam siedział. Fotel stał zwrócony w stronę okna. Spodziewałem się, że Wainwright zaraz z niego wstanie. Kiedy jednak nie wstawał, wszedłem w głąb pokoju.

Nie poznałbym archeologa.

Nie był już olbrzymem z moich wspomnień. Siedział przygarbiony, tępo wpatrując się w okno. Wyglądał tak, jakby się skurczył. Mięśnie zanikły, ledwie dostrzegałem arystokratyczne rysy. Policzki się zapadły, podobnie jak oczy, a bujna niegdyś czupryna zrzędła i posiwiała.

Żona Wainwrighta odwróciła się do mnie, spoglądając wyczekująco. Jasny uśmiech na jej

twarży wydawał się teraz równie kruchy i przezroczysty jak to wielkie okno. Stałem bez ruchu zaszokowany, w końcu zmusiłem się do uśmiechu.

- Cześć, Leonardzie.

Po raz pierwszy zwróciłem się do niego po imieniu. Cokolwiek innego wydawało mi się nie na miejscu. Nie kłopotalem się, aby wyciągać rękę na powitanie - wiedziałem, że nie miałyby to sensu.

- Kochanie, doktor Hunter przyszedł do nas na lunch oznajmiła żona Wainwrighta. - Czyż to nie miło z jego strony? Będziecie mogli sobie porozmawiać o starych czasach.

Wielka głowa powoli odwróciła się do mnie, jakby profesor wreszcie uświadomił sobie moją obecność. Spoczęło na mnie mętne spojrzenie. Wainwright poruszał ustami, przez chwilę sądziłem, że chyba coś powie. Potem ta chwila minęła, zaś archeolog z powrotem zwrócił wzrok ku morzu.

- Podać panu filiżankę herbaty, doktorze Hunter? - zapytała jego żona. - Lunch będzie gotowy dopiero za dwadzieścia minut.

Uśmiech miałem przylepiony do twarzy.

- Chętnie napiję się herbaty. Może bym pani pomógł?

- To byłoby bardzo miłe, dziękuję. Leonardzie, zaraz wrócimy - dodała, klepiąc męża po dłoni.

Z jego strony nie padła żadna odpowiedź. Ostatni raz zerknąwszy na postać w fotelu, poszedłem z żoną profesora do przedpokoju.

- Przepraszam, powinnam pana ostrzec - powiedziała, zamykając drzwi. - Kiedy pan dzwonił, uznałam, że wie o stanie Leonarda.

- Nie miałem pojęcia - odparłem. - Co to jest? Alzheimer?

- Nie są całkiem pewni. Nigdy nie wiedziałam, że istnieje tyle rodzajów demencji, ale myślę, że nikt tego nie wie. Ta u Leonarda rozwinęła się bardzo szybko, jak na takie sprawy. Ostatnie dwa lata były... dosyć ciężkie.

Potrafiłem sobie wyobrazić.

- Przykro mi.

- Och, takie rzeczy się zdarzają - mówiła energicznie, pozbawiona złudzeń. - Pomyślałam, że dobrze mu zrobi widok znajomej twarzy. Nasze córki mieszkają daleko, przyjmujemy niewielu gości. Kiedy ktoś przychodzi, Leonard zwykle czuje się lepiej. To dlatego zaproponowałam, żeby przyszedł pan na lunch. Leonard zwykle wieczorem się ożywia. Wie pan, o co chodzi?

Powiedziałem, że wiem. Pracując jako lekarz rodzinny, miałem kilku pacjentów z

demencją. Kiedy kończył się dzień, stawali się bardziej niespokojni, pobudzeni. Nikt dokładnie nie wiedział, skąd to się bierze.

- Tak sobie myślę, że to piękna nazwa dla tak okrutnej rzeczy - kontynuowała jego żona. -
Kojarzy się z koktajlem w letni wieczór.

Nagle poczułem się jak oszust.

- Pani Wainwright...

- Proszę mi mówić Jean.

- Jean - odetchnąłem głęboko - pani mąż i ja... Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy bardzo się cieszy z tego, że mnie widzi.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, Leonard potrafił być wredny. Ale na pewno ucieszy się z towarzystwa. Zwłaszcza że pan przyjechał z tak daleka.

- Chodzi o to, że to nie jest po prostu taka towarzyska wizyta. Miałem nadzieję, że powiem mu coś o śledztwie, przy którym pracowaliśmy.

- To proszę mówić. Na pewno mu się spodoba. Czasem jest całkiem przytomny, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy z przeszłości. - Zanim zdołałem zaprotestować, znowu otworzyła drzwi do gabinetu. - Teraz możecie sobie porozmawiać, a ja będę przygotowywała lunch.

Nie umiałem odmówić. Uśmiechnąłem się słabo. Drzwi zamknęły się za mną, po czym zostałem sam na sam z Wainwrightem. Boże. Zmienił się wręcz szokująco, jednak nie potrafiłem odegnać wspomnienia, jak to bezczelnie przypisał sobie moje pierwsze ustalenia dotyczące grobu Tiny Williams. Wtedy uznałem, że bezwstydnie ze mną rywalizuje, ale teraz nie byłem taki pewien. Może Leonard już wtedy miał pierwsze objawy choroby i starał się je ukryć.

Nie dał po sobie poznać, czy zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Siedział w fotelu, spoglądając przez okno na morze. Zastanawiałem się, czy chociaż wie, co ogląda.

Skoro już przyszedłeś, skorzystaj z tego, pomyślałem. Przeniosłem krzesło spod biurka, skąd mogłem na niego patrzeć, i usiadłem. Szukałem słów, jakie mógłbym teraz powiedzieć. Wainwright nie odpowie na moje pytania, jednak nie mogłem tak po prostu siedzieć. Nie przepadaliśmy za sobą. Ale jego losu nie życzyłbym nikomu.

- Leonardzie, witam ponownie. Jestem David Hunter. Kiedyś pracowaliśmy razem, w Dartmoor.

Cisza. Brnąłem dalej.

- Pracowaliśmy przy sprawie Jerome'a Monka. Prowadzącym dochodzenie był

nadinspektor Simms. Pamiętasz?

Nic. Wainwright w dalszym ciągu wpatrywał się w morze z kamienną twarzą, nie wiedziałem, czy w ogóle mnie słucha. Westchnąłem, też wyglądając przez okno. Widok był wspaniały. Po ciemnoniebieskim niebie krążyły mewy. Niezależnie od pogody, niezależnie od tego, co się wydarzy, one zawsze tam będą. Stan archeologa wzbudzał litość, lecz istniały gorsze miejsca na dożycie kresu swoich dni.

- Znam cię.

Zaskoczony, uniosłem wzrok. Wielka głowa zwróciła się w moją stronę. Wainwright utkwiał wzrok w moich oczach.

- Tak, znasz - powiedziałem. - David Hunter. Jestem...

- Calliph... Calli... larwy - znowu zadudnił tym basem, który pamiętałem, lecz teraz bardziej chropowatym, jakby od dawna nieużywanym.

- Tak, larwy - zgodziłem się.

- Zgnilizna.

Musiałem się uśmiechnąć. Założyłem, że „zgnilizna” odnosi się do siedlisk larw muchy plujki, ale tak naprawdę wątpiłem, czy na pewno o to chodzi. Demencja nie demencja, niektóre sprawy się nie zmieniają.

Teraz Wainwright łypał oczami, jakby coś zaczęło się w nim budzić. Szerokie czoło się zmarszczyło.

- Śmierć na drodze...

Pokiwałem głową, nie mając pojęcia, o co mu chodzi. Najwyraźniej zaczął wędrować gdzieś myślami. Spojrzał na mnie i walnął dłonią w poręcz fotela.

- Nie! Słuchaj!

Niezdarnie próbował wstać. Podeszedłem szybko.

- Leonardzie, w porządku, uspokój się.

Kiedy walczył, aby się podnieść z fotela, jego ramiona wydawały się cienkie jak patyki, czuć było od niego kwaśny odór wyniszczenia. Jednak gdy już złapał mnie za nadgarstek, uchwyt był mocny jak kleszcze.

- Śmierć na drodze! - syknął, obryzgując mi twarz śliną. - Śmierć na drodze!

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie, a do środka pospiesznie weszła żona archeologa.

- Leonardzie, daj spokój, nie wygaduj bzdur!

- Cholerna kobieta!

- Leonardzie, zachowuj się! - Łagodnie, ale stanowczo posadziła go z powrotem w fotelu.

- Co się stało? Powiedział pan coś, co go zdenerwowało?

- Nie, ja tylko...

- Tak, ale coś musiało go rozdrażnić. Zwykle nie jest taki pobudzony. - Spojrzała na mnie, gładząc męża po włosach, kiedy już zaczynał się uspokajać. Nadal zachowywała się uprzejmie, ale teraz już z wyraźnym chłodem.

- Przykro mi, doktorze Hunter, ale myślę, że lepiej będzie, jak pan już sobie pójdzie.

Zawahałem się, niczego jednak nie mogłem zrobić. Zostawiłem ich oboje w gabinecie, sam trafiłem do drzwi, potem poszedłem do samochodu. Dzień nadal był słoneczny, lecz gdy ruszyłem podjazdem i oddalałem się od domu towarzyszył mi mdły, słodkawy odór chryzantem.

Rozdział 14

Wracając do Exeter, nie zwracałem już sobie głowy nadmorskimi widokami. Obiecałem Sophie, że jeszcze raz odwiedzę ją w szpitalu, i miałem nadzieję, że dzięki temu przestanę myśleć o katastrofalnej wizycie u Wainwrightów. Oglądanie archeologa w tak złym stanie było szokiem. Chyba mnie rozpoznał i chociaż wcale nie miałem zamiaru go denerwować, to wystarczyło, by silnie go poruszyć. Przed laty złożyłem przysięgę Hipokratesa, obiecując, że nikomu nie zaszkodzę.

Dzisiaj więc raczej się nie popisałem.

Znalezienie miejsca przed szpitalem, gdzie mógłbym zaparkować, zajęło mi niemal tyle samo czasu co droga z Torbay. Kiedy dotarłem do sali, gdzie leżała Sophie, ujrzałem zasłony zaciągnięte wokół jej łóżka. Zwolniłem, sądząc, że może jest z nią lekarz, ale usłyszałem ściszone, chociaż rozeźlone głosy.

- Halo? - zapytałem z wahaniem.

Głosy ucichły. Zapadła cisza, a potem odsunięto zasłony.

Młoda kobieta, która to zrobiła, wyglądała jak nieco zmieniona wersja Sophie. Miała włosy tego samego koloru, taki sam kształt twarzy i kolor oczu. Chociaż obie niewątpliwie ulepiono z tej samej gliny, jej rysy wydawały się zarazem ostrzejsze i bardziej miękkie. Teraz spoglądała na mnie z powstrzymaną irytacją.

- Słucham?

- Przyszedłem do Sophie - odparłem. - Nazywam się...

- David! - zawołała Sophie - Mario, wszystko w porządku!

Kobieta zacisnęła usta, jednak odsunęła się na bok, aby mnie przepuścić. Sophie siedziała na łóżku, obok niej stała otwarta skórzana torba. Miała na sobie sweter i dżinsy, w których niezbyt dobrze wyglądała, chociaż nie potrafiłem stwierdzić dlaczego. Cały czas wydawała się znużona, a siniak po lewej stronie twarzy zrobił się jeszcze bardziej fioletowy. Ale i tak wyglądała znacznie lepiej, niż kiedy widziałem ją ostatnim razem. Posłała mi uśmiech pełen ulgi.

- Davidzie, dzięki, że przyszedłeś. To moja siostra Maria.

Teraz kiedy widziałem je obie naraz, różnice stały się wyraźniejsze od podobieństw. Siostra Sophie wyglądała starzej. Jako szesnastolatka musiała być oszałamiająco piękna, jednak miała taką urodę, z którą czas nie obchodzi się łaskawie. Najwyraźniej starsze rodzeństwo Sophie nie miało genów, którym ona zawdzięczała smukłą sylwetkę. Na twarzy Marii powoli pojawiały się zmarszczki świadczące o rozczarowaniu i braku cierpliwości. Jak gdyby chcąc to zamaskować, ubierała się w kosztowne eleganckie rzeczy, a wypiełgnowane paznokcie miała ostre jak sztylety. Zastanawiałem się, czy mam jej podać rękę, szybko jednak postanowiłem tego nie robić. Napięcie między siostrami było tak wielkie, że lada chwila mogło zaiskrzyć i usmażyć każdego, kto wejdzie im w drogę.

- David jest moim starym przyjacielem - wyjaśniła Sophie, po niezręcznej pauzie.

- Dobrze. Mam nadzieję, że może zdoła ci przemówić do rozsądku.

Sophie wyglądała na zakłopotaną.

- Mario, nie teraz.

- No to kiedy? Nie jesteś w stanie sama wyjść ze szpitala, nie wspominając już o tym, by sama mieszkać w tamtym miejscu!

Sophie westchnęła przesadnie.

- Nic mi nie jest. A „tamto miejsce” to mój dom.

- Gdzie ktoś mógł sobie wejść i cię skatować! A teraz jeszcze chcesz tam wracać? Nie potrafisz po prostu się przyznać, że popełniłaś błąd, przeprowadzając się na takie odludzie? Mogę się założyć, że nawet nie pomyślałaś, jak się tam teraz dostaniesz, prawda?

- David mnie zabierze.

Maria odwróciła się do mnie.

- Serio? I zostaniesz tam z nią?

Udało mi się nie okazać zdumienia. Zza pleców siostry Sophie patrzyła na mnie z niemałą prośbą.

- Przez jakiś czas.

- David jest lekarzem - wyjaśniła Sophie, zgrabnie redagując prawdę. - Naprawdę wszystko będzie w porządku.

- Mogłaś wcześniej mi o tym powiedzieć - westchnęła Maria, niechętnie wyzbywając się złości. - Dobrze, widzę, że tylko strzępię sobie język. Mam nadzieję, Davidzie, że będziesz miał do niej więcej szczęścia.

Zdawało się, że bezpieczniej się teraz nie odzywać, dlatego tylko się uśmiechnąłem. Tym razem Maria podała mi rękę.

- Tak czy siak, miło cię poznać. Przepraszam, że byłam trochę apodyktyczna. Po prostu martwię się o Sophie.

- Wszystko w porządku. Przecież od tego są starsze siostry.

Jej uśmiech zniknął jak zdmuchnięty.

- Gdybyś mnie potrzebowała, wiesz, gdzie szukać rzuciła do Sophie.

Odeszła, głośno stukając obcasami. Odwróciłem się do Sophie zdumiony.

- Powiedziałem coś nie tak?

Zasłoniła oczy.

- Maria jest dwa lata młodsza ode mnie.

Robiło się coraz lepiej.

- O Boże. Powinienem przeprosić...

Jednak Sophie się roześmiała.

- Nie przejmuj się. Ona właśnie tak się zachowuje, jakby była starsza. Zawsze taka była i to właśnie połowa problemu.

- A druga połowa?

- To byłabym ja - odparła, jej śmiech znikł. - Maria uważa, że jestem nieodpowiedzialna i impulsywna. Tak naprawdę trudno temu zaprzeczyć. Po prostu jesteśmy inne. Maria ma dwoje ślicznych dzieciaków i nianię, która się nimi opiekuje, lubi urządzać kolacje. A to nie w moim stylu. Nawet nie podobają nam się te same ubrania.

Spojrzała na dzinsy i sweter, które miała na sobie. Teraz zrozumiałem, dlaczego nie wyglądała w nich dobrze - należały do jej siostry.

- Czyli że się wypisujesz ze szpitala? - zapytałem.

- Doktor chce mnie jeszcze trzymać dwadzieścia cztery godziny. Ale wszystkie badania mam w porządku i czuję się dobrze. Trochę kręci mi się w głowie i wciąż nie pamiętam, co się stało, ale to wszystko. Chcę do domu.

- Odniosłaś ciężki uraz głowy, najbliższe dwadzieścia cztery godziny...

- Wracam do domu - stwierdziła stanowczo. - Słuchaj, to tylko wstrząs mózgu. Będę na siebie uważać, obiecuję.

Dałem spokój. Nie było sensu się spierać, jeśli nawet lekarze i siostra Sophie nie zdołały jej przekonać, wątpiłem, aby mnie się to udało.

- Przepraszam, nie chciałam być niemiła - odparła niezręcznie. - I dzięki, że mnie wsparłeś przy rozmowie z Marią. Nie powinnam stawiać cię w takim położeniu, ale ona chciała zabrać mnie do siebie. A wierz mi, to wcale nie byłby dobry pomysł.

Potrafiłem sobie wyobrazić.

- Jak wracasz do domu?

- Złapię jakiś pociąg - odparła lekko. - Nie przejmuj się, mówiłam, że u mnie zostajesz, tylko żeby uspokoić Marię. Wcale nie oczekuję, że pojedziesz do mnie.

- Nie oczekujesz, ale tak zrobię.

- Och, nie, nie mogę się na to zgodzić!

- Ależ ja nie mam wyboru. - Uśmiechnąłem się. - Obiecałem twojej starszej siostrze.

Sophie przespała większość podróży. Chociaż starała się być dzielna, jeszcze wiele jej brakowało do wyzdrowienia. Zamknęła oczy, gdy tylko opuściliśmy teren szpitala. Głowa kiwała jej się na oparciu fotela, lecz oddech miała silny i regularny, w równym rytmie głębokiego snu. Jechałem ostrożnie, tak by jej nie przeszkadzać. Chciałem zadać wiele pytań, mogły jednak poczekać.

Wjeżdżając do Dartmoor ze śpiącą obok mnie kobietą, której nie widziałem od ośmiu lat, byłem jakiś dziwnie spokojny. Wiedziałem, że to coś przejściowego, jedynie takie krótkie wytchnienie od prawdziwego życia. Sophie najwyraźniej coś trapiło, a napastnik wciąż pozostawał na wolności.

Jednak takimi problemami postanowiłem się martwić kiedy indziej. Tutaj, w mrużącym kokonie samochodu, z krajobrazami przemykającymi za szybami oraz cichym oddechem Sophie, czułem zadowolenie.

Było późne popołudnie, kiedy zaparkowałem pod domem Sophie i wyłączyłem silnik. To ją obudziło.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, przecierając oczy.

- W domu.

- Boże, nie mów mi, że przespałam całą drogę?

- Tak było najlepiej. Jak się czujesz?

Zastanowiła się przez chwilę, wciąż mrugając zaspanymi oczami.

- Lepiej.

Tak zresztą wyglądała. Nabrała normalnych kolorów, tylko siniak na twarzy wyglądał paskudnie. Wygramoliliśmy się z samochodu. Po miejskim asfalcie i betonie chłodne jesienne powietrze smakowało świeżo i słodko. Słońce wisiało już nisko, sprawiając, że poprzez ogród jak rozbryzgi ciągnęły się długie cienie. Z boku był ten mały sad, który wcześniej wydawał się taki złowrogi. W świetle dnia wyglądał nieco lepiej, chociaż stare jabłonie były martwe.

Za nimi, prawie tak wysoki jak dom, stał odwrócony stożek pieca garncarskiego. Teraz jeszcze lepiej widziałem, że się rozsypuje, kruszące się cegły najwyraźniej trzymało jedynie pordzewiałe rusztowanie. Obok leżał stos nieużywanych tyczek porośniętych trawą i chwastami: jakichkolwiek dokonywano tutaj napraw, najwyraźniej przerwano je lata temu.

- Oto moja duma i radość - oznajmiła Sophie, otwierając furtkę do ogrodu. - To wiktoriański piec butelkowy. Niewiele już takich zostało.

- Nadal działa?

- Mniej więcej. Chodź, pokażę ci.

- Nie trzeba - odparłem, nie chcąc, aby się przemęczała.

Jednak szła już ścieżką w stronę pieca.

- Tam w środku mam swój magazyn. Chcę tylko sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu. Rozklekotane drewniane drzwi zaskrzypiały, kiedy je popchnęła.

- Nie zamykasz ich? - zapytałem.

Uśmiechnęła się.

- Nie jesteśmy w mieście. Poza tym wątpię, żeby złodziei cokolwiek stąd ciekawiło. Nie ma czarnego rynku ręcznie wykonywanej ceramiki. Niestety.

Wszedłem za nią do środka. Poczulem wilgotny, zatechły odór starej zaprawy. Światło dochodziło przez niewielkie okna rozmieszczone kolistnie w zaokrąglonych ścianach. Pośrodku stał właściwy piec, gigantyczny, ceglany komin, wystający ponad kopulaste sklepienie. Wspierały go rusztowanie i pordzewiałe podpory oraz drewniane belki.

- Tu jest bezpiecznie? - zapytałem, zerkając na chylące się ceglane mury.

- W miarę bezpiecznie. Już tak tutaj było, jak kupowałam dom. To jest piec zabytkowy, dlatego nie mogę go zburzyć, nawet gdybym chciała. Nie żebym chciała. Mam taki plan, żeby w końcu uruchomić podstawowy piec, ale na to muszę poczekać, aż będę miała wystarczająco dużo pieniędzy. Co szybko nie nastąpi.

Z boku stał mniejszy, nowoczesny piec elektryczny, zastawiony chaotyczną zbieraniną garnków. Jedne były szkliwione, drugie tylko z wypalanej gliny. Nawet mojemu niewprawnemu oku wydawały się wspinałe: naturalne kształty, zdające się równie

artystyczne co funkcjonalne. Ostrożnie wziąłem duży dzbanek. Jego krzywizna zdawała się płynąć, jakby wyrósł sam, w całkowicie naturalny sposób. W moich dłoniach okazał się równie dobrze wyważony jak ładny, o gładkiej i zmysłowej linii.

- Nie miałem pojęcia, że potrafisz robić takie rzeczy - powiedziałem, będąc pod dużym wrażeniem.

- Och, mam mnóstwo ukrytych talentów - oznajmiła, w zamyśleniu gładząc dużą kulę zeschłej gliny. Leżała na stole zawalonym na wpół ukończonymi i potłuczonymi garnkami. Uśmiechnęła się, nie do końca świadomie. - Jak już zauważyłeś, jednym z nich nie jest zamiłowanie do porządku. Tak czy siak, mam nadzieję, że potrafisz dotrzymać tajemnicy.

Pozostawiła mnie zastanawiającego się, o co jej chodzi, a sama podeszła do krzywej ściany pieca. Wysuwając luźną cegłę, sięgnęła do otworu i coś wyjęła.

- Zapasowy klucz - oznajmiła. - Zawsze się przydaje.

Aż do tej chwili nie myślałem o stanie, w jakim jest dom. Widok klucza szturchnął mi pamięć. O cholera.

- Sophie, poczekaj! - krzyknąłem, biegnąc za nią, ale zobaczyła już wszystko sama.

- O Boże!

Kiedy przyjechaliśmy, za sprawą gasnącego słońca ganek był w cieniu. Całą uwagę skupiliśmy na piecu. Teraz jednak podeszliśmy wystarczająco blisko, aby dostrzec zniszczone drzwi luźno wiszące na zawiasach.

Skląłem sam siebie. Ty idioto! Powinieneś pamiętać! Policja bez większego przekonania postarała się jakoś zaklinować drzwi, jednak w sieni, tam gdzie wwiało deszcz, było mokro, a na dywanach i wypolerowanych posadzkach krzyżowały się błotniste ślady stóp. Unosił się ostry smrodek, jakby w środku buszował lis lub jakieś inne zwierzę.

Sophie z przerażeniem patrzyła na porozrzucaną zawartość otwartych szuflad i szafek.

- Wcale nie jest tak źle, jak wygląda - powiedziałem niemrawo, klnąc się, że tego nie przewidziałem. Powinienem przyjechać wcześniej, a nie tracić czas na Wainwrighta. - Myślałem, że policja już ci mówiła.

Nie padła żadna odpowiedź. Uświadomiłem sobie, że Sophie cicho płacze. Łzy spływały jej po policzkach.

- Sophie, naprawdę, tak mi przykro...

- To nie twoja wina. - Ze złością wytarła oczy. - Dziękuję, że przywiozłeś mnie do domu, ale myślę, że teraz będzie lepiej, jak sobie pójdiesz.

- Pozwól mi chociaż...

- Nie. Wszystko w porządku. Naprawdę. Tylko chcę pobyć sama. Proszę.

Widziałem, że teraz jakoś się trzyma wyłącznie siłą woli. Bardzo mi się nie podobało, że ją zostawię, ale nie znałem Sophie wystarczająco dobrze, by zrobić cokolwiek innego.

- Jutro do ciebie zadzwonię. Jeśli jeszcze czegoś potrzebujesz...

- Wiem. Dzięki.

Czując się bezradny, ruszyłem w stronę samochodu, szurając nogami po martwych liściach zaścielających ścieżkę. Za sobą słyszałem skrzypiące z protestem drzwi, które Sophie usiłowała zamknąć. Dotarłem już do furtki, gdy zatrzymałem się, jedną rękę opierając na wysmaganym wichrem drzewie. Niebo zaczynało już ciemnieć, a pierwsze gwiazdy przebijały się poprzez chłodny, głęboki błękit. Lasy i zaorane pola zaczynały niknąć wśród wydłużających się cieni. Poza szumem i szelestem gałęzi nie rozbrzmiewał inny dźwięk. Ciszy nie przerywał żaden ptak ani zwierzę. To było ponure, odludne miejsce.

Odwróciłem się i wróciłem do domu.

Drzwi zamknięto, ale pokrzywione zawiasy nie pozwalały zrobić tego porządnie. Wystarczyło pchnięcie. Zostałem Sophie w sieni. Klęczała z pochyloną głową, wstrząsana cichym szlochem.

Nie mówiąc ani słowa, przykucnąłem obok. Wtuliła we mnie twarz.

- O, Bo... Boże, jak ja się boję! Tak się... się... bo... boję...!

- Cśś, już dobrze - zapewniłem.

Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Naprawiłem drzwi wejściowe najlepiej, jak umiałem. Zamek był wyłamany, jednak z komórki wyciągnąłem jakiś stary żelazny sworzeń. Nie wyglądał ładnie, lecz okazał się duży i mocny. Uznałem, że przyda się, zanim nie przyjdzie ślusarz.

Za moją namową Sophie poszła się wykapać, a ja posprzątałem resztę bałaganu. Nie było większych zniszczeń - rzeczy porozrzucano, jednak zniszczyło się tylko kilka. Kiedy już wszystko poukładałem i otworzyłem okna, aby wywietrzyć piżmowy zwierzęcy odór, po włamaniu zostało niewiele śladów.

Gdy Sophie zeszła na dół, zapadł już zmierzch. Ubranie od siostry zamieniła na swoje dzinsy i sweter. Włosy miała jeszcze wilgotne, wyszczotkowane i zaczesane do tyłu. Chociaż policzek nie był już tak opuchnięty, siniec z fioletowego przechodził w żółty.

- Zrobiłem herbatę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko - oznajmiłem, kiedy weszła do kuchni, gdzie już na nią czekałem.

- Świetnie. Dziękuję.

- Posprzątałem najlepiej, jak umiałem, ale może chcesz się jeszcze upewnić, czy nic nie

zginęło. Jakaś biżuteria albo kosztowności. - Pokiwała głową, ale nie wydawała się zbytnio czymś takim przejęta. - Jak tam głowa?

Usiadła na porysowanym sosnowym stole.

- Cały czas boli, ale da się wytrzymać. Połknęłam trochę tabletek przeciwbólowych, które dali mi w szpitalu.

Sięgając po imbryk, unikała mojego wzroku.

- To twoja robota? - zapytałem. Dzbanuszek miał nietypowy kształt, funkcjonalny, lecz o klarownych, eleganckich liniach.

- Tylko taka pojedyncza próba.

Zapadła cisza. Jedynym dźwiękiem było ciche brzęczenie łyżeczki, gdy Sophie mieszała sobie herbatę. Oboje patrzyliśmy, jak łyżeczka zatacza kręgi

- Zaraz ją złamiesz - zauważyłem.

- Przepraszam. - Odłożyła łyżeczkę. - Słuchaj, co do tego wcześniej... Zwykle tak się nie załamuję.

- Nie przejmuj się. Wiele przeszłaś.

- Mimo wszystko takie wyplakiwanie się na tobie... Musiałam ci pobrudzić kurtkę.

- Przyślę rachunek z pralni.

- Dobrze, przyślij.

Westchnąłem.

- Sophie, ja tylko żartowałem.

Roześmiała się zakłopotana.

- To naprawdę niezręczna sytuacja, prawda?

- Trochę - przyznałem. - Słuchaj, jeśli nie chcesz, nie musisz mi teraz niczego opowiadać.

Już się robi późno i powinienem zaraz jechać.

- Wracasz do siebie już dzisiaj wieczorem? - Wyglądała na zaskoczoną. - Nie mogę ci na to pozwolić. Mam pokój gościnny.

- Naprawdę, to nie jest...

- Wyświadczysz mi przysługę. - Uśmiechnęła się nerwowo. - Poza tym przecież obiecałeś Marii.

Bardzo się starała, jednak dostrzegłem na jej opanowaniu pierwsze rysy. Po tym wszystkim, co przeżyła, nie mogłem mieć pretensji, że jest roztrzęsiona.

- W porządku, jeśli na pewno tego chcesz.

Zeszło z niej trochę napięcia.

- Jesteś głodny? Dużo nie mam, ale mogę coś szybko upichcić.

O czymkolwiek rozmyślała Sophie, najwyraźniej nie była jeszcze gotowa, żeby o tym rozmawiać. Uznałem, że poczekam, aż nadejdzie właściwa pora. Poza tym nic nie jadłem od śniadania.

Uśmiechnąłem się.

- Umieram z głodu.

Chociaż protestowała, kazałem jej usiąść i sam przygotowałem posiłek. Nie przesadzała, mówiąc, że ma niewiele jedzenia, jednak znalazłem jajka oraz ser cheddar i usmażyłem omlety. W kuchni stał stary piecyk elektryczny, a kiedy jajka już syczały na patelni, zrobiłem jeszcze tosty z czerstwego chleba, które posmarowałem masłem.

- Boże, ależ to cudownie smakuje - oznajmiła Sophie.

Jednak tylko dziobała kolację. Gdy jedliśmy, znowu pojawiło się między nami napięcie. Poczuliśmy ulgę, kończąc posiłek.

- Chodźmy do salonu - powiedziała. - Tam będzie się nam lepiej rozmawiało.

Był to wygodny pokój: dwie duże stare sofy okryte narzutami, miękkie dywany na wypolerowanym parkiecie i kominek. Nie protestowałem, kiedy Sophie nalegała, że sama w nim rozpali. Rozpoznałem w tym kolejny sposób na ożywienie rozmowy.

Po rozpaleniu w kominku usiadła na drugiej sofie, tak że dzielił nas stolik na kawę. Ogień buzował, wypełniając pokój dymnym zapachem płonącej sosny. Było tutaj przytulniej niż w jaskrawo oświetlonej kuchni. Sophie i ja jeszcze nigdy nie zostaliśmy tylko we dwoje. Uświadomiłem sobie, jak mało się znamy. Przesiadywanie z nią w blasku płomieni wydało mi się jakoś dziwnie intymne.

- Napijesz się brandy albo czegoś w tym rodzaju? - zapytała. Czulem wyraźny zapach szamponu z jej włosów.

- Nie, dziękuję.

Odchrząknęła.

- Słuchaj... Ja chciałam powiedzieć... Słyszałam o twojej rodzinie. Tak mi przykro.

Tylko skinąłem głową. Drewno trzaskało w kominku. Sophie uśmiechnęła się nerwowo, wyłamując palce.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Dlaczego tutaj trafiłaś? Od pracy doradcy behawioralnego do wypalania ceramiki daleka droga.

Uśmiechnęła się.

- Tak, całkiem daleka. Przypuszczam, że miałam już dość. Dość oglądania tylko ciemnej strony życia, tego bólu. I dość niepowodzeń. Po fiasku z Monkiem straciłam całą pewność

siebie, zaczęłam wątpić we wszystko, co do tej pory zrobiłam. Doszło do tego, że nienawidziłam, że się budzę rano. Zrezygnowałam więc, zanim się zupełnie wypaliłam.

Sophie rozejrzała się po pokoju, jakby widziała go pierwszy raz.

- Mieszkam tutaj od czterech... teraz już od pięciu lat. Boże! Ceramika była moim hobby, a kiedy zobaczyłam, że ten dom jest na sprzedaż, pomyślałam sobie, czemu nie? Zawsze podobało mi się w Dartmoor i chciałam zacząć od nowa, robić coś zupełnie innego. Potrafisz to zrozumieć?

Potrafiłam. Pewnie nawet lepiej, niż sądziła.

- Pierwsze, co zrobiłam, było spalenie wszystkich notatek - kontynuowała. - Wszystkich. Z każdej sprawy, nad którą pracowałam. Wszystko poszło z dymem. Poza jedną.

- Sprawą Jerome'a Monka - powiedziałam.

Pokiwała głową.

- Nie wiem, dlaczego tych notatek także nie spaliłam. Może dlatego, że trafiłam tutaj, niedaleko miejsca, gdzie wszystko się wydarzyło... - Zaciśnęła dłonie na kolanie tak mocno, aż zbieleły jej kostki. Przez kilka chwil jedynym dźwiękiem w pokoju był trzask płomienia dochodzący z kominka. - Myślałeś o tym czasem?

- Nie. Dopóki Monk nie uciekł.

- Ja mnóstwo o tym rozmyślałam. - Sophie spojrzała na swoje zaciśnięte dłonie. - Mieliśmy świetną okazję, żeby się dowiedzieć, gdzie pochowano Lindsey oraz Zoe Bennett i ją zmarnowaliśmy.

- Nie będę udawał, że dla nas wszystkich to nie było ważne wydarzenie, ale czasem tak się właśnie dzieje. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. To, co się potem stało, nie było już niczyją winą.

Szybko pokręciła głową, jej twarz spochmurniała.

- Powinniśmy zrobić więcej. Powinam zrobić więcej.

- Monk miał swoje powody, aby tam się znaleźć, i nie miało to żadnego związku z zaprowadzeniem nas do grobów. Szukał tylko okazji do ucieczki. I prawie mu się udało.

- Ale właśnie o to chodzi, że wcale tak nie myślę. - Machnięciem ręki uciszyła mnie, zanim zdołałam się sprzeciwić. - Owszem, w porządku, chodziło mu o ucieczkę. Ale nie tylko. Nie sądzę, że jedynie dlatego zgodził się nam pomóc. Jego reakcja na widok grobu Tiny Williams. Wątpię, żeby udawał, jestem pewna, że naprawdę próbował sobie przypomnieć!

Patrzyła na mnie jak najszczerzym spojrzeniem, pragnąc, abym jej uwierzył. Ostrożnie dobierałam słowa.

- Jerome Monk znał wrzosowisko lepiej niż ktokolwiek inny. Zanim go złapali, ukrywał się na nim całe miesiące. Gdyby chciał, mógłby nas zaprowadzić prosto do grobów.

- Niekoniecznie! Powiedziałabym, że nie tak od razu. Nie po roku, a szczególnie nie, jeśli pochował ofiary nocą. Ludzie wypierają z umysłu różne rzeczy, chociaż wcale tego nie planują. Czasem tak się dzieje, gdy mają jakieś bolesne wspomnienia, albo kiedy mózg ma zbyt wiele do przerobienia i zwyczajnie jest przeciążony.

- To by pasowało do jakiegoś zwykłego człowieka, który po prostu stracił na sobą panowanie, ale mówisz o Jeromie Monku - sprzeciwiłem się. - To socjopatyczny, seryjny morderca, drapieżca. On nie ma sumienia.

- W jakimś stopniu może je mieć - upierała się. - Nie bronię go ani tego, co zrobił. Jest brutalny i nieprzewidywalny, jednak to nie oznacza, że nie ma do niego żadnego dostępu. To właśnie dlatego ja...

Urwała. Na zewnątrz zahukała sowa.

- To właśnie dlatego ty co? - zapytałem.

- To... właśnie dlatego do niego pisałam.

- Pisałaś do Monka?

Buntowniczo wysunęła podbródek.

- Od kiedy się tutaj przeprowadziłam. Pisałam raz do roku, w rocznicę morderstwa Angeli Carson. Nie mamy pewności, kiedy zabijał inne ofiary, więc pomyślałam... Tak czy owak, raz do roku pisałam do niego i zachęcałam, żeby zrobił to, co właściwe. I proponowałam, że mu w tym pomogę.

Patrzyłem na nią przerażony.

- Sophie, na miłość boską!

- Nigdy nie odpisał, ale jedyne, czego potrzebowałam, to jakiś punkt orientacyjny, jakaś wskazówka co do miejsca! Gdyby potrzebował pomocy, żeby sobie przypomnieć, przecież prędzej zwróciłby się do kogoś, kto nie jest powiązany z policją! Jakby to mogło zaszkodzić?

Chryste. Przetarłem oczy.

- Czy w tych listach podawałaś swój adres?

- No, tak. - Zacisnęła pięści, pochyliła głowę zmieszana. - Nie wiedziałam, jak inaczej mógłby odpisać.

- Policja o tym wie?

- Policja? Nie... Skąd... Nie sądziłam, żeby to było ważne...

- Nie było ważne? Sophie, napadnięto cię dzień po tym, jak z więzienia uciekł morderca i gwałcieł, a ty nie sądziłaś, że warto wspomnieć, że do niego pisałaś?

- Byłam skołowana, dobra? - zezłościła się. - Owszem, wiem na jaką głupią wyszłam, ale przynajmniej czegoś spróbowałam! Za każdym razem, kiedy widzę torfowisko, myślę, że wciąż leżą tam te dwie dziewczyny, dwie siostry! I nikt nie próbuje ich odnaleźć! Jak myślisz, jak się czuje ich rodzina? Wiem, jak ja się czuję, ze świadomością, że mogliśmy coś z tym zrobić i nie zrobiliśmy!

Głos drżał jej z emocji. Przypomniałem sobie, że wiele przeszła. Musiało być jej ciężko.

- Powinnaś powiadomić policję - powiedziałem łagodnie. - Możesz powiedzieć Terry'emu Connorsowi i...

- Nie!

- Sophie, nie masz wyboru. Dobrze o tym wiesz.

Sądziłem, że zamierza się ze mną spierać, ale bunt jakby z niej wyparował. Wpatrywała się w płomień migoczący w kominku.

- Powiem policji, ale pod jednym warunkiem. Zadzwońłam, żeby cię poprosić o przysługę. To się nie zmieniło.

Po wszystkim, co się wydarzyło, prawie zapomniałem, dlaczego chciała się ze mną spotkać.

- O co chodzi?

Uniosła głowę. Blask z kominka naznaczył jej twarz tygrysimi paskami, kryjąc w świetle i cieniu.

- Chcę, żebyś mi pomógł znaleźć groby.

Rozdział 15

Miejscowość okazała się kolonią powojennych bliźniaków. Domy z oknami wykuszowymi aspirowały kiedyś do bycia siedzibami klasy średniej, ale teraz były podniszczone i zaniedbane. Przy kilku budynkach wśród popękanych drózek i odłazającej farby zobaczyłem schludne, nowoczesne altanki oraz nowe okna. Stanowiły jednak tylko optymistyczne akcenty w otoczeniu, które lepsze czasy miało za sobą.

- Na następnym skrzyżowaniu skręcaj w lewo - poleciła Sophie.

Wydawała się spokojna, jednak miała w sobie podskórną nerwowość, którą z trudem starała się ukryć. Wciąż nie wiedziałem, dokąd jedziemy albo dlaczego zmierzałem we

wskazywanym przez nią kierunku.

- Po co ta tajemnica? - zapytałem.

- To żadna tajemnica. Po prostu lepiej, żebyś poczekał, aż dotrzemy na miejsce.

Nie protestowałem. Zdawało mi się, że lepiej po prostu zgodzić się na to, cokolwiek wymyśliła. Wiedziałem, że Sophie jest uparta, ale jej determinacja, by odnaleźć ciała Lindsey i Zoe Bennett, graniczyła już z obsesją. Poprzedniego wieczoru próbowałem ją przekonać, że sami niczego nie wskóramy, że nie możemy liczyć na sukces, skoro nie udała się zakrojona na szeroką skalę policyjna akcja poszukiwawcza.

Ale już nie strzepiłem języka.

- Wciąż możemy spróbować - nalegała.

- Sophie, ja nawet nie wiem, gdzie moglibyśmy zacząć! Nie wiemy nawet, czy Monk pochował Zoe i Lindsey niedaleko Tiny Williams. A nawet jeśli, to lokalizacja grobu jest raczej specjalnością Wainwrighta, nie moją.

Opowiedziałem Sophie o stanie, w jakim zastałem archeologa, chociaż i tak nie było większych szans, aby go poprosiła o pomoc. Zbyła mój argument.

- Wainwright nie potrafił patrzeć dalej niż sięgało jego ego. Bardziej niż wszystko inne interesowała go własna reputacja. Nawet wtedy byłeś równie dobrym specjalistą jak on.

- Pochlebia mi, że tak uważasz, ale nawet jeżeli to prawda, powinnaś być realistką. Nikt nie lubi ponosić porażek, ale wszystko, co moglibyśmy zrobić, wypróbowano już ostatnim razem.

- Nie zgadzam się.

Ścisnąłem grzbiet nosa.

- Sophie...

- Słuchaj, ja nie twierdzę, że naprawdę zdołamy je znaleźć, nie my sami. Wszystko, czego chcę, to spróbować dowiedzieć się tyle, żeby policja rozpoczęła nowe poszukiwania! Jeden dzień, tylko o to proszę. Daj mi jeden dzień, a jeśli nadal będziesz sądził, że tylko marnujemy czas, to możesz zrezygnować.

- Tylko ja nie wiem, jak...

- Jeden dzień. Proszę.

Powinienem powiedzieć „nie”. Nie mogliśmy liczyć, że coś osiągniemy w zaledwie jeden dzień. Nie było sensu podtrzymywać jej nadziei. Już miałem odmówić, ale nawet w blasku płomieni w oczach Sophie ujrzałem błaganie. Siedziała, zaciskając dłonie, czekając, aż odpowiem. Czułem, że popełniam błąd.

- Dobrze, jeden dzień. - Usłyszałem sam siebie.

Teraz naprawdę tego żałowałem. Twarz widziana dzisiaj rano w łazienkowym lustrze wyglądała jak moja starsza, zmęczona wersja. Źle spałem, niespokojnie przewracając się z boku na bok w małym łóżku w pokoju gościnnym, rozpaczliwie starając się nie myśleć o Sophie leżącej za ścianą. Kiedy wreszcie zasnąłem, obudziłem się nagle, ciężko dysząc, przekonany, że do domu właśnie włamuje się Monk. Jednak w ciemnym wnętrzu wciąż panowała cisza, jedynym dobiegającym z zewnątrz dźwiękiem było pohukiwanie sowy. Zanim wyruszyliśmy na tę tajemniczą przejażdżkę, dałem Sophie wizytówkę z numerem komórki Terry'ego. Obiecała powiedzieć policji o listach do Monka, pod warunkiem że zgodzę się pomóc jej w poszukiwaniach grobów. Pomyślałem wtedy, że wolałaby porozmawiać raczej z nim niż z kimś obcym. Kiedy telefonowała, udałem, że szukam czegoś na górze w swoim pokoju. Ociągałem się z zejściem na dół, czekając, aż ucichnie jej szepczący głos.

- Skrzynka głosowa - oznajmiła, oddając mi wizytówkę. - Nagrałam mu wiadomość.

Miała wystudiowany, obojętny wyraz twarzy. Bez słowa schowałem wizytówkę z powrotem do portfela. Może i zadzwoniła do Terry'ego, ale nic z tego, co słyszałem nie wskazywało, aby nagrała mu wiadomość.

To brzmiało jak rozmowa.

Musieliśmy czekać, aż zjawi się miejscowy ślusarz i naprawi drzwi, dlatego wyjechaliśmy dopiero wczesnym popołudniem. W samochodzie panowała ciężka atmosfera, gęstniejąca im bardziej zbliżaliśmy się do celu podróży - Jakikolwiek był. Sophie poprowadziła mnie do ślepego zaułka, gdzie droga zakręcała, robiąc pętle.

- Zatrzymaj się tutaj.

Wyłączyłem silnik. Po obu stronach wznosiły się domy bliźniaki. Spojrzałem na nią wyczekująco. Obdarzyła mnie wymuszonym uśmiechem.

- Po prostu mnie znoś. W porządku?

Skoro dotarłem już tak daleko... Zamknąłem samochód i ruszyłem za nią przez furtkę z żelaznej siatki, prowadzącą do najbliższego domu. Krótka ścieżka wiodła ku drzwiom frontowym za starannie utrzymanym trawnikiem i klombami. Zdenerwowanie Sophie stało się jeszcze wyraźniejsze, kiedy naciskała plastikowy przycisk dzwonka. Z wewnątrz zabrzmiały dzwony Westminsteru, po chwili drzwi się otworzyły.

Kobieta, która nam otworzyła, dobiegała pięćdziesiątki albo niedawno ją skończyła. Miała jasne włosy i miłą twarz, jednak wydawała się znużona. Uśmiechała się, lecz podobnie jak u Sophie ten uśmiech wydawał się wymuszony.

- Cześć, Cath. Przepraszam, jesteśmy trochę później, niż mówiłam - oznajmiła Sophie.

Dłoń kobiety powędrowała do ust, gdy zobaczyła siniak.

- Nie szkodzi. Co ci się stało? Wszystko w porządku?

- Och, nic mi nie jest, tylko potknęłam się w łazience - odpowiedziała szybko. - Cath, poznaj doktora Davida Huntera. Davidzie, to Cath Bennett.

To nazwisko podziało na mnie jak kubeł zimnej wody. Bennett. Tak jak Zoe i Lindsey Bennett. Teraz już wiedziałem, z kim Sophie rozmawiała przez telefon, udając, że dzwoni do Terry'ego.

Przyprowadziła nas do matki zamordowanych bliźniaczek.

Kobieta zwróciła ku mnie swój kruchy uśmiech.

- Miło pana poznać, doktorze Hunter.

Wymamrotałem coś uprzejmego. Gdy wchodziłem do domu, Sophie unikała spoglądania w moją stronę, jednak po rumieńcu biegnącym w górę jej szyi poznałem, że wie, jak bardzo jestem rozeźlony. Wręcz nie mogłem uwierzyć, że zrobiła coś takiego, zupełnie bez ostrzeżenia. Nigdy nie spotykaj się z rodzinami ofiar. Nigdy. I bez tego jest ciężko, nie trzeba jeszcze sobie dodawać emocjonalnego ciężaru. Sophie dobrze o tym wiedziała, a jednak mnie tutaj przyprowadziła.

Zastanawiałem się, co jeszcze przede mną ukrywa.

Starłem się trzymać emocje na wodzy. Dom był wręcz obsesyjnie wysprzątany, w powietrzu unosiły się gryzące zapachy wybielacza i odświeżacza. W grubym dywanie odkurzacz wyrył wirujące wzory, wyglądające jak kręgi w liliowym zbożu.

Drzwi zaszeptały, gdy Cath Bennett zaprowadziła nas do nieskazitelnie czystego salonu. Sofę i dobrane do niej krzesła ustawiono z prawie chirurgiczną precyzją, szklany blat stolika na kawę wypolerowany był na błysk. Na gzymsie kominka lśniły ceramiczne figurki i zwierzęta, nie było na nich nawet pyłka.

Wszędzie stały oprawione w ramki zdjęcia nieżyjących dziewczyn.

- Proszę usiąść - zaproponowała ich matka ze sztywną uprzejmością. - Mąż jest w pracy, ale i tak na wiele by się nam nie przydał. Wciąż nie potrafi o tym rozmawiać. Napijcie się herbaty albo kawy?

Sophie unikała patrzenia w moją stronę.

- Chętnie napiłabym się herbaty.

Zdołałem się uśmiechnąć.

- Ja też poproszę.

Wyszła, pozostawiając nas ze zdjęciami swoich zamordowanych córek. Uśmiechały się do nas z całego pokoju, dwie identycznie ładne ciemnowłose dziewczyny. Oderwałem od

nich wzrok i spojrzałem na Sophie.

- Proszę, nie denerwuj się - powiedziała pospiesznie. - Przepraszam, że tak z tym wyskoczyłam, ale wiedziałam, że inaczej byś nie przyszedł.

- Masz rację. Co ty sobie, do cholery, myślałaś?

- Chciałam ci przypomnieć, jaka jest stawka! O co tu naprawdę chodzi!

- Myślisz, że ja tego nie wiem? - Opanowałem się z wysiłkiem. - Sophie, to jest złe. Nie powinniśmy tutaj być.

- Teraz już nie możemy wyjść. Tylko pół godziny, dobrze?

Nie ufałem sobie na tyle, aby odważyć się coś powiedzieć. Siedzieliśmy w ciszy, dopóki nie wróciła Cath Bennett, niosąc tacę z herbatą. Na tacy były jej najlepsze filiżanki i spodki, talerzyk ze schludnie ułożonymi herbatnikami.

- Proszę sobie posłodzić i częstować się mlekiem oznajmiła, siadając na sofie. - Doktorze Hunter, Sophie mówiła, że jest pan antropologiem sądowym. Niezupełnie wiem, co to znaczy, jednak bardzo doceniam to, czym pan się teraz zajmuje.

„Czym pan się teraz zajmuje?” Sophie rzuciła mi błagalne spojrzenie.

- David brał udział w pierwszych poszukiwaniach na wrzosowisku, osiem lat temu - powiedziała szybko.

- Już dziesięć lat. - Cath Bennett sięgnęła po fotografię w ramkach, stojącą na gzymsie kominka. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że to było tak dawno. Teraz skończyłyby dwadzieścia osiem lat. W maju.

Podawała mi fotografię. Wziąłem ją niechętnie, czując się, jakbym właśnie godził się na jakiś pakt. To nie było to samo zdjęcie, które wykorzystywano w gazetach i jakie, zaledwie kilka dni temu, widziałem w Internecie. Wyglądało jednak na to, że zrobiono je mniej więcej w tym samym czasie. Niedługo przed tym, jak Jerome Monk porwał i zamordował obie siedemnastolatki, w odstępie niecałych trzech dni. Fotografia przedstawiała roześmiane siostry stojące obok siebie. Każda stanowiła doskonale odbicie drugiej. Jednak istniała pewna subtelna różnica. Śmiały się obie, lecz jedna szczerzyła się beczelnie do obiektywu. Wyzywająco patrzyła prosto w aparat. Dla kontrastu, jej siostra bliźniaczka wydawała się bardziej powściągliwa, pochylała trochę głowę, jakby zażenowana.

- Kolor włosów miały po tacie - kontynuowała ich matka. - Zoe najbardziej przypominała Alana. Ekstrawertyczka, nawet jako mała dziewczynka. Mogę powiedzieć, że mieliśmy przy niej masę roboty. Lindsey była cicha. Może i wyglądały podobnie, ale pod każdym innym względem były jak ogień i woda. Gdyby one...

Umilkła. Jej usta zadrżały.

- Tak. Nie ma co się bawić w „co by było, gdyby”. Spotkał go pan, prawda? Jerome'a Monka?

Pytanie kierowała do mnie.

- Tak.

- Chciałabym mieć taką szansę. Zawsze żałowałam, że nie poszłam na proces. Chciałabym stanąć przed nim i spojrzeć mu w oczy. Nie żeby to coś dało, na co zresztą wszystko wskazuje. A teraz on uciekł.

- Na pewno zaraz go złapią - zapewniła Sophie.

- Ja mam nadzieję, że go zabiją. Wiem, że powinno się wybaczyć i żyć dalej, ale nie umiem. A po tym, co zrobił, to po prostu mam nadzieję, że ktoś tak zły jak on będzie cierpiał. Doktorze Hunter, ma pan dzieci?

Pytanie dopadło mnie z zaskoczenia. Poczulem ciężar trzymanej w dłoni fotografii.

- Nie.

- To pan nie może wiedzieć, jak to jest. Jerome Monk nie zabił po prostu naszych córek, on zabił naszą przyszłość. Wszystko przepadło, patrzenie jak Zoe i Lindsey wychodzą za mąż, jak rosną wnuki. I nawet nie mamy grobu, na który moglibyśmy zanieść kwiaty. Rodzice Tiny Williams mają przynajmniej tyle.

- Przykro mi - powiedziałem, chociaż nie wiedziałem, za co właściwie przepraszam.

- Niepotrzebnie. Wiem, że osiem lat temu zrobił pan wszystko, co w pana mocy, żeby je odnaleźć. I doceniam to, cokolwiek pan teraz robi. Co oboje robicie. Alan... nie lubi dużo o tym mówić. Właśnie dlatego mówiłam Sophie, żeby zajrzała w ciągu dnia, kiedy on jest w pracy. Naszym dziewczynkom nic już nie przywróci życia, ale będzie dla nas pociechą wiedzieć, że spoczywają gdzieś w pokoju.

Odstawiłem fotografię na stolik. Wciąż jednak czułem na sobie spojrzenie oczu martwych dziewczyn, spoglądających z każdego zdjęcia w tym idealnym smutnym pokoju.

Kiedy jechaliśmy z powrotem do Dartmoor, między mną a Sophie ziała przepaść. Byłem wściekły na nią, na Monka, na siebie samego. Oprócz tej wściekłości bolała jeszcze rana niechcący otwarta przez Cath Bennett.

„Ma pan dzieci? To pan nie może wiedzieć, jak to jest”.

Ulice i domy ustąpiły miejsca wiejskiej okolicy i dopiero wtedy Sophie przerwała ciszę.

- Przepraszam. To był zły pomysł, w porządku? - wyrzuciła z siebie. - Skontaktowałam się z nią kilka miesięcy temu i... no, pomyślałam, że jeśli się z nią zobaczysz...

Nie byłem jednak w nastroju, aby tak łatwo odpuścić.

- To co? To nie będę potrafił powiedzieć „nie”?

- Nigdy cię do niczego nie zobowiązywałam. Powiedziałam tylko, że mógłbyś pomóc! Musiała po prostu uznać...

- A czego się spodziewałaś? Przecież jej zamordowano córki! Każdego dnia ma nadzieję, że usłyszy o ich odnalezieniu! Takie rozbudzanie nadziei to zwykle okrucieństwo!

- Ja tylko chciałam zrobić coś dobrego! Przepraszam, dobra?

Przełknąłem wściekłą odpowiedź. Zbyt szybko wszedłem w zakręt na błotnistej drodze, samochodem lekko zarzuciło.

- Przyspieszasz - zauważyła Sophie.

Zdjąłem nogę z gazu, pozwalając autu zwolnić. Uszło ze mnie nieco złości. Ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ja za kierownicą nigdy nie powinienem tracić nad sobą kontroli.

- Przepraszam, nie powinienem krzyczeć.

- To moja wina. - Sophie patrzyła przez okno, pocierając skroń. - Masz rację. Nie powinnam tego robić. Myślałam... Nie, to nie ma znaczenia.

- Boli cię głowa?

- Nie. - Opuściła rękę. Zbliżaliśmy się do skrętu na Padbury. - Nie jedź tam jeszcze - powiedziała, kiedy szykowałem się, by w niego wjechać.

- Jeszcze nie wracamy do ciebie?

- Jeszcze nie. Chciałabym najpierw pojechać w jedno miejsce. Nie martw się, to nie wiąże się z żadnym spotkaniem - dodała, kiedy na nią spojrzałem.

Uznałem, że próby Sophie wywarcia na mnie wpływu zakończyły się wraz z wizytą u Cath Bennett. Dokąd jedziemy, zrozumiałem, dopiero gdy minęliśmy zarośnięty wał ziemny, tam gdzie kiedyś był wodny kołowrót.

Black Tor

Okolica, w której pochowano Tinę Williams.

Skręciłem bez pytania. To przypominało podróż w czasie. Minąłem miejsce, gdzie osiem lat temu zatrzymała mnie policjantka, i zaparkowałem na końcu błotnistej ścieżki przecinającej wrzosowisko i biegnącej w stronę skał. Gdy zjawiłem się tutaj ostatnim razem, cała okolica była zastawiona przyczepami, furgonetkami i samochodami. Teraz, jeśli nie liczyć kilku owiec pasących się w oddali, widziałem tylko puste torfowisko.

Wyłączyłem silnik.

- Co teraz?

- Myślę, że się przespacerujemy. - Sophie uśmiechnęła się słabo.

- Sophie... - westchnąłem.

- Chcę jedynie pójść tam, gdzie był grób. Tylko tyle. Obiecuję, nie będzie już żadnych niespodzianek.

Zrezygowany wysiadłem z auta. Chłodny wiatr zmierzwił mi włosy. Powietrze było rześkie, z nutką siarkowego zapachu bagna. Gdy patrzyłem na te krajobrazy, ostatni raz widziane prawie dekadę temu, czułem, jak przeszłość nakłada się na terażniejszość. Wrzosowisko ciągnęło się całymi kilometrami, zimową przeplatanką kolcolistu, wrzosu oraz zwiędłych paproci. Zniknął korytarz z policyjnej taśmy, niebieski namiot techników kryminalistycznych, majaczący w oddali. Ale i tak wszystko okazało się niesamowicie znajome. Ten sam układ formacji skalnych, te same fale z pagórków i niecek. Lata jakby odpłynęły, a ja przestałem czuć, ile już czasu minęło od tamtych chwil.

I jak wiele się zmieniło.

Obok stała Sophie. Ręce trzymała w kieszeniach kurtki, przyglądała się torfowisku. Jeśli była poruszona, to nie dawała tego po sobie poznać.

- Czeka nas długi spacer. Na pewno dasz radę? - zapytałem. Przyjazd tutaj jakby zdmuchnął całą moją wściekłość. Może właśnie na to liczyła Sophie.

- Nic mi nie jest. - Spojrzała na szare niebo. - Lepiej się pospieszmy. Zaraz się ściemni.

Miała rację: już zmierzchało, popołudnie przechodziło w jesienny wieczór. Nade mną zaczynał się tworzyć kobierzec rzadkiej mgły unoszącej się z wrzosowiska jak para z końskiego grzbietu. Zanim zamknąłem samochód, wziąłem latarkę ze schowka na rękawiczki. Wprawdzie powinniśmy wrócić do auta na długo przed zmierzchem, ale kiedyś zgubiłem się nocą na wrzosowisku i nie było to doświadczenie, jakie chciałbym powtórzyć.

Ruszyliśmy ścieżką prowadzącą do Black Tor. Mniej więcej w połowie drogi Sophie zatrzymała się, zwracając twarz ku wrzosowiskom po naszej lewej stronie.

- Dobra, właśnie stąd taśma policyjna była rozpięta do grobu.

- Skąd możesz to wiedzieć? - Nie widziałem, aby to miejsce wyróżniało się czymś szczególnym.

Sophie zerknęła na mnie z ukosa, z krzywym uśmiechem.

- Coś nie tak? Nie ufasz mi?

- Po prostu nie wiem, jak możesz to pamiętać. Tutaj dla mnie wszystko wygląda tak samo.

Pochyliła się, przysuwając bliżej. Kiedy coś wskazywała, położyła mi delikatnie rękę na ramieniu. Spróbowałem się skupić na tym, co mówiła.

- Cała sztuczka polega na tym, aby zapamiętać punkty orientacyjne, które są niezmiennie.

Widzisz tę drugą formację skalną? Powinna być pod kątem prostym do miejsca, w którym teraz stoimy. A jeśli spojrzysz tam...

Odwróciła się, a że stała tak blisko mnie, odwróciłem się razem z nią.

- Tam, w ziemi, jest rozpadlina. Jeśli stoimy w odpowiednim miejscu, to jej koniec powinien być w jednej linii z tamtym wzniesieniem z płaskim kamieniem na szczycie. Widzisz?

Pokiwałem głową, ale tak naprawdę nie skupiałem się na tym, co mówi. Wciąż się do mnie przyciskała. Kiedy spojrzeliśmy na siebie, odgarnęła z czoła kosmyk zdmuchnięty wiatrem, a potem się odsunęła.

- Tak czy owak... Tu jest również naturalne wejście na torfowisko - oznajmiła. - Wzdłuż większej części ścieżki biegnie strome zbocze, ale akurat tutaj łatwiej zejść. Czy możemy...?

- Dobra.

Cieszyłem się, że znowu idziemy. Koncentruj się na tym, co masz do zrobienia, pomyślałem. Zbocze wiodące w dół ze ścieżki może nie było strome, ale okazało się znacznie bardziej zarośnięte, niż pamiętałem. Zgramoliłem się na dół, a następnie odwróciłem, żeby pomóc Sophie. Zeszła pospiesznie, a gdy ją podtrzymałem, rzuciła mi uśmiech pełen zakłopotania.

- Na pewno dasz radę znaleźć bez mapy miejsce, gdzie był ten grób?

- Na pewno.

Droga okazała się trudna. Nawet gdy wrzos ustąpił miejsca ostrym bagiennym trawom, nadal nie widzieliśmy, gdzie stawiamy kroki. Moje buty chlupotały w grzędawisku albo potykałem się o jakiś ukryty kamień czy korzeń. Jednak Sophie zdawała się dobrze wiedzieć, którądy ma iść, omijała kłujący kolcolist i błoto, jakby zmierzała po niewidzialnej ścieżce. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że orientując się w terenie, wcale nie ogranicza się do czytania z krajobrazu.

- Bywałeś tu ostatnio, prawda? - zapytałem.

Odgarnęła włosy z oczu.

- Raz czy dwa.

- Dlaczego?

Tutaj już nie można było znaleźć nic wartego uwagi, nie po tak długim czasie.

- Nie wiem. To jest taki... prawie święty obowiązek. Wiedzieć, co się stało, wiedzieć, że tutaj kogoś pogrzebano. Ty czegoś takiego nie czujesz?

Owszem, coś czułem, ale raczej drażniący niepokój. Jakbym był obserwowany. To głupie, ale miałem nieprzyjemną świadomość, że jesteśmy sami, na odludziu, że daleko

odeszliśmy od drogi. Tymczasem światła stale ubywało, a pasma upiornej mgły zasnuwały jamy i zagłębienia. Zauważyłem, że zerkam na najbliższe skały i kępy kolcolistu.

- Daleko jeszcze? - zapytałem.

- Niedaleko. Tak naprawdę to tylko... - urwała, spoglądając przed siebie.

W torfowisku było pełno dołów.

Dopóki staliśmy bezpośrednio nad nimi, chowały się w trawie i wrzosie. Teraz jednak naliczyłem z pół tuzina dołów, każdy miał około trzydziestu centymetrów głębokości i dwa razy tyle długości. Wykopano je niestarannie, rozrzucając wokół grudy torfu. Zdawało się też, że bez żadnego wzoru albo schematu.

Spojrzałem na Sophie.

- To nie ty...?

- Nie, oczywiście, że nie! Kiedy przyszedłem tutaj ostatnim razem, ich nie było! - mówiła szczerze oburzona, zatem nie miałem do czynienia z jakąś jej kolejną niespodzianką. - Mogło je wykopać zwierzę?

Przykucnąłem obok najbliższego dołu, nieco mniejszego od pozostałych, jak gdyby porzuconego w trakcie kopania. Krawędzie dołu stanowiły efekt precyzyjnych pionowych cięć łopaty. Na dnie zwijała się równo odcięta połowa dżdżownicy. Prawie usłyszałem głos Wainwrighta: „*Limbricus terrestris*. Zbytne komplikowanie szkodzi”.

- Wykopano je szpadlem - oznajmiłem, prostując się. - Gdzie leżała Tina Williams?

- O, tutaj. - Sophie wskazała płachetek ziemi, nieporuszony, porośnięty trawą i wrzosem. Doły były nieregularnie wykopane wokół niego.

- Jesteś pewna?

- Jestem. Kiedy pierwszy raz tutaj wróciłam, kupiłam sobie mapę turystyczną, żeby pozaznaczać współrzędne. Potem już nigdy jej nie potrzebowałam. - Podeszła i stanęła obok mnie. - To był Monk, prawda?

Nie odpowiedziałem: dobrze wiedzieliśmy, że mógł to zrobić tylko jeden człowiek. Żaden z tych otworów nie był wystarczająco duży na grób. Bardziej przypominały toporne próby wykopów badawczych, takich jak wykonany przez Wainwrighta, kiedy znaleźliśmy martwego borsuka.

- Nie rozumiem, dlaczego Monk miałby tutaj kopać? - zapytała Sophie, rozglądając się wokół z niepokojem.

- To musi mieć coś wspólnego z grobami. Zawsze mi mówiłaś, że mógł mówić prawdę, kiedy twierdził, że nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie są mogiły. Może jednak miałaś rację.

- Nie o to mi chodziło. Mnie wcale nie zaskakuje, że nie potrafił odnaleźć mogił po tak

długim czasie, jeśli ich szukał. Ale dlaczego w ogóle miałby ich szukać?

O tym akurat nie pomyślałem. Nie było niczego niezwykłego w tym, że mordercy wykopywali ofiary i grzebali je gdzie indziej, czasem więcej niż raz. Jednak zazwyczaj robili to w panice, wiedzeni paranoicznym przymusem ukrycia dowodów. Tutaj coś takiego nie pasowało. Monk przyznał się do morderstw, a miejsce pochówku Zoe i Lindsey Bennett od ośmiu lat pozostawało nieznane.

Po co teraz ich szukać, przekopując pół torfowiska?

Przyląpałem się na tym, że znowu wpatruję się w dżdżownicę, próbując uparcie zagłębić się w ziemi. Coś w niej nie dawało mi spokoju. A potem sobie uświadomiłem co.

Dżdżownice, nawet te przecięte, nie pozostają długo na powierzchni. Albo szybko się zagrzebią, albo zostaną zjedzone. Ta jednak się jeszcze nie ukryła. Dół w którym leżała, był mniejszy od innych. Jakby kopiający przerwał w połowie lub...

- Musimy iść... - powiedziałem.

Sophie się nie poruszyła. Patrzyła na wrzosowisko.

- David...?

Podążyłem za jej spojrzeniem. Nie więcej niż sto metrów dalej stała nieruchomo i obserwowała nas jakaś postać. Pojawiła się jakby znikąd. W pobliżu nie było krzaków ani skał, za którymi ten ktoś mógłby się ukrywać. Tak naprawdę w coraz bledszym świetle dnia widzieliśmy właściwie tylko sylwetkę, nieruchomą pośród mgły unoszącej się znad ziemi. Była straszliwie znajoma.

Szerokie ramiona wieńczyła blada kula głowy.

W jednej chwili wszystko jakby zamarło. A potem postać ruszyła w naszą stronę. Złapałem Sophie za rękę.

- Chodź.

- O Boże, to on, prawda? To jest Monk!

- Po prostu idź.

Okazało się, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Wrzos czepiał się butów jak drut kolczasty, białe macki mgły rozchodziły się po ciemniejszym torfowisku niczym ogromna pajęczyna. I znowu przydałaby się nam lepsza widoczność. Teraz każdy krok stawał się zdradliwy. Jeśli któraś z nas upadnie albo skreśli kostkę...

Nie myśl o tym. Trzymałem Sophie za rękę, pchając ją w stronę ścieżki. Na drodze ledwie było widać samochód, taki maleńki, kolorowy sześcian niknący w zmierzchu. Aż ścisnęło mnie w dołku, kiedy zobaczyłem, jak bardzo odległy się wydaje. Kusiło, aby zignorować ścieżkę, ruszyć na przełaj, przez torfowisko. Jednak taka trasa, chociaż krótsza,

mogła oznaczać przedzieranie się przez wrzosa i trzęsawisko. Wtedy szlibyśmy jeszcze dłużej, a w coraz słabszym świetle dnia nie chciałem podejmować takiego ryzyka.

Kiedy ponownie się obejrzałem, zarówno mnie, jak i Sophie brakowało już oddechu. Postać znalazła się bliżej, skracając dystans. Nie rozpraszaaj się. Idź. Odwróciłem z powrotem głowę, skupiając się na ścieżce przed nami. Nie było sensu telefonować po pomoc. Nawet jeśli był tu zasięg, i tak nikt by się nie zjawił na czas. Potykaliśmy się na kępach bagiennej trawy przypominającej trzciny, a buty chlupotały w błocie i zbierającej się pod nim wody.

Zaryzykowałem kolejne spojrzenie za siebie. Zobaczyłem, że tamta postać już nie idzie za nami. Teraz planowała nas dopaść, zanim dotrzemy do ścieżki. Szła na przelaj poprzez torfowisko, w stronę drogi.

On chciał pierwszy dotrzeć do samochodu.

Dostrzegła to również Sophie.

- David...! - wydyszała.

- Wiem. Po prostu idź.

Ścieżka była już wabiąco blisko, jednak po dotarciu do niej musieliśmy jeszcze wrócić na drogę. Ten, kto za nami podążał, nie musiał iść aż tak daleko. Szedł przez torfowisko równym, niespiesznym krokiem. O Boże, nie uda nam się! Gdy dotarliśmy do zbocza przy ścieżce, teren zaczął się wznosić bardziej stromo. Sophie ledwie szła, musiałem pomóc jej pokonać ostatnich kilka metrów, łapiąc się za kępki wrzosu, aby nas podciągnąć.

Potem znaleźliśmy się na twardszej powierzchni. Paliło mnie w piersiach, gdy ciągnąłem za sobą Sophie.

- Dalej!

- Poczekaj... daj odetchnąć - wydyszała. Twarz miała bladą i mokrą od potu. Zaraz po wyjściu ze szpitala nie powinna tak bardzo się męczyć, ale przecież nie mieliśmy wyboru.

- Musimy biec - powiedziałem.

Pokręciła głową, odpychając mnie.

- Nie mogę... nie mogę...

- Owszem, możesz - odparłem, chwytając ją mocniej i prawie ciągnąc w stronę drogi.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, nogi miałem jak z waty. Postać była odległa nie więcej niż trzydzieści, czterdzieści metrów, stała nieco z boku, pod nami, mozolnie brnąc poprzez wyboiste wrzosowisko. Ale teraz zaczęła zwalniać. Błada głowa zwróciła się w naszą stronę, gdy wlekliśmy się przez ostatnich kilka metrów. Prześladowca zatrzymał się w odległości zaledwie rzutu kamieniem. Czułem jego spojrzenie, po omacku szukając kluczyków i otwierając samochód. Sophie z trudem wsiadła, a ja pobiegłem do drzwi kierowcy, świadomy

ciemnej postaci obserwującej nas wśród sięgającej kolan mgły.

Wygrałby ten wyścig. Dlaczego zrezygnował? Nie miałem pojęcia i nie zastanawiałem się nad tym. Zatrzasnąłem drzwi, włączyłem silnik i wdusiłem pedał gazu. Kiedy auto ruszyło z rykiem, spojrzałem we wsteczne lusterko.

Na drodze ani na torfowisku nikogo nie było.

Rozdział 16

Nie zwalniałem jeszcze przez cztery albo pięć kilometrów. Zacząłem się uspokajać, dopiero gdy nabrałem pewności, że już nikt nas nie śledzi. Gdy pozwoliłem autu wrócić do normalnej prędkości, czułem, jak opuszcza mnie stres, pozostawiając wymiętym i lepkiem od potu.

- Czy już jesteśmy bezpieczni? - zapytała Sophie. Cały czas oddychała ciężko. Na tle bladej twarzy siniak wyglądał jeszcze gorzej.

- Tak sądzę. Nie miał w pobliżu samochodu, nie może za nami jechać.

Zamknęła oczy

- Zaraz zwymiotuję.

Od razu się zatrzymałem. Sophie wygramoliła się z auta, zanim na dobre stanęliśmy. Nie wyłączałem silnika, czekałem w pobliżu, bacznie przyglądając się otaczającym nas wrzosowiskom. Pomimo swoich zapewnień byłbym szczęśliwszy, gdybyśmy znaleźli się już daleko od tego miejsca. Gęstniał mrok, a szum wiatru wśród wrzosu tylko podkreślał, jak bardzo odludne jest to miejsce. Mogliśmy być jedynymi żywymi istotami w okolicy.

Jednak nie byliśmy. Kiedy czekałem na Sophie, sprawdziłem telefon. Zobaczyłem z ulgą, że mam już zasięg. Wybrałem numer Terry'ego. Bardzo chciałem, żeby odebrał. Dzwoniłem chyba długo. Sądziłem już, że zaraz odezwie się skrzynka głosowa, kiedy w końcu usłyszałem głos Connorsa.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego - mówił trochę bełkotliwie, jakby był bardzo zmęczony albo pijany. Chociaż jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby nawet Terry pił w środku tak ważnego śledztwa.

- Jesteśmy pod Black Tor. My...

- Jacy my?

- Ja i Sophie Keller. Wypisała się wczoraj ze szpitala i...

- Keller? Co tam z nią robisz?

- Czy to ważne? Monk tu jest. Właśnie go widzieliśmy! To chyba do niego dotarło.

- Opowiadaj!

Mówiłem skrótowo, świadomy zapadającego zmierzchu.

- Naprawdę widzieliście go z bliska? - zapytał Terry, kiedy skończyłem.

- Słuchaj, no przecież mówię, że to był Monk! Musisz zaraz przyjechać. Nie widziałem żadnego innego samochodu, czyli że nie mógł się zbyt oddalić.

Usłyszałem szmer, gdy Terry pocierał dłonią twarz.

- Dobra, zostaw to mnie.

- Mamy tam czekać?

- Myślę, że sami damy sobie radę. - Jego głos ociekał sarkazmem. - Jak będę cię potrzebował, to wiem, gdzie szukać.

Przerwał połączenie. Czując znajomą irytację, odłożyłem telefon i podszedłem do Sophie. Uśmiechnęła się do mnie słabo.

- Przepraszam. Falszywy alarm.

- Jak się czujesz?

- Trochę boli mnie głowa, ale nie jest tak źle. Dzwoniłeś na policję?

- Właśnie rozmawiałem z Terryem Connorem. Wszystkim się zajmie.

Zacisnęła usta na wzmiankę o Terryem, ale po raz pierwszy go nie skrytykowała.

- Mamy tutaj czekać?

- Mówi, że nie trzeba.

Gdy teraz o tym pomyślałem, trochę się zdziwiłem. Spodziewałbym się raczej, że będziemy musieli zaczekać na policję. Poczulem taką zaskakującą zmianę nastroju. Ale nie zamierzałem się spierać. Wyrząłem na wrzosowisko. Szybko robiło się ciemno, a krawędzie mojego i tak już niewielkiego pola widzenia dodatkowo rozmywała mgła. Sophie zadrżała. Wiedziałem, o czym teraz myśli.

Gdzieś tam był Monk.

Objąłem ją.

- Chodź, zabiorę cię do domu.

Kiedy dojechaliśmy do Padbury, mgła zrobiła się bardzo gęsta. Musiałem zwolnić tak bardzo, że prawie się wlokłem, w tej białej wacie przednie światła okazały się prawie bezużyteczne. Nawet nie widziałem, że już dotarliśmy do wioski, dopóki z mgły, niczym

dziób okrętu, nie wyłonił się ciemny kontur starego kościoła.

Wjechałem w alejkę pod ogrodem Sophie i wyłączyłem silnik. Gdy stygł, w dźwięczącej ciszy poczuliśmy się jak na dnie morza. Kiedy szliśmy ścieżką, przyłapałem się na tym, że rozglądam się niespokojnie i wyteżam słuch. Mgła nas obejmowała, zakrywając wszystko odległe o więcej niż kilkanaście centymetrów.

- Powinnaś mieć tutaj jakieś oświetlenie z czujnikiem ruchu - zauważyłem, kiedy z boku pojawił się stożkowaty kształt pieca, górujący ponad upiornymi konarami drzew.

- Tutaj go nie potrzebuję - powiedziała Sophie, sięgając do torebki po klucze. Zawahała się, uświadamiając sobie ironię wypowiedzianych właśnie słów. - W każdym razie, zazwyczaj.

Drzwi wejściowe wciąż były nietknięte. Nowy zamek zamontowany rano przez ślusarza wyglądał uspokajająco solidnie. Kiedy Sophie go otworzyła i włączyła światło w przedpokoju, dom był dokładnie w takim stanie, jak wtedy kiedy opuszczaliśmy go dzisiaj rano.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem spięty.

Sądząc po głębokim westchnieniu, Sophie, gdy zamknęła zasuwę, poczuła się tak samo.

- Jak tam? - zapytałem, kiedy ze znużeniem zdejmowała kurtkę.

- Bywały już lepsze dni. - Jej uśmiech nie był przekonujący. - Słuchaj, a co do tego, co się stało u Cath Bennett... Przepraszam, nie przemyślałam tego.

Jednak po ostatnich wydarzeniach tamto już nie wydawało się istotne.

- Zapomnij o tym. Tak czy siak, miałaś rację. Monk nie wykopałby tych dziur, nie mając jakiegoś dobrego powodu. Tam musi być jeszcze co najmniej jeden grób. Policja będzie musiała znowu przeszukać całą okolicę. Zdawało się jednak, że to do niej nie dociera.

- Tak sądzisz?

- Wątpię, żeby mieli jakiś inny wybór. Monk pokazał nam przynajmniej, gdzie mamy szukać. O to ci właśnie chodziło, prawda?

- Tak, oczywiście. - W jej głosie pobrzmiewała wątpliwość. - Boże, naprawdę muszę się czegoś napić.

- Myślę, że dobrze byłoby zanocować gdzie indziej.

Sophie siedziała na schodach, rozsznurowując zabłocone buty. Przerwała, aby spojrzeć na mnie, minę miała zaciętą.

- Nie.

- Możesz zatrzymać się w hotelu.

- Nigdzie nie idę.

- Już raz zostałam tutaj zaatakowana i wciąż nie wiemy przez kogo. Jeśli to był Monk...

- Gdyby to był Monk, tobym już nie żyła. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jeśli chcesz wyjechać, możesz, ale ja nie będę uciekać!

Spojrzałem na nią zdumiony. Skąd to się wzięło? Sophie westchnęła.

- Przepraszam, nie zasłużyłeś. Tylko że... Jestem przerażona i oszołomiona, a to przecież jest mój dom! Jeśli teraz go opuszczę, już nigdy nie poczuję się w nim bezpieczna. Nie potrafisz tego zrozumieć?

Potrafiłem. Co jednak nie oznaczało, że się z nią zgadzam. Jednak nie było sensu się spierać

- Myślę, że cię rozumiem.

- Dziękuję. - Podeszła i mnie uściskała. Trzymałem Sophie przez chwilę, czując ciepło. Potem znowu się odsunęła.

- Czasem potrafię być wrednym krówskiem, ale doceniam wszystko, co robisz. I nie będę miała pretensji, jeśli postanowisz odejść.

Uchyliła mi właśnie furtkę, z której mogłem skorzystać, gdybym tylko zechciał. Mogłem wyjechać stąd, wrócić do Londynu i od teraz wszystko pozostawić Sophie i policji.

Jednak nie miało się tak stać. Cokolwiek się właśnie działo, swoimi korzeniami sięgało tamtych wydarzeń sprzed ośmiu lat. Byłem w nie wówczas uwikłany i pozostawałem uwikłany po dziś dzień.

Uśmiechnąłem się do Sophie.

- Wspominałaś o czymś do picia.

Tego wieczoru gotowaliśmy razem. Na kolację przyrządziliśmy grillowane kotlety cielęce z zamrażarki, do tego rozmrożone ziemniaki i fasolkę. Nie było to wykwintne danie, jednak proste i sycące. Sophie wyjęła butelkę wina, podała mi, a sama zajęła się odmrażaniem kotletów.

- W Padbury nie ma wielu sprzedawców win - usprawiedliwiła się, nalewając do dwóch kieliszków.

- Będzie dobre - odparłem.

I faktycznie, było. Alkohol usunął wszelkie pozostałe jeszcze skrępowanie i nie protestowałem, gdy Sophie zaproponowała, aby zmywanie po kolacji zostawić na jutro. Poszliśmy do salonu, zabierając resztę wina. Włożyłem więcej drewna do kominka i roznieciłem ogień, używając do tego szczapek rozpałki i starej gazety z wiklinowego kosza. Dobrze ci to zrobi, pomyślałem.

Wkrótce za przydymionym szklanym panelem zatańczyły jaskrawe płomienie, wypędzając chłód z pokoju. Sophie i ja siedzieliśmy na dwóch końcach sofy. Nie rozmawialiśmy, jednak ta cisza była kojąca. Wypiłem kolejny łyk wina i zerknąłem na towarzyszkę. Drzemała, nogi skuliła na sofie, głowa opadła jej do tyłu, odsłaniając delikatną linię szyi. Twarz miała spokojną, odprężoną, a blask ognia złagodził widok sińca, tak że niemal można go było wziąć za jakiś cień. Mijające lata obeszły się z Sophie łaskawie.

Nie miała klasycznej urody, ale jej wyraziste rysy wciąż przyciągały uwagę. Za następnych osiem lat będą dobrze wyglądać. I za osiemnaście.

Oddychała powolnym, miarowym rytmem głębokiego snu, w rękę wciąż trzymała prawie pusty kieliszek. Wysunął się nieco, delikatnie sadowiąc się między jej piersiami. Bardzo nie chciałem przeszkadzać, ale zaczynał się zsuwać jeszcze niżej. Z każdym oddechem przemieszczał się odrobinę.

- Sophie... - odezwałem się łagodnie. Bez odpowiedzi. - Sophie?

Budziła się stopniowo, spojrzała na mnie tępo, a potem zamrugała, kiedy wróciła jej świadomość.

- Przepraszam - usprawiedliwiła się, sadowiąc prosto. - Tylko nie mów, że pociekła mi ślina.

- Tylko trochę.

Uśmiechnęła się i szturchnęła mnie.

- Świnia.

- Dlaczego nie położysz się do łóżka?

- Niezbyt to przystoi gospodarzowi, prawda? - stwierdziła, ale się nie upierała. Wstała i położyła mi dłoń na ramieniu, zachwiawszy niepewnie. - O, rety...

- Spokojnie - powiedziałem, wstając, aby ją podtrzymać. - Nic ci nie jest?

- Chyba tylko jestem zmęczona. Musiałam zbyt gwałtownie wstać.

Wciąż się na mnie opierała. Trzymałem dłonie na jej talii, stojąc na tyle blisko, aby poczuć emanowane przez nią ciepło. Żadne z nas się nie poruszyło. Oczy Sophie, kiedy pochyliła się w moją stronę, były wielkie i ciemne. Twarz rozświetlił jej uśmiech.

- No to... - powiedziała, a wtedy coś uderzyło w okno z głośnym „bum”.

Odskoczyliśmy od siebie. Podbiegłem do ciężkich zasłon i rozsunałem je jednym szarpnięciem. Na wpół oczekiwałem, że zaraz zobaczę koszmarną twarz Monka, jednak okno pozostało puste. Widziałem jedynie bezkształtną białą mgłę.

- Co to było? - zapytała Sophie, stając za mną.

- Przypuszczalnie nic.

Nie zabrzmiało to zbyt mądrze, zwłaszcza że serce waliło mi jak młotem. Przecież Monk nie mógł tutaj przyjść za nami, prawda? Ale przecież wcale nie musiał nas śledzić. Znał adres Sophie z listów.

- Zostań tutaj - poleciłem.

- Chyba nie chcesz wyjść na zewnątrz?

- Tylko rzucę okiem. - Alternatywę stanowiło kulenie się tutaj przez całą noc i zastanawianie się, co też uderzyło w okno. Jeśli okaże się, że nic takiego, moglibyśmy się uspokoić. A jeśli Monk...

Wtedy to bez żadnej różnicy.

Chwyciłem ciężki, żelazny pogrzebacz leżący obok palnika i ruszyłem do sieni. Sophie pospieszyła do kuchni, wróciła z reflektorem.

- Zamknij za mną drzwi - dodałem, biorąc od niej latarkę.

- David, poczekaj...

Jednak odsuwałem już bolce rygla drzwi frontowych i wyszedłem na zewnątrz. Widziałem jedynie mgłę. Nocne powietrze było chłodne i wilgotne, pachniało gliną i gnijącymi liśćmi. Zadrzałem, żałując, że nie pomyślałem, by zabrać kurtkę. Włączyłem reflektor. Mgła wessała jego promień, ale i tak to było lepsze niż nic. Trzymając się blisko ściany, ruszyłem w stronę okna salonu. Pogrzebacz źle mi leżał w dłoni, zacząłem się już zastanawiać, czy na pewno wpadłem na dobry pomysł. A co zrobisz, jeśli tam ktoś naprawdę jest? Co zrobisz jeśli to Monk?

Jednak było już za późno. Przed sobą widziałem przymglony poblask, z pewnością okno salonu. Przyspieszyłem kroku, chcąc wreszcie mieć to wszystko za sobą.

I wtedy coś się przede mną poruszyło.

Cofnąłem się niezdarnie, pospiesznie unosząc pogrzebacz i dźgając przed sobą światłem reflektora. Dostrzegłem kolejny ruch, a potem światło i cień się rozmyły.

Schwytała promieniem latarki mrugała na mnie sowa.

Opuściłem pogrzebacz, czując się głupio. Ptak był upiornie blady, a jego pyszczek nieomal biały. Przycupnął na trawie pod oknem, skrzydła wisiały mu niezgrabnie. Ciemne i obce oczy zamknęły się podczas kolejnego mrugnięcia, jednak sowa nie próbowała się ruszać.

- To sowa płomykówka - stwierdziła Sophie zza moich pleców.

Wpatrywała się we mnie. Nie słyszałem, jak podeszła.

- Chyba miałaś czekać w środku?

- Wcale nie mówiłam, że będę czekać.

Okazała więcej rozsądku ode mnie, włożyła kurtkę. Przycupnęła obok rannego ptaka.

- Dobrze, że szyba się nie stłukła. Biedna sowa. Musiała zabłądzić we mgle. Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

- Pewnie jest tylko ogłuszona - odparłem.

Ptak patrzył prosto przed siebie - albo postanowił nas ignorować, albo był zbyt otumaniony, żeby się nami przejąć.

- Nie powinniśmy jej ruszać.

- Ale musimy coś zrobić!

- Jeśli zacznie się szarpać, możemy jej zrobić jeszcze większą krzywdę.

Tak poza tym, ranna czy nie, sowa była drapieżnikiem. Dziób i szpony wcale jej się nie stępiły.

- Nie zostawię jej tutaj - oznajmiła Sophie tonem, który zaczynałem już rozpoznawać. Westchnąłem.

- Masz jakiś koc?

Sowa nieznacznie zatrzepotała skrzydłami, gdy ostrożnie okryłem ją starym ręcznikiem znalezionym przez Sophie, jednak szybko dała za wygraną. Sophie zaproponowała, by po prostu umieścić ptaka w nieczynnym piecu do wypalania cegieł i zostawić uchylone drzwi, żeby mógł wylecieć, gdy już wydobrzeje.

- A co z twoimi garnkami?

- Są ubezpieczone. Zresztą to tylko sowa. Widzi w ciemności.

Ptak, kiedy go niosłem, okazał się zaskakująco lekki. Czułem gwałtowne bicie jego serca. W środku pieca panowała wilgoć, czułem stęchliznę i zapach starych cegieł. Kiedy kładłem sowę na podłodze i zdejmowałem ręcznik, moje kroki rozbrzmiewały echem. Nie włączyliśmy światła, blade pióra nieomal jaśniały w ciemnościach.

- Myślisz, że nic jej się nie stanie? - zapytała Sophie, kiedy już wróciliśmy do domu.

- Dzisiaj więcej nie wskóramy. Jeśli rano wciąż tutaj będzie, możemy zadzwonić po weterynarza.

Zamknąłem drzwi wejściowe na zasuwę, sprawdzając je szarpnięciem. Sophie zadrżała, pocierając ramiona.

- Boże, ale zmarzłam!

Stała bardzo blisko. Patrzyła na mnie. Objęcie jej byłoby teraz czymś naturalnym.

- Już późno - zauważyłem. - Właściwie już noc. Idź na górę, a ja tutaj wszystkim się zajmę.

Zamrugnęła, potem pokiwała głową.

- Dobrze. No to... dobranoc.

Odczekałem, aż weszła po schodach, następnie obszedłem pokoje, ze złością gasząc światła. Cały czas sobie powtarzałem, że robię to, co trzeba. Sophie była wystraszona i bezbronna, a sprawy i tak już są wystarczająco skomplikowane.

Jednak nie wiedziałem, czy jestem zły przez to, co o mało się nie wydarzyło, czy właśnie dlatego, że nie pozwoliłem się temu wydarzyć.

Nie mogąc zasnąć, leżałem w pojedynczym łóżku, wsłuchując się w nocną ciszę domu i rozmyślając o Sophie.

Wreszcie zasnąłem, ale obudził mnie jakiś hałas z zewnątrz, ostry krzyk drapieżnika. A może jego łupu? Jednak ten dźwięk się już nie powtórzył. Sen ogarnął mnie na nowo, o wszystkim zapomniałem.

Rozdział 17

Nazajutrz wstałem wcześniej i zszedłem na dół schodów wyiębionego, cichego domu. Sophie jeszcze spała. Niebo stopniowo jaśniało, a ja zrobiłem sobie kubek herbaty, rozmyślając o wczorajszych wydarzeniach. W zwykły poranek włączyłbym radio, żeby posłuchać dziennika, albo wszedłbym do Internetu. Nie chciałem jednak przeszkadzać Sophie, a nie miałem tutaj bezprzewodowego dostępu do sieci. Przy kuchennym stole siorbałem parzącą mi usta herbatę i patrzyłem, jak z wolna wstaje dzień.

Poranny chór ptaków przypomniiał mi o tamtej sowie. Włożyłem kurtkę, buty i wyszedłem na dwór. Gęsta mgła ustąpiła, wciąż jednak pozostawała mgielka poranna, na wpół mżawka. Idąc po wilgotnej trawie, zobaczyłem, że mgła oszroniła gałęzie jabłoni, okryła także pajęczyny srebrzystymi kropelkami.

Na oknie w salonie widniała zakurzona smuga, w miejscu gdzie wpadła na nie sowa, ale poza tym jedynym śladem po ptaku było kilka delikatnych białych piór na zakurzonej podłodze pieca. Mogły wypaść wskutek uderzenia, chociaż istniało także inne, nie tak miłe wytłumaczenie. W okolicy nie brakowało lisów. Drzwi zostały na noc otwarte, więc ranny drapieżnik mógł łatwo zmienić się w czyjś łup. Obszedłem piec. Rusztowanie i podpory przy murach stały tam od tak dawna, że wyglądały, jakby z nich wyrosły. Niektóre fragmenty ceglanej ściany wzmocniono nową zaprawą, lecz sądząc po jej wyglądzie - całe lata, a może i dekady temu. W większości miejsc cała zaprawa się jednak wykruszyła. Domyślałem się,

luźna cegła, za którą Sophie ukryła klucz, była tylko jedną z wielu. Odnowienie pieca, nie mówiąc już o przywróceniu mu funkcjonalności, byłoby wielkim i kosztownym przedsięwzięciem.

Musiałyby sprzedać mnóstwo garnków.

Jednak miała talent, co dostrzegało nawet moje niewprawne oko. Wszystkie naczynia stołowe, misy i wazy poustawiane na półkach miały proste, ale uderzająco piękne kształty. Przesunąłem dłonią po kopczyku twardej gliny na stole. Powstał z bezużytecznych skrawków, które Sophie zlepiła razem i zostawiła, żeby wyschły, ale i tak stanowiła abstrakcyjne dzieło sztuki.

Poklepałem kopczyk, po czym wróciłem do domu.

Sophie jeszcze spała - i dobrze, potrzebowała odpoczynku. Chciało mi się jeść, zastanawiałem się więc nad przyrządzeniem śniadania, jednak postanowiłem poczekać, aż wstanie. Byłem tu jedynie gościem. Nie wiedziałem, co sobie pomyśli, jeżeli zacznę się rządzić w jej domu.

Kiedy usłyszałem, że Sophie schodzi po schodach, poranek stał się już późny. Zanim dotarła na dół, nastawiłem czajnik i czekałem już z kubkiem herbaty.

- Dzień dobry - powiedziałem, wręczając kubek. - Nie wiedziałem, czy zaczynasz dzień od kawy, czy od herbaty.

Miała mętne spojrzenie i wydawała się półprzytomna. Włożyła dzinsy i za duży sweter, a włosy, wciąż jeszcze wilgotne po wyjściu spod prysznica, zebrała z tyłu.

- Herbata będzie super. Z prawdziwym pobudzeniem się kofeiną czekam, aż zacznę pracować. Dobrze spałeś?

- Świetnie - skłamałem. - Jak się czujesz?

- Boli mnie szczęka, poza tym w porządku.

- Przypomniałaś sobie coś z tego, co się wydarzyło?

- Co? Och... nie, ciągle biała plama. - Podeszła do lodówki. - Jak tam sowa? Jest tam jeszcze?

- Nie, już sprawdzałem. Nie ma jej.

Uśmiechnęła się szeroko.

- A widzisz? Mówiłam, że w piecu będzie jej w sam raz.

Nie wspomniałem o piórkach na podłodze albo na wpół zapamiętanym krzyku, jaki słyszałem w nocy. Skoro Sophie chciała szczęśliwego zakończenia, nie zamierzyłem go psuć.

- Obawiam się, że nie ma chleba na tosty, ale czy mogę ci zaproponować bekon i jajka? - zapytała, otwierając lodówkę. - Może być jajecznicą?

Odparłem, że to brzmi wspaniale.

- Myślę, że wyjadę przed lunchem - oznajmiłem, kiedy wbijała jajka do miski.

Przerwała na chwilę. Potem wróciła do tłuczenia skorupki.

- Wyjeżdżasz?

- Chyba już mogę. Teraz, gdy Monk kopie na wrzosowisku, policja będzie musiała na nowo rozpocząć poszukiwania Zoe i Lindsey Bennett. Zaskoczyło mnie, że jeszcze się z nami nie skontaktowali. Nawet jeżeli nie znaleźli Monka, po tym jak widzieliśmy go wczoraj i tak spodziewałem się raczej, że ktoś się odezwie i wysłucha naszych zeznań.

- Tak sądzę. Nic więcej cię tutaj nie trzyma, prawda?

Stała odwrócona do mnie plecami. Patelnia podrygiwała na palniku. Zapadła cisza, która szybko stała się ciężka.

- Mogę zostać dłużej. To znaczy jeśli boisz się zostawać tutaj sama.

- A dlaczego mam się bać? Tylko dlatego, że ktoś mnie napadł? - Rzuciła na patelnię plasterki bekonu, gorący tłuszcz wydal z siebie wściekły syk. - Spodziewam się, że będę musiała się z tym oswoić. Nie mam większego wyboru, prawda?

- Najprawdopodobniej to był jakiś przypadkowy włamywacz, tak jak mówi policja. Atak na ciebie przypuszczalnie wynikł z paniki.

- Tak, dzięki temu poczuję się teraz znacznie lepiej, prawda? - Dziabnęła bekon widelcem i przewróciła, jakby to on był winien. - Przyzwyczaiałam się, że czuję się tutaj bezpiecznie. Chociaż mieszkam na samym środku pustkowia, jeszcze ani razu nie czułam się zagrożona tak jak wtedy, gdy mieszkałam w mieście. Ale to przecież mój problem, nie twój.

- Słuchaj, wiem, jak się musisz czuć...

- Nie, nic nie wiesz.

Dałem za wygraną. To nie było coś, w co zamierzałem się wtrącać, jednak wiedziałem, że jeżeli Sophie nie zachowywała się dotychczas ostrożnie, napaść może stać się traumą, z której nigdy się całkiem nie otrząśnie.

- Tak naprawdę, wiem doskonale. Po jednym ze śledstw pchnięto mnie nożem.

Sophie odwróciła się, by na mnie spojrzeć.

- Chyba nie mówisz poważnie?

Opowiedziałem, co wydarzyło się na Runie, i że kilka miesięcy później, na progu mojego domu zjawiała się Grace Strachan, powracając z martwych, żeby pchnąć mnie nożem.

- I nigdy jej nie złapali? - zapytała Sophie, szeroko otwierając oczy. - Cały czas jest na wolności?

- Gdzieś tam jest. Policja uważa, że zaraz potem wyjechała z kraju. Ona i jej brat byli

bogaci, więc pewnie miała dostęp do różnych kont bankowych, o jakich nikt nie wiedział. Możliwe, że jest teraz w Ameryce Południowej albo jakimś innym miejscu.

- To okropne!

Wzruszyłem ramionami.

- Spójrzmy na to z drugiej strony. Pewnie myśli, że nie żyję. Nie ma żadnego powodu, żeby próbować ponownie.

Kiedy to powiedziałem, zrobiło mi się jakoś dziwnie nieswojo. Nie kuś losu.

Sophie zdjęła patelnię z ognia. Spojrzała na nią zmartwiona.

- Nic już nie wiem. A teraz jeszcze ciebie we wszystko wciągnęłam.

- W nic mnie nie wciągnęłaś. A mówię tak dlatego, że wszystko wskazuje na to, iż atak się nie powtórzy. Ktokolwiek to zrobił, tak naprawdę nie chciał cię skrzywdzić, albo... No dobra. Inaczej by się nie skończyło tylko na pokiereszowanym policzku.

- Tak sądzę. - Zamyśliła się, ale w jej oczach wciąż krył się cień. Nagle zniknął. Wyłączyła palnik kuchenki i uśmiechnęła się do mnie figlarnie.

- Tak czy siak, zjedzmy śniadanie. A potem, zanim odjedziesz, możesz jeszcze pokazać mi swoją bliznę.

Jednak dobry humor Sophie nie potrwał długo. Znowu zrobiła się roztargniona, apatycznie przesuwając jedzenie po talerzu. Zaproponowałem, że pomogę w zmywaniu, ale nie naciskałem, gdy odmówiła. Odniosłem wrażenie, że potrzebuje nieco czasu dla siebie, więc zostawiłem ją w kuchni, a sam wziąłem prysznic i się spakowałem.

Zastanowiłem się, czy aby właśnie nie zaczyna do niej docierać, że tym razem nie weźmie udziału w poszukiwaniach. Z jakiegoś powodu odnalezienie grobu Zoe i Lindsey Bennett stało się dla Sophie osobistą krucjatą - Jednak przestała być już doradcą behawioralnym. Udział w dochodzeniu skończył się dla niej w chwili, gdy znalazła doły pozostawione przez Monka w okolicy Black Tor. Teraz wszystkim zajmie się policja, a Sophie stanie się tylko widzem. Pewnie się nie spodziewała, że tak się z tym poczuje.

Odpuszczenie sobie czegoś nigdy nie przychodzi łatwo.

Zniosłem torbę na dół. Kiedy wszedłem do kuchni, grało radio. Sophie stała przy zlewie, nieruchomo trzymając ręce w wodzie.

- Czy coś... - odezwałem się.

- Psss! - uciszyła mnie szybkim potrząśnięciem głowy. Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na to, co mówią w radiu.

„...policja nie ujawniła tożsamości ofiary, ale potwierdza, że okoliczności śmierci są podejrzan. W następnych wiadomościach...”.

Twarz Sophie była biała.

- Słyszałeś?

- Tylko końcówkę.

- Popelniono morderstwo. Nie mówili, kogo zabito, ale to było w Torbay, niedaleko Sharkham Point. Czy to właśnie tam...?

Pokiwałem głową, uświadamiając sobie, że mimo wszystko jeszcze stąd nie wyjadę.

Właśnie tam mieszkali Wainwrightowie.

Rozdział 18

Padbury i Sharkham Point dzieliła niecała godzina drogi. Sophie nalegała, aby zaraz tam jechać, i nie zamierzałem zbytnio się opierać. Podobnie jak ona chciałem się dowiedzieć, kim jest ofiara morderstwa. Od razu zadzwoniłem do Terry'ego, jednak nie odbierał. Nic dziwnego, przecież istniało duże prawdopodobieństwo, że wezwano go na miejsce zbrodni. Powtarzałem sobie, że zabójstwo na pewno nie ma nic wspólnego z Wainwrightem. Przecież takie zbrodnie zdarzają się codziennie, podobnie jak zbiegi okoliczności.

Jednak niezupełnie potrafiłem w to uwierzyć.

Kiedy dwa dni temu jechałem do Torbay, niebo było pogodne i błękitne, świeciło jasne jesienne słońce. Teraz szare chmury uczyniły okolicę szarą i bezbarwną. Pola, które mijaliśmy, skoszono, pozostawiając niechlujne rżyska, albo zaorano, zmieniając w błotniste bruzdy ziemi. Martwe liście, które przyłgnęły do ogołconych drzew, nadawały im wygląd obdartych strachów na wróble.

W trakcie podróży ani Sophie, ani ja nie mówiliśmy zbyt wiele. Siedziała, wpatrując się w okno, równie głęboko pogrążona w swoich myślach, jak ja we własnych. Drgnęła, dopiero gdy dotarliśmy do wybrzeża i ujrzałem za klifami odległe wzburzone morze. Wiedziałem, o czym sobie duma - że zaraz wszystkiego się dowiemy, w ten czy inny sposób.

Potem mineliśmy drogowskaz do Sharkham Point. Obok niego zobaczyliśmy niebieskie światła migające na drodze niczym w wesołym miasteczku.

Dłoń Sophie powędrowała ku szyi.

- O Boże, czy to dom Wainwrightów?

Ścisnęło mnie w dołku.

- Tak.

W poprzek drogi rozciągała się policyjna taśma, łopocząca na wietrze. Za nią, po obu stronach furtki stały radiowozy i przyczepy, razem z kilkoma furgonetkami prasy i telewizji. Na podjeździe pod domem zaparkował ambulans, lecz brak migających świateł i syren świadczył o tym, że pogotowie nie musiało się spieszyć.

Zatrzymałem auto przed taśmą.

- Co mamy robić? - zapytała Sophie. Zdawało się, że straciła pewność siebie.

- Dotarliśmy już tak daleko. Nie ma sensu teraz zawracać - oznajmiłem i wysiadłem z samochodu.

Od górujących nad morzem klifów wiał mocny wiatr. Niósł delikatny zapach soli zanieczyszczony spalinami. Gdzieś z bliska dobiegało sapanie generatora. Jakiś policjant w jaskrawej odbłaskowej kamizelce ruszył, aby nas zatrzymać.

- Droga jest zamknięta.

- Wiem. Nazywam się David Hunter. Czy jest tutaj komisarz Connors? - zapytałem.

Policjant przyglądał nam się kilka chwil, a potem powiedział do swojego radia.

- Jest tu jakiś David Hunter, pyta o...

- Komisarza Terry'ego Connorsa - wyjaśniłem, gdy spojrział na mnie pytająco

Powtórzył to do radia, a ja czekałem. Pauza zdawała się przeciągać, potem rozległ się trzeszczący głos. Funkcjonariusz ściszył aparat.

- Przepraszam.

Sophie odezwała się, zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć.

- Czy to znaczy, że go tutaj nie ma, czy że nie chce się z nami zobaczyć?

Policjant zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- To znaczy, że będziecie musieli państwo stąd iść.

- Kogo zabito? Profesora Wainwrighta czy jego żonę?

- Jesteście państwo rodziną?

- Nie, ale...

- W takim razie możecie sobie o tym przeczytać w gazetach. A teraz proszę ostatni raz: niech państwo wracają do swojego samochodu.

- Sophie, chodź - powiedziałem, biorąc ją pod ramię. Na tyle dobrze znałem policję, aby wiedzieć, że nic nie wskóramy.

Wyszarpnęła mi się, spoglądając prosto na konstabla.

- Nigdzie nie pójde, dopóki się nie dowiem, co się wydarzyło.

Nie wiem, jak wszystko by się skończyło, ale właśnie wtedy pod domem zrobiło się

jakieś zamieszanie. Grupa oficerów policji wyszła z budynku i ruszyła podjazdem. Prowadził ich mężczyzna, którego elegancki uniform i okrągła czapka wskazywały, że zajmuje wysokie miejsce w służbowej hierarchii. Mundur był nowy, włosy i wąsy bardziej siwe. Jednak łód w oczach pozostał taki sam, a pozbawiona wyrazu, gładka twarz prawie się nie postarzała.

Simms, idąc do swojego nieoznakowanego czarnego bmw, tylko rzucił ku nam przelotne spojrzenie - Jednak ktoś inny zrobił więcej. Jeden z członków orszaku wbił w nas wzrok. Mężczyzna w średnim wieku, z nadwagą i łysiejący. Dopiero gdy dostrzegłem wystające zęby, uświadomiłem sobie, że to przecież Roper.

Przyspieszył kroku, powiedział coś przełożonemu. Simms zatrzymał się, zwrócił ku nam blade oczy. No i proszę bardzo, pomyślałem, kiedy ruszyli w naszą stronę. Roper człapał z tyłu niczym piesek.

Konstabl, który nie chciał nas wypuścić, wyprężył się na baczność.

- Sir, ja właśnie...

Simms nie zwrócił na niego uwagi. Jego spojrzenie spoczęło na Sophie. Popatrzył bez zainteresowania, nie rozpoznając jej. Następnie znowu mnie przyszpilił wzrokiem. Wokół niego zawsze unosiła się aura arogancji, teraz się jeszcze wzmocniła. Nosił dystynkcje zastępcy naczelnika. Mało który kryminalny awansował aż tak wysoko. Wcale się nie dziwiłem. Jeśli jakiś człowiek narodził się, by nosić mundur, to z pewnością Simms.

Roperowi też się chyba powodziło. Pognieciony garnitur zamienił na dobrze skrojone ubranie, wybielił też zęby poźółkłe od nikotyny. Przybrał na wadze, w każdym razie od pasa w górę. Miał wielki brzuch oraz wygląd człowieka, który poważnie traktuje jedzenie i picie - Jednak nisko noszone spodnie wciąż łopotwały luźno wokół patykowatych nóg.

Żaden z nich nie wyglądał na uradowanego naszym widokiem. Simms ścisnął w dłoni parę czarnych rękawiczek, niecierpliwie uderzając nimi w nogę.

- Doktor Hunter, nieprawdaż? - odezwał się. - Czy mogę spytać, co pan tutaj robi?

Sophie nie dała mi szansy odpowiedzieć.

- Co się stało? Kto został zabity?

Simms przyglądał jej się przez chwilę, a potem zwrócił się bezpośrednio do mnie.

- Pytałem, co pan tutaj robi?

- Usłyszeliśmy o morderstwie. Wiem, że tutaj mieszka profesor Wainwright. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy jemu i jego żonie nic się nie stało.

- A właściwie to dlaczego pan się tym przejął?

Mógł być sobie zastępcą naczelnika, ale to jego nastawienie zaczynało już mnie irytować.

- Bo sądzę, że mógł ich zabić Monk.

Roper zerknął niespokojnie na Simmsa. Wyraz twarzy zastępcy naczelnika nie zmienił się, ale oczy miał jak z lodu.

- Wpuścić go - nakazał konstablowi.

Ukryłem swoje zaskoczenie i, schylając się, przeszedłem pod taśmą. Sophie drgnęła, aby ruszyć w moje ślady.

- Tylko doktor Hunter - oznajmił Simms.

Konstabl zastąpił jej drogę.

- No dajcie spokój! - zaprotestowała Sophie.

- Doktor Hunter jest konsultantem policyjnym. - Beznamiętne spojrzenie Simmsa spoczęło na jej posiniaczonym policzku. - A z tego, co wiem, pani już nie.

Zebrała się w sobie, żeby zaprotestować.

- Spotkamy się w samochodzie - oznajmiłem pośpiesznie, wiedząc, że Simms nigdy nie zmienia zdania. Sophie rzuciła mi wściekłe spojrzenie, potem wyrwała kluczyki i ruszyła wzdłuż drogi.

Simms szedł już z powrotem do domu. Wypolerowane czarne buty miażdżyły żwir podjazdu. Roper zrównał krok ze mną. Wiatr mierzwił mu rzednące włosy. Nadal używał zbyt wiele wody po goleniu, ale wszystko miał teraz znacznie droższe.

- Niezłe spotkanie po latach, prawda? - Jego uśmiech był niemalże tikiem nerwowym. - Poruszał głową, wskazując za siebie, na Sophie. - Nie jest zadowolona, co? Co jej się stało w twarz?

Zaskoczyło mnie, że tego nie wie. Ale przecież nie miałem pojęcia, czy Roper i Terry cały czas ze sobą pracują.

- Ktoś się do niej włamał i ją zaatakował.

- Przydadzą jej się lepsze zamki. Kiedy to było?

- Cztery dni temu.

Uśmiezek zniknął mu z twarzy, gdy zauważył zbieżność wydarzeń. Od ucieczki Monka mijały cztery dni.

- Złapano sprawcę?

Dobrze pamiętałem ostrzeżenie Terry'ego - albo jego groźbę - że sam mogę być podejrzany. Wcale nie podobała mi się taka myśl.

- Jeszcze nie. Niewiele pamięta z tego, co się stało.

- Została zgwałcona?

- Nie.

- Coś zginęło?

- Nie.

Roper parsknął z rozbawieniem.

- Miała cholerne szczęście, co?

Zmieniłem temat rozmowy.

- Kiedy Simms awansował na zastępcę naczelnika?

- To musiało być... och, ze cztery albo pięć lat temu. Mniej więcej wtedy, kiedy awansowałem na komisarza.

Mówiąc to, zerknął na mnie z ukosa. Roper? Komisarzem? Nie pomyślałbym nawet, że awansował na detektywa sierżanta. Podpięcie się do gwiazdy Simmsa na pewno nie zaszkodziło mu w karierze.

- Gratulacje - powiedziałem. - Kto jest prowadzącym dochodzenie?

- Steve Naysmith, dosyć ambitny, zaledwie rok temu awansował na nadinspektora. - Z tonu Ropera wynikało, że niezbyt mu się to podoba, co policzyłem na korzyść Naysmitha. - Jednak zastępcę naczelnika podchodzi do sprawy osobiście. Prowadzący dochodzenie musi o wszystkim go informować.

Naysmith pewnie jest zachwycony, pomyślałem. Ale przecież Simms i Wainwright się przyjaźnili. Simms musiał się zaangażować.

Zwłaszcza jeśli głównym podejrzanym był Monk.

- Słyszał pan, że... - zaczął Roper, ale nie skończył. Simms zatrzymał się pod wejściem do domu, tam, gdzie postawiono stolik z pudłem z odzieżą ochronną.

- Nie spodziewałem się, że będę musiał znowu to robić - parsknął zirytowany, rozdzierając opakowanie z kombinezonami. - Nie mam dużo czasu. Zaraz mam konferencję.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nie wiedziałem, po co Simms to wszystko robi, ale wątpiłem, aby tylko dla mojego dobra. Kiedy mozolnie wciskał się w kombinezon, pomyślałem, że jeszcze mniej mu w nim do twarzy niż osiem lat temu. Nagle uświadomiłem sobie dlaczego. Rysy miał tak gładkie i bez wyrazu, że tylko ubiór nadawał im charakter. W białym jednoczęściowym kombinezonie wyglądał jakoś tak dziwnie niedokończony.

- Jeszcze pan mnie do czegoś potrzebuje? - zapytał Roper.

Simms, zapinając kombinezon i wkładając buty oraz osłony na obuwie, nawet nie obdarzył go spojrzeniem.

- Teraz nie, ale zostań tutaj, dopóki ja i doktor Hunter nie skończymy.

Potem, nie patrząc, czy już jestem gotowy, wszedł do środka.

Zapamiętany przeze mnie dystygowany spokój domu Wainwrightów legł w gruzach. Ubrani na biało technicy kryminalistyczni pakowali już sprzęt, ale wszędzie widziałem ślady

tego, co się tutaj wydarzyło. Wszystkie powierzchnie okrywała delikatna warstwa proszku do zbierania odcisków palców, jakby dom latami był zamknięty i gromadził kurz. Na parkiecie leżały odłamki szkła z rozbitego okna, wymieszane w ziemią z przewróconej donicy. Nadal pachniało chryzantemami, lecz pod tą wonią czaiła się delikatna nutka smrodu odchodów i zaschniętej krwi, zasiedziała esencja brutalnej śmierci.

- Intruz włamał się przez drzwi kuchenne - oznajmił Simms, omijając ciąg błotnistych odcisków stóp fotografowanych właśnie przez jakiegoś technika. - Jak pan widzi, żadnych prób ukrycia śladów. Znaleźliśmy też kilka plam śliny, co powinno umożliwić analizę DNA.

- Śliny?

- Najwyraźniej zabójca splunął na podłogę - objaśnił rzeczowo.

Simms szedł przede mną korytarzem, zasłaniając mi widok. Teraz odsunął się w bok i zobaczyłem Leonarda Wainwrighta.

Po śmierci archeolog sądowy wyglądał żałośnie. Ubrany w piżamę i stary pasiasty szlafrok, leżał skulony u podnóża schodów, wśród potrzaskanych szczątków szafki ze szklanymi drzwiami. Pokaleczyło go rozbite szkło. Krew już wyschła, stając się czarna. Rozbryznięta na nim i na podłodze, jednak nie w takiej ilości, aby wykrwawił się na śmierć. Twarz zasłaniała mu płatanina siwych włosów, przez którą przezierały pozbawione wyrazu, nabiegłe krwią oczy. Głowę miał przekręconą na bok, w niemożliwy wręcz sposób, tak że prawie leżała na ramieniu. Złamany kark, pomyślałem odruchowo. Przyłapałem się na tym, że bez konkretnego powodu przyglądam się bosym stopom Wainwrighta. Były żółtawe, z odciskami, a kostki wystające z nogawek piżamy takie jak u starca, chude i bezwłose.

Archeolog nie zniósłby, że ktoś ogląda coś takiego.

Nie spodziewałem się, że ciało wciąż tu będzie. Przyzwyczailem się już do widoku miejsc przestępstw lub gwałtownej śmierci, ale teraz chodziło o co innego. Jeszcze czterdzieści osiem godzin temu rozmawiałem z Wainwrightem. Nie przygotowałem się na ten widok na podłodze w jego przedpokoju.

Obok ciała klęczała jakaś maleńka postać w zbyt dużym kombinezonie, w zamyśleniu nucąc coś pod nosem i przyglądając się odczytowi termometru. Mruczanka miała melodię żwawą i znajomą. Jakaś kompozycja Gilberta czy Sullivana, chociaż nie potrafiłem dokładnie określić która.

Dłonie w białych rękawiczkach były małe jak u dziecka, a chociaż twarz prawie całkowicie kryła się pod kapturem i maską, od razu rozpoznałem złote półksiężycy okularów.

- Prawie gotowe - oznajmił Pirie, nie podnosząc wzroku.

Zdumiałem się jego widokiem. Sądziłem, że patolog już dawno przeszedł na emeryturę.

- George, pamiętasz doktora Huntera? - zapytał Simms.

Pirie uniósł głowę. Brwi stroszyły się ponad okularami niczym szare pajęczne nóżki, ale spojrzenie było bystre i inteligentne, tak jak zawsze.

- W rzeczy samej, poznaję. Jak zwykle miło mi pana widzieć, doktorze Hunter. Chociaż nie sądziłem, że w tym wypadku potrzebne okażą się pańskie umiejętności.

- Nie zjawiał się tutaj oficjalnie - wyjaśnił Simms.

- Aha. To nieistotne. Jeśli zechce pan nam dopomóc, będzie pan bardzo mile widziany. Jak sobie przypominam, ostatnim razem wyświadczył mi pan taką samą uprzejmość. Z przyjemnością odwzajemnię kiedyś przysługę.

- Może kiedy indziej. - Doceniałem zawodową uprzejmość, ale sekcje zwłok nie należały do moich zainteresowań. - Sądziłem, że ciało zabrano już do kostnicy.

Twarz Simmsa nie zmieniała wyrazu, kiedy spoglądał na zwłoki swojego przyjaciela.

- Musieliśmy poczekać, aż doktor Pirie skończy pracę przy czymś innym. Chciałem, aby tą sprawą zajął się ktoś, kogo znam.

- A co z jego żoną? - Nigdzie nie widziałem Jean Wainwright, a w wiadomościach wspomniano tylko o jednej ofierze.

- Trafiała do szpitala, na szczęście tylko z powodu szoku, ale i tak nie czuła się dobrze.

- Czyli że tak naprawdę nic jej się nie stało?

- Nic poza oglądaniem zabójstwa swojego męża. Dzisiaj rano oboje znalazła sprzątaczką. Jean była... wstrząśnięta. Na razie nie była w stanie wiele wyjaśnić, jednak mam nadzieję, że później zdoła odpowiedzieć na nasze pytania.

- Czyli że nie powiedziała, kto to zrobił?

- Jak na razie, nie.

Jednak nie sądziłem, by co do tego były jakieś duże wątpliwości. Najpierw Sophie, teraz Wainwright. A może Terry miał jednak rację...

- Ma już pan coś? - zapytałem Piriego.

Patolog się zastanowił. Trzymał termometr w górze jak batutę.

- Tylko pierwsze wrażenia. Zesztywnienie i oziębienie pośmiertne sugerują, że zgon nastąpił od dziewięciu do czternastu godzin temu. To umiejscawia czas zgonu między godziną trzecią a piątą rano. Jak z pewnością sam pan widzi, kark jest złamany, co na tym etapie zdaje się najbardziej prawdopodobną przyczyną śmierci.

Pomyślałem o tym, jak osiem lat temu Monk zabił na wrzosowisku policyjnego psa. Nie wiedziałem, czy kark człowieka jest trudniej złamać od karku wilczura, jednak wątpiłem, by było trudniej.

- Zrobienie tego wymagałoby dużej siły - powiedziałem.

- Och, niewątpliwie. Żeby rozmyślnie złamać kark dorosłego mężczyzny, trzeba być bardzo silnym.

- Dziękuję, George, nie będę cię już dłużej niepokoił - oznajmił Simms. - Proszę, informuj mnie na bieżąco.

- Oczywiście. - Minę Pirie skrywała maska. - Do widzenia, doktorze Hunter. A jeśli zmieniliby pan zdanie, moja oferta pozostaje aktualna.

Podziękowałem. Simms szedł już z powrotem przez korytarz. Kiedy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, zaczął zdejmować kombinezon, ciemny mundur wyłaniał się z niego niczym owad z poczwarki.

- Czy oprócz Jean Wainwright są jacyś inni świadkowie? - zapytałem, rozpinając swój kombinezon.

- Niestety, nie. Jednak mam nadzieję, że już niedługo będzie mogła złożyć szczegółowe zeznanie.

- Jednak to wygląda na robotę Monka, nieprawdaż?

Simms z trzaskiem ściągnął chirurgiczne rękawiczki i wrzucił do wielkiego plastikowego kosza, w połowie już wypełnionego zużytymi ubraniami techników kryminalistycznych.

- To się jeszcze okaże. I byłbym panu wdzięczny, gdyby na tym etapie powstrzymał się pan od spekulacji.

- Słyszał pan jednak, co Pirie mówił o sile zabójcy. A splunięcie na podłogę wygląda na oznakę pogardy. Kto inny mógłby to być?

- Nie wiem, ale w tej chwili nie ma żadnych mocnych dowodów na to, że Jerome Monk miał z tym cokolwiek wspólnego - odpowiedział Simms, powstrzymując złość. - Miejmy nadzieję, że Jean Wainwright wkrótce dojdzie do siebie na tyle, aby nam opowiedzieć, co się wydarzyło. Aż do tej chwili nikt nie będzie niepotrzebnie panikował. Ostatnie, czego chcę, to żeby prasa zaczęła podawać jakieś bezzasadne plotki.

- Trudno je nazwać bezzasadnymi. Wiadomo że Wainwright kierował zespołem poszukiwawczym. Prasa na pewno niedługo odkryje to powiązanie.

- A do tego czasu, miejmy nadzieję, Monk znajdzie się z powrotem w więzieniu. Zatem na razie, albo dopóki nie znajdziemy dowodów na coś wręcz przeciwnego, będę prowadził dochodzenie tak samo jak w przypadku każdego innego morderstwa.

Rozumiałem go. Dla kogoś tak bardzo jak Simms wyczulonego na opinię publiczną już sama ucieczka Monka stanowiła wystarczający kłopot. Nie chciał, żeby rozeszły się plotki, że zbiegły zabójca rozpoczął wendetę. Z pewnością ambitny zastępca naczelnika mógł się obejść

bez takiej popularności.

Tak bardzo pogrążyłem się w rozmyślaniach, że nawet nie zauważyłem, gdy zadano mi kolejne pytanie.

- Jean Wainwright dzwoniła do mnie dwa dni temu oznajmił Simms. - Mówiła, że przyjechał pan tutaj i że Leonard był bardzo podekscytowany. Może mi pan wyjaśnić, o co chodziło?

Mogłem się spodziewać, że żona Wainwrighta powie o mojej wizycie.

- Chciałem porozmawiać z Wainwrightem o Monku. Nie wiedziałem, w jakim jest stanie. Gdybym wiedział...

- Doktorze Hunter, Jerome Monk pana nie obchodzi. A teraz dodatkowo postawił mnie pan w kłopotliwej sytuacji, bo muszę zapytać, gdzie pan przebywał dzisiaj rano między godziną trzecią a piątą rano?

Jednak spodziewałem się czegoś takiego.

- Leżałem w łóżku, w domu Sophie Keller. I nie, ona nie może za mnie ręczyć. A co do Jerome'a Monka, po tym co się wydarzyło wczoraj, pan chyba nie może liczyć, żeby mnie nie obchodził, nieważne, czy się to panu podoba, czy nie.

- O czym pan mówi?

- Kiedy Monk o mało nas nie dopadł na wrzosowisku, to jak pan myśli, co to oznaczało? - Simms patrzył na mnie, jakbym oszalał. Ściągnąłem rękawiczki i cisnąłem do kosza. - No, proszę pana, Terry Connors na pewno panu mówił!

Simms zamarł. Na jego woskowej twarzy jedyną oznakę emocji stanowiła linia zaciśniętych ust.

- Nie rozmawiałem z Terryem Connorem już od dłuższego czasu. I nie bierze udziału ani w tym, ani w żadnym innym dochodzeniu. Kilka miesięcy temu został zawieszony.

Rozdział 19

Kiedy wyjechałem do Black Tor, zaczęło padać. Lało jak z cebra, więc wycieraczki ledwie nadążały z oczyszczaniem szyby. Pora była wcześniejsza, niż kiedy wybrałem się tutaj z Sophie, ale gdy dotarłem do zarośniętych urządzeń kopalnianych, niebo zrobiło się tak ciemne, że zdawało się, iż zaraz zapadnie noc.

Jednak teraz na miejscu pasażera siedział Roper, pachnący wodą po goleniu i cebulą. Był rozczarowany tym układem tak samo jak ja, jednak Simms żadnemu z nas nie zostawił wyboru. Oznajmił, że mam się przede wszystkim kontaktować z Roperem, a nie z Naysmithem, co sugerowało, że zastępca naczelnika oraz prowadzący dochodzenie raczej nie pałali do siebie ciepłymi uczuciami. Sophie ciągle jeszcze była u Wainwrightów, składała zeznanie. Przynajmniej tak sądziłem - przed wyjazdem nie miałem okazji z nią porozmawiać. Simms oddał mi kluczyki, zwięźle informując, że ktoś odwiezie ją do domu, a potem samochodowa procesja ruszyła do Dartmoor.

Przed nami zamglone tylne światła czarnego bmw zastępcy naczelnika były przysłonięte delikatną mgiełką kropel rozbryzgiwanych przez koła. Konferencję przesunięto na inny termin, tak aby Simms też mógł tutaj przyjechać. Wcześniej zażądał, aby opowiedzieć mu o wszystkich, zaczynając od tego, jak Terry pojawił się przed moimi drzwiami rankiem w dniu ucieczki Monka. Niczego nie opuściłem, nawet listów Sophie do Monka. Opowiadając mu o nich, czułem się jak judasz. Wiedziałem, że Sophie może mi nie wybaczyć. Jednak nie miałem wyboru, przecież zginął człowiek.

Sprawy zaszyły zbyt daleko, aby utrzymywać coś w tajemnicy.

Bładoniebieskie oczy Simmsa rozblęły, jednak okazał emocje, dopiero gdy opowiedziałem, jak wczoraj znaleźliśmy doły wykopane na wrzosowisku, i opisałem niezgrabny wyścig, który potem nastąpił.

- To się wydarzyło dwadzieścia cztery godziny temu, a ja dopiero teraz o tym słyszę? Wielki Boże!

Nie mogłem mieć do niego pretensji. Sam starałem się wszystko ogarnąć. Terry nie tylko został zawieszony, ale nawet nie był już komisarzem. Simms oznajmił, że w zeszłym roku zdegradowano go do detektywa sierżanta.

Terry, co ty kombinujesz, do cholery? Cały czas miałem wizytówkę, którą od niego dostałem: „Komisarz Terry Connors”. To jednak wyjaśniało, dlaczego mówił, żebym raczej nie dzwonił pod numer służbowy, tylko na komórkę. „Nigdy mnie przy nim nie ma”.

Przynajmniej to było prawdą.

W pewnym sensie niemalże potrafiłem zrozumieć, dlaczego Terry - skłamał na temat swojego stopnia i zawieszenia. Pycha zawsze należała do jego grzechów. Jednak czymś niewybaczalnym było, że zamiast przyznać się do oszustwa, zmarnował szansę schwytania Monka. W rezultacie ktoś zginął, a zabójca nadal przebywał na wolności.

Od tego nie było odwrotu.

Roper stłumił beknienie. Z niedużym powodzeniem.

- Przepraszam - wymamrotał, szczerząc zęby w głupawym uśmiechu. Spojrzał na wysmagane deszczem wrzosowisko. - Chryste, to naprawdę dołujący widok. Nie mógł pan zabrać nas tutaj w jakiś słoneczny dzień?

- Następnym razem bardziej się postaram.

- Dobrze - odparł, chichocząc.

Spojrzał na deszcz siekający w przednią szybę i westchnął.

- Cholerny Connors. Tym razem przerósł sam siebie. I nas też.

Rozpoznałem zaproszenie do rozmowy.

- Simms mówił, że go zdegradowano.

- Głupiego gnojka przyłapano na zmienianiu zapisu zeznań. - Z odrazą pokręcił głową. - To nawet nie było nic ważnego, tylko daty mu się nie zgadzały. Gdyby sam się przyznał, pewnie dostałby po łapach i tyle - ale nie. Złoty chłopiec z policji metropolitalnej nie umiał przyznać się do błędu.

Roper nie starał się kryć satysfakcji.

- A to jego zawieszenie? - zapytałem.

Policjant wciągnął powietrze przez zęby, jakby zastanawiając się, czy mi powiedzieć.

- Napastował policjantkę.

- Co takiego?

- Żadnej przemocy. Dzięki Bogu, nie zgwałcił jej, nie w tym rodzaju. Po prostu był za bardzo nawalony, żeby zrozumieć, że „nie” to „nie”. Cały Connors, myśli, że jest ósmym cudem świata. Nigdy nie potrafił trzymać ptaszka na uwięzi.

Uświadomiłem sobie, że mocno ściskam kierownicę. Nie, nie potrafił. Ale przeszłość już była i minęła. Zmusiłem się do rozluźnienia chwytu.

- Czyli że był pijany?

- Pijany? Nawalony jak szpadel, od lat rzadko kiedy trzeźwia! Niech mnie pan nie zrozumie źle, nie ma niczego złego w jednym czy dwóch piwkach, ja pierwszy to przyznam. - Poklepał się po wystającym brzuchu. - Ale jedni ludzie dają sobie z tym radę, a inni nie. Connors nie dawał. Był na cenzurowanym, jeszcze zanim zdegradowali go do stopnia sierżanta, a teraz jest już na wylocie.

Przypomniałem sobie, jak brzmiał głos Terry'ego, kiedy zadzwoniłem, by powiedzieć o Monku. Moje pierwsze wrażenie, że jest pijany, okazało się jednak prawdziwe.

- Co z nim będzie?

- Jak będzie miał szczęście, po prostu wyleją go z policji, ale może się też spodziewać postawienia zarzutów. Mieszanie się do policyjnego śledztwa, utrudnianie dochodzenia... -

Roper pokręcił głową z ewidentnie fałszywym żalem. - Cóż za strata. Gdybym to ja miał takie możliwości, jak on miał, tobym tego nie schrzanił, tylko tyle powiem. Zerknął na mnie z ukosa.

- Jak to możliwe, że pan o tym nie wie? Sądziłem, że byliście kolegami.

- Urwał nam się kontakt.

- Na pana miejscu pozwoliłbym, żeby już tak zostało. - Zamilkł na chwilę. Usłyszałem, jak znowu wsysa powietrze. Przestał, zakłopotany, uświadamiając sobie, co robi. - Niech mi pan powie coś więcej o tej napaści na pannę Keller.

Pobieżnie zrelacjonowałem, co się stało. Roper słuchał z rękoma założonymi na wielkim brzuszysku. Powoli zaczynałem zmieniać zdanie o tym człowieku. Terry zawsze traktował go z góry, uważając za pieska Simmsa. Jednak kimkolwiek jeszcze mógł się okazać Roper, to z pewnością niczyją marionetką.

- Sąsiedzi uważają, że to było włamanie, prawda? - zapytał.

- Właśnie tak mówią.

- Pewnie mają rację. Samotna kobieta mieszkająca na uboczu. Naprawdę aż się prosi o kłopoty. Pan mówił, że ona zajmuje się teraz garncarstwem? - Uśmiechnął się z wyższością. - No, no.

Potem nie mieliśmy sobie zbyt wiele do powiedzenia. Dotarliśmy już prawie pod Black Tor. Na końcu drogi stało kilka samochodów i furgonetka tresera policyjnego psa. Były zaparkowane niedaleko tego miejsca, w którym wczoraj zostawiłem auto. Przy wozach stali kryminalni i mundurowi; chcąc uchronić się przed deszczem, podnieśli kołnierze. Żaden z policjantów nie wyglądał na zadowolonego. Kilku paliło papierosy tak łapczywie, jakby od tego zależało ich życie.

Jednak szybko się ruszyli, gdy z samochodu wysiadł Simms, wzruszając ramionami pod grubym płaszczem.

Podszedł do niego jeden z ubranych po cywilnemu oficerów i coś powiedział.

- To Naysmith, prowadzący dochodzenie - wymamrotał Roper.

Naysmith był energicznym mężczyzną tuż po czterdziestce, chudym i kościstym. Zerknął w moją stronę, ale Simms nawet się nie ruszył, aby nas sobie przedstawić. Nie stałem na tyle blisko, żeby usłyszeć, o czym teraz rozmawiali, jednak Naysmith, zanim odszedł, ukłonił mi się zdawkowo. Grupa policjantów zajęła się teraz pracą, przygotowując się do wyruszenia na torfowisko. Powietrze rozdarło psie ujadanie. To treser wyprowadzał wilczura z furgonetki i przypinał mu zwój linki do obroży.

Miałem nadzieję, że pies będzie miał więcej szczęścia od poprzednika.

Roper poszedł porozmawiać z niewielką grupą oficerów po cywilnemu. Zostałem sam, czując, że tak bardzo do ich nie pasuję jak deszcz kapiący mi z kaptura kurtki.

- Doktorze Hunter, kopę lat.

Obejrzałem się. Podszedł do mnie postawny mężczyzna. Miał na sobie przeciwdeszczową odblaskową kurtkę. Musiałem bacznie przyjrzeć się twarzy pod kapturem, zanim poznałem, że to Lucas, policyjny konsultant z pierwszych poszukiwań. Nigdy nie był szczupły, a ostatnia dekada dodała mu jeszcze czerwony nos i policzki wskazujące na dużo pracy pod gołym niebem albo na wysokie ciśnienie krwi. Szpakowate kiedyś włosy teraz już całkowicie i przedwcześnie zbielały, jeszcze bardziej kontrastując z wciąż ciemnymi brwiami.

Jednak uścisk dłoni pozostał mocny, a zmarszczki wokół oczu miały tyle samo ciepła, ile zapamiętałem.

- Nie wiedziałem, że pan jest tutaj doradcą - powiedziałem zadowolony z widoku przyjaznej twarzy.

- To jak za karę. Muszę przyznać, że byłbym szczęśliwszy, gdybym nie musiał więcej oglądać tego zapomnianego przez Boga miejsca. - Przesunął spojrzeniem po wrzosowisku. - Kiepska sprawa z tym Wainwrightem.

Pokiwałem głową. Nie miałem nic do dodania.

- Im szybciej z powrotem wsadzimy za kratki sukinsyna, który to zrobił, tym lepiej. Podobno pan i Sophie Keller wczoraj się z nim ścigaliście?

To wspomnienie powoli robiło się już nierealne.

- Tak, sądzę, że z nim. Nie mieliśmy okazji, żeby przyjrzeć mu się z bliska.

- Gdybyście mieli, to by pana tutaj nie było. Żadnego z was - zamilkł na chwilę, a potem się uśmiechnął. - Jak się miewa Sophie?

- Wszystko u niej w porządku. - Nie miałem czasu na wdawanie się w szczegóły.

- Słyszałem, że rzuciła wszystko w diabły i wzięła się do lepienia garnków. No i dobrze. W przyszłym roku sam idę na emeryturę. - Skrzywił się na złą pogodę. - Nie powiem, żeby mi było smutno. Jestem już za stary na takie zabawy. I ta praca też się zmieniała. Teraz to tylko papierkowa robota i biurokracja. A skoro już o tym mowa...

Spojrzał ponad mną. Usłyszeliśmy ostry głos Simmsa.

- Doktorze Hunter, kiedy pan będzie gotowy?

Zastępca naczelnika włożył parę nowiutkich kaloszy.

Sięgające łydek gumowe buty wyglądały zabawnie przy jego starannie skrojonym płaszczu i mundurze, ale nie wszyscy mieli tak wygodnie jak on. Kiedy ruszaliśmy błotnistą ścieżką, dostrzegłem, że Roper ze smutkiem spogląda na własne półbuty z cienkimi

podeszwami. Treser psa, mężczyzna o ogolonej głowie i wyglądzie twardziela, szedł nieco przed wszystkimi, coraz bardziej popuszczając linkę przyczepioną do psiej uprzęży, a zaaferowany wilczur węszył.

- Czy deszcz mógł coś zmienić? - zapytałem.

Mężczyzna odpowiedział, nie odrywając wzroku od psa.

- Nie, chyba żeby naprawdę mocno lało. Problem leży w torfie. Wciąga wodę jak gąbka, a jak grunt jest zbyt bagnisty, to nie trzyma zapachu.

- Tam, gdzie idziemy, jest dość bagnisty grunt.

Treser spojrział na mnie tak, jakbym kwestionował umiejętności jego psa.

- Proszę się nie martwić. Jeśli tu jest jakiś zapach, on na pewno go złapie.

Reszta z nas czekała, a treser i jego pies przeszukiwali miejsce, w którym stał Monk, gdy patrzył, jak odjeżdżam z Sophie. Albo przynajmniej tak bliską okolicę tego miejsca, jak tylko potrafiłem sobie przypomnieć. Niczego nie znaleźli, Naysmith w końcu ich odwołał. Może tylko mi się zdawało, ale odniosłem wrażenie, że rzucono mi wtedy kilka chłodnych spojrzeń. Gdy szliśmy ścieżką, przyłapałem się na tym, że zastanawiam się, czy może wczoraj nie zareagowaliśmy zbyt przesadnie.

Boże, proszę, nie pozwól, bym marnował czyjś czas.

Deszcz przyciemnił majaczącą w oddali przysadzistą wieżycę Black Tor, sprawiając, że głazy Czarnej Skały stały się jeszcze bardziej godne swojej nazwy. Zeszliśmy ze ścieżki mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie wczoraj opuściłem ją razem z Sophie. Zaczęliśmy przedzierać się przez torfowisko. Lucas miał mapę i kompas, lecz chyba nie dorównywał Sophie w wyczuciu kierunku, a może przez noc zrobiło się tutaj bardziej grząsko. Marsz wydawał się teraz znacznie cięższy. Zatraskany patrzyłem przed siebie, poszukując jakiegoś śladu dołów. Wrzosowisko wydawało się jednak nietknięte - ponure morze zimowych kolorów. Zaczynałem mieć wrażenie, że ze mnie szydzi.

Potem, tak samo jak wczoraj, wrzos i trawa wokół nas nagle okazały się podziurawione błotnistymi kraterami.

Poczułem niedorzeczną ulgę. Prawie już zaczynałem myśleć, że niczego nie znajdziemy. Wszyscy się zatrzymali. Słychać było tylko kapanie wody i bębnienie deszczu o nasze kurtki. Potem ciszę przerwał jeden z policjantów.

- Mają tutaj cholernie wielkie krety.

Nikt się nie roześmiał. Naysmith dał znak opiekunowi psa, aby ruszał naprzód. Wilczur naciągnął smycz, nosem przywarł do ziemi. Niemal od razu za czymś poszedł.

- Chwycił zapach - zawołał jego opiekun, ale akurat gdy to powiedział, pies zaczął

zmieniać kierunek i kręcić się bez celu pomiędzy dołami. - Już po wszystkim.

- Już widzę, że ktoś tutaj był. Teraz chcę się dowiedzieć, dokąd poszedł - rzucił Simms.

Opiekun psa niepewnie zerknął na Naysmitha. Prowadzący dochodzenie skinął głową.

- Proszę spróbować odnaleźć taki trop, który by stąd prowadził.

Kiedy treser i owczarek ruszyli, Simms podszedł do najbliższego dołu.

- Doktorze Hunter, może pan stwierdzić, czy w którymś z tych dołów jest coś zakopane?

Doły były o wiele za małe, aby pomieścić ciała, poza tym niewiele mogłem powiedzieć.

- Nie, ale i tak powinniście sprowadzić psa do odnajdowania ciał. Niektóre doły są płytkie, więc zawsze istnieje szansa, że po prostu nie wykopano ich wystarczająco głęboko.

- Ostatnim razem jak szukaliśmy w tej okolicy, niczego nie było - zauważył Roper. - Mógł tu zakopać pieniądze albo coś w tym rodzaju. To miałoby więcej sensu niż odkopywanie ciał, które spokojnie leżały osiem lat pod ziemią.

W jego słowach było sporo racji, ale Simms się z nimi nie zgodził.

- Monk nie zakopywałby pieniędzy. To by wymagało planowania, a on tak nie rozumuje. Nie, tutaj chodziło o odnalezienie dziewczyn Bennettów. Doktorze Hunter, gdzie był Monk, kiedy po raz pierwszy pan go zobaczył?

Uważnie przyjrzałem się wrzosowisku. Teraz, bez unoszących się nad ziemią oparów, wszystko wyglądało inaczej, brakowało punktów charakterystycznych pomocnych w dokładnym określeniu miejsca. To Sophie znała się na takich rzeczach, nie ja - ale w swej mądrości Simms jej nie zabrał.

Jednak miałem całkowitą pewność, gdy wskazałem:

- Tam. Mniej więcej sto metrów stąd.

Kiedy Simms z powątpiewaniem spoglądał na niewyróżniający się niczym fragment torfowiska, jego czapka ociekała wodą. Niczego tam nie było, brakowało formacji skalnej albo pagórka na tyle dużych, żeby zdołał się ukryć za nimi ktoś tak wielki jak Monk.

- Nie mógł się tak po prostu zjawić znikąd. Skąd przyszedł?

- Stał tam, kiedy go zobaczyliśmy. Tylko tyle mogę panu powiedzieć.

Simms bębnił po nodze dłonią w rękawicze, niczym niespokojny kot szarpiący ogonem.

- Przeprowadzić psa - rzucił i ruszył przed siebie.

Torfowisko zrobiło się bardziej grząskie, brnęliśmy coraz dalej przez zagony lepkiego szlamu, przykrytego oleistą wodą. Kilka razy musieliśmy obejść miejsca zbyt grząskie, aby dało się iść na przełaj. Roper mrucał coś pod nosem, ślizgając się w swoich butach. Dwukrotnie zdawało się, że pies złapał jakiś ulotny zapach, lecz w obu przypadkach treser, popuściwszy zwierzęciu smyczy, tylko pokręcił głową.

Kiedy zbliżyliśmy się do miejsca, w którym po raz pierwszy dostrzegłem Monka, nagle coś sobie uświadomiłem. Przecież szliśmy teraz taką samą trasą jak przed laty, kiedy skazaniec rzekomo prowadził nas do innych grobów - zanim z owej drogi zeszliśmy, gdy Sophie znalazła miejsce, gdzie leżał martwy borsuk. Zastanowiłem się, czy aby o tym nie powiedzieć, jednak Simms i bez tego był nastawiony sceptycznie. Nie przedobrzyj, pomyślałem.

Zatrzymałem się i rozejrzałem wokół, starając się określić, jak daleko już dotarliśmy.

- No i? - naciskał Simms.

- Mniej więcej tutaj, ale trudno powiedzieć, gdzie dokładnie. - Miałem nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. - Myślę, że zaraz tutaj.

Ten fragment torfowiska niczym się nie wyróżniał. Trawa i wrzos drżały lekko pod uderzeniami deszczu. Nic nie wskazywało, aby ktokolwiek tu kiedyś był.

- Mówił pan, że on szedł za wami. Którędy? - pytał Simms.

Próbowałem sobie przypomnieć, co okazało się teraz niełatwe, gdy patrzyłem z tej nowej perspektywy.

- Najpierw szedł za nami w stronę ścieżki, ale potem ruszył na przełaj przez wrzosowisko, do drogi, tak żeby nas wyprzedzić.

Naysmith dał znak opiekunowi psa.

- Sprawdźmy, czy coś tam znajdziecie.

Treser psa zaczął tropić wraz ze swoim podopiecznym. Starali się przeciąć szlak Monka, jednak zaraz ugrzęźli. Łapy owczarka tonęły w czarnym błocie. Pies szarpał się i pisał, gdy opiekun go wyciągał, a po kilku minutach znowu utknął.

- Tutaj jest za mokro - zawołał opiekun, znowu przenosząc zwierzę na jakiś pewniejszy grunt. - Tutaj jest jak w trzęsawisku!

- Próbujcie dalej - polecił mu Simms.

Po twarzy tresera było widać, co o tym wszystkim sądzi. Psie łapy tonęły w błocie. Wilczura wyciągano ze szlamu jeszcze kilka razy, aż w końcu zarówno zwierzę, jak i jego pan zziąkali się i całkiem umazali torfem. Owczarek dotarł wreszcie na jakieś stabilniejsze podłoże, wydawało się, że złapał trop. Postawił uszy z zainteresowaniem, zaczął iść za zapachem, jednak nagle zaskowyczał i zawrócił.

- A teraz co? - Simms zażądał wyjaśnień, widząc, że zwierzę parska i trze nos łapami.

- To amoniak - wyjaśnił treser, z odrazą wachając ziemię. Ostry, chemiczny zapach był nieprzyjemny nawet dla ludzi: dla znacznie wrażliwszego psiego nosa musiał okazać się bardzo bolesny. Opiekun poklepał wilczurę, rzucając Simmsowi spojrzenie pełne wyrzutu.

- Deszcz to częściowo zmył, ale ktoś się nas spodziewał. Tutaj już nic nie zdziałyśmy.

Zdawało się, że Simms zaraz zacznie nalegać, by kontynuować poszukiwania, jednak wtrącił się Naysmith.

- Wkrótce się ściemni. Jutro możemy przyprowadzić więcej psów, zorganizować porządne poszukiwania. Dzisiaj już niczego nie wskóramy.

Kiedy zastępca naczelnika popatrzył na Naysmitha, ten spojrzał mu prosto w oczy. Simms niecierpliwie poklepał się po boku, a potem zgodził się z niechęcią.

- W porządku. Ale pierwsze, co robimy jutro...

- Tutaj!

To krzyknął Lucas. Kiedy pies przedzierał się przez błoto, konsultant rozglądał się po okolicy na własną rękę. Teraz stał na niskim pagórku, spoglądając w dół, na coś po drugiej stronie wzniesienia. Simms ruszył tam, kłapiąc kaloszami, zmuszając pozostałych, aby ruszyli za nim.

Za pagórkiem teren opadał, więc zbocze sięgało niżej, niż początkowo się wydawało. Okrywał i maskował je karłowaty kolcolist, oprócz tych wyglądających jak łysina miejsc, gdzie kamienie przebiły się przez roślinność.

W kącie między dwoma pochylonymi ku sobie skałami zobaczyliśmy czarny, pionowy otwór o średnicy niecałego metra.

- Chryste, czy to jaskinia? - zapytał Naysmith.

Lucas studiował mapę.

- W tej części wrzosowiska nie ma żadnych jaskiń. Wszystkie jaskinie są w wapieniu, dalej na południe, takie jak te w Buckfastleigh. Tutaj jest sam granit. - Złożył mapę. - Nie, to jest sztolnia.

- Co takiego? - dopytywał się Simms.

- Wejście do starej kopalni. Jeszcze mniej więcej sto lat temu w tej okolicy wydobywano cynę. Głównie na małą skalę. Większość takich tuneli potem zasypano albo zamknięto, ale nie wszystkie. Niektóre wciąż są.

Pomyślałem o zarośniętym, wodnym kołowrocie i urządzeniach kopalnianych nieopodal skrzyżowania na Black Tor. Dla mnie były jedynie elementem miejscowego krajobrazu. Mijałem je wielokrotnie, tak naprawdę nigdy nie zwracając na nie uwagi.

Nigdy nawet nie pomyślałem, co może się tutaj kryć pod powierzchnią ziemi

Naysmith pochylił się nad otworem.

- Wygląda na głęboki. Ma ktoś latarkę?

Rozległy się jakieś pomrukiwania, rzucono po sobie spojrzenia.

- Och, na litość boską, ktoś musiał zabrać.

- Ja mam. - Jakiś kryminalny usłużnie podał małą latarkę wielkości długopisu.

Naysmith, biorąc ją, pokręcił głową z odrazą. Poświecił w otwór i zajrzał. Jego głos odbił się echem.

- Dużo nie widzę. Chyba sięga daleko...

- Dać tutaj psa - polecił Simms.

Treser, zaciskając usta, przyprowadził wilczura. Owczarek był czarny od błota, a z jego wywalonego jęzora unosiła się para, jednak doszedł już do siebie po amoniaku. Kiedy zbliżył się do otworu, nagle zadarł uszy. Zaczął węszyć z zaferowaniem po pobliskich skałach, a potem rzucił się w stronę sztolni. Kiedy opiekun go odciągał, owczarek aż zapierał się łapami.

- Już w porządku, dobry piesek. - Treser uspokajał i głaskał wilczura, unosząc wzrok na Simmsa. - Nie ma wątpliwości. Albo tędy wyszedł, albo tędy wszedł. Albo jedno i drugie.

Zapadła cisza. Pierwszy, odezwał się Roper.

- No, teraz już wiemy, dlaczego osiem lat temu Monk chciał przyjść właśnie tutaj. I dlaczego tak trudno go znaleźć. - Komisarz wyszczerzył wystające zęby w uśmiechu, będącym niemal wściekłym grymasem. - Sukinsyn zapadł się pod ziemię.

Rozdział 20

Kiedy zaparkowałem, w domu Sophie paliło się światło. Wyłączyłem silnik. Siedziałem w ciemnościach, ciesząc się chwilą spokoju i ciszy. Kiedy jechałem, przestało padać, ale na drogach potworzyły się kałuże, rozbryzgując we mgiełkę pod kołami.

Ponownie oparłem się o zagłówek, delektując spokojem. Nie miałem innego wyboru, musiałem tutaj wrócić. Po pierwsze, zostawiłem u Sophie swoje rzeczy: gdy usłyszałem o morderstwie i popędziliśmy do Sharkham Point, nie zabrałem bagażu. Po drugie, chciałem sprawdzić, co u niej słychać. Nie mieliśmy okazji do rozmowy od rozstania pod domem Wainwrightów.

A od tamtej pory mnóstwo się wydarzyło.

Kiedy wracaliśmy do samochodów, Lucas opowiedział mi jeszcze o kopalniach. Naysmith zostawił przy sztolni dwóch policjantów, na wypadek gdyby wyłonił się z niej Monk, chociaż coś takiego raczej nie wchodziło w rachubę. Dawne kopalnie cyny znajdowały

się w całym środkowym Dartmoor. Nie wszystkie tunele przetrwały, a te, które się zachowały, nie zawsze były bezpieczne. Bardziej dostępne wejścia zablokowano więc stalowymi kratami i furtami zamykanymi na kłódkę. Na wrzosowiskach uchowały się jednak takie sztolnie jak znaleziona przez nas, zarośnięte i prawie niewidoczne - dopóki nie wiedziało się, czego szukać.

Najwyraźniej Monk wiedział.

- Wiedzieliśmy o kopalniach, ale nie rozważaliśmy takiej opcji - opowiadał mi Lucas. - Monk jest samotnikiem, który spędził mnóstwo czasu na wrzosowiskach, ale z tego, co wiedzieliśmy, nie miał doświadczenia w chodzeniu po jaskiniach. A proszę mi wierzyć, te kopalnie to straszne miejsca. Nie chciałby pan do nich wchodzić, no, chyba że dokładnie by pan wiedział, co robi.

- Czyli że w ogóle ich nie sprawdzano?

- Tylko na tyle, aby je wykluczyć. Kiedy zaginęły tamte dziewczyny, przeszukaliśmy co większe jaskinie, na wypadek gdyby Monk wrzucił tam ciała. Ale nie schodziliśmy w głąb, psy tylko obwąchały okolicę, szukając jakichś jego śladów. Niczego nie znalazły, więc daliśmy spokój. - Konsultant wydał policzki. - Jeśli Monk z nich korzysta, Bóg jeden wie, gdzie jest teraz. Niektóre kopalnie mają kilkaset lat, a założę się, że na mapach nie zaznaczono wszystkich starych sztolni. Monk może sobie wejść w jedną z takich dziur i wyjść na powierzchnię gdziekolwiek.

To była straszliwa myśl.

- Czy w pobliżu Padbury są jakieś kopalnie?

- Padbury?

- Tam, gdzie mieszka Sophie.

- Zaraz zobaczymy, dobrze? - Lucas rozłożył mapę. Przyglądając się, kreślił na niej szlak grubym palcem. - W pobliżu niczego nie ma. Najbliższa byłaby kopalnia Cutter's Wheal, mniej więcej pięć kilometrów dalej, ale jest zamknięta.

Przynajmniej z tego byłem zadowolony. Po zamordowaniu Wainwrighta już niczego nie mogliśmy być pewni. Przez okno zaparkowanego samochodu spojrzałem na dom Sophie, otoczony lasami i polami.

Dobrze mieć taki dom na wsi, ale pod warunkiem że w okolicy nie grasuje psychopatyczny morderca.

Zamykając samochód, pchnięciem otworzyłem skrzypiącą furtkę i ruszyłem ścieżką. Po deszczu powietrze zrobiło się świeże, pachniało ziemią i wilgotną trawą. Blask z okien sprawiał, że dom był teraz lepiej widoczny, a masywny piec w porównaniu z nim zdawał się

jeszcze ciemniejszy. Zatrzymałem się przed drzwiami wejściowymi, odetchnąłem głęboko i zapukałem.

Przez jakiś czas nic się nie działo, ale kiedy miałem już zapukać ponownie, usłyszałem, jak wewnątrz otwiera się zasuwa. Drzwi uchyliły się, pociągając świeżo przymocowany łańcuch, a z powstałej szczeliny spojrzała na mnie Sophie. Milczała. Drzwi zamknęły mi się przed nosem, a potem usłyszałem grzechot odpinanego łańcucha, po czym otworzyły się znów.

Sophie bez słowa ruszyła korytarzem. Kiedy zamknąłem i zarygnowałem drzwi, usłyszałem dobiegający z kuchni dźwięk siekania warzyw. Nie jest dobrze, pomyślałem. Zdjąłem zabłocone buty i powiesiłem kurtkę, a potem poszedłem do kuchni.

Sophie stała odwrócona do mnie plecami. Patrzyłem niepewnie, jak nóż uderza o deskę do krojenia.

- Simms mówił, że ktoś cię odwiezie do domu - odezwałem się.

Sophie odpowiedziała, nie odwracając się.

- Przywieźli mnie. Mniej więcej dwie godziny temu.

- Jak było? Gdy składałaś zeznanie?

- Tak, jak się spodziewałeś.

Plecy miała sztywne i napięte. Zdrapała posiekana marchew do rondla, potem zaczęła kroić ziemniaki. Wziąłem głęboki oddech.

- Słuchaj, przykro mi. Powiedziałem Simmsowi o twoich listach do Monka. Nie miałem wyboru.

- Wiem.

Oznajmiła to beznamiętnym tonem. Spodziewałem się czegoś gorszego.

- Nie wiedziałem, co sobie pomyślisz.

- Sama im powiedziałam. Nie jestem zupełną idiotką, wiem, że nie mogłabym tego trzymać w tajemnicy. Nawet wydrukowałam im kopie z komputera.

- Czyli że jeśli o to chodzi, to wszystko w porządku?

- A dlaczego miałoby nie być? Pisanie do kogoś listów nie jest wbrew prawu. Nawet listów do Monka.

Cały czas się nie odwracała. Nóż unosił się i opadał, wybijając staccato na desce.

- W takim razie, co się stało?

- Co się stało? - Rzuciła nożem o deskę. - Zabrali mnie jak jakiegoś przestępcę! Nikt mi o niczym nie powiedział! Nie wiedziałam nawet, że gdzieś pojechałeś, dopóki jakaś policjantka o paskudnej gębie nie oznajmiła, że zawozi mnie do domu! Poczułam się całkowicie

bezużyteczna!

- Przykro mi.

Westchnęła i pokręciła głową.

- Nie, wiem, to nie twoja wina. Najpierw był ten szok po zamordowaniu Wainwrighta, a potem... zatrzaśnięto mi drzwi przed nosem. Pierwszy raz tak naprawdę do mnie dotarto, że już nie jestem doradcą behawioralnym. Teraz jestem tylko cywilem... Nie cierpię, kiedy się mnie tak odsuwa. - Uśmiechnęła się zmieszana. - Przepraszam. Nie powinnam się na tobie wyżywać.

- Nie przejmuj się. Dla nas wszystkich to był ciężki dzień.

- No tak, ale to przecież nie twoja wina. - Położyła mi rękę na ramieniu i nagle między nami pojawiło się jakieś napięcie. Prysło, gdy Sophie zdjęła dłoń, prędko odwracając się z powrotem do blatu.

- No i co się działo, kiedy mnie nie było?

Opowiedziałem o Wainwrightcie i odnalezionej przez nas sztolni.

- Policja wystąpiła grotolazów, ale Lucas wątpi, żeby Monk wciąż tam był. Po tym jak nas wczoraj widział, pewnie uznał, że znaleźliśmy tę kopalnię.

Przynajmniej tę jedną. Ze słów Lucasa wynikało, że miał do dyspozycji jeszcze wiele innych.

- Czyli że właśnie tam chciał się dostać, kiedy próbował nam uciec wtedy na wrzosowisku. Gdyby tam wszedł, nigdy byśmy go nie znaleźli. - W głosie Sophie brzmiała gorycz. - Boże, naprawdę zrobiłam z siebie idiotkę, prawda?

- A skąd miałaś wiedzieć? Jest jeszcze coś - oznajmiłem, a potem opowiedziałem o Terry.

- Zawiesili go? - Sophie wydawała się oszołomiona. - Nie miałam pojęcia.

- Skąd miałabyś wiedzieć? Wygląda na to, że się z tym nie pogodził. Miał problem z piciem i jego kariera jest teraz na zakręcie. Simms chce, żebyśmy powiadomili Ropera, jeśli Terry znowu się z nami skontaktuje, ale po tym, co się przydarzyło Wainwrightowi, wątpię, aby się odważył.

- Nie sądzisz chyba...

- Co?

- Nic. Nieważne.

Jednak domyśliłem się, że coś chciała powiedzieć.

- Zastanawiasz się, czy Terry miał coś wspólnego z Wainwrightem?

- Wiem, że to głupie, ale przy tym wszystkim innym, co zrobił... - Wydawała się

wystraszona.

- Wątpię. Terry może się wykoleił, ale nie miał powodu, żeby robić coś takiego. Simms może nie chcieć tego przyznać, dopóki nie będzie musiał, ale wątpię, żeby jeszcze były jakieś wątpliwości co do tego, że to był Monk.

Jesteś pewien? Przecież nie mogłem dłużej udawać, że nie wiem, do czego zdolny jest Terry. Jednak gwałtowna śmierć Wainwrighta, ślina z pogardą splunięta na podłogę - wszystko wskazywało raczej na Monka.

Co przypomniało mi o następnym problemie.

- Myślę, że powinnaś znowu się zastanowić nad wyprowadzeniem się stąd, aż wszystko ucichnie.

Sophie z uporem zacisnęła usta.

- Już to przerabialiśmy.

- To było, nim zabito Wainwrighta.

- Nie mamy pewności, że to był Monk, a nawet jeśli to był on, to dlaczego miałby chcieć mnie skrzywdzić? Nic mu nie zrobiłam.

Nie musiałaś, po prostu jesteś atrakcyjną kobietą. Gdy tak było jej wygodnie, potrafiła zachowywać się niezbyt rozsądnie jak na specjalistkę od behawioryzmu.

- Osiem lat temu Wainwright tylko go obraził, a teraz nie żyje - zauważyłem, starając się zachować cierpliwość. - Nie wiemy, co powoduje Monkiem. Może Terry ma rację i Monk chce dopaść wszystkich z pierwszego zespołu poszukiwawczego. Ale nawet jeśli nie o to mu chodzi, to i tak, pisząc do niego, zwróciłaś na siebie uwagę. Nie warto ryzykować.

Widziałem, że nadal jest wystraszona. Jednak zaczęła robić minę, którą zaczynałem rozpoznawać jako oznakę sprzeciwu.

- Już postanowiłam.

- Sophie...

- To samo mówiłam policji dzisiaj po południu. Umiem zadbać o siebie. I nikt cię nie prosi, żebyś zostawał tutaj dłużej.

Boże, ona potrafiła doprowadzić człowieka do pasji. Torbę już spakowałem, a nie miałem złudzeń co do swoich szans, jeśli zjawi się tutaj Monk. Wiedziałem jednak, że przecież nie zostawię jej samej. Wcale nie dlatego, że była atrakcyjna, ani też dlatego, iż doskonale zdawałem sobie sprawę z istnienia między nami chemii. Nie, miałem znacznie bardziej prozaiczne powody.

Musieliśmy potrafić żyć w zgodzie z samymi sobą.

Westchnąłem

- Nigdzie się nie wybieram.

Posłała mi znużony uśmiech.

- Dziękuję.

- Tylko mi obiecaj, że przynajmniej się nad tym zastanowisz.

- Obiecuję - odparła i musiałem się tym zadowolić.

Na kolację było wegetariańskie curry, przyrządzone z resztek, jakie zostały Sophie w spiżarni i lodówce. Jedliśmy przygnębieni. Dojmująco odczułem, jak bardzo jesteśmy tutaj odcięci od świata, sądziłem także, że pomimo swojej brawury Sophie ma takie samo wrażenie. Ostatnich kilka dni odcisnęło na niej swoje piętno. Uparcie twierdziła, że ten ból głowy, o którym wspominała, wynikał tylko z przemęczenia, jednak zdawała się wyczerpana. Kiedy zaproponowałem, że posprzątam ze stołu, a ona położy się spać, zbytnio nie protestowała.

- Skoro tak sobie życzysz. Częstuj się, czymkolwiek zechcesz. W salonie jest brandy i whisky.

Sam również byłem zmęczony, ale wiedziałem, że jeśli teraz położę się spać, będę tylko leżał, nie mogąc zasnąć i nasłuchując w tym starym domu każdego skrzypnięcia i hałasu. Gdy Sophie poszła na górę, pozmywałem i wytarłem naczynia, następnie poszedłem do salonu, żeby zrobić sobie drinka. Whisky okazała się blendem kilku gatunków, za to brandy - piętnastoletnim armaniakiem.

Nalałem sporą porcję, dorzuciłem polano do kominka, po czym rozsiadłem się na sofie. Zastanawiałem się, czy może nie włączyć telewizora i obejrzeć wiadomości, jednak wątpiłem, żeby powiedziano w nich o śledztwie coś, czego i tak już nie wiedziałem. Zresztą dzień nawet bez tego był przygnębiający.

Siedziałem więc w ciszy, wpatrując się w kominek, słuchając przytłumionego trzasku płomieni. Nawet kiedy Sophie nie było w pokoju, jej obecność i tak była wyczuwalna. Na niskim stole stała wykonana przez nią ceramika, kilka większych waz było też na podłodze, a dywany i meble z sosny tak jak ona nie miały żadnych zbędnych ozdóbek. Wyczuwałem w poduszkach delikatny ślad jej zapachu. Wypiłem łyk armaniaku, ponownie głowiąc się nad uporem Sophie...

Obudził mnie dzwonek telefonu. Wyprostowałem się gwałtownie. Ledwie zdążyłem złapać pusty kieliszek, mający już sturlać mi się z piersi. Aparat stał na szafce. Chwyciłem słuchawkę, zanim zdołał zadzwonić ponownie. Jednocześnie zerknąłem na zegarek. Pół do trzeciej rano.

Nikt nie dzwoni o tej godzinie, jeśli wszystko jest w porządku.

- Halo? - Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. - Halo? Kto tam?

Cisza. Ależ proszę bardzo, pomyślałem, zirytowany. Chciałem już odłożyć słuchawkę. Wtedy usłyszałem jakiś dźwięk po drugiej stronie. Chrapliwy i znużony, czyjś rzęzący oddech.

Nagle zrozumiałem, że to Monk.

Na przedramionach pojawiła mi się gęsia skórka, zjeżyły się włoski. Zdołałem się jakoś odezwać.

- Czego chcesz?

Nic. Nadal słyszałem oddech. Chwila się przeciągała, a potem rozległo się miękkie kliknięcie.

Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech. Odłożyłem słuchawkę. W domu było cicho, odebrałem, zanim dzwonek telefonu obudził Sophie. Szybko poszedłem do kuchni, szukałem po szufladach ołówka i papieru, a potem wyświetliłem numer przychodzący i zanotowałem.

Sadząc po numerze kierunkowym, to było połączenie lokalne. Wpatrywałem się w kartkę, czując, jak z wolna odpływa ze mnie adrenalina. Nie było sensu wzywać policji, jeszcze nie teraz. Nie miałem dowodu, że na pewno dzwonił Monk, a raczej trudno, aby zrobił na nich wrażenie jakiś anonimowy telefon.

Ale ja wiedziałem.

Sprawdziłem, czy drzwi wejściowe są zamknięte i zaryglowane, a potem poszedłem do pokoju sprawdzić okna. Wyglądały na stare i łatwe do sforsowania. Drewniane framugi nie powstrzymałyby nikogo, ale przynajmniej usłyszałbym, że ktoś się włamuje. Wróciłem do salonu i rozgarnąłem żar w kominku, dodałem więcej rozpałki i polan. Gdy już wczołgały się na nie płomienie, zamknąłem drzwi kominka. Pogrzebacz odłożyłem w zasięgu ręki.

Potem usadowiłem się, aby zaczekać na poranek.

Rozdział 21

Niezależnie od tego, czego chciał Simms, Roper wcale nie był pierwszym policjantem, do którego bym teraz zadzwonił. Nie miałem jednak numeru komórki Naysmitha, a wątpiłem, żeby prowadzący dochodzenie w samym środku śledztwa spędzał dużo czasu za biurkiem.

Odczekałem więc do jakiejś rozsądnej godziny i zatelefonowałem do komisarza. Tak jak się spodziewałem, połączyłem się z automatyczną sekretarką. Zostawiłem krótką wiadomość, wyjaśniając, co się stało, podałem również numer do Sophie, nie ufając słabemu zasięgowi swojej komórki. Mimo wszystko spróbowałem jeszcze skontaktować się z Naysmithem, ale skończyło się kolejnym nagraniem na automatyczną sekretarkę.

Zrobiwszy wszystko, co w mojej mocy, chciałem dotrzeć do świtu. Jednak mimo najlepszych chęci, kiedy na zewnątrz zaczął już śpiewać ptasi chór, zasnąłem na sofie. Godzina niespokojnego wypoczynku sprawiła, że czułem się otepiały, miałem zdrętwiałą szyję.

Nie budząc Sophie, wszedłem pod gorący prysznic, stałem tam tak długo, aż poczułem się trochę bardziej jak człowiek.

Kiedy zszedłem na dół, Sophie krzątała się po kuchni opatulona w gruby szlafrok kąpielowy.

- Dzień dobry. Dzisiaj rano musimy zadowolić się owsianką. Naprawdę muszę zrobić jakieś zakupy.

- Owsianka może być.

Przetarła oczy.

- Boże, czuję się wykończona. Mogę się założyć, że też tak wyglądam.

Akurat myślałem coś wręcz przeciwnego. Nawet ze zmierzwionymi po nocy włosami i w luźno zawiązanym szlafroku wciąż miała taką kocią pewność siebie. Wychwyciła moje spojrzenie.

- No i co? - zapytała z uśmiechem.

Ostry dźwięk dzwonka telefonu orzeźwił mnie niczym kubeł lodowatej wody. Cholera. Miałem nadzieję, że zdążę jej powiedzieć o anonimowym telefonie, zanim zrobi to Roper albo Naysmith.

- To może być do mnie - powiedziałem prędko, jednak zdążyła już podnieść słuchawkę.

- Tak... Och - skrzywiła się z odrazą i wyszeptała „Roper”. - Tak, jest tutaj. Chwileczkę.

Wręczając mi słuchawkę, spojrzała pytająco. Opowiadając Roperowi o połączeniu odebranych dzisiaj wczesnym rankiem, miałem nieprzyjemną świadomość, że Sophie stoi obok.

- Dlaczego pan sądzi, że to był Monk? - zapytał detektyw.

- Przede wszystkim nie odzywał się. Ludzie zwykle przepraszają, jeśli dodzwonią się pod zły numer. I jeszcze... - urwałem, zerkając na Sophie.

- I...? - naciskał Roper.

Och, do diabła. Niemal czułem, jak wwierca się we mnie jej spojrzenie.

- To tylko takie wrażenie, ale sądzę, że był... zaskoczony. Jakby się mnie nie spodziewał.

- I pan to wyczytał z jednego głuchego telefonu? - Słyszałem sceptycyzm rozmówcy. Jednak czekając na świt, miałem mnóstwo czasu, aby wszystko sobie przemyśleć. - Skąd pan w ogóle wie, że po drugiej stronie był mężczyzna?

- Oddech miał zbyt ciężki jak na kobietę. Słyszałem, jak rzeźbi, tak jakby brakowało mu tchu albo miał astmę.

- Ciężko dyszał, tak? Jest pan pewien, że to nie był po prostu jakiś zboczeniec?

Mocniej zacisnąłem dłoń na słuchawce.

- U Monka, zanim uciekł, podejrzewano atak serca. Może wcale nie udawał choroby.

Nie potrafiłem jednak uwierzyć, że Monk zdołałby uciec, mając prawdziwy atak serca, ale coś musiało przekonać więziennych lekarzy. Kiedy Roper się zastanawiał, ze słuchawki dobiegł dziwny dźwięk. To policjant stukał długopisem po zębach.

- Sądzę, że nie zaszkodzi sprawdzić ten numer - stwierdził. - Wie pan co, wpadnę i osobiście wysłucham pańskiego zeznania.

- Proszę sobie nie robić kłopotu - powiedziałem, czując, jak mnie ściska w dołku.

Roper zachichotał nosowo.

- Och, doktorze Hunter, żaden kłopot. Zastępca naczelnika chce, żebym pilnował pana i pannę Keller.

Co można zinterpretować dwojako, pomyślałem, odkładając słuchawkę. Sophie wpatrywała się we mnie, biorąc się pod boki.

- Monk dzwonił wczoraj w nocy? A ty mi o niczym nie powiedziałaś?

- To był środek nocy, nie chciałem cię budzić.

- A nie pomyślałaś, że mogłabym chcieć się o tym dowiedzieć?

Po długiej nocy moja cierpliwość była już na wyczerpaniu.

- No dobra! Jak znowu zadzwoni, poproszę go, żeby zaczekał, aż cię obudzę!

- Wiesz, o co mi chodzi! To mój dom! Nie potrzebuję żadnej ochrony!

- Ja nie... - przerwałem w pół słowa. Nie było sensu się kłócić. - Słuchaj, przepraszam. Miałem ci powiedzieć, ale akurat wtedy zadzwonił Roper. Tylko zgaduję, że to Monk.

- Boże. - Zakłopotana przeczesła ręką włosy. - A czy to mógł być Terry Connors?

- Nie sądzę. Jeśli to był Terry, dlaczego niczego nie mówił?

- A dlaczego on cokolwiek robi? - powiedziała ponuro, trąc skroń. Spróbowała się uśmiechnąć. - Terry Connors czy Jerome Monk... Aż nie wiadomo, co wybrać.

- To jeszcze nie koniec dobrych wieści. Roper tutaj zajrzy.

Sophie spojrzała na mnie, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Dobra, za karę ty robisz dzisiaj śniadanie.

Gdy zjawił się Roper, było już przedpołudnie. Byliśmy akurat w piecu. Sophie uznała, że musi popracować.

- Już od paru dni niczego nie zrobiłam. A do końca miesiąca muszę zrealizować zamówienie dla takiej jednej restauracji.

Patrzyłem, jak wprowadza w ruch koło garncarskie. Włożyła męskie ogrodniczki, sprane i poplamione gliną. Ręce miała silne i zręczne, formowała tworzywem z łatwością, jakby samą siłą woli.

- Chcesz spróbować? - zapytała.

- Nie, dzięki.

- Tchórz.

Odcięła nadmiar gliny z krawędzi talerza, pacnęła go na wielką glinianą kulę z podobnych skrawków, leżącą na stole.

- Co to jest? - zapytałem.

- To? - roześmiała się z zakłopotaniem, wyglądając kciukiem przyklejony właśnie kawałek gliny. - Nic takiego. Taki brzydki nawyk. Kiedyś wyrzucałam wszystkie odpadki do kosza, ale potem się rozleniwiłam. No i to zaczęło rosnąć. Ale jakoś to lubię. To nie stara się być czymkolwiek, a jednak ciągle się zmienia. To takie terapeutyczne.

Pacnęła mocno glinianą kulę, potem otarła dłonie materiałem wiszącym na rusztowaniu.

- Teraz muszę jeszcze popracować.

Zrozumiałem aluzję i zostawiłem Sophie samą. Poszedłem do ogrodu. W powietrzu wisiała mgielka oparów i mżawki. Ruszyłem na przełaj, przez wilgotną trawę, w stronę niewielkiego jabłoniowego sadu. Drzewa były powyginane, stare, przypuszczalnie równe wiekiem domowi. Na gałęziach wciąż jeszcze wisiało jedno albo dwa wysuszone jabłka niczym zapomniane bożonarodzeniowe ozdoby, podobnie jak one żałosne i samotne. Pod pniami leżało mnóstwo owoców strąconych przez wiatr, a w powietrzu unosiła się słodkawa cydrowa woń zgnilizny.

Ciszę przerwał daleki warkot silnika. Gdy dźwięk motoru, we mgle tak zwodniczy, powoli się wzmagał, czekałem na pojawienie się auta. Poprzez żywopłot, w górze alejki mignęła szarość, a potem przed ogrodem zatrzymał się samochód.

Wygramolił się z niego Roper, z pomrukiem zwlekając z fotela.

- Myślałem, że już nigdy tutaj nie trafię - wymamrotał, otwierając furtkę. - Nielatwo znaleźć to miejsce, prawda?

- Sądziłem, że pan jest gdzieś w okolicy.

Obnażył zęby w szerokim uśmiechu, jednak omiótł baczny spojrzeniem dom z przyległościami. Nie przegapił niczego.

- Tak mniej więcej, doktorze Hunter. Gdzie panna Keller? A może powinienem teraz powiedzieć, panna Trask?

Zignorowałem tę złośliwość.

- W piecu.

Spojrzał z powątpiewaniem na pordezewiałe rusztowanie wystające ze starego muru.

- Tam jest bezpiecznie?

- Dopóki się nie kichnie.

Ruszyliśmy w tamtą stronę, jednak Sophie wyszła nam na spotkanie. Ocierała dłonie kawałkiem materiału.

- Dzień dobry, panno Keller - powiedział Roper, zerkając nad jej ramieniem do wnętrza budynku. - Ma pani tutaj interesujący warsztat.

Zamknęła za sobą krzywe drzwi, zasłaniając mu widok.

- Jestem teraz zajęta. Czy pan nie miał rozmawiać z Davidem?

- Tak naprawdę to z wami obojgiem. - Roper błysnął uśmiechem. - Sprawa się trochę skomplikowała.

Uświadomiłem sobie, że wizyta nie ma związku jedynie z nocnym telefonem.

- Co się stało?

Komisarz wyglądał, jakby poczuł się nieswojo.

- Żona Wainwrighta opisała nam mężczyznę, który zabił jej męża. To był Monk.

- Nigdzie nie idę!

Sophie stała w kuchni, jej skrzyżowane na piersiach ramiona wyglądały jak zakratowana brama. Wciąż miała na sobie robocze ogrodniczki. Trzy puste kubki stojące obok niej ciągle czekały na wodę ze stygnącego czajnika. Zresztą nie sądziłem, aby szybko się doczekały, jednak teraz stanowiło to najmniejsze ze zmartwień.

Roper miał zawzięty wyraz twarzy człowieka u kresu wytrzymałości.

- Tylko na kilka dni. Może pani wrócić, jak tylko Monk z powrotem znajdzie się w więzieniu.

- Ostatnim razem złapano go dopiero po trzech miesiącach - odparła Sophie. - Jeśli pan myśli, że będę tak żyła w zawieszeniu, czekając, aż go schwytacie, to niech pan lepiej o tym zapomni!

Roper wyglądał, jakby z przyjemnością sam ją zaraz udusił. Po raz pierwszy ani trochę nie miałem do niego pretensji. Jean Wainwright doszła do siebie na tyle, żeby opowiedzieć o tym, co się wydarzyło. W środku nocy obudził ją jakiś hałas. Ona i mąż spali w oddzielnych pokojach, co stanowiło taki osobisty szczegół, który jak sądziłem musiała przy tej okazji ujawnić. Sądząc, że profesor snuje się po nocy, co zresztą robi wiele osób cierpiących na demencję, narzuciła szlafrok i pospieszyła na korytarz. Włączyła światło na półpiętrze, a wtedy zobaczyła Wainwrighta leżącego u stóp schodów, wśród szczątków kredensu.

Stał nad nim Monk

Zemdlała. Kiedy zjawiała się sprzątaczką, wciąż jeszcze leżała półprzytomna na półpiętrze. Pierwsze badania kryminalistyczne potwierdziły jej relację. W całym domu znaleziono odciski palców Monka, do niego należało także DNA z plwociny na podłodze. Trudno było dostrzec w tym cokolwiek innego niż jasne potwierdzenie wszystkich dotychczasowych przypuszczeń. Monk nawet nie spróbował zatrzeć śladów.

Był ponad to.

Ale i tak cała sprawa nie dotyczyłaby Sophie, gdyby nie anonimowy telefon. Dzwoniono z budki na peryferiach Princetown, małego miasteczka otoczonego przez rozległe, otwarte wrzosowiska. Właśnie tam mieściło się więzienie Dartmoor, w którym Monk siedział na początku. To akurat mógł być przypadek, a istniał znacznie lepszy powód czyniący okolicę atrakcyjną dla zbiega.

Nieopodal mieściła się stara kopalnia cyny.

Ekipa grotolazów, która do niej zeszła, oznajmiła, że podobnie jak tamta większa kopalnia w Black Tor, wskutek ostatnich deszczów została zalana i teraz jest niedostępna. Należałoby ją jednak w przyszłości sprawdzić.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby skurwiel specjalnie stamtąd zadzwonił, wiedząc, że tylko stracimy czas. Już nas kiedyś wmanewrował, żebyśmy zabrali go na torfowisko i szukali grobów, więc wcale nie jest taki głupi, na jakiego wygląda powiedział Roper. - Jest dużo kopalni, w których może się ukryć, ale jak już wiemy, gdzie się chowa, to przecież nie będzie mógł umykać nam w nieskończoność. To już tylko kwestia czasu, jak go złapiemy. Pozostaje jednak pytanie, ile szkód zdoła wcześniej wyrządzić.

I właśnie ten problem stanowił prawdziwy powód wizyty Ropera. Po śmierci Wainwrighta i podjętej przez Monka próbie skontaktowania się z Sophie sprawę potraktowano bardzo poważnie. Tak poważnie, że Simms uznał, że Sophie powinna zatrzymać się w mieszkaniu strzeżonym przez policję. Chociaż odpowiedniejszym sformułowaniem byłoby „polecił jej się zatrzymać”.

I wtedy właśnie rozmowa przestała się kleić.

- My nie proponujemy tego dla zabawy - nalegał Roper. - To dla pani dobra.

- Dziękuję, sama zadecyduję, co jest dla mnie dobre. Nie pójdę do jakiejś brudnej kryjówki przez jakiś... Jakiś głupi telefon, co do którego nawet nie wiemy, czy to na pewno był Monk! Tutaj jest mój dom!

- Co nie powstrzymało kogoś od wtargnięcia kilka dni temu i pobicia pani do nieprzytomności. - Detektyw uniósł brew, a potem zadał kpiące pytanie. - Zakładam, że jeszcze pani sobie niczego nie przypomniała, prawda?

Ręka Sophie odruchowo powędrowała ku siniakowi na twarzy. Opuściła ją.

- A nie sądzi pan, że gdybym sobie przypomniała, tobym powiedziała? Tak czy siak, to nie miało nic wspólnego z Monkiem. Policja mówiła, że to było włamanie.

- Owszem, tak mówiła. Tyle że, jak sądzę, nie zgłosiła pani kradzieży, prawda?

Sophie otworzyła usta, a potem je zamknęła.

- Zginęło trochę pieniędzy, które zostawiłam na wierzchu, i kilka sztuk taniej biżuterii. Uznałam, że nie warto zwracać sobie głowy.

To było dla mnie coś nowego. Nie wspominała, aby cokolwiek skradziono. Roper przyglądał się jej przez chwilę.

- Słuchaj, złotko...

- Nie jestem pańskim złotkiem i nigdzie się stąd nie ruszę! Pan myśli, że tak po prostu wszystko rzucę? Prowadzę tutaj interesy!

- Powinna pani o tym pomyśleć wcześniej, zanim sobie wybrała mordercę i gwałciciela na korespondencyjnego przyjaciela - rzucił Roper. - Dla kogoś takiego jak Monk to było swego rodzaju zaproszenie. Równie dobrze mogła pani dopisać na tych listach „uprasza się o pilną odpowiedź”.

Sophie założyła ramiona, zacisnęła usta.

- Nie będę uciekać i się chować!

Roper westchnął, spoglądając na mnie, tak jakby chciał powiedzieć: „No i co teraz?”

- On ma rację - odezwałem się. - To wcale nie musi być jakaś kryjówka. Jak już mówiłem, możemy na kilka dni zamieszkać w hotelu. Mogłabyś też zatrzymać się u siostry...

To był błąd.

- O nie! Nie ma mowy!

- To tylko na...

- Nie, już prędzej zmierzę się z Monkiem! - Odwróciła się do Ropera. - Przykro mi, że jechał pan na próżno, Teraz, jeśli pan pozwoli, muszę zająć się pracą.

Wyszła z hukiem. Detektyw spojrzął za nią.

- No to dobra.

- Czy jest jeszcze coś, co mógłbym zrobić? - zapytałem.

Niezadowolony skubnął wargę.

- Myślę, że mogę się zorientować co do możliwości zainstalowania przycisku alarmowego. Nie żeby to wiele dało, jeśli wziąć pod uwagę, ile minie czasu, zanim zjawią się tu antyterroryści.

- Może pan załatwić policyjną ochronę?

- Nie jesteśmy firmą ochroniarską. Zaoferowano jej kryjówkę, ale jak chce chować głowę w piasek, to już jej sprawa.

Wstał.

- Zastępcy naczelnika to się nie spodoba.

Jasne, bo przecież jeśli Monk znowu kogoś zamorduje, to będzie dla Simmsa nadzwyczaj niewygodne.

- Jeszcze mniej mu się spodoba, jeśli będzie miał w prasie więcej takich nagłówków jak ten o zabójstwie Wainwrighta.

Roper spojrzął na mnie uważnie.

- Doktorze Hunter, jestem pewien, że zastępca naczelnika weźmie to pod uwagę.

Patrzyłem, jak wychodzi i wyjeżdża, a potem włożyłem kurtkę i ruszyłem do pieca. Jeszcze zanim otworzyłem drzwi, usłyszałem furkot koła garncarskiego. Sophie siedziała przy nim, w skupieniu formując misę z kęsa wilgotnej gliny.

- Nie zamierzam zmienić zdania - oznajmiła, nie podnosząc wzroku.

- Wiem. Przyszedłem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Nic mi nie jest.

Misa na kole była nierówna, jednak Sophie zdawała się nie zwracać na to uwagi.

- Wcześniej nie wspominałaś, że zginęły ci jakieś pieniądze i biżuteria.

- Bo to nie było nic cennego. Nie było o czym mówić.

Czekałem. Sophie skupiła się na ruszającym kole.

- Jeśli jest cokolwiek, o czym chciałabyś mi powiedzieć...

- Ja tylko chcę przez jakiś czas побыć sama, dobrze?

Misa zaczęła się trząść i tracić kształt. Była już nie do uratowania, jednak Sophie kontynuowała, tak jakby w jakiś sposób wszystko mogło się samo naprawić. Nie wiedząc, co jeszcze mógłbym powiedzieć, wyszedłem na zewnątrz. Gdy skierowałem się w stronę domu, wilgotne, mgliste powietrze chwyciło mnie za gardło.

Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Sophie była taka uparta. Ale przecież tak naprawdę wcale jej nie znałem. No to dlaczego tutaj siedzisz? - pomyślałem. Tylko ze względu na nią? O to też chodziło, ale istniała jeszcze inna przyczyna, niedająca mi spokoju, od kiedy usłyszałem o ucieczce Monka. A może nawet i dłużej. Leżała w uśpieniu od ośmiu lat, od tamtych nieudanych poszukiwań na torfowisku.

Chciałem poznać odpowiedzi.

Już prawie wchodziłem do domu, kiedy zapiszczał mój telefon komórkowy, dając znać o odebranej wiadomości. Zwykle nie miałem tutaj zasięgu, co wiązało się z kapryсами pogody i ukształtowaniem terenu, teraz jednak najwyraźniej coś się przebiło. Wyjąłem aparat, zobaczyłem treść esemesa. Był krótki, konkretny.

„Pod Żarłokiem, 14.00”.

Wiadomość przysłał Terry.

Rozdział 22

Gdy zbliżałem się do wyżej położonych terenów, tam gdzie było Oldwich, mgła zrzędła, ale jakby dla wyrównania mżawka przeszła w deszcz. Zaczęła się monotonna ulewa i zdawało się, że nigdy się nie skończy. Przez nią wrzosowiska, ustawicznie okryte szarym niebem, zdawały się opustoszałe, pozbawione życia.

Parking nieopodal pubu Pod Żarłokiem był pusty, jeśli nie liczyć jeszcze jednego samochodu. Nie wiedziałem, czy to auto Terry'ego, jednak niechlujnie położony lakier i rozrzucone wewnątrz śmieci sprawiły, że raczej w to wątpiłem. Żółte mitsubishi z pewnością dawno już przeszło do historii, ale Terry zawsze bardzo dbał o wygląd auta, zresztą podobnie jak o własny.

Gdy wszedłem do pubu i zobaczyłem, że jest w nim tylko Connors, pojąłem, że mimo wszystko to musiał być jego samochód. Siedział w kącie, przy odosobnionym stoliku. Ubranie miał pomięte i brudne, a nawet z drugiej strony sali dostrzegłem niechlujny zarost na jego podbródku. Wpatrywał się w opróżnioną do połowy szklankę piwa, z wyrazem twarzy, którego nigdy dotąd u niego nie widziałem. I w ogóle go nie kojarzyłem z Terryem.

Wydawał się przybity.

Potem mnie dostrzegł i ten wyraz twarzy zniknął. Kiedy szedłem w jego stronę,

wyprostował ramiona. Rozsiadł się, mierząc mnie spojrzeniem jeszcze bardziej aroganckim niż kiedyś.

- Nie wiedziałem, czy przyjdiesz.

Mało brakowało, a bym się nie zjawił. Rozsądnie byłoby powiadomić Ropera albo zignorować esemesa. Rozważyłem obie możliwości, ale w jakiegokolwiek kłopoty wpakował się Terry, to przecież natury dyscyplinarnej, nie kryminalnej. Bieganie do Simmsa uznałem za nie w porządku.

Chciałem również wysłuchać tego, co Connors miał mi do powiedzenia.

Przysunąłem sobie krzesło, usiadłem naprzeciwko niego. Poczułem kwaśny odór potu i niestrawionego alkoholu.

- Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

- Niczego się nie napijesz?

- Nie będę tu długo siedział.

Powiedziałem Sophie, że jadę kupić coś do jedzenia. Nie skłamałem: po drodze zatrzymałem się w miejscowym sklepie, żeby uzupełnić zapasy. Nie podobało mi się, że zostawiam ją samą w domu, ale po wizycie Ropera oboje potrzebowaliśmy chwili tylko dla siebie. Jednak i tak nie zamierzałem przebywać poza domem dłużej, niż musiałem.

- Tak sobie myślę, że już kiedyś prowadziliśmy podobną rozmowę. - Terry zamówił sobie coś do picia. - Mówiłeś komuś, dokąd jedziesz?

- Nie.

- Jak tam Sophie? - Uśmiechnął się zjadliwie. - Tylko mi nie mów, że tak trochę się teraz nie spiknęliście, co? Pomocne ramię i tak dalej. A może cały czas udajecie, że tylko jesteście dobrymi przyjaciółmi?

- Terry, dlaczego mi nie powiesz, czego chcesz?

- Aha, kimś więcej niż przyjaciółmi? Nie trzeba było długo czekać.

Wstałem. Uniósł rękę.

- Już dobra, dobra. Jezu, tylko żartowałem. Ponownie usiadłem.

- Albo mi powiesz, o co chodzi, albo wychodzę.

- Dobra. - Wysączył resztę piwa i odstawił szklanekę. - Słyszałem o Wainwrighecie. Monk się nie objaja, prawda?

- A jak się dowiedziałeś? - W południowych wiadomościach nie padło ani słowo o tym, że to właśnie Monk jest podejrzanym. Sądziłem, że Simms w dalszym ciągu gra na czas.

- Wiem też o tym, że ukrywa się w kopalniach. Wciąż mam jeszcze przyjaciół w policji. - W głosie Terry'ego pojawiła się gorycz. - Pewnie rozmawiałeś z Simmsem.

- Powiedział mi, że cię zawiesili.

- Mówił dlaczego?

- Nie, ale Roper powiedział.

To wywołało zgryźliwy uśmiech.

- No tak, mógłbym się założyć. Mały, dwulicowy skurwiel.

- Powiedział, że napastowałeś policjantkę.

- Nie napastowałem jej, to były tylko takie wygłupy. Dobra, może byłem po kilku piwkach, ale ona nie protestowała. Nie, dopóki ludzie nie zaczęli gadać, że naruszyłem jakieś tam jej prawa... Jej prawa. Chryste.

Wymówki Terry'ego jednak mnie nie ciekawiły.

- Przez ciebie myślałem, że też bierzesz udział w dochodzeniu. Sophie też tak myślała, nawet po tym jak ją napadnięto. Dlaczego to zrobiłeś?

Sięgnął po szklanke, potem przypomniał sobie, że przecież jest pusta. Trzymał ją jednak, tak jak gdyby czuł się lepiej, mając naczynie w dłoni.

- Trudno to wyjaśnić.

- Spróbuj.

Zmarszczył brwi, spoglądając na szklanke.

- Wszystko skopałem. Małżeństwo, rodzinę, karierę. Pracę. Wszystkie możliwości, jakie miałem... Wszystko przepadło. Ostatnim razem zrobiłem coś, z czego byłem dumny, kiedy złapałem Monka na wrzosowisku. Pamiętasz?

Na to wspomnienie wyszczerzył się w uśmiechu. Nie na długo.

- Kiedy uciekł... no, wtedy wiele rzeczy tak do mnie jakoś wróciło. Zawieszony czy niezawieszony, cały czas jestem policjantem. Nie mogłem po prostu siedzieć w domu, wsłuchując się w wiadomości z dzienników. Wiem, jak rozumuje Simms. Wybił się dzięki temu, że zamknął Monka, nie chce teraz, żeby coś mu to popsulo. Ma własne cele.

- Mówisz, że on nie chce, żeby złapano Monka? - Nie przepadałem za Simmsem, ale w coś takiego już nie potrafiłem uwierzyć.

- Nie, chodzi mi tylko o to, że dla niego podstawową sprawą będzie chronienie własnego tyłka. Zwłaszcza teraz, kiedy zamordowano Wainwrighta. To otworzyło puszkę Pandory i mogę się założyć, że Simms chce robić wszystko, co w jego mocy, żeby tylko przytrzymać jej wieko. Może sobie gadać, że niby chodzi jedynie o to, aby się nie rozpętało szaleństwo w mediach i żeby się nie wtrącały w dochodzenie, ale to tylko takie chrzanie pod publiczke.

Wszystko na tyle pasowało do słów Simmsa, że faktycznie nabrałem pewnych wątpliwości. Terry uśmiechnął się krzywo.

- Już z nim o tym rozmawiałeś, prawda? To wiesz, że mam rację. Wainwright i Simms byli przyjaciółmi, oczywiście zakładając, że takie gnoje jak on w ogóle mogą mieć przyjaciół. Kiepsko by wyglądało, jakby zastępca naczelnika nie potrafił obronić nawet swoich starych kumpli. Zwłaszcza gdy ludzie zaczną pytać, dlaczego Monk najpierw wybrał się do Wainwrighta.

- Może pamiętał, jak Wainwright go potraktował? - „Takie zwierzęta powinny siedzieć w klatce”. - Sam mówiłeś, że może żywić urazę do każdego, kto brał udział w poszukiwaniach. A może to też sobie wymyśliłeś?

- Nie, ale tutaj może chodzić o coś więcej. Monk jest gwałcicielem, siedział w zamknięciu przez ostatnich osiem lat. Ty naprawdę myślisz, że nie miał nic ważniejszego do zrobienia, jak załatwić zniedołężniałego starego archeologa, który uraził jego uczucia?

- To dlaczego go zabił?

- Żeby odplącić Simmsowi. - Terry pochylił się do przodu, coraz bardziej zaferowany. - Pomyśl. Simms nie tylko wsadził Monka za kraty, zrobił też z tego swoją osobistą krucjatę. A teraz role się odwróciły, tylko z taką różnicą, że Monk wie, że nigdy nie dotrze w jego pobliże, nie przy tej całej ochronie, jaką ma Simms. Próbuje więc go poniżyć, atakując łatwe cele, takie jak Wainwright, żeby, zanim go złapią, narobić jak największego bałaganu. Wie, że już więcej nigdy go nie wypuszczą, nie po tym, jak w tym roku zabił współwięźnia. Co ma do stracenia?

Uznałem, że jest w tym jakaś przewrotna logika. Sam się zastanawiałem, czy Monk nie zabił Wainwrighta z zemsty spowodowanej frustracją. Jednak coś mi nie pasowało.

- Po co mi to mówisz? Co ja mogę z tym zrobić?

- Po pierwsze, możesz zabrać Sophie z jej domu. Nie byłem tam, ale domyślam się, że stoi na odludziu.

To mało powiedziane, pomyślałem.

- Teraz, gdy Monk zabił Wainwrighta, żarty się skończyły - kontynuował Terry. Tak czy inaczej, za kilka dni będzie po wszystkim, ale zanim tak się stanie, ucierpi jeszcze więcej osób. Zabierz ją w jakieś bezpieczne miejsce, dopóki Monk z powrotem nie znajdzie się za kratkami. Albo nie będzie martwy.

- Próbowałem. Nie wiem, czy ona nie chce porzucić domu albo swojej pracy, czy po prostu jest taka uparta.

- Swojej pracy? - Terry wyglądał na zaskoczonego, jakby coś takiego nie przyszło mu do głowy. - Tak, jasne. Te jej cholerne garnki.

- Simms wysłał Ropera, żeby ją namówił na policyjną kryjówkę, ale go nie słuchała.

Poprosiłem o policyjną ochronę, ale raczej się nie zanosi, żeby ją dostała.

Connors wydał się strapiony, ale zaraz potem skrzywił usta z pogardą.

- Simms musiał się nieźle wystraszyć, skoro zaoferował kryjówkę. To polityk. Zbyttno się martwi tym, jak coś będzie wyglądało. Jeśli zacznie przydzielać ochronę, to byłoby jak przyznanie się, że to wszystko robota Monka. Naraziłby się na oskarżenia o to, że powinien coś przedsięwziąć, jeszcze zanim zabito Wainwrighta. Simms wcale nie organizuje obławy, on tylko ogranicza straty. Wszystko, co może teraz zdziałać, to przedstawić tamto morderstwo jako pojedynczy przypadek i mieć nadzieję, że Monk zostanie złapany, zanim zdoła jeszcze kogoś zabić.

Wydawało się to całkiem prawdopodobne, jednak Terry był dobry we wmawianiu różnych rzeczy.

- Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałeś? Po co to całe udawanie?

- A co, myślisz, że zamierzałem się, ot tak, pojawić pod twoimi drzwiami i przyznać, że mnie zdegradowano do stopnia sierżanta? Już wystarczająco trudno mi było w ogóle się z tobą zobaczyć. Ale domyślałem się, jak to się może dalej potoczyć, i dlatego chciałem cię ostrzec. Pomyślałem, że chociaż tyle ci jestem winien. - Terry popatrzył na swoją pustą szklankę. - Popeliłem już wystarczająco dużo błędów. Nie chciałem robić kolejnych.

Spojrzał prosto na mnie, prawie jakby rzucał mi wyzwanie i czekał, aż podam w wątpliwość jego słowa. A ja znałem go zbyt długo, nie dałem się tak łatwo podejść.

- Jeśli tak ci zależało na schwytaniu Monka, dlaczego nikomu nie powiedziałeś, że widzieliśmy go na wrzosowisku? Gdybyś powiedział Naysmithowi albo Roperowi, mogliby coś z tym zrobić. Mogłoby już być po wszystkim.

- Przyznaję, to był błąd. Pomyślałem, że pewnie przesadzasz. Jak sądzę, mogłem także wtedy troszkę za dużo wypić. - Westchnął. - Bóg jeden wie, że tego żałuję.

Pokręciłem głową.

- Terry, nie nabieraj mnie.

- O co ci chodzi?

- Wcale tego nie robisz z troski o dobro Sophie. Nie wiem, czego chcesz, ale Simms chyba nie jest tutaj jedyną osobą, która ma jakieś własne cele, co?

Spróbował zbyć mnie śmiechem.

- Chryste, ale z ciebie podejrzliwy skurczybyk. Uwierz mi. Każdy powinien dostać drugą szansę. Nawet ja.

Nie, nie każdy. Tylko wtedy, jeśli na nią zasłużył. Niczego więcej już nie powiedziałem, tylko patrzyłem. Wyraz twarzy Connorsa właściwie się nie zmienił, ale jego rysy stwardniały.

Uśmiechnął się, zaciskając usta.

- Czyli że tak się sprawy mają, co? Myślałem, że tamto dawno ci już przeszło. Chyba się pomyliłem.

Nie zamierzałem teraz tracić czasu na spory. Przyszedłem z nadzieją na jakieś wyjaśnienia, ale najwyraźniej nie miałem żadnego otrzymać. Odstawiłem krzesło i ruszyłem do drzwi. Jednak Terry jeszcze nie skończył.

- Pozdrów ode mnie Sophie! - zawołał za mną. - Nie daj się nabrać na tę pozę bezbronnej istoty. Mnie też na to kiedyś wzięła!

Na zewnątrz było zimno i padało, lecz ledwie to zauważyłem. Przeszedłem przez pusty parking, otworzyłem samochód. Uruchomiłem silnik i wyjechałem z Oldwich, nawet się nie zastanawiając, dokąd jadę. Dotarłem do jakiejś wąskiej drogi, skręciłem w nią. Niedaleko była zarośnięta brama prowadząca na łąkę, gdzie w deszczu pasło się kilka dartmoorskich kucyków. Zjechałem na pobocze, zatrzymałem się.

Sophie i Terry?

Przecież nawet się nie lubili. W trakcie poszukiwań prawie ze sobą nie rozmawiali, a kiedy już się odzywali, to ze wszystkich sił musieli się starać, by zachowywać się uprzejmie.

A jak myślisz, skąd to się wzięło? Chyba nie stąd, że między nimi niczego nigdy nie było?

Poczułem się tak, jakby świat subtelnie się zmienił. Nic nie pomagało powtarzanie sobie, że Terry pewnie kłamał. W głosie miał taki szyderczy triumf, jakby czekał na tę chwilę. Przeszłość Sophie nic mnie nie obchodziła. Nie miałem prawa jej osądzać, a jeszcze mniejsze prawo czuć zazdrość. Jednak tutaj chodziło o coś innego. Znajdowaliśmy się w samym środku dochodzenia w sprawie o morderstwo, a ten człowiek nie był byle kim.

To był Terry Connors.

Jeden z kucyków zbliżył się do bramy, przy której stał mój samochód. Miał pękaty brzuch i był ubłocony. Wsadził głowę między pręty krat, wpatrywał się we mnie z ciemnooką ciekawością. Na jego czole widniała biała łatka, nieco przesunięta w bok. Coś mi mgliście przypominała, aż wreszcie uświadomiłem sobie, że przecież mniej więcej w tym samym miejscu znajdowało się wgniecenie w czaszce Monka.

Przestań się zamartwiać. Masz ważniejsze sprawy na głowie. Włączyłem silnik i odjechałem. Wcześniej nie patrzyłem, dokąd się kieruję, musiałem więc teraz dotrzeć do jakiegoś drogowskazu i zorientować się, gdzie w ogóle jestem. Oddaliłem się od Padbury i żeby wrócić na właściwą drogę, zawróciłem przez Oldwich.

Minąłem pub, nie patrząc, czy nadal stoi przed nim samochód Terry'ego.

Kiedy opuściłem wrzosowiska, mgła znowu zaczęła gęstnieć. Wkrótce stała się nieprzejrzysta i, ograniczając widoczność niczym bielmo na oczach, zmusiła mnie, żebym zwolnił. Gdy dotarłem do domu Sophie, już zmierzchało. Okna jaśniały w ciemnościach niczym morska latarnia.

Na alejce pod domem stał jakiś obcy samochód.

Zostawiłem zakupy w bagażniku i szybko ruszyłem ścieżką, następnie chwyciłem klamkę drzwi wejściowych. Były zamknięte. Zapukałem. Czekałem na odpowiedź, wyważając słuch na każdy dźwięk z wewnątrz. Rozległ się odgłos odsuwanej rygla, potem drzwi się otworzyły.

- Na dróżce jest jakiś samochód... - urwałem.

W drzwiach był łańcuch, jednak zza niego spojrział na mnie obcy mężczyzna.

- To mój wóz. W czym mogę pomóc? - zapytał.

Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, zza jego pleców dobiegł głos Sophie.

- Nick, wszystko w porządku, wpuść go.

Mężczyzna spojrział za mnie, przyglądając się także ścieżce oraz ogrodowi i dopiero wtedy zamknął drzwi, aby zdjąć łańcuch. Następnie je otworzył, odsunął się. Był wysportowanym mężczyzną niewiele po trzydziestce, w dżinsach i wyblakłym podkoszulku. Kiedy wchodziłem, nie odrywał oczu od ścieżki. Jak tylko znalazłem się wewnątrz, ponownie zamknął i zarygłował drzwi.

Sophie zobaczyłem w przedpokoju, uśmiechała się. Obok niej stała jakaś ładna blondynka, niska, lecz o muskulaturze gimnastyczki. Roztaczała aurę czujności. Kiedy mężczyzna skończył zamykać drzwi, zobaczyłem, że kobieta odsuwa dłoń od biodra.

Miała tam kaburę z pistoletem.

- Davidzie, poznaj Steph Cross i Nicka Millera. - Uśmiech Sophie zrobił się jeszcze szerszy. - To moi ochroniarze.

Rozdział 23

Gdyby mi nie powiedziano, że Miller i Cross są policjantami, nigdy bym się tego nie domyślił. Oboje okazali się wyspecjalizowanymi, uzbrojonymi funkcjonariuszami, wyszkolonymi do bezpośredniej ochrony, jednak w ich wyglądzie i zachowaniu nie

widziałem niczego, co by na to wskazywało. Zwyczajnie ubrani, równie dobrze mogli być nauczycielami albo lekarzami.

Oczywiście, jeśli nie liczyć broni.

- Co się stało, że Roper zmienił zdanie? - zapytałem.

Siedzieliśmy w kuchni wokół stołu. Sophie rozpakowywała zakupy, które przyniosłem z auta, i brała się do przygotowywania kolacji.

- Roper? - zapytał Miller, żując pasek surowej papryki.

- Komisarz Roper. Wchodzi w skład zespołu zastępcy naczelnika.

- To dla nas trochę za wysokie progi. - Miller wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dostaliśmy rozkazy od Naysmitha, ale nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Kazali nam się pakować i jechać za miasto, więc jesteśmy. Nie nasza sprawa dlaczego.

Nick był z tej dwójki bardziej otwarty, wyluzowany i skory do śmiechu. Krótkie włosy przedwcześnie mu posiwiały, jednak wcale nie wyglądał przez to starzej. Cross miała kilka lat mniej, przypuszczalnie jeszcze nie skończyła trzydziestu. Odzywała się rzadziej niż partner, ale roztaczała uspokajającą aurę niewzruszonej kompetencji.

Dobrze, że chociaż Naysmith poważnie podszedł do kwestii bezpieczeństwa Sophie.

- Jak długo tutaj będziecie? - zapytała ich, zsuwając na patelnię świeżo pokrojoną cebulę. Dopiero teraz sobie uświadomiłem, jak bardzo była dotąd spięta. Przybycie ochroniarzy jakby zdjęło z niej wielki ciężar. Wydawała się niemal pijana z ulgi.

- Wystarczająco długo - odparł Miller, przyglądając się szykowanemu przez Sophie makaronowi z sosem bolognese. - Nie przejmuj się, nie będziemy pętać ci się pod nogami. Dawaj nam tylko jeść i pić, a nawet nie zauważysz, że tutaj jesteśmy. Chociaż, zanim dodasz mięso, mogłabyś jeszcze trochę podsmażyć cebulę.

Sophie odłożyła łyżkę z udawanym oburzeniem.

- Może sam chcesz gotować?

- Nie, gotowanie nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Ale w jednej czwartej jestem Włochem, znam się na takich rzeczach. Nie pożałowałbym też soli.

Sophie roześmiała się i pokręciła głową. Zwróciła się do Cross:

- Zawsze taki jest?

Jasnowłosa policjantka jakby się uśmiechnęła, nawet jeśli tak naprawdę wcale nie poruszyła ustami. Chabrowe oczy miała spokojne i czujne.

- Jeszcze się nauczysz, jak nie zwracać na niego uwagi.

Miller spojrział urażony.

- Tylko tak sobie mówię, to wszystko.

Niemal można było zapomnieć, dlaczego tych dwoje się tutaj znalazło. I pewnie o to chodziło. Łatwiej się kogoś pilnowało, będąc zrelaksowanym, niż gdy niespokojnie zerkało się na każdy cień.

Sophie, bez wątpienia, się odprężyła. Jej sprzeciw wobec zatrzymania się w policyjnej kryjówce najwyraźniej nie obejmował innych rodzajów ochrony. Również poczułem ulgę, ale spotkanie z Terryem wciąż zatruwało mi myśli. Zadzwoiłem do Ropera, żeby go o nim powiadomić, i ucieszyłem się, że połączyłem się bezpośrednio z automatyczną sekretarką. Nagrałem jedynie krótką wiadomość. Jeśli zechce mnie przepytac, zawsze może oddzwonić.

Jednak chciałem też porozmawiać z Sophie w cztery oczy. Miller i Cross musieli to wyczuć, bo po chwili przeprosili i zostawili nas samych. Sophie była tak nakręcona, że nawet tego nie zauważyła.

- Są naprawdę mili, prawda? Zupełnie inni niż ci antyterrorysty, których dotąd poznałam - powiedziała, z animuszem mieszając sos gotujący się na wolnym ogniu. W kuchni pachniało pomidorami i czosnkiem. - Pojawili się mniej więcej godzinę po twoim wyjeździe. Rzadko kiedy zaglądną do mnie przygodni klienci, więc najpierw sobie pomyślałam, że się zgubili albo że próbują coś sprzedać. Potem machnęli legitymacjami i powiedzieli, że przysłał ich Naysmith. Wiedziałaś, że coś takiego planuje?

- Nie.

Sophie przerwała, spojrzała na mnie.

- Myślałam, że się ucieszysz. Coś nie tak?

- Dzisiaj po południu widziałem się z Terryem Connorem.

Nagle zrobiła się bardzo spokojna.

- Spod jakiego kamienia tutaj wylazł?

- Powiedział, że chce się wytłumaczyć.

- Och?

- Nie wiedziałem, że coś było między wami.

Stała odwrócona plecami, nie widziałem jej twarzy. Słyszałem tylko stukot łyżki o ścianki naczynia.

- Nie było żadnego powodu, żebyś o tym wiedział.

- Nie sądzisz, że powinnaś o tym wspomnieć?

- To nie jest coś, o czym lubię rozmawiać. To był błąd. Dawno temu.

Milczałem. Sophie odłożyła łyżkę i odwróciła się do mnie.

- Słuchaj, to nie ma nic wspólnego z tym, co się teraz dzieje.

- Jesteś tego pewna?

- To przeszłość, dobra? - Wręcz płonęła. - Tak czy siak, to nie twoja sprawa, nie muszę ci się ze wszystkiego tłumaczyć!

Miała rację, nie musiała mi się ze wszystkiego tłumaczyć. Jednak myliła się co do tego, że to nie moja sprawa. Stała się moją, gdy Sophie poprosiła mnie o pomoc. A jakkolwiek grę prowadził teraz Connors, dotyczyła nas obojga. W rondlu zabulgotał sos.

- Musisz pomieszać - zauważyłem i ruszyłem na górę.

Torba stała w moim pokoju. Wrzuciłem do niej resztę rzeczy. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem teraz ochotę, była długa podróż do Londynu, jednak Sophie pod opieką Millera i Cross nic już nie groziło. Nie widziałem powodu, aby zostawać tutaj dłużej. Miałem już dość bycia wykorzystywanym.

Skończyłem się pakować, kiedy usłyszałem jakiś hałas od strony drzwi. Sophie stała w progu i patrzyła na mnie.

- Co ty wyprawiasz?

Zasunąłem w torbie zamek błyskawiczny.

- Już czas, żebym stąd wyjechał

- Teraz? - Spojrzała zaskoczona.

- Masz dwoje uzbrojonych ochroniarzy. Będzie dobrze.

- David... - Zamknęła oczy, potarła skroń palcami. Boże, nie wierzę, że Terry Connors po tak długim czasie wciąż jeszcze może robić problemy. Dobra, wiem, że powinnam coś powiedzieć. Przykro mi, chciałam ci powiedzieć, tylko... Jeszcze nie teraz. To nie jest coś, z czego jestem dumna. Przechodziłam trudny okres... i się stało. Nie trwało długo, to nie było nic więcej jak tylko romans, naprawdę. Mówił mi, że jest w separacji, że czeka na rozwód. Zakończyłam to, jak tylko się dowiedziałam, że kłamie. I to wszystko.

Przyglądała mi się nerwowo, na twarzy miała wręcz wypisaną szczerłość.

- Widziałaś się z nim ostatnio? - zapytałem.

- Nie, dopóki nie uciekł Monk, przysięgam! - Podeszła bliżej, ale zatrzymała się tuż przede mną. - Zostań na noc. Jeśli jutro nadal będziesz tak się czuł, to obiecuję, że nie będę próbowała cię zatrzymać. Ale nie wyjeżdżaj w taki sposób. Proszę.

Zawahałem się, potem odłożyłem torbę. Sophie objęła mnie i mocno się do mnie przytuliła.

- Nie zawsze byłam dobrym człowiekiem - wyznała stłumionym głosem.

Po raz pierwszy nie chciałem jej wierzyć.

Kolacja okazała się zaskakująco sympatyczna, głównie dzięki Millerowi. Ciągłe żartował,

przez co wspólny posiłek wydawał się raczej spotkaniem towarzyskim, a nie elementem służby strażniczej. Cross mówiła niewiele, śmiejąc się z żartów partnera, jednak wydawała się zadowolona z tego, że właśnie on podtrzymuje rozmowę. Sophie otworzyła wino i podała je do lazanii, które przygotowała, w większości ignorując rady Millera. Jednak tylko ja i ona cokolwiek wypiliśmy, policjanci odmówili bez większych ceregieli. Zauważyłem też, że niewiele zjedli. Byli tutaj w pracy, a pełny żołądek spowalniał odruchy.

Miałem nadzieję, że nie będą ich potrzebować.

Przed kolacją dzwonił Naysmith, chcąc sprawdzić, co się u nas dzieje. Wziąłem słuchawkę od Millera, też chciałem porozmawiać z detektywem. Prowadzący dochodzenie mówił energicznie i rzeczowo.

- Czy są jakieś nowe wieści o Monku? - zapytałem.

- Jeszcze nie.

- Właśnie się zastanawiałem, czy może nie wydarzyło się coś nowego i czy właśnie przez to umieścił pan Sophie pod ścisłą ochroną. Komisarz Roper nie wydawał się zachwycony takim pomysłem.

- To nie komisarz Roper prowadzi śledztwo, tylko ja - odparł krótko. - Znaleźliśmy odciski Monka w budce telefonicznej, czyli że to właśnie on zainteresował się Sophie. Jeśli o mnie chodzi, to usprawiedliwia podjęcie koniecznych kroków.

- Wcale nie narzekam. Jestem tylko zaskoczony, że Simms się na to zgodził.

Zapadła cisza.

- Tak jak powiedziałem, to ja jestem prowadzącym śledztwo. Zastępca naczelnika ma zbyt dużo pracy, żeby się zajmować wszystkimi szczegółami operacji.

Innymi słowy, decyzję podjął Naysmith, a nie Simms. Napięcia między prowadzącym dochodzenie a jego bezpośrednim zwierzchnikiem zdarzały się w każdym śledztwie, jednak miałem nadzieję, że nie będą sobie wchodzić w drogę.

- Dostaliście dwoje dobrych funkcjonariuszy - kontynuował Naysmith. - Otrzymali rozkaz, żeby nie ryzykować, więc cokolwiek powiedzą, to się do tego zastosujcie. Żadnych dyskusji, żadnych debat. Jasne?

Odparłem, że jasne.

Przy kolacji nie wspomniano o Monku, ale pomimo usilnych wysiłków Millera obecność mordercy ciążyła nad stołem niczym niechciany gość. Policjanci sprawdzili cały dom, pozaciągali wszystkie zasłony, aby nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka. Zauważyłem również, że nieznacznie poprzestawiali krzesła, tak aby siedzieć po obu stronach Sophie. Miller najbliżej drzwi, a Cross między nią a oknem.

Dopiero potem, kiedy puste talerze wysmarowane sosem pomidorowym i z przyczepionymi samotnymi kawałkami makaronu wylądowały już w zlewie, wreszcie podjęto temat przyczyny zjawienia się policyjnej ochrony.

Sophie sięgnęła po butelkę wina. Pokręciłem głową, kiedy zamierzała na nowo napełnić mi kieliszek. To, co zostało, nałała więc sobie. Z hukiem odstawiła butelkę.

- No to jak długo się tym zajmujecie? - zapytała, wypijając łyk.

- Za długo - odparł Miller.

Cross tylko się uśmiechnęła.

- Zawsze pracujecie razem?

- Nie zawsze. Zależy od tego, czym się zajmujemy.

- Jasne. - Sophie chwiała się, odstawiając kieliszek. Nagle zaczęła wyglądać tak, jakby była pijana. Nie zwróciłem na to uwagi, ale chyba musiała wypić więcej wina, niż sądziłem. - A czy wy oboje jesteście... no wiecie... parą?

Po raz pierwszy Miller chyba nie wiedział, co odpowiedzieć. Odezwała się za to Cross:

- Tylko pracujemy razem.

- Jasne. Koledzy z pracy. - Sophie machnęła dłonią ku kaburom na ich biodrach. - Nie jest wam niewygodnie chodzić z czymś takim?

Miller odzyskał rezon, ale miał na policzkach delikatny rumieniec.

- Można się przyzwyczaić.

- Mogę sobie obejrzeć?

- Lepiej nie - odparł dosyć lekko, jednak widziałem, że czuje się niezręcznie. Cross przyglądała się Sophie z typowym dla siebie spokojem wyznawcy zen, a niebieskie oczy miała nieprzeniknione. Atmosfera przy stole gwałtownie się zmieniła.

Sophie zdawała się niczego nie zauważać.

- Użyliście tego kiedyś?

- No tak, oni chcą, żebyśmy wiedzieli którędy wylatują pociski.

- Ale czy kogoś zastrzeliliście?

- Sophie... - zacząłem.

- To uzasadnione pytanie. - Z trudem wydukała „uzasadnione”. - Gdyby Monk tutaj wszedł, teraz, zaraz, bylibyście w stanie go zabić?

Miller i Cross spojrzeli po sobie.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Tak, ale gdyby on...

- Kto ma ochotę na kawę? - zapytałem. Miller skorzystał z okazji do zmiany tematu.

- Brzmi nieźle. Przyda mi się zastrzyk kofeiny.

Sophie zamrugła, jakby z trudem nadażała za tym, co się dzieje.

- Kawę? Och... dobrze, przepraszam.

- Ja przyniosę - zaproponowałem.

- Nie, w porządku. - Wstała, ale nagle zachwiała się, chwyciła za stół. - Rety...

Podtrzymałem ją.

- Wszystko w porządku?

Pobladła, ale prostując się, spróbowała się uśmiechnąć.

- Boże... co było w tym winie?

- Dlaczego się nie położyysz? - zapytałem.

- Myślę... myślę, że zaraz mi przejdzie.

Poszedłem z nią na górę.

- Jak się czujesz? - spytałem, kiedy dotarliśmy do sypialni.

- Tylko trochę mi się kręci w głowie. - Uśmiechnęła się. Nadal była blada, ale wyglądała lepiej niż na dole. - To moja wina. To przez to wino, bo przecież cały dzień prawie nic nie jadłam.

Zapewne równie dużą odpowiedzialność ponosiła też reakcja na ostatnie wydarzenia. To, przez co przeszła, każdego by dotknęło, pamiętałem również, że wciąż jeszcze dochodziła do siebie po wstrząsie mózgu.

- Na pewno wszystko z tobą w porządku?

- Nic mi nie jest. Idź na dół. - Uśmiechnęła się ze znużeniem. - Naprawdę kiepska ze mnie gospodyni.

Zszedłem do kuchni. Słyszałem szepczące głosy, ale ucichły, kiedy się pojawiłem. Miller był przy oknie, zasłona chybotwała się, jakby dopiero co poruszona. Cross opierała się o stół, dżinsy napięły się na jej muskularnych nogach. Spojrzeli na mnie z beznamiętnymi minami profesjonalistów.

- Jak ona się czuje? - zapytał Miller.

Zwróciłem uwagę na krótkofalówkę w jego dłoni.

- Jest tylko zmęczona. Coś się stało?

- Tylko sprawdzamy. - Odsunął radio. - Czy propozycja kawy nadal jest aktualna?

Postawiłem czajnik i wsypałem kawę rozpuszczalną do trzech kubków.

- Dla mnie nie, dziękuję - odezwała się Cross.

- Steph nie pija kawy ani herbaty. - Uśmiechnął się Miller. - Kofeina to trucizna, nie wspominając już o rafinowanym cukrze. Dwie łyżeczki poproszę.

Wyglądało to na echo jakiegoś starego sporu, którego żadne z nich nie traktowało poważnie. Cross odsunęła się od stołu, kiedy wlewałem wrzątek do kubków.

- Pójdę na obchód.

Patrzyłem, jak wychodzi, a potem zwróciłem do Millera.

- Chyba nie zamierza sama iść na ten obchód?

- Nie, chcę tylko sprawdzić, czy wszystko pozamykane.

- Myślałem, że już sprawdzaliście.

- Nie zaszkodzi jeszcze się upewnić - powiedział to lekko, ale uświadomiłem sobie, że chcę zobaczyć, czy może Sophie albo ja czegoś nie otworzyliśmy. Nie pozwalali sobie na żadne ryzyko.

Podąłem mu kubek.

- Mogę o coś zapytać?

- Strzelaj.

- Co się stanie, jeśli przyjdzie tutaj Monk?

Chuchnął na kawę.

- Wtedy zasłużymy na nasze pensje.

- Wiecie, jaki on jest niebezpieczny?

- Nie martw się, powiedzieli nam na odprawie. I słyszeliśmy o nim różne takie bajki.

- To nie są bajki.

- Nie lekceważymy go, jeśli o to się martwisz. Jeżeli czegoś będzie próbował, to go powstrzymamy. Po prostu.

Miałem nadzieję. Miller upił łyk kawy, zbliżając twarz do ciepłego kubka.

- Jeśli martwisz się o Steph, to się nie przejmuj. Potrafi o siebie zadbać.

- Jestem pewien, że potrafi.

- Ale wolałbyś, żeby było tutaj dwóch mężczyzn?

Nie chciałem się do tego przyznawać, ale miał rację.

Nie uważałem się za szowinistę, jednak Cross była o połowę mniejsza od Monka.

- Nie spotkaliście Monka. Ja spotkałem.

- A on jest gwałcicielem, potworem i tak dalej. Wiem. Zdziorność Millera zniknęła. - Steph strzela lepiej ode mnie, jest szybsza i może dać mi radę. Kiedy była mundurowa, pewnej nocy na jej partnera rzucił się jakiś ćpun, a na nią wyciągnął nóż. Widziałem akta sprawy. Facet miał prawie dwa metry, ważył ponad sto kilo. Odebrała mu nóż, walnęła gościem o podłogę i zakąła w kajdanki bez niczyjej pomocy. A to było, jeszcze zanim zrobiła trzeci dan w karate.

Kiedy opowiadał, uśmiechał się półgębkiem, jednak nie sądziłem, aby zdawał sobie z tego sprawę. Przypomniałem sobie, jak się zarumienił, kiedy Sophie zapytała, czy on i Cross są parą. Może i nie byli, ale z pewnością łączyło ich coś więcej niż tylko zwykłe koleżeństwo.

Przynajmniej jeśli chodziło o Millera.

- Nie jesteśmy tutaj, żeby aresztować Monka, naszym zadaniem jest ochrona Sophie - kontynuował. - Przy pierwszych problemach zabieramy was stąd w cholerę. Jeśli to się nie uda... No, nieważne, jaki jest wielki, na pewno nie jest kuloodporny.

Uśmiechnął się wesoło, a uśmiech pomarszczył mu kąciki oczu. Ujrzałem w nich teraz hardość, może właśnie dlatego, że jej szukałem.

- Pomóc ci przy zmywaniu? - zapytał.

Wkrótce potem sam położyłem się spać. Zostawiłem Millera i Cross siedzących przy kuchennym stole, wzajemnie zadowolonych ze swojego towarzystwa. Zajmowałem jedyny pokój gościnny, jednak Miller zapewnił, że żadne z nich teraz nie zaśnie.

Cieszyłem się, że są tutaj, ale czułem się dziwnie, kładąc do łóżka i pozostawiając ich na dole. Zatrzymałem się pod drzwiami Sophie, zastanawiając się, czy nie zapukać i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Jednak z sypialni nie dochodziły żadne dźwięki, domyśliłem się, że pewnie śpi.

Poszedłem do swojego pokoju i zbliżyłem do okna, nie zapalając światła. Mgła sprawiła, że pozbawione gwiazd niebo stało się podwójnie nieprzeniknione. Próbowałem znaleźć na nim jakieś kształty, aż wreszcie chłód idący od szyby skłonił mnie do zaciągnięcia zasłon.

Czułem zmęczenie, jednak nie sądziłem, że bym zdołał zasnąć. W żyłach krążyło mi zbyt wiele adrenaliny. Powinienem się odprężyć, wiedząc, że na dole jest dwójka uzbrojonych policjantów, jednak byłem niespokojny, zatopiony w ponurych myślach. Jakbym czekał, aż coś się wydarzy.

Jeśli się wydarzy, może się skończyć, zanim zdołasz cokolwiek zrobić. Miller miał rację: nieważne, jak groźny był Monk, przecież nie był kuloodporny.

Ale i tak położyłem się do łóżka w ubraniu. Chryste, co za dzień. Wpatrywałem się w pociemniały sufit, rozmyślając o Monku, Simmsie i Wainwrightcie. O Sophie i Terrym. Gdy zaciążyły mi powieki, wydało mi się, że nieomal dostrzegam jakieś powiązanie, takie wątłe ogniwo, które w frustrujący sposób umyka z pola widzenia...

Ktoś mną potrząsał. Obudziłem się spanikowany, nie wiedząc, gdzie jestem. Stał nade mną Miller, z latarką w ręku. Jeśli uznał, że to dziwne, iż leżę w łóżku całkiem ubrany, nie dał nic po sobie poznać.

- Wstawaj, musimy iść.

Opadły ze mnie ostatnie strzępy snu. Mrugając w świetle, zsunąłem nogi z łóżka.

- Co się stało?

Miller nie był już taki miły. Gdy ruszał z powrotem na korytarz, twarz miał ponurą.

- Monk tu idzie.

Rozdział 24

Pospieszyłem za nim. Promień światła z latarki sprawiał, że w ciemnościach korytarz i schody wyglądały obco.

- Co się właściwie dzieje?

- On tu idzie. - Miller nie zwalniał. - Łap kurtkę, ale nie zapalaj światła. Za dwie minuty nas tu nie ma.

Drzwi do pokoju Sophie były otwarte. Kiedy szliśmy w stronę okna na końcu półpiętra, z jej sypialni wyszła Cross.

- Sophie się ubiera - oznajmiła Millerowi.

Policjant skinął głową, a jego partnerka zeszła na dół, odsuwając zasłonę, aby wyjrzeć przez okno.

Z trudem starałem się zrozumieć, o co w ogóle chodzi.

- Skąd wiecie, że on tu idzie?

Miller odpowiedział, nie odwracając głowy. Bacznie przyglądał się gęstej mgłę, kłębiącej się wśród ciemności.

- Znowu dzwonił.

- Nie słyszałem telefonu.

- Odłączyliśmy telefon na górze, po to żebyśmy, jak zadzwoni, sami go odebrali. - Policjant opuścił zasłonę. - Próbujemy ustalić, skąd dzwonił, ale to potrwa. Dlatego zabieramy was oboje.

- Tylko dlatego, że znowu dzwonił?

- Nie, dlatego że wziął Steph za Sophie. Powiedział, że jest w Padbury i że tutaj idzie.

- Dlaczego miałby ją ostrzegać?

- Nie mam pojęcia. To może być błąd, ale nie będziemy tutaj siedzieć, żeby się przekonać.

- Wręczył mi latarkę - Teraz idź po Sophie. Za trzydzieści sekund nas tu nie ma. Nieważne, czy jest ubrana, czy nie.

Wciąż jeszcze myślałem wolno. No dalej, zbudź się! Pospieszyłem do sypialni, spodziewając się, że zastanę Sophie ubraną i gotową do drogi. Jednak w świetle latarki zobaczyłem, że siedzi na skraju łóżka, okryta luźno udrapowanym prześcieradłem. Głowę trzymała w dłoniach

- Sophie, musimy iść.

- Ja nie chcę. - Głos miała zaspany i niewyraźny. - Nie czuję się dobrze.

Zacząłem szukać jej ubrania.

- Odpoczniesz później. Monk może się tutaj zjawić w każdej chwili.

Osloniła oczy przed blaskiem latarki.

- Boże, ile ja wypiałam wina?

- Sophie, musimy iść. - Podałem jej ubranie. - Wiem, że nie chcesz, ale nie mamy wyboru.

Na wpół oczekiwałem, że zaraz odmówi i wrócimy do starego sporu o kryjówkę. Jednak Sophie potulnie wzięła ubranie. Wstała, pozwalając opaść prześcieradłu. Miała na sobie podkoszulek, jednak odwróciłem wzrok, kiedy zaczęła się ubierać.

W drzwiach pojawiła się Cross.

- Gotowa?

- Prawie.

Policjantka odczekała, aż Sophie się ubierze. Kiedy zeszliśmy po schodach, Miller stał już przy drzwiach wejściowych. Korytarz nadal pogrążony był ciemnościami. Oddałem Nickowi latarkę.

- Teraz grzecznie i po cichu przejdziemy do naszego samochodu - oznajmił, kiedy wkładałem buty i zapinałem kurtkę, a później pomagałem Sophie naciągnąć buty. - Pójdę pierwszy, potem wy dwoje. Grzecznie i szybko, ale bez biegania. Steph będzie szła zaraz za wami. Siadajcie z tyłu samochodu i zamknijcie drzwi. Dobra?

Sophie niepewnie skinęła głową, opierając się o mnie. Miller starał się jak najciszej odryglować zasuwę, ale i tak w cichym korytarzu zabrzmiało to niczym wystrzał. Dobywając broń, jednym płynnym ruchem otworzył drzwi.

Do domu wtargnęło zimne, wilgotne powietrze. Noc była czarna jak smoła. Światło latarki Millera odbijało się od gęstej mgły, zewsząd ogarniającej dom. Poczulem, że Sophie ścisła moją dłoń.

- Trzymajcie się blisko - polecił Miller i ruszył ścieżką.

Mgła okrywała wszystko. Nawet Nick, kiedy wskazywał nam drogę do furtki, był jedynie ciemną sylwetką na tle blasku latarki. Opary zdawały się wchłaniać zarówno światło, jak i dźwięk. Tylko stłumione szuranie stóp pozwalało się zorientować, że wciąż jeszcze idziemy po ścieżce. Kiedy zerknąłem do tyłu, na Sophie, ledwie widziałem jej twarz, chociaż szła zaraz za mną.

Furtka zaskrzypiała, Miller przytrzymał ją otwartą, a potem już dotarliśmy do ulicy. Pojawił się przed nami mglisty kontur samochodu. Auto, kiedy Nick je otworzył, błysnęło reflektorami z elektronicznym piśnięciem.

- Dobra, wsiadajcie.

W samochodzie było zimno. Wślizgnąłem się na tylne siedzenie, obok Sophie.

Cross zamknęła za mną drzwi i usiadła z przodu, a Miller uruchomił silnik. Rozległ się stuk blokowanych zamków. Odjechaliśmy, stale przyspieszając, a przednie światła ukazywały nam mur szarej mgły.

Nikt się nie odzywał. Cross zwięźle zamamrotała coś przez radio, potem znowu zapadła cisza. Miller pochylił się nad kierownicą, starając się dojrzeć drogę. Padbury zostało już za nami, jednak nie sposób było się zorientować, gdzie teraz jesteśmy. To przypominało jazdę po dnie morza. Mgła niczym plankton wirowała w blasku reflektorów. Co jakiś czas wyłaniały się z niej na wpełn widoczne kształty i od razu znikaly.

Jednak Miller wciąż utrzymywał dużą prędkość. Po kilkunastu kilometrach napięcie zaczęło maleć.

- No to była niezła zabawa - oznajmił Nick. - Hej, wy, tam z tyłu, wszystko u was w porządku?

- Dokąd jedziemy? - zapytała Sophie. Jej głos brzmiał tak, jakby czuła się bardzo zmęczona.

- Na jakiś czas zabieramy cię do kryjówki. Tylko na jakiś czas, ale to, co się teraz dzieje, wyjaśnimy jutro.

Najwyraźniej mieli już opracowany plan działania. Czekalem, aż Sophie zaprotestuje, ale najwyraźniej już się przestała przejmować. W ciemnościach wewnątrz samochodu dostrzegłem, że pociera głowę.

- Sophie? Wszystko w porządku? - zapytałem.

- Ja nie... - zaczęła, a potem Miller wrzasnął „cholera”, gdy nagle z mgły wyłoniła się jakaś postać.

Tuż przed nami mignęły rozłożone ramiona oraz powiewający płaszcz. Sophie wpadła na mnie, gdy Miller zahamował i gwałtownie skręcił. Nie zdążył. Jednak nie rozległ się

spodziewany huk, a uderzona postać rozpadła się, ubranie pofrunęło w górę. Kiedy Miller usiłował odzyskać panowanie nad samochodem, ten wciąż gwałtownie się obracał, a mnie i Sophie rzuciło na boczne okno.

Nickowi prawie się udało. Obsypały nas odłamki szkła, kiedy wybił dziurę w przedniej szybie. Wleciał przez nią powiew zimnego powietrza. Na chwilę auto jakby się ustabilizowało, zdążyłem nawet pomyśleć „dzięki Bogu”. A potem autem gwałtownie szarpnęło i z głośnym trzaskiem obróciło się na bok. Samochód jakby zawisł i nagle coś we mnie gwałtownie uderzyło. Świat stał się wirującym zamętem ciemności i hałasu. Obracałem się, straciwszy poczucie, gdzie góra, a gdzie dół.

Potem wszystko się uspokoiło.

Cisza była wręcz absolutna. Powoli jednak zaczęły wracać dźwięki i uczucia. Delikatne stukanie, miarowe kap-kap deszczu. Czuję je na twarzy, podobnie jak zimne powietrze. Było zbyt ciemno, aby cokolwiek dojrzeć. Siedziałem wyprostowany, ale przechylony na bok. Coś uciskało mi pierś, utrudniając oddychanie. Złapałem to coś dłońmi, które wydawały mi się niezgrabne i jak z ołowiu. Okrywał mnie delikatny pył - kurz z bocznych poduszek, które teraz, opróżnione z powietrza, zwisały jak blade jęzory. Pasy utrzymały mnie na miejscu, opinając jak żelazna obręcz. Niezdarnie je rozpiąłem, otrzepałem się z przypominających żwir kawałków szkła, a potem ześlizgnąłem się z siedzenia.

- Sophie?

Próbowałem dojrzeć ją wśród ciemności. Kiedy drgnęła, poczułem, jak opływa mnie ulga.

- Jesteś ranna?

- Jest... mi... niedobrze... - mówiła tak, jakby była oszołomiona. Gdy próbowała się poruszyć, rozległ się jęk bólu.

- Trzymaj się.

Kiedy walczyłem z pasami Sophie, przed nami coś się poruszyło. Usłyszałem jęknięcie Cross.

- Nic wam nie jest? - zapytała.

- Chyba nie. - Pociągnąłem klamrę, odpinając pas Sophie. - W co uderzyliśmy?

Cross krzyknęła i pogramoliła się w stronę Millera.

- Nick? Nick?

Policjant siedział bezwładnie w fotelu, nie ruszał się. Pospiesznie uwolniłem Sophie z pasów.

- Teraz dasz radę wsiąść?

- T... tak sędzę...

Drzwi od mojej strony się zablokowały. Ich zawiasy skrzypnęły protestująco, gdy otworzyłem je kopniakiem. Wygramoliłem się z auta i nogi prawie odmówiły mi posłuszeństwa. Oparłem się o samochód. Kręciło mi się w głowie, wszystko mnie bolało. Auto zatrzymało się na dnies płytkiego rowu, jego tył utknął na drzewie. Stał pionowo, jednak nieco przechylony, nadwozie miał podrapane i zgniecione. Jedno z przednich świateł się roztrzaskało, a z drugiego, przypominającego oko przykryte bielmem, wydobywał się chorobliwy blask, smutno padając na ziemię. Wśród mgły unosił się mdły zapach benzyny, jednak nigdzie nie było widać ognia, nie było czuć spalenizny.

Kiedy kuśtykałem do miejsca kierowcy, ślizgając się na wyrwanej ziemi i trawie, pod stopami chrupotały mi kryształowe odłamki stłuczonego szkła. Z tamtej strony samochód był bardziej pokiereszowany. Dach miał pogięty, listy boczne zakleszczone. Spróbowałem otworzyć drzwi na siłę, jednak niczego nie wskórałem. Żeby się dostać do Millera, trzeba było najpierw rozciąć blachę.

Cross nadal siedziała w samochodzie obok Nicka i ponaglącym tonem mówiła coś przez radio. Oparła łatarkę o to, co zostało z tablicy rozdzielczej. Zobaczyłem, że Miller zwisa bezwładnie z siedzenia przytrzymywany pasami. Miał usmarowaną krwią twarz i posklejane włosy.

Sięgnąłem przez dziurę, tam gdzie wcześniej było okno, i wymacałem tętnicę szyjną rannego. Wyczułem puls, chociaż słaby.

- Nic mu nie jest?

Sophie wygramoliła się z auta i podeszła do mnie.

- Musimy zabrać go do szpitala - powiedziałem.

Nawet gdybyśmy byli w stanie wyciągnąć Nicka z samochodu, przenoszenie go mogłoby spowodować więcej szkody niż pożytku.

- A co z tobą? - zapytałem.

Gdy objąłem Sophie ramieniem, poczułem, że cała drży. Oparła się o mnie.

- Trochę jestem oszołomiona. Głowa mi pęka.

Zapytałbym jeszcze o coś, ale właśnie w tej chwili samochód zaskrzypiał. To Cross się wygramoliła.

- Pomoc już w drodze - oznajmiła, spoglądając na nas ponad dachem auta. Odzyskała już spokój. Miała krew na twarzy, swoją albo Millera. - Postarają się wysłać nam latającą karetkę, ale wątpię, żeby zdołali tutaj dotrzeć przy tym, co mamy w powietrzu.

Również wątpiłem. Mgła wciąż była gęsta, nawet gdyby w pobliżu było jakieś miejsce

nadające się do lądowania helikoptera, wątpię, żeby próbowali.

- Co się stało? - zapytała Sophie. Wciąż mówiła tak, jakby była na wpół przytomna. - Boże, potraciliśmy kogoś?

W zamieszaniu całkiem o tym zapomniałem.

- Pójdę sprawdzić.

- Nie. - Cross była stanowcza. - Nikt stąd nie odchodzi. Będziemy czekać na pomoc.

Ze zdumieniem spostrzegłem, że wyjęła pistolet z kabury. Ale zdążyłem już odtworzyć w pamięci uchwycone obrazy jakiejś postaci złapanej światłami. Przypomniałem sobie, jak się rozpadła po uderzeniu. Nie zachowałyby się tak, gdyby pod płaszczem było ciało i kości. Wydawało się raczej, że miała tam... Gałęzie.

To był strach na wróble.

- Ona ma rację - przytaknąłem. - Powinniśmy tutaj zostać.

- Nie możemy ich tak po prostu zostawić! - zaprotestowała Sophie.

Cross wpatrywała się w ciemność, lecz teraz odwróciła twarz i ponad samochodem spojrzała na Sophie.

- Owszem, możemy. Jeśli chcesz coś zrobić, to masz tutaj koc... - zaczęła, a potem nagle z mgły skoczył na nią jakiś kształt.

Miller nie kłamał, gdy opowiadał, jaka jest szybka. Latarka zatoczyła spiralę, kiedy Cross rzuciła się do tyłu. Postać już prawie przygniatała policjantkę, lecz ona na oślep kopnęła w bok, jednocześnie szarpnęła pistolet ku górze. Usłyszałem łupnięcie, kiedy noga trafiła w cel, ale napastnik wściekle, z rozmachem uderzył Cross w twarz. Rozległ się trzask kości, kobieta runęła na ziemię jak zepsuta zabawka.

Z szoku wyrwał mnie wrzask. Krzyk Sophie.

- Uciekaj! - krzyknąłem do niej, rzucając się na napastnika.

Poczułem się, jakbym grzmotnął o ceglany mur. Napastnik uderzył mnie, odrzucając na samochód. Zanim zdołałem krzyknąć, uszło ze mnie całe powietrze, a na gardle zacisnęła się czyjaś ręka. Bezlitosne palce wpiły się w szyję, przygważdżając mnie do maski auta. Przed oczami zawirowały mi gwiazdy.

W świetle upuszczonej latarki spojrzałem w wyglądającą jak halloweenowa maska twarz Jerome'a Monka.

Patrzył na mnie nieruchomymi czarnymi oczami, podobnymi do ślepiów rekina. Zamachnąłem się na niego, ale jego ramiona pod drelichową kurtką były mocne jak pień drzewa. Zaciskał mi dłoń pod brodą mocno jak kleszczami. Niemal czułem posmak jego smrodu, obrzydliwego i dzikiego, niczym ze zwierzęcej klatki. Miałem wrażenie, że zaraz

ekspłduje mi głowa. Rozpływał mi się obraz, wokół gęstniała mgła. Przez nią widziałem, jak Monk ogląda się przez ramię, słysząc niezdarny trzask gałęzi. To Sophie, potykając się, próbowała uciec.

Boże, nie! - próbowałem krzyknąć, jednak nie mogłem nabrać tchu. Monk znowu rzucił mnie na samochód. Powietrze uciekło mi z płuc, kiedy coś walnęło mnie w brzuch. Nagle z gardła zniknął ucisk, poczułem, że upadam.

Potem uderzyłem o ziemię i mgła pochłonięła mnie całkowicie.

Rozdział 25

Straciłem przytomność, jednak tylko na kilka sekund. Leżałem w błocie i próbowałem zaczerpnąć oddech. W oczach pulsowała mi krew, w głowie łupało, szumiało mi w uszach.

Poprzez to wszystko, jakby z wielkiej oddali, usłyszałem krzyk Sophie.

Wstawaj! Dalej, rusz się! Próbowałem się podnieść, jednak ciało nie reagowało. Z trudem podniosłem się na rękach i kolanach, w ubranie wsiąkały mi błoto i woda. Widziałem już wszystko wyraźnie, krwawa mgła zniknęła. Bolało, gdy przeponą targały spazmy. Oddychając urywanie, złapałem się samochodu, chcąc się nim podeprzeć i stanąć na nogach.

Zrobiłem krok. Znowu chwyciłem się samochodu, bo nogi prawie odmówiły posłuszeństwa. Latarka Cross poturlała się pod koło, oświetlała trawę białym promieniem. W tym świetle ujrzałem policjantkę rozciągniętą na trawie, w takiej samej powykręcanej pozie, w jakiej na nią upadła. Ten dźwięk, z jakim uderzyła ją pięść Monka, zawierał taką straszliwą ostateczność.

Teraz niczego nie mogłem dla niej zrobić, podobnie jak dla Millera. Chwyciłem latarkę i pospiesznie otworzyłem bagażnik. Wewnętrzne światło było pęknięte, jednak przyćmiony żółtawy poblask mógł wskazać drogę nadciągającej pomocy. Zatrzymałem się tylko na chwilę, aby chwycić koc i rzucić go na Cross.

Potem pokuśtykałem, szukając Sophie i Monka.

Miałem tylko mgliste pojęcie co do tego, którędy poszli. Samochód rozbił się na skraju lasu. Kiedy zacząłem niezgrabnie biec, otoczyły mnie drzewa. Ziemia pod nimi była płataniną omszałych kamieni i bagiennych traw, na których ślizgałem się i potykałem. Zwolniłem, wodząc wokół promieniem latarki.

- Sophie!

Mgła wchłonęła mój krzyk. Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi, żadnego odgłosu walki. Tylko swój rzeźący oddech oraz szelest okapujących wodą, wilgotnych gałęzi. Monk wszystko sobie zaplanował, pomyślałem ponuro. Albo obserwował dom i wiedział, że Sophie ma policyjną ochronę, albo przewidział, że ją dostała. Telefon wywabił więc nas z Padbury, do miejsca, gdzie już czekał. Nawet mgła działała na jego korzyść, bo do ostatniej chwili zasłaniała ten manekin czy stracha na wróble, którego ustawił na drodze.

Teraz również wszystko sprzyjało Monkowi. Nawet z latarką, mój wzrok sięgał nie dalej niż na kilka metrów. Rozpaczliwie poszukiwałem jakiegoś znaku, który wskazałby mi, dokąd poszli, jednak wokół miałem jedynie ciemny labirynt drzew.

Zgubiłem ich.

Przystanąłem, kiedy dotarł do mnie ten brutalny fakt. Sytuacja stała się beznadziejna. Nie było już sensu iść dalej, nie, gdy każdy kolejny krok mógł mnie poprowadzić w złym kierunku. Jedyne, co teraz mogłem zrobić, to zawrócić i poczekać razem z Millerem i Cross, aż nadejdzie pomoc.

Otepiały z powodu porażki, ruszyłem po swoich śladach pozostawionych na omszałych kamieniach. Nie byłem nawet pewien, jak mam iść, aby wrócić do samochodu, jednak w świetle latarki dostrzegłem błotniste ślady pozostawione w miękkim mchu. Podążyłem za nimi - i wtedy coś sobie uświadomiłem. Prędko zacząłem zataczać promieniem latarki szerokie łuki po ziemi.

Z boku, ledwie widoczny wśród mgły, w miękkim podłożu był wryty jeszcze jeden błotnisty szlak.

Nie mogłem sprawdzić, czy pozostawił go Monk albo Sophie, jednak wątpiłem, żeby tędy często ktoś chadzał. Ruszyłem w nowym kierunku. Mech okrywał kamienie niczym wodorosty przy odpływie i ktokolwiek tutaj szedł, ślizgał się tak samo jak ja. Buty ścierały roślinność, odsłaniając wilgotny kamień. Jeśli to był Monk, nie próbował zacierać śladów.

Nie spodziewał się, że ktoś za nimi ruszy, albo w ogóle o to nie dbał.

Nieco dalej linia drzew nagle się urywała. Znalazłem się na błotnistej, zarośniętej ścieżce, z której najwyraźniej często korzystali turyści. W obu kierunkach podłoże było czarnym błotem. Wpatrywałem się w nie, dysząc ciężko. No dalej, pomyślałem, teraz którądy?

Jeśli nie zatoczyłem koła, droga leżała po lewej stronie. Gdyby Monk ukradł jakiś samochód, właśnie ku niej by się kierował. Jednak nie słyszałem silnika, a wśród takiej ciszy dźwięk poniósłby się nawet w gęstej mgłę.

Pobiegłem więc ścieżką głębiej w las.

Promień latarki drgał jak pijany, a buty chłupotały w mule. Potem przede mną wzniosła się urwista skalna ściana, tak jakby mgła nagle stężała. Światło latarki padło na pręty żelaznej bramy, osadzonej w ziejącej paszczy jaskini. Nie, uświadomiłem sobie, to wcale nie jaskinia.

To kopalnia.

Lucas wspominał o jakiejś starej kopalni cyny kilka kilometrów od Padbury, ale powiedział, że jest zamknięta. Już nie była. Pordzewiała brama wisiała otwarta, a przed nią leżała pęknięta kłódka, na wpół zagrzebana w zdeptanym błocie.

Złapałem za bramę. Żelazne pręty były zimne i chropowate. Kiedy otworzyłem kratę, rozległ się metaliczny jęk. Poświeciłem latarką do środka.

Z ciemności przede mną wyłonił się kamienny tunel.

Stałem, a mój oddech wirował wśród mgły. Co teraz? Byłem cały obolały. Ścigałem Sophie i Monka, nie poświęcając nawet jednej myśli temu, co zrobię, jeśli w końcu ich dogonię. Chociaż i tak nie spodziewałem się tego, co zastałem tutaj. Widok ciemnego otworu w skale obudził we mnie pierwotny lęk, aż zjeżyły mi się włoski na karku. Jednak nie miałem wyboru. Niebieski wyświetlacz telefonu pokazał mi to, czego sam się już domyśliłem: brak zasięgu. Straciłem już wystarczająco dużo czasu. Wyciągnąłem portfel i położyłem go obok bramy, tak aby policja mogła się domyślić, że wszedłem do środka. Przynajmniej miałem nadzieję, że się domyśli.

Ocierając dłonie z lepkiego potu, chwyciłem latarkę i wkroczyłem do kopalni.

Szyb miał akurat tylko taką wysokość, abym zdołał się w nim wyprostować. Chłodne powietrze przesycił zapach starej piwnicy. Z drewnianych dźwigarów sufitu kapłała woda, spływając strumykami po pochyłej podłodze. Moje kroki odbijały się echem. Szyb zaczął opadać coraz bardziej stromo - podziemny tunel zgrabnie wyciosany przez dawno już zmarłych górników. Droga skryła się przede mną gdzieś w dole, poza zasięgiem latarki.

Szedłem już jakichś pięć minut, kiedy podłoga zaczęła stawać się bardziej pozioma. Szyb poszerzył się dwukrotnie. Promień latarki ukazał przede mną bezładny stos skał i łupków. Kiedyś zapadł się tam strop. Spomiędzy granitu jak połamane kości sterczały wyszczerbione belki.

Droga była odcięta.

Woda utworzyła płytką sadzawkę tam, gdzie zwalona skała częściowo zatamowała stróżkę płynącą w dół szybu. Przeszedłem przez nią z chłupotem, świecąc latarką w nadziei, że znajdę jakąś dalszą drogę. Żadnej nie dostrzegłem. Jednak coś mi się nie zgadzało. Byłem pewien, że Monk zabrał Sophie właśnie tutaj. Wcześniej jednak nie widziałem żadnych tuneli odchodzących od głównego szlaku, a zator okazał się nie do przebycia.

A może jednak do przebycia? Raz jeszcze poświeciłem na zatarasowany szyb. Cienie skał i roztrzaskanych podpór przesunęły się w świetle, lecz zwałisko wyglądało solidnie. Potem znowu poruszyłem latarką i oddech uwiązał mi w gardle.

Jeden z cieni się nie przesunął. Taki w kącie, gdzie najwyższe skały stykały się ze stropem, plama nieprzenikalnej ciemności. Podniosłem kamień, rzuciłem w tamtą stronę. Nic nie zastukotało, kamień cicho zniknął w mroku.

To nie był cień. To był otwór.

I to miało sens. Przecież Monk nie pozwoliłby się zapędzić w ślepy zaułek. Biorąc pod uwagę zamknięte wejście do kopani oraz zablokowany od dziesięcioleci szyb, można było nawet nie wiedzieć, że Monk właśnie tutaj się chowa. Dopóki brama pozostawała zamknięta na kłódkę, dopóty mógł sobie tutaj spokojnie chodzić.

Ale co znajdowało się po drugiej stronie otworu?

Sprawdziłem najbliższy kamień. Nie drgnął. Podobnie inne. Latarka obudziła ukośne cienie, gdy ostrożnie się podciągnąłem. Wymacałem kolejny uchwyt, poczułem, że coś ustępuje mi pod stopą.

A potem rozległ się głośny trzask.

Zastygłem bez ruchu, cały napięty. Kiedy jednak nic się nie wydarzyło, poświeciłem latarką w dół. To pękł jeden ze spróchniałych dźwigarów wystających spomiędzy skał. Boże. Oczekałem chwilę, aż serce zacznie bić wolniej, a potem podciągnąłem się, żeby pokonać resztę drogi. Teraz już wiedziałem, skąd wziął się ten otwór. Jakiś kawał granitu odłamał się od szczytu tunelu, pozostawiając szczelinę między sklepieniem a ścianą. Dziura, niewidoczna od dołu, przypominała bezzębną paszczę, szeroką na metr i wysoką na dwa.

Chociaż było zimno, to kiedy świeciłem latarką w jamę, cały spływałem potem. Promień sięgał kilka metrów w głąb, a potem nikał w ciemności. Było wystarczająco szeroko, żebym zdołał się przeczołgać, chociaż nie aż tak, by dało się zawrócić. Można się było cofać, jedynie pełzając.

Modliłem się, abym tam nie utknął.

Pochyliłem czoło ku krawędzi otworu. Granit był w dotyku chropowaty i zimny. Nie dam rady. Pomyślałem o ciężarze pradawnej skały, zawieszonyj tylko kilkanaście centymetrów nad moją głową. Ten strop już raz się zawalił. Nawet jeśli nie zostanie zmiażdżony, to przecież nie miałem pojęcia, co jest po drugiej stronie. Jeśli spróbuję się przeczołgać, mogę już nie zawrócić.

Czas zawiadomić policję. Niech zjawią się tu z porządnym zespołem poszukiwawczym. Tchorzliwa część mnie szeptała, że właśnie to jest najlepsze, co można teraz zrobić. Przecież

nikt nie miałby do mnie pretensji. Nawet nie byłem pewien, czy Monk właśnie tutaj zabrał Sophie. A nawet jeśli, co innego mogłem zrobić? Rozsądniejszym wyjściem zdawało się zawrócenie po pomoc.

Jednak co się wtedy stanie z Sophie? Co dzieje się z nią teraz, kiedy się tak guzdrzesz?

Nie dając sobie czasu na myślenie, przecisnąłem się przez otwór. Szorstki granit tarł jak papier ścierny, gdy wierząc się, wchodziłem w głąb, objając się o zimną skałę. Było więcej miejsca, niż sądziłem, ale przecież inaczej Monk nigdy by się tędy nie przecisnął. Jeśli właśnie tędy się przecisnął. Ciągle nie masz pewności. Teraz jednak czułem się zdesperowany. Niezręcznie wysuwając przed siebie latarkę, czołgałem się wśród skał w ciemności, głowę trzymając nisko. Wydawało się, że minął wiek, zanim dotarłem na drugi kraniec, chociaż tak naprawdę wszystko trwało zaledwie minutę. Gdy poświeciłem wśród ciemności, mój oddech brzmiał nienaturalnie głośno.

Wyłoniłem się na krańcu długiej, niskiej jaskini. Jej podłoga biegła w dół, aż po gwałtowny spadek, skąd, odbijając się echem, dobiegał chlupot płynącej wody. Cokolwiek tutaj znalazłem, wątpiłem, by stanowiło część kopalni. To było niewiele większe od poziomego pęknięcia w skale, ledwie na tyle wysokie, by dało się stanąć. No dobra, chciałeś zobaczyć co tutaj jest. Teraz już wiesz.

Wydobycie się z dziury okazało się niełatwe. Najpierw wysunąłem głowę, potem musiałem się powiercić, aby uwolnić nogi. Pomacałem stopami skałę, następnie opuściłem się na pochyłe podłoże. Niski strop zmusił mnie do pochylenia się. Dopiero wtedy poświeciłem dookoła. Rozległa przestrzeń kawerny ożyła, głębokie cienie odsunęły się poza zasięg promienia.

- Sophie? - zawołałem. - Sophie!

Mój okrzyk wybrzmiał, odbijając się echem, i ucichł. Jedyłą odpowiedź stanowił pomruk podziemnego strumienia, niewidocznego wśród cieni. Kierując latarkę w ciemność po drugiej stronie jaskini, ruszyłem w drogę.

Musiałem niemal zginać się wpół. Lucas mówił, że w tej części Dartmoor nie ma systemów jaskiń; były dalej na południe, a nie tutaj, w granicie, gdzie wydobywano cynę. A jednak najprawdopodobniej oglądałem teraz formację naturalną, nie dzieło człowieka. Najwyraźniej Lucas się mylił, pomyślałem, uderzając głową o wystającą skałę. Zatoczyłem się do tyłu, bardziej zaskoczony niż obolały.

I upuściłem latarkę.

Nie! Sięgnąłem po nią, jednak nie złapałem. Potoczyła się ze stukotem, światło migotało, gdy uderzała w skałę. Spróbowałem zatrzymać ją stopą, lecz poturlała się dalej, szybko

zmierzając w stronę urwiska. Potem dosięgnęła jego krawędzi i nagle znalazłem się w ciemnościach, jakby wyłączono światło.

Nie poruszyłem się. Ogrom tego, co się właśnie stało, wręcz mnie ogłuszył. Wpatrywałem się w ciemność, tam, gdzie zniknęła latarka, mając nadzieję, że dostrzegę jej słaby poblask. Niczego nie zobaczyłem. Ciemność była tak całkowita, że wydawała się mieć własną głębię i ciężar. Ogromna masa otaczającej mnie skały, teraz kiedy jej nie widziałem, zdawała się jeszcze bardziej przytłaczająca.

Ciężką ciszę przerywał tylko odległy plusk niewidocznej wody. Nie panikuj. Wszystko dokładnie przemyśl. Ręka mi drżała, kiedy sięgnąłem do kieszeni po telefon. Trzymając go mocno, kciukiem wdusiłem przycisk.

Kiedy wyświetlacz telefonu zaśnił, jego niebieski blask odepchnął ciemność. Dzięki Bogu. Komórka nie dawała tak jasnego światła jak żarówka, ale i tak byłem szczęśliwy. Trzymając aparat niczym miniaturową lampę, zacząłem przeciskać się w stronę urwiska, tam gdzie potoczyła się latarka. Możliwe że wskutek upadku po prostu się wyłączyła. Jeśli uda mi się ją odnaleźć, może zdołam uruchomić.

Zaledwie po kilku krokach niebieskie światło nagle zgasło.

Poczułem uderzenie paniki, gdy znowu ogarnęła mnie ciemność. Ale to tylko wyświetlacz przeszedł w stan czuwania: zajaśniał ponownie, kiedy tylko nacisnąłem jakiś klawisz. Prawie omdlały z ulgi ruszyłem dalej. Odgłos podziemnego strumienia stawał się coraz głośniejszy, nawilgał powietrze mokrym zębem. Musiałem zgiąć się prawie w pół, kiedy strop stał się jeszcze niższy, ale zostało mi już niewiele do przejścia.

Prawie dotarłem na miejsce, kiedy mój telefon znienacka się odezwał.

Przenikliwy pisk był wręcz szokująco głośny. Przez chwilę czułem przypływ nadziei, ale uświadomiłem sobie, że przecież nikt nie usiłuje się ze mną połączyć. To nie był dźwięk dzwonka.

Usłyszałem ostrzeżenie przed wyczerpaniem baterii.

Powinienem naładować aparat już kilka dni temu. Ostatni raz robiłem to, jeszcze zanim przyjechałem do Dartmoor.

Mając słaby zasięg, prawie nie używałem komórki. Jej ładowanie nie wydawało mi się czymś ważnym.

A teraz okazało się istotne.

O Chryste. Wpatrywałem się w migającą ikonę baterii. Tak jakby dla podkreślenia powagi sytuacji, wyświetlacz znowu zgasł. Palce mi drżały, kiedy naciskałem przycisk. Telefon zaświecił, ale niemal natychmiast znowu pisnął. Nie było sposobu, aby się

dowiedzieć, na jak długo jeszcze wystarczy energii, ale gdy korzystałem z wyświetlacza, z pewnością szybciej się rozładowywał.

Rzuciłem ostatnie, pełne udręki spojrzenie w stronę urwiska. Dzieliło mnie od niego zaledwie kilka metrów, jednak nie miałem gwarancji, że zdołam odzyskać latarkę. Czy nadal będzie działała? Nie, dalsza droga już nie wchodziła w rachubę, musiałem się wydostać i sprowadzić jakąś pomoc - dopóki jeszcze mogłem. Gdy już dotrę do szybu, ten poprowadzi mnie prosto na powierzchnię. Zdołam iść nim, nawet jeśli telefon się wyładuje. Ale jeśli zgaśnie wcześniej...

Nie myśl o tym.

Spróbowałem uspokoić oddech, zwalczając pragnienie, aby na ślepo pędzić z powrotem do otworu. Szedłem tak szybko, jak tylko mogłem, ale plecy bolały mnie od pochylania się i ciągle miałem wrażenie, że poruszam się bardzo powoli. Gdy pełzłem pod górę, wyświetlacz zgasł jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem zamierałem bez ruchu i, ledwie ważąc się odetchnąć, przyciskałem klawisz, by aparat ponownie ożył.

Byłem chyba już w połowie drogi, kiedy ekran zgasł po raz czwarty. Szybko wdusiłem jakiś klawisz. Nic się nie stało. Nacisnąłem kolejny. I jeszcze jeden. Wyświetlacz pozostał ciemny. Mrok zdawał się gęstnieć, a ja, zdesperowany, dźgałem klawiaturę, modląc się o jeszcze kilka sekund światła.

Te jednak nie nadeszły. Ciemność wydawała się aż uciskać mi oczy. Opuściłem telefon.

Nigdzie już nie szedłem.

Rozdział 26

Na dole panował ziąb. Niedługo po tym, jak zgasł telefon, zacząłem dygotać. Powietrze było wilgotne i zimne, a gdy przestałem się już poruszać, chłód jaskini szybko przeniknął ubranie. Usadowiłem się na powierzchni skały. Wpierw przykucnąłem, a potem usiałem, czując skurcz mięśni. Zimno czy nie, nie odważyłem się brnąć na oślep. Kiedyś zablądziłem nocą na szkockiej wyspie. Myślałem wtedy, że już gorzej być nie może.

Teraz było gorzej.

W pierwszym odruchu chciałem jakoś wymacać drogę do otworu, którym się tu dostałem. Wiedziałem, że jest gdzieś zwodniczo blisko. Przejście w ciemnościach przez zwałisko nie

byłoby łatwe, ale gdybym zdołał zawrócić do kopalni, może szanse wyjścia na powierzchnię znacznie by wzrosły.

Jeśli ustaliłbym w myślach położenie dziury, mógłbym spróbować. Jednak macałbym w ciemnościach, nie widząc skalnych występów i osuwiska, a nawet zakładając, że nie roztrzaskałabym sobie o nie głowy, to i tak zbyt łatwo było stracić poczucie kierunku. Gdybym odnalazł jakie wejście, nie wiedziałbym, czy jest właściwe. Niewykluczone że czołgałbym się coraz głębiej w labirynt jaskini, nawet o tym nie wiedząc.

Nie, niezależnie od tego, co mi się podobało, pozostało tylko siedzieć tutaj. Policja znajdzie wyłamaną bramę i mój portfel, a wtedy przeszukanie jaskiń stanie się już tylko kwestią czasu. Skoro ja potrafiłem odnaleźć ukryte wejście, które doprowadziło mnie tutaj, z pewnością im także się uda.

A jeśli nie?

Wiedziałem, że jeżeli nikt się nie zjawi, prędzej czy później będę musiał podjąć jakąś decyzję. Jednak nie byłem jeszcze gotów, aby o tym myśleć. Ponownie sprawdziłem telefon z nadzieją, że jakaś reszta energii oświetli ekran jeszcze na kilka sekund. Nie oświetliła. Teraz, kiedy już miałem czas, żeby się zastanowić, zejście tutaj na dół wydało mi się wręcz niewiarygodnie głupim pomysłem. Nawet gdybym dotarł do Sophie i Monka, to co bym zrobił? Walczył z nim? Śmiechu warte. Powinienem zostać przy samochodzie, zrobić to, co mogłem dla Millera i Cross, a potem czekać, aż zjawi się pomoc. Zamiast tego utknąłem pod ziemią w jaskini, o której mógł nikt nie wiedzieć. Tymczasem Monk i Sophie...

Nie potrafiłem nawet znieść tej myśli.

Chryste, co za katastrofa. Oparłem głowę o kolana, obejmując się ramionami, aby zachować przynajmniej odrobinę ciepła. Chłód przenikał mnie do szpiku kości, ale prawie nie zwracałem na to uwagi. Nie mogłem nawet sprawdzić, jak długo już tu jestem. Nie widziałem cyferblatu zegarka, a w ciemności straciłem poczucie czasu.

Zwinięty w kłębek i drżący, wysilałem się, aby wyłapać cokolwiek, co wskazywałyby, że pomoc jest już w drodze. Raz wydało mi się, że coś słyszę: poprzez jaskinię popłynęło echo odległego stukotu. Zacząłem krzyczeć, aż ochryłem i rozboleło mnie gardło. Jednak kiedy przerwałem, nasłuchując, dotarł do mnie jedynie ciągły chłopot niewidocznej wody.

Czując się tak bezużyteczny, jak jeszcze nigdy w życiu, zamknąłem oczy i spróbowałem nieco odpocząć.

Musiałem zasnąć. Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe, ale byłem obolały i wycieńczony. Nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje, odpłynąłem w niespokojny sen.

A potem nagle się obudziłem. Przez kilka minut nie miałem pojęcia, gdzie jestem.

Ogarnęła mnie panika, zerwałem się na nogi, o mały włos nie uderzając głową w niski skalny strop. Ponownie przycupnąłem na zimnym kamieniu, przytłoczony beznadzieją całej sytuacji. Zesztywniały mi nogi. Najpierw rozprostowałem jedną, potem drugą, masując mięśnie, aby je rozluźnić.

Właśnie wtedy usłyszałem hałas.

Przypominał daleki szelest osuwających się kamieni. Zastygłem bez ruchu, nasłuchując. Po chwili dźwięk się powtórzył. Zrobił się głośniejszy, nie można go było pomylić z niczym innym. Szuranie oznajmiało, że ktoś się zbliża.

- Tutaj! - wrzasnąłem. - Tutaj jestem!

Zapomniałem o bólu mięśni, wpatrując się w ciemność, a ulga i adrenalina sprawiały, że serce waliło mi jak młotem. Wydawało się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim wreszcie w mroku ujrzałem światło.

Dzięki Bogu.

- Tutaj!

Światło zaczęło przemieszczać się w moim kierunku, tańczący żółty promień latarki. Dopiero kiedy urósł, zorientowałem się, że zbliża się nie z tego kierunku, z którego powinien. Cokolwiek to było, nadchodziło z drugiej strony jaskini, nie od wejścia do kopalni. Poza tym widziałem tylko pojedyncze światło, a nie mnóstwo lamp ekipy ratunkowej.

Krzyk zamarł mi w gardle. Kiedy promień latarki jeszcze bardziej się zbliżył, ogarnęła mnie przyprawiająca o mdłości rezygnacja. Zza blasku wyłoniły się zwalista sylwetka i blada kopuła łysej głowy. Postać zatrzymała się, garbiąc pod wybrzuszeniem skały. Przybysz stał tylko kilkadziesiąt centymetrów ode mnie. Pachniał ostro, zwierzęco.

Monk puścił latarkę. Brudna wojskowa kurtka wydawała się za ciasna na jego masywnych barkach i ramionach. Guzikowate oczy przyglądały mi się, a klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowo. Każdemu oddechowi towarzyszyło niskie rżenie.

- Wstawaj.

System jaskiń był podziemnym labiryntem, ale Monk zdawał się dokładnie wiedzieć, którądy ma iść. Przeciskał się przez wąskie szczeliny, czołgał przejściami wyżłobionymi w skale przez kapiącą wodę. Bez wahania prześlizgiwał się szparami, w które ja nigdy nie odważyłbym się wejść. Pomimo swoich rozmiarów ani razu o nic się nie zaczepił, nigdzie nie utknął. Na powierzchni może i był dziwadłem, jednak tutaj, w podziemnych tunelach, znajdował się w swoim żywiole.

Po tym jak wydał mi szorstką instrukcję, więcej już się nie odezwał. Ignorując

gorączkowe pytania o Sophie, po prostu skręcił i zaczął zawracać przez niską jaskinię, jakby w ogóle go nie obchodziło, czy za nim idę. Oszołomiony, zatrzymałem się tam, gdzie stałem. Zmusiłem się, by poruszyć, dopiero kiedy do jaskini z powrotem spłynęły cienie, spieszenie wypełniając pustkę pozostawianą przez znikającą latarkę.

Monk nawet się nie obejrzał, chociaż na pewno mnie słyszał. Poczulem się zagubiony. Nic nie miało sensu, ani to, że zawrócił, ani to, dlaczego - i gdzie - mnie prowadził. Odstęczała mnie myśl o schodzeniu głębiej w jaskinię, chociaż co innego mi zostało? Gdyby Monk chciał mnie zabić, mógł to zrobić od razu.

Musiałem także odnaleźć Sophie.

Przejęcie, którym podążyliśmy, nagle wyprowadziło nas do przestrzeni na tyle dużej, aby dało się wyprostować. Monk ruszył poprzez nią, nie zatrzymując się ani na chwilę. Skorzystałem z okazji, aby go zaczepić.

- Gdzie ona jest? - wydyszałem.

Nie odpowiedział. Bez wątpienia był zmęczony, każdy jego oddech okazywał się mokrym rżeniem. Jednak nie zwolnił. Kiedy złapałem go za ramię, poczułem, jakbym chwycił drewno tekowe okryte płótnem.

- Co jej zrobiłeś? Jest ranna?

Wyszarpnął ramię. Zdawało się, że nie włożył w to żadnego wysiłku, jednak prawie straciłem równowagę. Opadłem dłońmi i kolanami na skałę, z wystarczającym impetem, aby je sobie otrzeć do krwi.

- Zamknij się, kurwa.

Jego głos był ochrypłym dudnieniem. Odwrócił się, aby iść dalej, jednak wtedy szarpnął nim atak kaszlu. Oparł się o skałę, ogromne ramiona drżały mu szarpane gwałtownymi spazmami. Charczał, jakby miał płuca pełne ciecicy, wypluł też na ziemię sporo flegmy. Oddychając ciężko, przesunął dłonią po ustach, a potem ruszył dalej, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Poszedłem za nim. Jednak teraz rozmyślałem o ochrypłym oddechu słyszonym przez telefon i plwocinie znalezionej w domu Wainwrighta. Wszyscy dotąd przyjmowali, że była oznaką pogardy, jednak teraz już nie byłem taki pewien.

Monk chorował.

Wcale nie stał się przez to mniej groźny ani powolniejszy. Musiałem się wyteńczyć, aby dotrzymać mu kroku, z trudem unikając potknięcia w ciemnościach, świadomy tego, że jeśli upadnę, zostawi mnie tutaj. Mogłem jedynie wbijać spojrzenie w szerokie plecy, widoczne jako kontur na tle światła latarki, i wierzyć, że to wszystko ma jakiś sens.

Ciągnąłem się więc za nim, brnąc w sięgającej kostek wodzie, spływającej wiodącym w górę tunelem, gdy latarka nagle zgasła. Zastygłem bez ruchu, walcząc z paniką i zastanawiając się, czy może wszystko nie stanowiło jakiejś sadystycznej sztuczki, żeby zostawić mnie gdzieś na dole.

Potem jednak usłyszałem stłumiony głos dobiegający z bliska i w tej samej chwili zobaczyłem delikatny blask z boku tunelu. Ostrożnie poszedłem w tamtą stronę, dotarłem do szczeliny w skale. Z jej wnętrza dobiegało szuranie i pomruki gramolącego się Monka. Ledwie widziałem migoczące światło jego latarki.

Szczelina wiodła stromo w górę. Musiałem się podciągnąć, wspinając się w ślad za coraz słabszym blaskiem. Szedłem tak szybko, jak tylko potrafiłem, jednak blask ciągle słabł. Chropowata skała tarła o kurtkę. Wreszcie przestałem widzieć jakiegokolwiek światła i słyszeć Monka. Próbowałem przełknąć strach i gorycz narastające w gardle. Spokojnie. Po prostu idź.

Potem tunel zawiął się zygzakami i ujrzałem przed sobą światło. Wyszedłem z tunelu do małej naturalnej komnaty w skale. Zatrzymałem się po wędrowce w ciemnościach, oślepiiony teraz przyćmionym blaskiem stojącej na ziemi lampy. Powietrze było stęchłe i cuchnące. Mineralna wilgoć walczyła o lepsze ze zwierzęcym odorem. Syczący piecyk gazowy emanował ciepłem, który po chłodzie jaskiń zdawał mi się wręcz skwarem. Kiedy światło przestało już razić, dostrzegłem porzucane na podłodze torby, butelki i puszki. Monk przysiadł na pogniecionym kocu, spoglądając na mnie martwymi oczami, z tym swoim niedokońca uśmiechem.

Zwinięta w kłębek, najdalej od niego jak tylko mogła, leżała Sophie.

- O Boże, D... David...!

Kiedy uklękłem przy niej, objęła mnie ramionami. Głaskałem Sophie po włosach, wtulała mi twarz w ramię. Czułem, jak cała drży pod kurtką.

- Cśś, już dobrze.

Co prawda, do tego wiele jeszcze brakowało, jednak ulga, jaką poczułem na jej widok, przysłoniła wszystko inne. Moja towarzyszka miała bladą twarz, ciekły po niej łzy, a siniak wciąż pozostawał wyraźny. Było jeszcze coś, coś nie w porządku, jednak zbyt się cieszyłem, że ona wciąż żyje, aby podążyć za ową na wpół ukształtowaną myślą. Sophie pochylała głowę, ocierając łzy, a tamta myśl zniknęła.

- Nic ci nie jest? Zrobił ci krzywdę? - zapytałem.

- Nie, nic nie zrobił... Nic... nic mi nie jest...

Wcale tak nie wyglądała, jednak poczułem jeszcze większą ulgę. Cokolwiek planował Monk, z Sophie obszedł się znacznie lepiej niż z innymi swoimi ofiarami.

Jak dotąd.

Cały czas siedział przygarbiony na kocu. Przypatrywał się nam, a wielkie dłonie zwisały mu z kolan, okryte strupami i pokaleczone. Słabe, żółtawe światło lampy zmieniło wgłębienie w czaszce w ciemną jamę. Kucając tutaj, wyglądał niczym relikwiarz jakiejś prymitywnej epoki, blada, bezwłosa mała przycupnięta w jaskini.

Jednak wydawał się bardziej chory, niż początkowo sądziłem. Masywne ramiona przygarbiły się z wyczerpania, a skóra o niezdrowym żółtawym odcieniu ciasno opinała grube kości twarzy. Kiedy oddychał, otwierał szeroko usta, z każdym wzniesieniem i opadnięciem piersi, wydając z siebie syczące rżenie. Najwyraźniej przechodził jakąś poważną infekcję dróg oddechowych, może nawet zapalenie płuc. Życie w takich warunkach z pewnością nie polepszało jego stanu. Monk sprawiał wrażenie człowieka u kresu fizycznej wytrzymałości.

Tyle że nie był normalnym człowiekiem. Chory czy zdrowy, wpatrywał się we mnie tymi błyszczącymi, ciemnymi oczami. Nie mrugał.

Zmusiłem się, aby odwzajemnić spojrzenie. Przypominało to wpatrywanie się w niebezpiecznego psa.

- Nie musisz trzymać dwóch zakładników. Puść ją.

- Nie chcę żadnego zakładnika - odpowiedział z trudem. Wykrzywił szyderczo usta. - Myślisz, że ciebie nie pamiętam? Jak kopales te swoje małe dziury? Teraz już, kurwa, nie jesteś taki cwany, co?

Nie, w ogóle nie jestem cwany, pomyślałem.

- To dlaczego nas tutaj przyprowadziłeś?

- Tylko ją przyprowadziłem. Ty za nami przyszedłeś.

- To dlaczego po mnie wróciłeś?

Monk odwrócił głowę, splunął w kąt groty, potem znowu opadł na skałę. Oddech mu się uspokoił, jednak wciąż mówił głosem jakby wydobywającym się z pękniętych miechów.

- Jej się zapytaj.

Odwróciłem się do Sophie. Czulem, jak drży, wtulona we mnie.

- Ja... My słyszeliśmy, jak krzyczysz. Dźwięk się tutaj dobrze niesie. Kiedy krzyk ucichł, pomyślałam... pomyślałam. - Spojrzała na mnie z rozpaczą. Znowu poczułem nagły niepokój, niemający nic wspólnego z Monkiem, jednak zniknął po następnych słowach.

- Powiedziała mu... Po... powiedziała, że mógłbyś pomóc.

Pomóc? Pomóc Monkowi?

- Nie rozumiem.

Sophie zerknęła nerwowo na Monka.

- On... On mówi, że nie potrafi...

- Nie, on nie mówi. Ja kurwa nic nie mówię! Ja nie potrafię! - Jego krzyk odbił się echem po małej grocie - Próbuję, ale nie potrafię! Tutaj nic nie ma! Wcześniej mnie to nie obchodziło, ale teraz obchodzi!

Monk przesunął okrytymi strupami dłońmi po głowie, szurając po szczecinie, która zaczynała już mu rosnać na czaszce. Poruszał ustami z wysiłkiem, jakby następne słowa z niego wydzierano.

- Chcę wiedzieć, co zrobiłem.

W tej ciasnej grocie zdawało się, że czas przestał istnieć. Gdzieś po drodze zniszczyłem zegarek, tak mocno nim uderzając, że szkiełko przybrało strukturę ciętego kryształu. Wskazówki zastygły nieruchomo między godziną drugą a trzecią. Zresztą tutaj, na dole, i tak nie robiło to różnicy. Światło lampy nadawało małej grocie nieziemski wygląd, podkreślany jeszcze usypiającym ciepłem syczącego gazowego piecyka. Uchodzące z niego opary nie ułatwiały Monkowi oddychania, jednak przepływ powietrza wystarczał, aby nie gromadziły się toksyczne substancje.

Przynajmniej to już było coś.

Siedziałem na sfatygowanej plastikowej płachcie, plecami oparty o ścianę, z wtuloną we mnie, zwiniętą w kłębek Sophie. Monk już się uspokoił. Wydawał się wyczerpany, pochylił się i zwiesił głowę między ugiętymi kolanami, oplótł wokół niej dłonie. W tej pozie wydawał się tak dziwnie bezbronny. Przez dłuższy czas się nie poruszał, a miarowy świst jego oddechu sprawił, iż uznałem, że zasnął. Jednak nie spuszczałem go z oczu.

- O czym on mówił? - wyszeptalem.

- Nie... nie wiem...

Ściszyłem głos.

- Coś musiał powiedzieć. Dlaczego chce pomocy? Jakiej pomocy?

- Nie wiem! Ja się tak źle czuję, a to światło jest za jaskrawe.

Przesunąłem się, aby osłonić ją przed blaskiem lampy.

- Sophie, to ważne. Musisz mi powiedzieć.

Pomasowała skronie, z lękiem spoglądając na Monka.

- On... on mówi, że nie potrafi sobie przypomnieć tego, jak zabijał tamte dziewczyny. Ani jak je zakopywał, w ogóle nic! On chce... myśli, że mogę mu pomóc, bo powiedziałam kiedyś, że mogłabym pomóc odnaleźć groby, nawet jeśli by zapomniał, gdzie są. Ale wcale nie chodziło mi o to, że zdołałabym przywrócić mu pamięć! O Boże, to przecież niemożliwe!

Czułem, jak drży. Przytuliłem ją.

- Mów dalej.

Sophie otarła oczy.

- Właśnie dlatego kopał wokół mogiły Tiny Williams. Myślał... myślał, że jeśli znajdzie groby, jak zobaczy ciała, to sobie przypomni. Właśnie dlatego ruszył po nas, kiedy nas tam zauważył, wiedział, że to muszę być ja! Ale ja nie potrafię niczego takiego zrobić, to nie o to mi wtedy chodziło!

- Cśś, wiem. - Głaskałem ją po plecach, cały czas wpatrując się w Monka. Chryste. - Co on miał na myśli, kiedy mówił, że wcześniej to nie miało znaczenia, ale teraz ma?

- Nie... nie wiem. Ale powiedziałam mu... powiedziałam, że ty mógłbyś pomóc. Kiedy usłyszałam, jak krzyczysz, to była jedyna rzecz, jaką zdołałam wymyślić. Boże. Tak mi przykro, to wszystko moja wina!

Tuliłem Sophie, a ona płakała i wreszcie zasnęła ze zmęczenia. Sam byłem ledwie żywy, zupełnie wykończony i obolały, musiałem jednak czuwać. Wpatrywałem się w nieruchomą sylwetkę Monka, rozpaczliwie próbując wymyślić, co mam teraz robić. Kiedy mówił, że nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie leżą siostry Bennett, wszyscy sądzili, że kłamał. A teraz... sam już nie wiedziałem.

Nie żeby to robiło jakąś różnicę. Nawet jeśli Monk rzeczywiście doznał jakiejś amnezji, Sophie w żaden sposób nie mogła mu pomóc. Była doradcą behawioralnym, a nie psychiatrą. Nie zdoła przywrócić wspomnień. Prędzej czy później Monk się zorientuje, a wtedy...

Musiałem się stąd wydostać.

Monk w dalszym ciągu się nie poruszał, a po głębokim, rzeźącym oddechu poznałem, że bardzo głęboko spał. Nie sądziłem jednak, by aż tak głęboko, żebym mógł się wymknąć razem z Sophie. Co więc miałem robić? Zabić go, nim się obudzi? Nawet zakładając, że zdołałbym coś takiego zrobić z zimną krwią - i że on się nie ocknie, a potem nie rozerwie mnie na strzępy - nie miałem przecież pojęcia, jak wyprowadzić nas na powierzchnię.

Rozejrzałem się po grocie z nadzieją, że dostrzegę coś pomocnego. Podłoga była zavalona pustymi butelkami po wodzie, opakowaniami po jedzeniu, zużytymi bateriami, butlami opróżnionymi z gazu. Niektóre z tych rzeczy pochodziły sprzed lat, pewnie jeszcze z czasów, kiedy Monk ukrywał się tutaj ostatnim razem. Obok leżała sfatygowana książka telefoniczna, już nie tak stara, a także stos pudeł, rozerwanych po to, by dało się wydobyć z nich syrop na kaszel, foliowe opakowania antybiotyków oraz małe brązowe butelki, w których rozpoznałem sole trzeźwiące. Wszystko to z pewnością zrabowano z jakiejś apteki. Sole trzeźwiące z początku mnie dziwiły, aż nie skojarzyłem ich z nagłą utratą węchu przez

policyjnego psa.

Przecież w skład soli trzeźwiących wchodził amoniak.

Najbliżej leżała plastikowa torebka wypełniona cuchnąca ziemią. Znałem ten piżmowy odór, jednak nie potrafiłem określić skąd. Wciąż bacznie przyglądając się Monkowi, starałem się dojrzeć, co jeszcze jest wśród śmieci. Delikatnie przesunąłem na bok jakieś pudło i zeszywniałem, widząc, co pod nim się kryje.

Czarny cylinder latarki.

Prawie w moim zasięgu. Mogła być zepsuta, a nawet gdyby działała, przed jej użyciem i tak musieliśmy wyminąć Monka. Jednak sama latarka dawała chociaż jakąś niewielką nadzieję, a teraz potrzebowałem każdej drobiny otuchy.

Ostrożnie, aby nie niepokoić Sophie, pochylilem się w stronę latarki, z wysiłkiem sięgając tak daleko, jak tylko zdołałem. Brakowało mi już tylko kilku centymetrów, kiedy nagle poczułem, że w grocie coś się zmieniło. Włoski na ramionach stanęły mi dęba, jakby powietrze przepchnęła elektryczność. Uniosłem wzrok.

Monk patrzył na mnie.

Chociaż, może tak nie do końca. Wbił spojrzenie w jakiś punkt obok mnie. Oblizalem wargi, starając się wymyślić coś, co mógłbym teraz powiedzieć. Zanim zdołałem się odezwać, olbrzym spastycznie szarpnął głową w prawą stronę, a połowę ust wykrzywił w szyderczym grymasie.

Potem zaczął się śmiać.

Był to upiorny, rżący flegmą chichot. Stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej się wzmagał, aż wreszcie Monkowi zaczęły się trząść od niego ramiona. Wzdrygnąłem się, kiedy zniecka machnął w bok pokrytą strupami pięścią, waląc o chropowatą skałę. Jeśli coś go zabolalo, nie dał po sobie poznać. Nadal się śmiejąc, ponownie grzmotnął pięścią w ścianę. I jeszcze raz. Sophie drgnęła, jęknęła niespokojnie. Nie odrywając oczu od Monka, objąłem ją, starając jakoś uspokoić. Poddala się, zbyt wycieńczona, aby całkiem się obudzić, zaś szaleńczy śmiech zaczynał cichnąć. Przez cały czas spodziewałem się, że martwe oczy zaraz się ku nam zwrócą, jednak olbrzym zachowywał się tak, jakby w ogóle nas tutaj nie było.

Z piersi Monka wyrwał się ostatni bulgot śmiechu, a oddech znów zmienił się w rżenie. Siedział nieruchomo. Krew kapała z dłoni, którą walił o ścianę, szczeka opadła jak komus pod wpływem narkotyków.

Chryste! Nie miałem pojęcia, co się właściwie stało. Wiedziałem, że Monk jest niezrównowazony, ale to... to było coś innego. Wydawało się takie nieumyślne, jakby nie był tego świadomy i tak naprawdę nie do końca przytomny. Przypłynęły ku mnie słowa, wiele lat

temu wypowiedziane przez Ropera: „Wczoraj w nocy rzucił się na kogoś... Napad złości w trakcie ciszy nocnej to podobno jeden z jego typowych numerów. Strażnicy nazywają go Wesołkiem”.

Monk zaczął się wiercić, mrugał powoli, jak gdyby właśnie się budził. Znowu dostał ataku kaszlu. Kiedy minął, odchrząknął i splunął flegmą na podłogę. Kaszel chyba bardzo go zmęczył. Potarł twarz dłonią, tą samą ręką, którą walnął o ścianę. Skrzywił się, widząc na niej krew, a potem dostrzegł, że się na niego patrzę.

- Na co się, kurwa, gapisz?

Szybko odwróciłem wzrok. Starając się mówić lekko, podniosłem jedno z leżących nieopodal foliowych opakowań antybiotyków.

- To nie pomoże na twoją infekcję dróg oddechowych - powiedziałem.

- A skąd wiesz?

- Byłem kiedyś lekarzem.

- Spierdalaj.

Odłożyłem tabletki na ziemię.

- Dobra, możesz mi nie wierzyć. Ale one są na zapalenie pęcherza, nie dróg oddechowych.

Ciemne oczy Monka rozbłysły. Spojrzał w dół, tam gdzie głowa Sophie spoczywała na moich kolanach.

- Co to jest? - zapytałem pospiesznie, trącając stopą torebkę wypełnioną ziemią. To było pierwsze, co przyszło mi do głowy

Najwyraźniej zastanawiał się, co odpowiedzieć. Przynajmniej odwróciłem jego uwagę od Sophie.

- Lisie szczyny.

- Lisie...?

Uniósł stopę w wysokim bucie.

- Na psy.

To przynajmniej częściowo wyjaśniało jego odór. Lisy ostro cuchnącą uryną znaczyły terytorium. Monk wysmarował się ziemią z jakiejś nory, mając nadzieję, że tak ukryje własny zapach. I znowu odniosłem wrażenie, że istnieje coś, o czym powinienem sobie przypomnieć, byłem jednak zbyt rozkojarzony, aby się tym przejmować.

- To je oszuka? - Wiedziałem, że nie, lecz nie miałem zamiaru mu o tym mówić.

- Nie psy. Tresera.

Nie doceniałem Monka. Psy policyjne wytropiłyby go niezależnie od tego, czym by się

wysmarował, lecz gdyby jakiś niedoświadczony treser wyczuł charakterystyczny odór lisa, uznałby, że jego zwierzę złapało zły trop.

- Co to za miejsce? - zapytałem. - Nie wiedziałem, że są tutaj jakieś jaskinie.

- Nikt nie wie.

Łącznie z policją.

- To tutaj chowałeś się ostatnim razem?

Gwałtownie poderwał głowę.

- Nie chowałem się, kurwa! Zawsze tutaj schodziłem!

- Dlaczego?

- Żeby uciec od takich ludzi jak ty. A teraz się, kurwa, zamknij.

Pogrzebał wśród leżących na ziemi przedmiotów i wyciągnął czekoladowy baton. Rozerwawszy opakowanie, wgrzył się w jedzenie, jakby umierał z głodu. Kiedy skończył, odkręcił butelkę wody i zadarł głowę, pijąc. Patrząc, jak grdyka Monka unosi się i opada, poczułem, że sam mam bardzo sucho w gardle.

Monk odrzucił pustą butelkę. Skinął głową ku Sophie.

- Obudź ją.

- Musi spać.

- Chcesz, żebym ja to zrobił?

Sięgnął ku Sophie zakrwawioną dłonią. Instynktownie ją odtrąciłem. Monk zamarł bez ruchu, wbijając we mnie płonące spojrzenie.

- Jest ranna - powiedziałem. - Jeśli chcesz, żeby ci pomogła, musi odpocząć. Na litość boską, przecież dopiero co miała wypadek samochodowy.

- Nie wiedziałem, że aż tak oberwała - stwierdził ponurym głosem. Ponownie spojrzał na Sophie, tym razem przyglądając się blednącemu siniakowi. - Co jej się stało w twarz?

- Nie wiesz? Ktoś się do niej włamał i ją napadł.

W ciemnych oczach Monka jakby zamigotało. Na szerokim czole pojawiły się głębokie bruzdy.

- Wszystko było u niej połamane. Jej tam nie było. Nie... nie mogę...

Złożył ręce na ogoloną głowę, głos ścichł mu do prawie niesłyszalnego mamrotania.

- Czego nie możesz? - naciskałem, zapominając się.

- Nie mogę sobie, kurwa, przypomnieć! - Krzyk Monka odbił się echem po niewielkim grocie. Wnętrzem dłoni uderzył się po bokach głowy, jakby starał się zmusić ją do pracy.

- Próbuję i próbuję, ale tutaj nic nie ma! Podobno jesteś lekarzem; co jest ze mną nie tak?

Nie potrafiłem na to odpowiedzieć.

- Byłem tylko internistą, ale są specjaliści...

- Pierdolę ich! - Z ust bryzgała mu ślina. - Kutasy w białych kitlach, co oni wiedzą?

Tym razem miałem na tyle rozsądku, aby siedzieć cicho. Chyba uszło z niego trochę złości. Kiedy spojrział na Sophie, wielkie dłonie otworzyły się i zamknęły. Nie obudziła się, nawet teraz.

- Ty i ona... To twoja dziewczyna.

Miałem już zaprzeczyć, kiedy coś mnie powstrzymało. Zresztą nie wyglądało na to, aby Monk w ogóle oczekiwał jakiejś odpowiedzi.

- Miałem kiedyś dziewczynę. - Uderzył obiema dłońmi w tył głowy. Mówił z trudem. - Zabiłem ją.

A potem zaczął opowiadać.

Rozdział 27

Życie Monka, zanim ukończył piętnaście lat, było monotonne i toczyło się niezmiennym rytmem. Osierocony przy narodzinach, dorastał wykluczony podwójnie, odrzucony za sprawą fizycznej ułomności i wzbudzając lęk nadzwyczajną siłą. Kilka rodzin, które przygarnęło tego ponurego, dziwaczego chłopca, wstrząśnięte szybko go odesłały. Gdy Monk osiągnął dojrzałość, był już silniejszy od niejednego dorosłego mężczyzny, a skłonność do przemocy i zastraszanie innych stały się jego drugą naturą.

Potem zaczęły się utraty świadomości.

Na początku nie zdawał sobie z nich sprawy. Większość następowała nocą, więc jedyny ślad stanowiła ospałość następnego dnia albo siniaki i zakrwawione dłonie, które wzięły się nie wiadomo skąd. Problem ujawnił się dopiero w zakładzie poprawczym, kiedy nocne zachowania Monka przeraziły pozostałych osadzonych. Dostawał jakichś ataków - śmiał się bez powodu, a na wszystkie próby uspokojenia reagował niszczycielską, wściekłą przemocą. Nazajutrz niczego nie pamiętał.

Początkowo sądził, że różne oskarżenia i następujące po nich kary to tylko nowe formy dręczenia. Reagował zatem jeszcze większą agresją i zamknięciem w sobie. Nigdy nie pomyślał, żeby poprosić kogoś o pomoc, odrzuciłby także propozycję pomocy. Nie żeby kiedyś taką otrzymał. Więzienni psychologowie mówili o zachowaniach aspołecznych, o

zaburzeniach kontroli impulsów i skłonnościach socjopatycznych. Zresztą jedno spojrzenie wystarczyło, aby potwierdzić najgorsze podejrzenia. Był dziwadłem, potworem.

Był Monkiem.

Gdy dorósł, zaczął wędrować po wrzosowiskach. Pradawne krajobrazy ze skalnymi rumowiskami i kolcolistem uspokajały go. Co ważniejsze, mógł tam się czuć u siebie. Pewnego dnia trafił na zarośniętą dziurę w zboczu wzgórza, sztolnię starej kopalni - chociaż wówczas jeszcze tego nie wiedział. Otworzyła przed nim całkiem nowy świat, i to dosłownie. Zaczął wyszukiwać stare kopalnie oraz jaskinie rozciągające się pod Dartmoor, badał je, a kiedy tylko mógł, nawet w nich spał. W zimnych tunelach spędzał tyle samo czasu, co w zdewastowanej przyczepie, którą nazywał domem. Miały w sobie kojąca stałość, obojętne na dzień i noc, obojętne na pory roku. Sprawiały, że czuł się bezpieczny. Wyciszony.

Nawet utraty świadomości stały się jakby rzadsze.

Pewnej nocy, idąc na wrzosowiska, zobaczył gang. Nie był na wrzosowiskach prawie przez tydzień, pracując na budowie. Teraz, z pieniędzmi w kieszeni, chciał ruszyć na nie, aby pozbyć się wrażenia klucia i świerzbienia. Miał wrażenie, jakby wewnątrz niego ktoś jeździł gwoździem po czarnej szkolnej tablicy. Kręciło mu się w głowie, co często poprzedzało zbliżającą się utratę świadomości.

Początkowo zignorował zakapturzonych wyrostków, stojących pod zepsutą latarnią. Coś leżało między nimi na ziemi, obskoczyli to jak stado zwierząt. Monk nie był ciekawy i pewnie przeszedłby obok, gdyby nie ich śmiech. Złośliwy i okrutny, wdarł mu się do głowy niczym echo dzieciństwa. Gang rozpierzchł się, gdy powalił dwóch albo trzech opryszków. Pozostała tylko samotna postać na ziemi. Monka aż świerzbiły ręce z potrzeby uderzenia jeszcze kogoś, ale leżąca dziewczyna spojrzała na niego bez strachu. Uśmiechnęła się nieśmiało.

Nazywała się Angela Carson.

- Ty ją znałeś?

Pytanie wyrwało mi się, zanim zdołałem się powstrzymać. Z czytanych przeze mnie raportów wynikało, że chociaż świadkowie przed morderstwem widywali Monka w okolicy, gdzie mieszkała ofiara, uznano jednak, że po prostu ją śledził. Nigdy nawet nie zasugerowano, że znał Angelę Carson, nie mówiąc już o tym, aby utrzymywał z nią jakies bliższe kontakty.

Spojrzenie w oczy Monka stanowiło wystarczającą odpowiedź.

Po tym pierwszym przypadkowym spotkaniu zeszli się ze sobą. Oboje samotni. Oboje na swój sposób wykluczeni ze społeczeństwa. Angela Carson była niemal całkiem głucha, łatwiej niż mówienie przychodziło jej posługiwanie się językiem migowym. Monk nie

wiedział, jak to się działo, lecz im dwojgu udawało się ze sobą porozumieć.

W tej młodej kobiecie odnalazł nareszcie kogoś, kogo ani nie przerażał, ani nie odstręczał. Jeśli chodziło o Angelę, to jak nietrudno było sobie wyobrazić, siła Monka dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Odwiedzał ją po zmierzchu, kiedy istniała mniejsza szansa, że dostrzegą go sąsiedzi.

Wkrótce go poprosiła, aby został na noc.

Od kiedy zaczęli się spotykać, utraty świadomości stały się rzadsze. Zrobił się spokojniejszy, mniej pobudzony. Zaczynał wierzyć, że ataki wreszcie się skończyły. Jednak i tak nie zamierzał sobie pozwolić na to, aby u niej zasnąć.

Jednak zasnął.

Twierdził, że pamiętał, co się wydarzyło, tylko że w pewnej chwili spostrzegł, iż stoi przy łóżku. Łomotano do drzwi - to policja usiłowała wdrzeć się do środka. Wszystko stało się hałasem i zamieszaniem. Ręce miał we krwi, jednak nie w swojej.

Spojrzał w dół i zobaczył Angelę Carson.

Wtedy właśnie stracił resztkę opanowania. Kiedy policjanci wpadli do pokoju, rzucił się na nich jak oszalały. Potem biegł tak długo, aż nogi odmówiły mu posłuszeństwa, na próżno starając się uciec od widoku zakrwawionego pokoju.

Nie wybierając świadomie kierunku, dotarł na wrzosowiska.

I zszedł pod ziemię.

Nawet nie myślał o tym, że teraz zacznie szukać go policja. Próbował uciec przed sobą samym, nie przed nimi. Po kilku dniach spod ziemi wypędziły go chłód i głód. Stracił poczucie czasu, wyłonił się nocą. Ukradł ubranie, żywność i różne potrzebne rzeczy. Zanim wstał świt, znalazł się z powrotem pod wrzosowiskami.

Przez następne trzy miesiące spędzał więcej czasu pod ziemią, kolcolistem oraz wrzosem Dartmoor niż w świecie zewnętrznym. Na świeże powietrze i światło dnia wychodził tylko, aby przejść do innego systemu tuneli, coś ukraść lub szukać świeżych zapasów oraz posprawdzać pułapki na króliki. Świat na powierzchni przypominał mu, kim był i co zrobił. Pod ciemną skałą mógł się przed tym wszystkim schować.

I zapomnieć.

Nie przejmując się własnym bezpieczeństwem, znajdował takie miejsca i przeciskał się przez takie tunele, gdzie nie ważyłby się zapaść nikt inny. Dwukrotnie musiał się odkopywać po zawaleniu stropu; kiedyś niemal utonął, gdy wskutek obfitych opadów jaskinie zostały zalane. Raz też siedział niewidoczny, skulony w ciemnościach, a grupa grotolazów przechodziła zaledwie w odległości kilku metrów. Pozwolił im przejść, lecz

potem szukał już odludniejszych miejsc.

Utraty świadomości zdarzały się w dalszym ciągu, ale tutaj, na dole, był ich tylko niejasno świadomy. Czasem budził się w innej jaskini albo tunelu niż ten, który zapamiętał, nie wiedząc, jak się dostał w to miejsce. Zaczął więc sypiać z latarką w kieszeni.

A potem któregoś dnia spostrzegł, że idzie poboczem drogi, w świetle słońca. Czuł się oszołomiony, myśli miał równie zamulone jak ubranie, kompletnie nie wiedział, gdzie jest albo co tutaj robi. I takiego właśnie znalazła go policja.

O Tinie Williams i Lindsey Bennett usłyszał po raz pierwszy, kiedy postawiono mu zarzut ich zamordowania.

- To dlaczego przyznałeś się do winy? - zapytałem.

Monk w zamyśleniu potarł dłonie, a guzikowate oczy wpatrywały się w nicość. Zawsze sądziłem, że są martwe: jednak teraz zastanawiałem się, jak mogłem nie dostrzec kryjącego się w nich bólu. Może po prostu dotąd nigdy w nie nie zaglądałem.

- Wszyscy mówili, że to ja zrobiłem. Znaleźli ich rzeczy u mnie w przyczepie.

- Ale jeśli nie mogłeś sobie przypomnieć...

- Myślisz, że to mnie, kurwa, obchodziło?

Spojrzał prosto na mnie, ale zdawało się, że nawet to stanowi dla niego zbyt duży wysiłek. Szarpnęły nim konwulsje, dostał kolejnego ataku kaszlu. Nawet gwałtowniejszego niż ostatnim razem - a kiedy kaszel minął, Monk łapał z wysiłkiem powietrze.

Bez namysłu sięgnąłem do jego nadgarstka.

- Sprawdzę ci puls...

- Dotknij mnie, a złamię ci rękę.

Opuściłem dłoń. Monk usiadł z powrotem na skale, przypatrując mi się podejrzliwie.

- Jak jesteś lekarzem, to czemu zacząłeś wykopywać zmarłych? Myślisz, że dasz radę ich ożywić?

- Nie, ale mogę pomóc znaleźć tych, którzy ich zabili.

Pożałowałem tych słów, kiedy tylko padły, ale było już za późno. Kiedy Monk zaczął rzeźnić, sądziłem, że ma kolejny atak kaszlu, dopóki nie uświadomiłem sobie, że się śmieje.

- Wciąż jesteś pieprzonym cwaniaczkiem - zadudnił.

Zaraz jednak przestał rechotać. Jego każdy oddech był poszarpanym świstem, a na twarzy pojawił się odblask od potu, który przeciskał się przez żółtawą skórę. Czarne oczy jakby zapadły się w czaszkę.

- Nie udawałeś tego ataku serca, prawda? - zapytałem.

Monk przesunął ręką po głowie, a kciuk w nieprzyjemny sposób wpaśował się w

zagłębienie w czaszce. Wydawało się, że to go uspokaja.

- To był koks. Zrozumiałem dopiero po chwili.

- Przedawkowałeś kokainę? Celowo?

Pokiwał wielką głową.

- Jak dużo?

- Wystarczająco.

To wyjaśniało, dlaczego Monk zdołał oszukać lekarzy. Przedawkowana kokaina mogła nie tylko podnieść ciśnienie do niebotycznego poziomu, ale także wywołać tachykardię, sprawić, że serce zaczęło bić niebezpiecznie szybko i nieregularnie. Takie objawy łatwo można pomylić z początkiem zawału i podobnie jak on mogły się okazać śmiertelne. Sądząc po stanie Monka, uznałem, że w najlepszym wypadku doznał uszkodzeń układu krążenia, może nawet niewydolności serca. Do tego jeszcze doszła infekcja dróg oddechowych - cud, że w ogóle jeszcze żył. Nic dziwnego, że wtedy z Sophie uciekliśmy mu spod Black Tor. Był zbyt chory, aby nas dogonić.

- Mogłeś siebie zabić - zauważyłem.

Skrzywił się.

- No i co?

- Nie rozumiem. Czekaleś osiem lat. Dlaczego uciekłeś właśnie teraz?

Zrobił grymas, który początkowo mylnie wziąłem za uśmiech. Potem ujrzałem wyraz jego oczu i uświadomiłem sobie, że z pewnością nim nie był.

- Bo te skurwysyny mnie wrobiły.

Aż do tej chwili prawie mu wierzyłem. Nawet, Boże zmiłuj się, nieomal go żałowałem. Monk potrafił wiele rzeczy, lecz z pewnością nie udawać. Chociaż mogłem przysiąc, że tamten niesamowity atak był prawdziwy, to już stanowiło czystą paranoję. Chyba było to po mnie widać.

- Masz mnie za psychola, co?

- Nie, ja...

- Nie kłam, kurwa!

Patrzył prosto na mnie, wielką głowę wysunął do przodu. Tylko spokojnie.

- Dlaczego uważasz, że cię wrobiono?

Przyglądał mi się jeszcze chwilę, a potem przyjrzał pięści okrytej strupami. Z ręki, którą walnął w ścianę, ciągle kapłała krew, jednak wydawał się nie zwracać na to uwagi.

- Słyszałem, jak taki nowy pizduś mówił, że zanim wpadli do mojej przyczepy, to widział, jak ktoś pod nią grzebał. Pokazał mu blachę gliniarza i usłyszał, że to sprawy policji.

Powiedział mu, że ma spierdalać, a jak coś komuś powie, to oskarżą go o pedofilię i wyląduje u czubków. Sam sobie zrobi przysługę, jak będzie trzymał gębę na kłódkę. No i trzymał. Nic nikomu nie mówił, dopóki nie wsadzili go do Belmarsh, gdzie chciał zaszpanować miejscowym twardzielom. - Monk odwrócił głowę i splunął. - Tak jakbym nie miał się o niczym dowiedzieć.

To wcale nie była spodziewana przeze mnie paranoiczna tyrada. Przecież właśnie odnalezienie szminki Zoe Bennett i szczotki do włosów jej siostry potwierdzało winę Monka. Wiedział o tym, oczywiście, ale i tak...

- Tamten więzień... - odezwałem się.
- Walker. Darren Walker.
- Powiedział, jak nazywał się policjant?
- Powiedział, że komisarz Jones.

To nazwisko nic mi nie mówiło, jednak dlaczego by miało?

- Mógł kłamać.
- Nie po tym, co mu zrobiłem. - Twarz Monka była bezlitosna. Ściągnął wargi w warknięciu. - Powinien powiedzieć to prędzej.

Terry, kiedy przyszedł powiadomić o ucieczce Monka, mówił, że Monk skatował na śmierć swojego współwięźnia. „Posłał do szpitala dwóch strażników, kiedy próbowali go odciągnąć. Dziwne, że o tym nie słyszałeś”. Próbowałem przełknąć ślinę: usta miałem tak wyschnięte, że musiałem próbować kilka razy. Wskazałem na stojące obok nienaruszone opakowanie z butelkami wody.

- Mogę się napić?

Wzruszył wielkimi ramionami. Otworzyłem jedną butelkę świadom, że trzęsą mi się ręce. Jednak woda ukoła zaschnięte gardło, a to, że Monk mi pozwolił, to było już coś.

Wypiłem połowę wody, resztę pozostawiając Sophie.

- A co z tym wszystkim miał wspólnego Wainwright? - spytałem, zakręcając butelkę. - Dlaczego go zabiłeś?

Na wół spodziewałem się, że Monk odpowie, iż tego również nie pamięta. Odkrztusił coś z płuc i wypluł na podłogę. Potem odparł:

- Nie zabiłem go.
- Jego żona ciebie rozpoznała, a w jego domu wszędzie było twoje DNA.
- Nie powiedziałem, że mnie tam nie było. Powiedziałem tylko, że go nie zabiłem. Spadł ze schodów. Nawet go nie dotknąłem.

To możliwe, pomyślałem. Ciało Wainwrighta leżało u podnóża schodów. Mógł skrócić

kark wskutek upadku. Każdy by się przeraził, widząc Monka pod swoim dachem, nie wspominając już o kimś dotkniętym demencją.

- Dlaczego do nich poszedłeś? Chyba nie mogłeś sądzić, że Wainwright miał coś wspólnego z wrobieniem ciebie.

Monk, spojrzawszy na Sophie, klepnął się obiema dłońmi po głowie.

- Nie mogłem jej znaleźć i nie wiedziałem, co mam robić. Pomyślałem, że może tamten wie, gdzie jej szukać. Albo w ogóle coś wie. Próbowałem kopać doły na wrzosowisku, tak jak widziałem, że on robił, po to, żeby sprawdzić, czy coś sobie przypomnę. Chociaż się nie spodziewałem, że tam z nią przyjdiesz.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Też się mnie nie spodziewaliście, prawda? Byliście tacy wystraszeni, że prawie was mogłem wywęszyć. Gdybym nie był taki zrąbany po kopaniu tych pierdolonych dziur, tobym was wtedy dorwał.

Tamtej nocy, sfrustrowany, wyszukał jedyną osobę, która przyszła mu do głowy, tę, którą mógł łatwo odnaleźć bo figurowała w książce telefonicznej.

- Wainwright był chory. Nie mogłem pomóc.

Monk poderwał głowę do góry.

- Nie wiedziałem o tym, dobra? A myślisz, że mi żal, że umarł? Nadęty skurwysyn traktował mnie jak gówno, wcale mu tego nie zapomniałem! I tak bym przetrącił chujowi kark, tylko sobie zrobił przysługę!

- Ja nie... - odezwałem się, lecz w Monku jakby ktoś wcisnął przełącznik.

- Te skurwysyny mnie wrobiły! Przez osiem lat myślałem, że jestem za bardzo porypany, aby pamiętać, co zrobiłem! Osem pierdolonych lat!

- Jeśli nie zabiłeś tamtych dziewczyn...

- One mi wiszą koło chuja! Ale jeśli mnie wrobili w ich zamordowanie, to mogli też wrobić w całą resztę! W zabicie Angie! - Ciemne oczy były szalone, płonęły gorączką. Szarpał głowę, nieświadomie poruszając szczęką. - Te chuje mogły mnie nabrać, tak że bym myślał, że ją też zabiłem! Kapujesz? Mogłem tego nie zrobić i muszę sobie, kurwa, przypomnieć!

Zgasła we mnie nadzieja, że jeszcze zdołam jakoś dojść z nim do porozumienia. Monkowi nie chodziło o odzyskanie utraconych wspomnień, tylko o zrzucenie odpowiedzialności za śmierć Angeli Carson. Ale tak się nie miało stać. Jakikolwiek los spotkał pozostałe ofiary, Monk zabił Angelę nieważne, czy świadomie, czy też nie.

Nic, co mogła powiedzieć Sophie, już tego nie zmieni.

- Słuchaj, cokolwiek zrobiłeś, to nieświadomie, więc przypuszczalnie nic nie mogłeś na to poradzić - powiedziałem. - Są takie rodzaje zaburzeń snu, które...

- Zamknij się, kurwa! - Zerwał się na nogi, zaciskając pięści. - Obudź ją!

- Nie, poczekaj...

Poruszył się tak szybko, że nieomal tego nie zauważyłem. To było niewiele więcej jak kuksaniec, ale cios odrzucił mi głowę na bok, jakbym oberwał deską. Upadłem na papiery i śmieci zaścielające podłogę. Monk chwycił Sophie.

- Dalej! Obudź się!

Sophie jęknęła słabo, była bezwładna. Skoczyłem do Monka, łapiąc go za ramię, kiedy zamachnął się, aby wymierzyć jej policzek. Odepchnął mnie, uderzyłem o skałę.

Jednak nie próbował już bić Sophie. Wpatrywał się w swoją pięść, jakby dopiero teraz uświadomił sobie jej istnienie. To właśnie nią wcześniej uderzał o skałę. Gdy tak patrzył, wściekłość uchodziła z niego równie szybko, jak się pojawiła.

Opuścił ramię, gdy Sophie drgnęła.

- David...?

- Jestem tutaj.

Miałem krew w ustach, a gdy szedłem do niej, poczułem ból w szczęce. Tym razem Monk już nie próbował mnie powstrzymać.

Sophie potarła głowę, zmarszczyła brwi z bólu.

- Nie czuję się zbyt dobrze.. - powiedziała, głos miała bełkotliwy. Potem zwymiotowała.

Podtrzymywałem ją, aż spazmy minęły. Wydała z siebie coś pomiędzy jękiem a szlochem, osłaniając oczy przed światłem lampy.

- Moja głowa... naprawdę boli.

- Sophie, popatrz na mnie.

- Boli...

- Wiem, ale popatrz na mnie.

Odgarnąłem jej włosy z twarzy. Otworzyła oczy, zamrugła. Przeraziłem się. Lewą źrenicę miała normalną, ale prawą ogromną, rozszerzoną. O Boże.

- Co jej jest? - dopytywał się Monk. W jego głosie zabrzmiała podejrzliwość, jakby sądził, że to jakiś podstęp.

Wziąłem głęboki oddech, kiedy Sophie próbowała się kulić, chowając przed światłem. Spokojnie. Nie popsuj tego.

- Myślę, że ma krwiaka.

- Co?

- Wylew krwi wewnątrz czaszki. Musimy ją zabrać do szpitala.
- Myślisz, kurwa, że jestem głupi? - zapytał Monk i złapał Sophie za ramię.
- Nie dotykaj jej! - rzuciłem, odsuwając go.

W każdym razie spróbowałem. To przypominało przesuwanie góry mięsa. Jednak Monk się zatrzymał, a gdy na mnie patrzył, oczy miał martwe i czarne. Był w nich taki sam spokój, który widywałem już wcześniej, stłumiona agresja, ledwie utrzymywana w ryzach.

- W jej głowie zbiera się krew - wyjaśniłem, głos mi drżał.. - To może być wynikiem wypadku samochodowego albo... albo czegoś wcześniej. Ale jeśli nie zmniejszy się ciśnienia... wtedy umrze. Muszę ją stąd wydostać. Proszę.

Monk skrzywił usta z frustracją, jego rzęzący oddech zrobił się jeszcze bardziej nierówny.

- Jesteś lekarzem, nie możesz czegoś zrobić?

- Nie, ją trzeba operować.

- Kurwa! - Plasnął dłonią o ścianę. W małej grocie odbiło się to echem jak wystrzał z pistoletu. - Kurwa!

Zignorowałem go. Sophie osunęła się na mnie.

- Sophie? No, dalej, musisz być przytomna.

Jeśli straciłaby przytomność tutaj, na dole, nie dałbym rady wydobyć ją na zewnątrz. Drgnęła słabo.

- Nie chcę...

- No dalej, musisz siedzieć prosto. Wychodzimy stąd.

Dłoń Monka pchnęła mnie w pierś.

- Nie! Mówiła, że mi pomoże!

- Czy wygląda, jakby mogła komuś pomóc?

- Ona tutaj zostaje!

- No to umrze! - Trząsnęłam się, ale teraz z wściekłości. - Jedyne, co zrobiła, to próbowała ci pomóc! Chcesz mieć jeszcze więcej krwi na rękach?

- Zamknij się!

Widziałem zbliżającą się pięść, ale nie miałem szans, żeby jej uniknąć. Drgnąłem, kiedy śmignęła mi obok twarzy. Rękaw kurtki omiół mi policzek, a ręką uderzyła w skałę, obok mojej głowy.

Nie poruszyłem się. Słysząc było tylko urywane rżenie Monka. Czułem na twarzy ciepły odór jego oddechu. Pierś mu opadła, opuścił ramię i odstąpił. Z dłoni kapłała krew. Tym razem uderzył w kamień z całej siły. Ręka musiał być złamana.

Ale jeśli coś go bolało, nie dał niczego po sobie poznać. Patrzył na napuchnięte kostki, jakby nie należały do niego, a potem spojrział na Sophie. Pomimo swoich rozmiarów miał w sobie coś wzbudzającego litość. Był przybity.

- I tak nie mogłaby mi pomóc, prawda? - zapytał. To bez różnicy.

Próbowałem wymyślić jakąś bezpieczną odpowiedź, a potem dałem za wygraną.

- Nie.

Monk pochylił głowę. Kiedy uniósł ją ponownie, z koszmarnego wyrazu twarzy niczego nie dawało się wyczytać.

- Zabierz ją.

Użyłem jednej z butelek soli trzeźwiących, aby trochę pobudzić Sophie. Jęknęła, próbując odwrócić głowę. Amoniak, w najlepszym razie, mógł pomóc tylko na jakiś czas, jednak z pewnością nie zaszkodzi. Zależało mi, aby pozostała tak długo przytomna, jak tylko zdoła.

Nie mieliśmy dużo czasu.

Po urazie głowy zawsze istnieje ryzyko wystąpienia krwaka. Niektóre pojawiają się bardzo szybko, inne rozwijają tygodniami, powoli wypełniające się krwią pęcherzyki wewnątrz czaszki, uciskające na mózg. Ten u Sophie musiał powiększać się od kilku dni. Albo był za mały, by zostać wykryty podczas badania w szpitalu, albo wypisała się, zanim ktokolwiek zdołał go zlokalizować.

W każdym razie powinienem coś zauważyć. Symptomy wręcz były po oczach, a ja je przegapiłem. Winę za bełkotliwy głos zrzuciłem na alkohol i znużenie, zlekceważyłem ból głowy, biorąc go za kaca.

A teraz mogła przeze mnie umrzeć.

Sophie ledwie zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest. Mogła iść, ale tylko kiedy ją podtrzymałem. Monk pomógł mi wyprowadzić ją z groty, stało się jasne, że nie zdołamy wrócić tą samą drogą, poprzez wąskie korytarze i tunele, którymi trzeba się czołgać.

- Jest jakieś inne wyjście? - zapytałem, kiedy Sophie zwiesiła się na mnie.

W świetle latarki Monk wyglądał przerażająco, jednak teraz bardziej niż jego bałem się o Sophie. Oddech Monka brzmiał jeszcze gorzej niż do tej pory.

- Jest, ale...

- Co?

- Nieważne - powiedział i ruszył korytarzem.

Świat skurczył się do nierównej skały nad moją głową i po bokach, a także szerokich pleców Monka przede mną. Zabrałem latarkę z podłogi groty. Dawała słabe światło, ale przynajmniej odsuwała ciemność na tyle, żebym widział, dokąd idę. Gdybym teraz upadł,

pociągnąłbym za sobą Sophie.

Obejmowałem ją ramieniem, starając się wziąć na siebie tyle ciężaru, ile tylko mogłem. Płakała z bólu, słabym i bełkotliwym głosem błagała, żebym pozwolił jej się położyć i zasnąć. Kiedy zrobiła się już zbyt bezwładna ze zmęczenia, podsunąłem jej pod nos sole trzeźwiące, starając się nie myśleć o tym, co się wydarzy, jeśli tutaj straci przytomność, albo że życie nas obojga zależy od mordercy i nie mieliśmy żadnego powodu, aby mu ufać.

Poza grotą panował przejmujący ziąb. Szczekałem zębami z zimna, a Sophie się trzęsła. Nierówną podłogą tunelu spływała woda. Przypomniały mi się zasłyszane opowieści o grotolazach tonących w zalanych jaskiniach. Przez ostatnich kilka tygodni sporo padało, ale powtarzałem sobie, że Monk wie, co robi.

Tunel zaprowadził nas do szerokiej, sklepionej jaskini, gdzie powietrze wypełniała delikatna chłodna mgiełka przyprawiona ostrym mineralnym zapachem. W zamkniętej przestrzeni dźwięk spadającej wody był wręcz ogłuszający. W świetle latarki ujrzałem, jak spływa po skalnych ścianach, dzieli się na kaskady, a następnie spada w odmęt na dole. Prawie cała jaskinia była zalana, jednak Monk przeszedł po biegnącego wzdłuż jej krawędzi gzymsu z łupkowej skały. Po drugiej stronie skałę przepoławiała wąska, pionowa rozpadlina, tuż nad poziomem wody. Serce mi zamarło, kiedy zatrzymaliśmy się obok niej.

- Tędy.

Musiał podnieść głos, abym usłyszał go poprzez szum wody. Podtrzymując Sophie, poświeciłem latarką w głąb rozpadliny. W dali zwężała się jeszcze bardziej.

- Dokąd ona prowadzi?

- Wychodzi na przejście na powierzchnię. - Wilgotne rżenie w oddechu Monka słyszałem nawet poprzez plusk wody. W słabym świetle latarki zniekształcone kości jego twarzy sprawiały, że wyglądał jak chodzący trup.

- Na pewno?

- Chciałeś zobaczyć inną drogę na powierzchnię. To jest inna droga.

Potem odwrócił się i ruszył z powrotem po parapecie z łupka, pluskając na krawędzi wody.

- Chyba nie chcesz nas tutaj zostawić? - wrzasnąłem za nim.

Nie było żadnej odpowiedzi. Światło latarki podskakiwało, kiedy przedzierał się przez zalaną jaskinię. Gdy tutaj staliśmy, poziom wody wzrósł.

- David... co...

Sophie opierała się na mnie ciężko. Przelknąłem strach, który rósł mi w gardle.

- W porządku. Już niedaleko.

Nie miałem pojęcia, czy to prawda, jednak nie mieliśmy wyboru. Świecąc latarką, przytuliłem Sophie i wcisnąłem się bokiem w wąski otwór w skale. Dwie ściany dzieliło niewiele więcej niż czterdzieści centymetrów. Z każdym krokiem zdawały się coraz bardziej zaciskać, musiałem walczyć z klaustrofobią.

W słabym świetle latarki unosiły się kłęby pary z mojego oddechu. Błady promień pokazał, że szczelina przed nami zakręca. Po kilku metrach spojrzałem za siebie, jednak zatopiona jaskinia też zniknęła z pola widzenia. Zresztą i tak nie moglibyśmy teraz zawrócić. Nie było miejsca, żeby się odwrócić, a nie dałbym rady się cofać, trzymając Sophie pod ramieniem. Już teraz prawie ją za sobą ciągnąłem. Krok po kroku przesuwałem się bokiem, niczym krab.

Jak daleko jeszcze? Powiedziałem sobie, że pewnie niedaleko. Szczelina zwężała się, im dalej szliśmy. Robiło się coraz ciaśniej. Czulem ściany rozpadliny, solidne i nieustępliwe napierające mi na pierś, utrudniające oddychanie. Mogłem się potknąć o nieregularną skałę pod stopami. Zwężająca się szczelina niczym kanapka zamykała nas między pionowymi płaszczyznami skały. Gdy trzymałem Sophie, było za mało miejsca dla nas obojga.

Postanowiłem, że zachowam spokój.

- Sophie, muszę uwolnić ramię. Chcę, żebyś przez kilka sekund stała samodzielnie.

Mój głos odbił się dziwnym echem, spłaszczony przez skałę. Nie odpowiedziała.

- Sophie? No dalej, obudź się!

Jednak Sophie się nie poruszyła. Teraz, kiedy zatrzymałem się, wisiała na mnie bezwładnie i trudniej było utrzymywać ją pionowo. Gdyby nie ściany rozpadliny, podtrzymujące moją towarzyszkę, chyba nie dałbym rady. Jedną ręką sięgnąłem po buteleczkę z solami trzeźwiącymi ukrytą w kieszeni. Rozpaczliwie starałem się nie upuścić ani jej, ani Sophie, ani latarki. Otworzyłem buteleczkę zębami, oczy zaszły mi łzami od smrodu amoniaku, mimo że wstrzymałem oddech. Potem z trudem podsunąłem sole pod nos Sophie. No dalej, proszę.

Nie było żadnej reakcji. Próbowałem jeszcze trochę, a potem opuściłem sole. Dobra. Nie panikuj. Myśl. Jedyne, co mi teraz pozostało, to najpierw samemu przecisnąć się przez wąski odcinek, a potem przeciągnąć ją za sobą. Ale jeśli wypuszczę Sophie, a ona upadnie...

Tu nie ma tyle miejsca, żeby upadła, a ty nie możesz tutaj zostać! No, zrób to! Ramię mi drętwiało. Dasz radę. Spokojnie. Rękaw kurtki tarł o chropowatą skałę, lecz ciężar Sophie mnie przyszpilał. Chociaż bardzo się starałem, nie potrafiłem się uwolnić. Odwróciłem się, aby lepiej podeprzeć, zrobić dźwignię i wtedy poczułem, jak skalne ściany zaciskają się na mnie niczym kleszcze. Przez chwilę nie mogłem się poruszyć, potem wyszarpnąłem z

powrotem do pierwotnej pozycji, ocierając kostki dłoni do krwi.

O Boże! Zamknąłem oczy, walcząc o oddech. Wydało mi się, że nie mam tutaj wystarczająco dużo powietrza. Przed oczami migotały gwiazdy. Próbowałem spowolnić oddech, uświadamiając sobie, że zaczynam się hiperwentylować. Na litość boską, tylko nie zemdlej! Serce stopniowo spowolniło. Otworzyłem oczy. Skalna ściana oświetlona od dołu latarką była ledwie kilka centymetrów od mojej twarzy. Widziałem jej chropowatą powierzchnię, wyczuwałem wilgotną, słoną twardość. Oblizałem wyschnięte wargi. No dalej, pomyśl! Ale nie pozostało mi już inne wyjście. Ręka zupełnie zdrętwiała. Sophie straciła przytomność. Nie mogłem ani iść dalej, ani się cofnąć, nie z nią blokującą przejście.

Znaleźliśmy się w pułapce.

A potem usłyszałem jakiś hałas. Spojrzałem ponad głową Sophie, zobaczyłem promień latarki oświetlający szczelinę za nami i wyostrzający kontury. Usłyszałem ciche szuranie, któremu towarzyszyło chrypienie nabieranego z trudem oddechu.

Potem w polu widzenia zjawił się Monk. Przeciskał się bokiem przez wąską szczelinę, krzywił usta z wysiłku, brnąc w naszą stronę. Ta rozpadlina dla mnie była ciasna - wręcz nie potrafiłem sobie wyobrazić, jaka musi być dla niego.

Nic nie mówił, dopóki nie dotarł do Sophie. Masywna dłoń, wciąż trzymająca latarkę, wysunęła się i złapała ją za ramię.

- Mam ją...

Jego głos był pełnym wysiłku sapaniem, jednak poczułem, że Sophie już mnie nie przygniata. Wysunąłem spod niej rękę, zostawiając na skale jeszcze więcej skóry z kłykci, a potem byłem już wolny. Rozprostowałem palce, zgrzytając zębami, gdy ramię zapłonęło mi bólem.

- Idź - wyrzucił Monk.

Podtrzymywał Sophie w pionie, a ja przecisnąłem się między wybrzuszonymi ścianami. Rozdarłem kurtkę, kiedy ścisnęły mnie jeszcze mocniej, potem wyszarpnąłem się i szczelina się poszerzyła. Łapczywie nabierałem powietrza oszołomiony ulgą, kiedy poświeciłem latarką z powrotem na Monka i Sophie.

Monk krzywił się, ledwie oddychał, skała ścisnęła mu masywną pierś. Jednak bez słowa sięgnął do tyłu przez wąski odcinek szczeliny, łapiąc w jedną garść kurtkę Sophie, a drugą ręką chroniąc jej głowę.

Ściany szczeliny teraz nam pomagały, podtrzymując Sophie, podczas gdy Monk podpierał ją z jednej strony, a z drugiej przeciągałem ją przez wąski odcinek drogi. Zarzuciwszy sobie ramię Sophie na barki, tak aby opierała o mnie głowę, dźwignąłem ją i się

wyprostowałem. Poświeciłem latarką w stronę Monka.

Wciskał się w niewiarygodnie wąską szczelinę, ściśnięty między dwoma skalnymi ścianami. Wraz z każdym świszczącym oddechem jak ryba łapał powietrze ustami.

- Dasz radę zawrócić? - wydyszałem. Nie było mowy, żeby zdołał pójść dalej.

Wydawało mi się, że chyba się uśmiechnął, nie miałem pewności.

- Przytyło mi się... od ostatniego razu...

Wydawało się, że nawet mówienie sprawia mu ból. Chryste, nie będzie mógł się stąd wydostać.

- Słuchaj, ja mogę...

- Spierdalaj... Wyciągnij ją...

Zawahałem się, jednak tylko na sekundę. Tutaj dobrze dawał sobie radę i bez mojej pomocy, a musiałem przecież zabrać Sophie. Zacząłem ją na wpół nieść, na wpół wlec. Raz zerknąłem za siebie, ale zobaczyłem już tylko ciemność. Ani śladu Monka i jego latarki.

Uznałem, że pewnie zawrócił, ale nie mogłem poświęcać mu więcej uwagi. Tutaj było nieco szerzej, jednak Sophie była bezwładna. Robiłem wszystko, co mogłem, aby ją podtrzymać. Po nierównej posadzce szczeliny spływała teraz woda, opływając mi buty, nie widziałem, gdzie stawiam kroki. Ciągle się potykałem, a nasze płaszcze tarły i szarpały o skałę. Parłem do przodu, wiedząc, że jeśli znowu utkniemy, sam nigdy nie zdołam nas uwolnić.

Potem ściany nagle ustąpiły. Łapiąc oddech, oświetliłem latarką niski tunel. Siegał tylko odrobinę wyżej niż moja głowa, jednak był wystarczająco szeroki, abyśmy mogli stać obok siebie. Jeśli Monk nie kłamał, musiała to być droga na powierzchnię.

Tunel biegł stromo w górę. Ruszyłem, ale ugiąłem się pod ciężarem Sophie, nogi miałam jak z ołowiu, drżały mi. Nie byłem w stanie iść dalej, nie bez odpoczynku. Kładąc Sophie na ziemi, uklęknąłem obok i odsunąłem z jej twarzy splątane włosy.

- Sophie? Słyszysz mnie?

Brak odpowiedzi. Sprawdziłem jej puls. Miarowy, jednak nie za szybki. Kiedy spojrzałem w oczy, prawa źrenica była jeszcze bardziej rozszerzona. To się nie zmieniło, kiedy poświeciłem na nią latarką.

Usiłowałem dźwigać Sophie, jednak brakowało mi już sił. Zrobiłem kilka chwiejnych kroków, ale o mało nie upadłem. Położyłem ją z powrotem na ziemi. To beznadziejne. Pochyliłem głowę, prawie szlochając. Nie miałem pojęcia, ile jeszcze mam do przejścia, ale nie dawałem już rady. Istniała tylko jedna rzecz, którą mogłem zrobić, aby Sophie miała jakąś szansę przeżycia.

Musiałem ją tutaj zostawić.

Nie trać czasu. Zrób to. Zdjąłem kurtkę, delikatnie ułożyłem rękawy pod głowę Sophie, a resztę udrapowałem wokół jej ciała. Od razu pokąsało mnie zimno, ale nie dbałem o to. Spojrzałem na Sophie, czując, jak moje zdecydowanie słabnie. Boże, nie mogę tego zrobić. Jednak nie miałem wyboru.

- Wrócę tu, obiecuję - powiedziałem, głos drżał mi z zimna. Pochyliłem się i ją pocałowałem. A potem odwróciłem się i pozostawiłem w ciemnościach.

Tunel zaczął piąć się w górę coraz bardziej stromo. Wkrótce musiałem pomagać sobie rękami, aby wspinać się wyżej. Ściany i sklepienie coraz bardziej się zbliżały, tworząc w końcu wąskie przejście. Światło latarki ukazywało tylko czarną dziurę otoczoną skałą. Przejście zdawało się nie mieć końca, aż kręciło mi się w głowie z wyczerpania. Zmysły płatały figle, zaczęło mi się wydawać, że idę w dół, czołgam się w głąb ziemi, a nie ku powierzchni.

Potem coś podrapało mnie po twarzy. Szarpnąłem się z okrzykiem, gdy coś chwyciło mnie za włosy. Poświeciłem latarką, zobaczyłem kolczaste gałęzie. Przecież pod ziemią nie rosną żadne rośliny, pomyślałem otepiały. Na twarz kapłała mi woda, jednak dopiero gdy poczułem na skórze chłodny wiatr, uświadomiłem sobie, że to deszcz.

Dotarłem na powierzchnię.

Było ciemno. W świetle latarki zobaczyłem, że wyjście z tunelu kryje się w kępie kolcolistu, przyczepionej do skalnego zbocza. Musiałem czołgać się pod kolczastymi gałęziami, wyszarpując się, gdy łapały za skórę i ubranie. Poślizgnąłem się i ostatnich kilka metrów zjechałem, lądując nogami w lodowato zimnym potoku.

Drżąc z zimna, poświeciłem latarką po okolicy. Mgła się rozwiła, jednak miarowo padał ponury deszcz. Byłem na wrzosowisku, u stóp niewielkiego rumowiska. Porastał je kolcolist, całkowicie zasłaniając wylot jaskini, z którego właśnie się wyczołgałem. Na horyzoncie było jakieś światło, nie miałem pojęcia, czy to świt, czy zmierzch, w ogóle gdzie jestem. Spróbowałem zmusić otepiały umysł do pracy. Którędy? No dalej, zdecyduj!

Wiatr przyniósł do mnie jakiś cichy dźwięk. Odchyliłem głowę, starając się wychwycić z jakiego kierunku nadszedł. Ucichł, a przez chwilę miałem wrażenie, że tylko go sobie wyobraziłem. Potem usłyszałem ponownie, tym razem głośniejszy.

Turkot śmigłowca. Wspiąłem się na zbocze rumowiska. Zapomniawszy o chłodzie i zimnie, machałem latarką nad głową.

- Tutaj! Tutaj jestem!

Krzyczałem, aż ochryplęm, nie zwracając uwagi na kolcolist smagający mnie, gdy

podciągnąłem się na brzegu formacji skalnej. Teraz widziałem reflektory śmigłowca, jaskrawe drobinki koloru, mniej więcej kilometr ode mnie. Przez kilka strasznych sekund sądziłem, że przeleci obok. Potem przechylił się i ruszył prosto na mnie. Kiedy światła urosły, dostrzegłem policyjne oznaczenia na boku pojazdu, a wtedy opuściły mnie siły. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, opadłem ciężko na zimny kamień, pragnąc, żeby zbliżająca się maszyna leciała szybciej.

Rozdział 28

Wydaje mi się, że nieproporcjonalną dużą część życia spędziłem w szpitalach. Zbyt znajome stało się powolne tykanie czasu spędzanego na twardych plastikowych krzesłach. Niepokój i frustracja.

Czekanie.

Minione dwadzieścia cztery godziny wydawały się nierealne niczym zły sen, z którego wciąż nie potrafiłem się otrząsnąć. Częściowo stanowiło to efekt hipotermii, niezbyt poważnej, jednak na tyle dużej, żebym wciąż czuł się zmarznięty i nieco otepiały, jakbym oglądał coś, co przytrafiło się komuś innemu. Białe światło na niebie, które dostrzegłem, wyłaniając się z jaskini, okazało się porankiem. Miałem wrażenie, że spędziłem pod ziemią całe dni, chociaż od wypadku samochodowego minęło zaledwie kilka godzin.

W policyjnym śmigłowcu opatulono mnie kocem, dostałem gorącą czekoladę i herbatę z termosu pilota. Targały mną niekontrolowane dreszcze, jednak nie pozwoliłem zabrać się do szpitala. Chciałem od razu wracać na dół, po Sophie, lecz nie było o tym mowy. Kiedy zjawił się zespół ratowniczy, nastąpiła chwila grozy, bo nie potrafił odnaleźć jaskini. Wydawało się, że minął wiek, zanim jakiś okrzyk spod grubego dywanu kolcolistu oznajmił, że wejście już znalezione.

Następna godzina okazała się najdłuższą w moim życiu. Siedząc w ciasnej, plastikowo-skórzanej kabinie śmigłowca, otepiały z wyczerpania i drażniony zapachem paliwa lotniczego, mogłem sobie spokojnie odtworzyć w myślach wszystko, co się wydarzyło. W chłodnym blasku świtu każda podjęta decyzja wydawała się złą.

Sophie żyła, ale wydobyto ją nieprzytomną. Uprzednio szybko wycięto kolcolist przy wejściu do jaskini, aby można było przenieść nosze do karetki lotniczej. Szedłem z Sophie,

dobrze wiedząc, że nie ma sensu zadawanie ratownikom pytań, na które nie zdołają odpowiedzieć. Kiedy śmigłowiec wylądował w szpitalu, chorą pospiesznie zabrał zespół pielęgniarek i lekarzy, pochylając się pod wirującymi śmigłami.

Mnie również zabrano, ale już spokojniej, na urazówkę, gdzie dostałem szpitalną piżamę i trafiłem pod kropłówkę. Oczyszczono mi skaleczenia i otarcia, najpoważniejsze opatrzone pachnącą antyseptycznie gazą. Wciąż na nowo opowiadałem kryminalnym co się wydarzyło, najpierw umundurowanym, a potem ubranym po cywilnemu. Przeniesiono mnie do otoczonego parawanami miejsca i zostałem sam. Nie pamiętałem, abym kiedykolwiek czuł się bardziej zmęczony. Aż mdliło mnie z niepokoju o Sophie, jednak żaden z przesłuchujących mnie policjantów chyba niczego nie wiedział. Chciałem tylko przez chwilę odpocząć, ale gdy odchyliłem głowę, natychmiast zasnąłem.

Obudził mnie szmer odsuwanych zasłon. Usiadłem zdezorientowany i obolały, a do mojego łóżka podszedł Naysmith.

Długa szyja prowadzącego dochodzenie upstrzona była świeżymi rankami po goleniu, a oczy były czerwone i podkrążone ze zmęczenia. Jednak wydawał się czujny i przytomny.

- Jak się czuje Sophie? - zapytałem, zanim cokolwiek powiedział.

- Wciąż ją operują. W jej mózgu zebrała się krew, więc musieli ją operować, żeby to usunąć. Nic innego nie jestem panu w stanie powiedzieć.

Spodziewałem się tego, ale i tak wiadomość była dużym ciosem. Istnieją różne rodzaje krwiaków, jednak wyzdrowienie i przeżycie zależały od tego, jak szybko przeprowadzono operację.

To twoja wina, pomyślałem. Powinieneś wcześniej się zorientować.

Naysmith wyłowił z kieszeni coś owiniętego w plastik.

- Może pan tego potrzebować - powiedział, obok szpitalnego łóżka kładąc mój zabłocony portfel. - Znaleźliśmy go kilka godzin temu. Mieliśmy już wysłać ekipę poszukiwawczą do kopalni, kiedy śmigłowiec pana znalazł.

- A co z Millerem i Cross?

Jeśli miał mi za złe, że ich zostawiłem, nie okazał tego. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Miller ma pękniętą czaszkę, połamane żebra i trochę obrażeń wewnętrznych. Jest nieprzytomny, ale stabilny.

Cross ma złamaną szczękę i wstrząs mózgu. Kiedy zjawiała się pomoc, była już przytomna, więc opowiedziała nam, co się stało. Tak mniej więcej.

Poczułem ulgę. Mogło być znacznie gorzej, chociaż nie byłem pewien, czy ranni policjanci się ze mną zgodzą.

- A Monk?

- Jeszcze nic. Wysyłamy na dół ekipy poszukiwawcze, postawiliśmy też policyjne straże przy obu wyjściach. Mogą jednak być inne wyjścia, o których nie wiemy. Kopalnia Cutter's Wheel była zamknięta od lat i nikt nie miał pojęcia, że łączą się z nią jakieś jaskinie. Sądono, że w tej części wrzosowiska nie ma skał wapiennych. Pewnie dlatego zawalił się szyb. Z tego, co widzieliśmy, to jest jakiś duży system, prawie tak duży jak Bakers Pit Cave albo Buckfastleigh. Jest tam ponad trzy i pół kilometra tuneli, a wszystko to niezbadany teren. Jeśli Monk wciąż tam jest, w końcu go znajdziemy, ale to zajmie sporo czasu.

A jeżeli go tam nie ma, może być teraz w każdym innym miejscu, pomyślałem. Naysmith założył nogę na nogę, jak człowiek, który zamierza właśnie przystąpić do rzeczy.

- A zatem chce pan mi opowiedzieć, co się stało?

Wiedziałem, że zdano mu już relację, lecz opowiedziałem wszystko jeszcze raz. Wysłuchał bez komentarza. Wyraz jego twarzy pozostał neutralny, nawet kiedy opowiadałem o makabrycznym zachowaniu Monka i jego stwierdzeniu, że został wrobiony przez jakiegoś policjanta. Kiedy skończyłem, westchnął ciężko.

- Mówił prawdę, przynajmniej jeśli chodzi o Wainwrighta. Złamał kark, spadając ze schodów. Sekcja zwłok wykazała otarcia dywanu przykrywającego schody, na poręczy były ślady jego krwi i włosów. Albo potknął się w ciemnościach, albo stracił równowagę wstrząśnięty widokiem Monka. Muszę powiedzieć, że mu się nie dziwię - umilkł, sprawiał wrażenie strapionego. - A w co z tego wszystkiego pan wierzy?

Trudno mi było cokolwiek powiedzieć. Byłem wycieńczony, obolały i zmartwiony. Cała zeszała noc zaczęła mi się wydawać czymś surrealistycznym. Zmusiłem się do skupienia.

- Wierzę w to, co opowiadał o utratach świadomości, i o znajomości z Angellą Carson. Był zbyt chory, żeby udawać, a ten atak, czy cokolwiek u niego widziałem, był prawdziwy.

- Naprawdę pan uważa, że mógł ją zabić przypadkowo?

- Z tego, co widziałem, mógł to zrobić co najmniej nieumyślnie.

- A pozostałe dziewczyny?

- Nie wiem. Przypuszczam, że to możliwe, aby zabił je podczas utraty świadomości, jednak sądzę, że to trochę naciągane. Musiałby też w takim stanie pozbyć się ich ciał, co nie wydaje się prawdopodobne. On rzeczywiście chyba niczego nie pamięta, a jednak się tym nie przejmuje.

- Monk to bezduszny sukinsyn. Żadna nowina.

- Nie, chodzi mi o to, że wcale nie jest zainteresowany oczyszczeniem swojego imienia czy nawet zmniejszeniem wyroku. Właśnie dlatego uważam, że mówi prawdę. Uciekł tylko

dlatego, bo desperacko wierzy, że to nie on zabił Angelę Carson.

- Znalaziono go z jej ciałem, w zamkniętym mieszkaniu, z jej krwią na rękach, a ją samą ze zmasakrowaną twarzą. Nie sądzę, żeby to pozostawiało wiele wątpliwości, prawda?

- Owszem, racja. Jednak przez ostatnich osiem lat musiał żyć ze świadomością, że zabił jedyną osobę, która kiedykolwiek była mu bliska, i nawet nie potrafi sobie tego przypomnieć. Poza tym nie należy do osób o najstabilniejszej osobowości. Czy można mieć do niego pretensje, że chwyta się wszystkiego, czego zdoła, aby to wyjaśnić?

Naysmith przez jakiś czas milczał zamyślony.

- A co z tym, że niby go wrobiono?

No i wreszcie do tego doszliśmy, westchnąłem w myślach. Czym innym było wysłuchiwanie Monka w jaskiniach, a czym innym dyskusja o nim w zimnym świetle dnia. Już łatwiej było to odrzucić jako majaczenia chorego umysłu albo wymysł kogoś dręczonego poczuciem winy. Problem polegał na tym, że nie potrafiłem przekonać sam siebie, że było to jedno albo drugie.

- Wątpię, żeby kłamał - powiedziałem.

- Co wcale nie znaczy, że nie kłamał Darren Walker. Nie ma żadnych danych o komisarzu nazwiskiem Jones ani teraz, ani sprzed ośmiu lat. Walker mógł mu wcisnąć jakiś kit, próbować go nabrać. Chryste, gdyby Monk mnie przycisnął, pewnie sam bym coś wymyślił.

- A dlaczego Walker miałby w ogóle rozpowiadać takie rzeczy?

- Taki drobny złodziejczek mógł stracić grunt pod nogami, jak spotkał twardzieli z Belmarsh. Nie on pierwszy by wymyślił coś, żeby sobie poprawić reputację.

- Monk mu uwierzył. A z tego, co opowiadał, to wątpię, aby Walker był w stanie kłamać. „Nie po tym, co mu zrobiłem”.

- Cały czas nie mamy nic, co by potwierdzało którąś z tych rzeczy - parsknął zirytowany Naysmith. - Mamy tylko słowo Monka, bo akurat wygodnie się złożyło, że skatował Walkera na śmierć. Proszę mi wybaczyć, że niezbyt będę w to wierzył, tak samo jak w to, że jakiś policjant podłożył dowody, i to na oczach szumowiny pokroju Walkera. Sprawdziłem jego akta. Podejrzewano go o wiele kradzieży i włamań, ale miał więcej żyć niż jakiś cholerny kot. Zawsze udawało mu się wyślizgnąć, aż do ostatniego roku. I dlaczego tak długo czekał, zanim zaczął gadać?

Nie wiedziałem. Aż mi się nie chciało wierzyć, że właśnie dyskutuję, broniąc Monka, chociaż zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu byłem pewien, że jest brutalnym mordercą. Leżąc na szpitalnym łóżku, miałem jednak czas, aby przemyśleć parę spraw. Nie

podobał mi się wyłaniający właśnie nowy obraz, ale nie mogłem go zignorować.

- Może właśnie dlatego, że go złapano. Sam pan powiedział, że Walker stracił w Belmarsh grunt pod nogami. Ludzie, jak się boją, są zdolni do wszystkiego.

- Niekoniecznie - upierał się Naysmith. - Skąd ten nieuchwytny komisarz w ogóle by wziął coś należącego do siostr Bennett? Nie ma mowy, żeby zwinął dowody z jakiegoś ważnego śledztwa i nikt tego nie zauważył. Zwłaszcza jeśli potem zjawił się przy przyczepie Monka.

- Chyba że wyjął je z szafki na dowody.

Te słowa zawisły ciężko wśród szpitalnych parawanów. Naysmith przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, zmrużył powieki.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan powiedział, prawda?

- A panu coś takiego nie przyszło do głowy?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Do tej pory unikaliśmy owego tematu, jednak wiedziałem, że ta sprawa również go niepokoi.

Bo jeśli nie Monk zabił tamte trzy dziewczyny, to kto?

Naysmith potarł grzbiet nosa.

- Jeszcze będziemy chcieli z panem porozmawiać. Jakie są pańskie plany po wypisaniu się ze szpitala? Wraca pan do Londynu?

Zbyttno się nad tym nie zastanawiałem.

- Jeszcze nie. Pewnie zabiorę swoje rzeczy od Sophie i zatrzymam się w...

Zasłonę parawanu nagle odsunięto na bok. Wszedł Simms. Zastępca naczelnika, w swoim szykownym mundurze i służbowej czapce, wyglądał śmiesznie elegancko wśród surowego szpitalnego otoczenia. Woskową twarz oblewał głęboki szkarłat, usta były cienką linią.

Naysmith, na wszelki wypadek, zerwał się na równe nogi.

- Nie wiedziałem, że pan tutaj jest, sir...

Simms nie spojrzał na niego. Tak mocno ścisnął w dłoni czarne skórzane rękawiczki, że zdawało się, iż je dusi.

- Chciałbym porozmawiać z doktorem Hunterem. Sam na sam.

- Właśnie był przesłuchiwany. Mogę...

- To wszystko, komisarzu.

Naysmith wydawał się wściekły, jednak zdołał się opanować. Zanim pospiesznie odszedł, nieznacznie kiwnął mi głową. Dalekie szpitalne odgłosy tylko wzmocniły ciszę za parawanami. Simms wpatrywał się we mnie. Wydawało się, że z trudem nad sobą panuje.

- Co, do jasnej cholery, próbuje pan zrobić?

Nie miałem nastroju na kolejne przesłuchanie. Byłem otępiały ze zmęczenia, zmartwiony i nazbyt świadomy tego, że leżę teraz w śmiesznej szpitalnej koszuli.

- Próbuję zasnąć.

Błade oczy były zimne i wrogie.

- Niech pan nie myśli, że pan coś na tym zyska, doktorze Hunter, bo zapewniam pana, że tak się nie stanie.

- O czym pan mówi?

- Mówię o tych... o tych pana szalonych pomówieniach! Że Jerome Monk jest niewinny, że jakiś policjant sfabrykował przeciwko niemu dowody! Naprawdę pan sądzi, że ktokolwiek panu w to uwierzy?

- To nie są moje pomówienia. I wcale nie powiedziałem...

- W zeszłym tygodniu Monk zamordował bezbronnego człowieka i o mało nie zabił dwóch policjantów. Czy może pan już o tym zapomniał?

Poczułem ukłucie wyrzutów sumienia.

- Niczego nie mogłem...

- Była policyjna konsultantka przez niego walczy teraz o życie, a mimo to pan zdaje się chcieć oczyścić go z zarzutów, człowieka skazanego za gwałt i morderstwo! Doktorze Hunter, to żadna tajemnica, że ludziom z pańskiego otoczenia jakoś tak zawsze dzieje się krzywda. Nigdy bym się nie spodziewał po panu aż takiej lekkomyślności.

Musiałem chyba wyprostować się na łóżku, chociaż w ogóle nie pamiętałem kiedy. Czuję za oczami tępe pulsowanie wściekłości.

- Nie staram się nikogo oczyszczać z zarzutów, po prostu mówię, co się stało.

- O tak, chodzi o ten „atak”, którego Monk dostał akurat na pańskich oczach? Przypuszczam, że w ogóle nie przyszło panu do głowy, że mógł to zrobić celowo? Albo że przecież już wcześniej zdołał nabrać więziennych lekarzy, udając atak serca?

- To, co widziałem, nie było udawaniem. Nie udawał także objawów ataku serca, tylko je wywołał. To różnica.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze Hunter, że nie podzielę pańskiej naiwności. To przecież jasne, że Monk panem manipulował. Podał panu wszystko na tacy... tę wysaną z palca historyjkę, a potem pana wypuścił, mając nadzieję, że zrobi pan właśnie to, co pan robił - Uderzył się rękawiczkami po udzie. - Czy pan w ogóle sobie zdaje sprawę, jakich szkód to może narobić?

- Jak zakładam, szkód dla pańskiej reputacji?

Od razu pożałowałem utraty panowania nad sobą, jednak słowa już padły. Simms

wybałuszył blade oczy. Dłoń ściskająca rękawiczki drgnęła, przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Ale kiedy się odezwał, mówił już spokojnie.

- Doktorze Hunter, przepraszam. Może powinienem poczekać, zanim się z panem zobaczę. Pan jest najwyraźniej przemęczony. - Naciągnął rękawiczki, wsuwając palce w obcisłą skórę. - Mam nadzieję, że przemyśli pan to, o czym panu mówiłem. Jesteśmy po tej samej stronie i byłoby szkoda, gdyby nasza sprzeczka związana ze sprawami zawodowymi wymknęła się spod kontroli. Ludzie bywają prędcy w słowach, a ja wiem, że praca policyjnego konsultanta jest ciężka.

Kiedy się we mnie wpatrywał, twarz miał całkowicie wypraną z emocji. Zaciągnął zasłonę przez rękaw płaszcza, tak jakby same rękawiczki nie chroniły dostatecznie przed zarazkami. Wyszedł.

Patrzyłem, jak po odejściu Simmsa chybotze się zasłona, jego kroki nikły w odgłosach szpitala. Co to miało znaczyć, do cholery? Byłem zbyt zmęczony, aby zbytnio się przejmować.

Jednak umiałem rozpoznać groźbę.

Rozdział 29

Gdy mnie wypisano ze szpitala, było już późne popołudnie. Po wyjściu Simmsa udało mi się zdrzemnąć, ale spałem niespokojnie, budziłem się i zasypiałem w tej swojej małej, odgradzonej prześcieradłami przestrzeni. Jednak i tak czułem się znacznie lepiej, przynajmniej nieco przytomniejszy. W pewnym momencie obok łóżka pojawiło się moje ubranie, brudne, lecz suche i schludnie zapakowane do plastikowej torby. Błoto i ślady krwi stanowiły dowód, że poprzednia noc była prawdziwa, nieważne jak bardzo bym pragnął, aby okazało się inaczej.

Nikt nie potrafił mi powiedzieć czegoś o Sophie, ale nakłoniłem jedną z pielęgniarek, żeby sprawdziła, co z nią. Powiedziała, że operacja już się skończyła, ale chora wciąż jest w stanie krytycznym. Pomyślałem, że tylko tego można się było spodziewać po ekspresowej trepanacji - lekarze, aby odprowadzić nagromadzoną krew, musieli przewiercić czaszkę albo wypiłować z niej kawałek kości.

Jednak te wieści w żaden sposób nie poprawiły mi nastroju. Ubrałem się i pełen

niepokoję siedziałem na szpitalnym łóżku, aż wreszcie jakaś młodsza lekarka oznajmiła, że mogę już iść.

- Gdzie jest oddział intensywnej terapii? - zapytałem.

Było tam ciszej i spokojniej niż na urazówce, panował nastrój napięcia i pośpiechu. Pielęgniarka z recepcji na pewno nie pozwoliłaby mi zobaczyć Sophie, zresztą w podartym, brudnym ubraniu sam pewnie nie chciałbym jej odwiedzać. Mając déjà vu, wyjaśniłem, że tylko chcę się dowiedzieć, jak czuje się chora. Pielęgniarka pozostała jednak niewzruszona, twierdząc, że jakichkolwiek informacji wolno jej udzielać tylko krewnym i bliskim.

- Gdyby pan mi powiedział, że jest jej mężem albo partnerem...? - dodała znaczącym tonem. Celowo otwierała mi furtkę, jednak z niej nie skorzystałem.

- Doktorze Hunter!

To był głos Sophie. Odwróciłem się, jakoś tak nierozsądnie myśląc, że zaraz ją ujrzę, cudownie uzdrowioną. Jednak korytarzem w moim kierunku szła inna kobieta. Twarz miała tak zapłakaną, że dopiero po chwili rozpoznałem w niej siostrę Sophie.

Już miałem pytać, jednak nie dała mi szansy się odezwać.

- Co pan tutaj robi?

Drżała z emocji, tak mocno zaciskała dłonie na białej pomiętej chusteczce, że aż zbieleły jej kostki.

- Chciałem się dowiedzieć, jak się czuje Sophie...

- Jak się ona czuje? Moja siostra właśnie leży na intensywnej terapii! Otworzyli jej czaszkę, tak się właśnie czuje. - Skrzywiła się. - Może mieć uszkodzony mózg albo... albo...

- Przykro mi...

- Przykro? Jak pan śmie? Powiedział pan, że będzie się nią opiekował! Chciałam, żeby pojechała ze mną do domu, tam, gdzie byłaby bezpieczna. A zamiast tego ona... ona... - Odwróciła się do pielęgniarki. - Nie życzę sobie, żeby ten człowiek zbliżał się do mojej siostry! Jeśli tu wróci, to proszę go nie wpuszczać!

Szybko ruszyła korytarzem. Pielęgniarka wyglądała na zakłopotaną.

- Przepraszam, ale ona jest z rodziny...

Pokiwałem głową. Tutaj już nic bym nie wskórał. Ciężkie drzwi oddziału intensywnej terapii zamknęły się za mną z ponurą ostatecznością, kiedy ruszyłem w stronę innych szpitalnych oddziałów.

Musiałem zobaczyć się z jeszcze jedną osobą. Poszwendalem się po salach i oddziałach, aż wreszcie dowiedziałem się, gdzie zabrano Cross. Najpierw sądziłem, że policjantka śpi. Miała zamknięte oczy, a tchórzliwa część mojej natury poczuła ulgę. Jednak kiedy zbliżyłem

się do łóżka, uniosła powieki i spojrzała prosto na mnie.

Źle wyglądała. Jasne włosy poprzyklepiały się ciemnymi pasmami do głowy. Twarz miała bardziej posiniaczoną i spuchniętą niż Sophie, a na szczęście zaciśnięte okrutne rusztowanie z drutu i śrub.

Teraz, gdy już się tutaj znalazłem, nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Po prostu przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie, a potem sięgnęła po coś leżącego na szafce. To był notatnik. Szybko coś w nim napisała i odwróciła go w moją stronę.

„Wzgl. gorzej, niż jest. Morfina super”.

Nie sądziłem, że zdołam się uśmiechnąć, a jednak to zrobiłem.

- Miło to słyszeć.

Kolejne powolne bazgrolenie, kolejne odwrócenie notesu.

„Sophie???”

Ostrożnie dobierałem słowa.

- Po operacji. Jest na intensywnej terapii.

Ołówek znowu zaskrzypiał.

„Miller przytomny. Pielęgniarki mówią, że opowiada świńskie kawały”.

Uśmiechnąłem się. Zdawało się, że to pierwsza dobra wiadomość od wieków.

- Wspaniale. - Wzięłem głęboki oddech. - Słuchaj, ja...

Jednak znowu zaczęła pisać. Tym razem z większym trudem, bo już się zmęczyła. Kiedy skończyła, wydarła kartkę z notatnika, złożyła na pół. Powieki już zaczynały jej opadać, kiedy wyciągała ją w moją stronę. Myślę, że zanim wyjąłem kartkę z jej dłoni, zdążyła już zasnąć.

Cross napisała tylko krótką wiadomość: „Zrobiłeś to, co trzeba”.

Kiedy to przeczytałem, zrobiło mi się ciemno przed oczami. Musiałem odczekać chwilę, zanim schowałem kartkę. Rozpaczliwie zapragnąłem wyjść ze szpitala, odetchnąć świeżym powietrzem i rozjaśnić sobie w głowie, ale to musiało poczekać.

Najpierw musiałem zrobić coś innego.

Mój samochód, tak jak reszta rzeczy, wciąż jeszcze był u Sophie. Mogłem zamówić taksówkę, żeby zabrała mnie ze szpitala, ale wolałem złapać jakąś w mieście. Uznałem, że spacer dobrze mi zrobi, a nie chciałem pozostawać w szpitalu już ani chwili dłużej.

Recepcjonistka powiedziała, gdzie znajdę najbliższy postój taksówek. Jednak nim zdołałem się oddalić od wejścia do szpitala, obok mnie podjechał jakiś samochód. Obejrzałem się, gdy kierowca opuścił szybę.

To był Terry.

- Właśnie myślałem, że cię tutaj znajdę - powiedział. Ruszyłem dalej. - David! Jezu, możesz chwilę poczekać?!

Samochód pojechał dalej, aż znowu się ze mną zrównał.

- Słuchaj, ja chcę tylko pogadać. Słyszałem, co się wydarzyło zeszłej nocy. Jak się czuje Sophie?

Niechętnie się zatrzymałem, Nieważne, co myślałem o Terry, przecież kiedyś z nią był. Uczucia nie znikają tylko dlatego, że wszystko skończone.

- Leży na intensywnej terapii. Nic więcej nie wiem.

- Chryste. - Zbladł. - Wiem, że jestem ostatnią osobą, którą by chciała zobaczyć. Ale czy z nią wszystko będzie w porządku?

- Nie wiem.

Wygłądał na wstrząśniętego.

- Dokąd idziesz? - zapytał przygaszony.

- Muszę zabrać rzeczy od Sophie.

Pochylił się i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Wsiadaj, podwiozę cię.

Nie chciałem spędzać już ani chwili w towarzystwie Terry'ego, jednak rozmowa o Sophie sprawiła, że moja złość na niego stała się nieistotna. Przeszłość była tylko przeszłością. Życie jest za krótkie, aby chować urazy. Zresztą byłem tak zmęczony, że ledwie trzymałem się na nogach.

Wsiadłem.

Przez kilka kilometrów żaden z nas się nie odzywał. Terry przerwał ciszę, dopiero gdy miasto i przedmieścia ustąpiły miejsca otwartym polom.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie.

Znowu ucichł. Wyrząłem przez okno, kiedy zaczęły połykać nas wrzosowiska. W samochodzie było włączone ogrzewanie, a ciepło i buczenie silnika zaczynały już na mnie działać. Poczulem, że odpływam.

- Przynajmniej teraz wiemy, kto wtedy zaatakował Sophie - odezwał się.

Westchnąłem. Terry nigdy nie uznawał odmowy.

- Nadal nie sadzę, żeby to był Monk. Przyznał się, że był u niej w domu, ale poszedł tam, dopiero kiedy już leżała w szpitalu. Myślałem wcześniej, że do domu Sophie wszedł jakiś lis, bo Monk użył ziemi z lisiej jamy, żeby zamaskować swój zapach. Trudno to było przegapić. Gdyby był u niej wcześniej, zanim znalazłem ją w łazience, poczułbym ten zapach.

- Lisie szczyzny? Cwany sukinsyn. - W głosie Terry'ego niemal zabrzmiał podziw. - Krąży mnóstwo plotek. Mówi się, że podobno coś go łączyło w Angellą Carson, że może wcale nie chciał jej zabić.

Przetarłem oczy. Nie miałem ochoty na rozmowę, jednak nie mogłem też winić Terry'ego, że chce się czegoś dowiedzieć.

- To możliwe.

- Chyba nie mówisz poważnie?

Nie widziałem żadnego powodu, żeby mu nie powiedzieć.

- Zanim wyszedłem ze szpitala, rozmawiałem z neurologiem. Opowiedział mi o czymś, co się nazywa zespołem czołowym. Zdarza się czasem przy uszkodzeniach przedniej części mózgu.

- I co?

- Pamiętasz wgłębienie, jakie Monk ma w czaszce? - Popukałem we własne czoło. - To rezultat źle przeprowadzonego porodu kleszczowego. Wszyscy wiedzą, że matka Monka umarła przy porodzie, ale ja myślę, że wtedy też uszkodzono mu płat czołowy. Osoby z tym zespołem potrafią być brutalne i nieprzewidywalne, często mają problemy z pamięcią. W rzadkich przypadkach zespół może doprowadzić do epilepsji. Podczas ataków chory śmieje się albo krzyczy i uderza w przedmioty, których nie ma. To się nazywa napadami gelastycznymi, jednak często pozostają niezdiagnozowane, bo zwykle pojawiają się podczas snu. Najczęściej zwała się wszystko na koszmary senne. Albo że ktoś się „rzuca”, jak o Monku mówili strażnicy w więzieniu.

Terry wzruszył ramionami.

- Świetnie, no ma to coś czołowego. Ale to wcale nie usprawiedliwia tego, co zrobił.

- Oczywiście, że nie. Ale wygląda na to, że wcale nie zgwałcił i nie zamordował Angelli Carson. Byli ze sobą, zabił ją w trakcie swojego ataku, po tym jak uprawiali seks. Jeśli usiłowała go uspokoić, to mogło tylko pogorszyć sprawę, a jak ktoś jest taki silny jak Monk, to nie robi różnicy, czy uderzy celowo, czy nie.

Terry zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Och, daj spokój! Nie licz na to, że ktoś w to uwierzy!

Nie miałem do Terry'ego pretensji o ten sceptycyzm. Sam nie wiedziałem, w którą część opowieści Monka można wierzyć. Był przecież brutalnym, niebezpiecznym człowiekiem, a wspomnienie wypadku samochodowego i koszmarnej wędrówki przez jaskinie będzie mnie nawiedzało jeszcze długo.

Jednak obraz całości wcale nie był taki klarowny, jak wszyscy zakładali. Podobnie jak to,

co robił Monk. Simms mógł sobie twierdzić, że zbieg miał swoje powody, żeby nas wypuścić, ale pamiętałem, że wcisnął się w szczelinę, aby pomóc mi przy Sophie. A przecież mógł zostawić nas tam oboje na śmierć.

Tak się nie zachowywał pozbawiony sumienia morderca.

- Myślę, że patrzyliśmy na Monka i widzieliśmy tylko to, co chcieliśmy zobaczyć - powiedziałem. - Wszyscy uważali go za potwora, bo zgwałcił i skatował na śmierć głuchą dziewczynę. Usuń to z równania, a wszystko się odmieni. Jak na przykład, czy rzeczywiście zamordował Tinę Williams i bliźniaczki Bennett.

- Przyznał się, na litość boską!

- Zadawał sobie pokutę. - Przypomniałem sobie pustkę i ból w oczach Monka. Jakakolwiek odrazę żywiło do niego społeczeństwo, była niczym w porównaniu z tym, co czuł sam do siebie. - Zabił Angelę Carson w trakcie jednego ze swoich ataków, miał świadomość, że mógł także zabić pozostałe. Ale tak naprawdę to wątpię, aby o to dbał.

Terry parsknął.

- Jeśli w to wierzysz, to Monk nie jest jedyny, którego grzmotnięto po głowie.

Byłem już zbyt zmęczony, żeby się kłócić.

- To nieważne, w co ja wierzę. To jest stan fizjologiczny, a nie choroba psychiczna. Właśnie dlatego badający go psychiatrzy tego nie wyłapali. Ale teraz, jak już wiadomo, czego szukać, będzie całkiem inaczej.

- Mówisz poważnie, co? - Terry przygryzł wargę. - Czyli że jeśli twierdzi, że to nie on zabił tamte dziewczyny, to kto to zrobił?

Wzruszyłem ramionami, zwalczając falę znużenia.

- Słyszałeś kiedyś o komisarzu o nazwisku Jones?

Terry przyhamował, kiedy jakiś samochód przed nami zwolnił.

- Co ten fiut wyrabia? - wymamrotał. - Jones? Nie sądzę, a co?

Miałem też czas przemyśleć sobie jeszcze jedną sprawę. Jeśli Monk - i Walker - mówili prawdę, policjant, który podłożył w przyczepie rzeczy zabitych dziewczyn, sam był oczywistym podejrzanym. Tyle że, zgodnie ze słowami Naysmitha, nie istniał żaden komisarz Jones.

Jednak powiedziałem już wystarczająco dużo.

- Nieważne. Monk coś tam mówił.

Terry zerknął na mnie.

- Wyglądasz, jakbyś ledwie żył. Przed nami jeszcze pół godziny drogi. Może się zdrzemniesz?

Sam już opuszczałem głowę i zamykałem oczy. Przez głowę przemykały mi bezładne obrazy: jaskinia, kraksa, sposób, w jaki ciemność wypełniała wgłębienie w czaszce Monka. Zobaczyłem zmasakrowane ciało Tiny Williams w lepkim mule, usłyszałem dudniący śmiech Wainwrighta. Poczulem zgrzyt oskarda tnącego miękkiego torf, a potem samochód podskoczył na jakimś wyboju i się obudziłem.

- Już jesteś z powrotem? - zapytał Terry.

Przetarłem oczy.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Prawie jesteśmy na miejscu.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że dojeżdżamy do Padbury. Kiedy spałem, blask dnia zmienił się w gęstniejący zmierzch. Miałem wrażenie, jakbym ostatnio przez cały czas przebywał w ciemnościach. Obiecałem sobie, że po tym wszystkim wezmę wolne. Tym razem taki prawdziwy urlop w jakimś ciepłym i słonecznym miejscu. Potem przypomniałem sobie o Sophie leżącej w szpitalu i wszystkie myśli o wyjeździe zniknęły.

Terry zaparkował pod ogrodem, obok mojego auta. Spojrzał na dom, nie wyłączając silnika.

- No to jesteśmy na miejscu. Chcesz, żebym z tobą został?

- Nie, nie planuję tutaj długo siedzieć. - Zatrzymałem się z ręką na klamce. - A co z tobą? Co teraz będziesz robił?

Przez jego twarz przemknął cień.

- Dobre pytanie. Zniosę jakoś lanie od Simmsa, a potem... zobaczymy. Myślę, że spróbuję się jakoś pozbierać.

- Powodzenia.

- Dzięki. - Spojrzał przed szybę. - Czyli że teraz już między nami wszystko w porządku?

Uświadomiłem sobie, że pewnie więcej nie zobaczę Terry'ego. Chociaż tak naprawdę wcale tego nie żałowałem, kończył się właśnie pewien rozdział mojego życia. Nie było potrzeby rozstawać się w niezgodzie.

Prędzej czy później trzeba pogrzebać przeszłość.

Pokiwałem głową. Wyciągnął do mnie rękę. Zawahałem się tylko przez chwilę i ją uścisnąłem.

- David, uważaj na siebie. Mam nadzieję, że z Sophie wszystko w porządku.

Nie było już nic więcej do powiedzenia. Niezgrabnie wygramoliłem się z samochodu, a potem patrzyłem, jak Terry odjeżdża, a tylne światła jego auta znikają w uliczce. Wzmagał się wiatr, dźwięk silnika szybko ucichł, został tylko szum oraz kołysanie drzew.

Pomasowałem plecy. Wszystko mnie bolało, mięśnie zeszywniały mi w trakcie podróży. Otrząsając się, ruszyłem ścieżką. Dom był pogrążony w ciemnościach. Zasłony były zasunięte, tak jak je zostawiliśmy, pospiesznie wychodząc, przez co budynek wyglądał na zamknięty i opuszczony. Zamierzałem tylko wziąć torbę i odjechać. Nie miałem większej ochoty gdziekolwiek ruszać, lecz nie podobał mi się pomysł, żeby zostać tutaj samemu. Nawet gdyby Sophie nie miałyby nic przeciwko, wydawało mi się to nie w porządku.

Dotarłem aż do drzwi wejściowych, kiedy uświadomiłem sobie, że przecież nie mam klucza. Tak czy siak, spróbowałem otworzyć, jednak drzwi okazały się zamknięte - zeszłej nocy zadbał o to Miller albo Cross. Ciężko oparłem się o drzwi, czując się pokonany. Potem przypomniałem sobie o zapasowych kluczach chowanych przez Sophie w piecu. Proszę, niech tam będą.

Kiedy szedłem zarośniętą ścieżką, wieża walącego się pieca górowała nade mną. Rusztowanie sterczało wśród ciemności jak szubienica. Drzwi zaskrzypiały przy otwieraniu. Sięgnąłem do włącznika światła. Nic się nie stało. Nacisnąłem go jeszcze kilkukrotnie, lecz najwyraźniej przepaliła się żarówka. Super. W samochodzie miałem latarkę, ale oczywiście kluczyki od samochodu były w domu. Zostawiłem je tam wśród pośpiechu wczorajszej nocy.

Otwierając drzwi tak szeroko, jak się dało, wszedłem do środka. Wpadało wystarczająco dużo słabnącego światła, abym dostrzegł niewyraźne kształty garnków poustawianych na półkach niczym relikwie w starym grobowcu. Obluzowana cegła, za którą Sophie chowała zapasowe klucze, znajdowała się przy głównym kominie, podtrzymywanym rusztowaniem. Kiedy szedłem, ceglany pył i zapach wilgotnego gipsu drapał mnie w gardło. Mieszał się z tym jeszcze jeden zapach, ostry i znajomy, jednak poczułem go, dopiero gdy coś zachrząściło mi pod nogami. Kiedy oczy przyzwyczyły się już do ciemności, zobaczyłem, że podłogę zaściela potłuczona ceramika. Otepiały mózg wciąż jeszcze się nad tym zastanawiał, kiedy rozpoznałem ów nietypowy zapach.

Woda po goleniu.

Zamarłem bez ruchu, włosy na karku stanęły mi dęba. Odwróciłem się. Przyćmione światło od strony drzwi nie sięgało daleko w głąb pieca. Cienie były nieprzeniknione. Wpatrywałem się w miejsce, gdzie zdawały się skupiać. Coś się poruszyło.

- Doktorze Hunter, to pan? - odezwał się Roper.

Rozdział 30

Roper wpatrywał się w mrok, próbując mnie dostrzec. W ciemnym wnętrzu pieca nie widział mnie lepiej niż ja jego.

- Cieszę się, że już pan wydobrzył po wczorajszej nocy - powiedział. - Z tego, co mówią, miał pan szczęście.

Serce wciąż mi waliło, próbowałem pozbierać myśli.

- Co pan tutaj robi? - zapytałem.

Bardziej usłyszałem, niż zobaczyłem, jak wzrusza ramionami.

- Och, przyszedłem tylko sprawdzić kilka rzeczy. Panna Keller naprawdę powinna wstawić jakiś zamek. No, chyba że chce, żeby ludzie mogli sobie tutaj swobodnie wchodzić.

To spostrzeżenie chyba go rozbawiło.

- Nigdzie nie widzę pańskiego samochodu - zauważyłem.

- Zostawiłem go w zatoczce, dalej przy drodze. Pomyślałem, że spacer dobrze mi zrobi.

I że nikt nie zauważy, że tutaj jesteś. Teraz zaczynałem już rozumować jaśniej. Darren Walker mógł mówić prawdę o detektywie widzianym obok przyczepy Monka. To, że nie istniał komisarz Jones, wcale nie znaczyło, że Walker kłamał.

Przecież zabójca nie podałyby prawdziwego nazwiska.

Próbowałem sprawiać wrażenie obojętnego. Oceniałem szansę wyminięcia Ropera w drodze do drzwi.

- Simms pana przysłał?

- Zastępca naczelnika ma już wystarczająco dużo na głowie. Nie, można powiedzieć, że jestem tutaj, aby zaspokoić własną ciekawość.

Usłyszałem kliknięcie, Roper włączył lampę na stole. Była przewrócona na bok. Postawił ją, mrużąc pod nosem.

- Ktoś tu narobił niezłego bałaganu, prawda?

Światło odśloniło obraz zniszczeń. Misy i talerze Sophie zgarnięte z półek, roztrzaskały się na podłodze. Nawet ciężki elektryczny piec przewrócony był na bok. Otwarte drzwiczki zwisały.

- Dla mnie to wygląda, jakby ktoś czegoś szukał, nieprawdaż? - Roper się uśmiechał,

jednak spojrzenie miał bystre i przenikliwe.

- Doktorze Hunter, chyba nie zaszkodzi, jeśli pan sam mi powie, co tutaj robi?

- Przyszedłem po swój samochód.

- Dziwne miejsce na garaż.

- Mam torbę w domu. Sophie trzyma tutaj zapasowe klucze.

- Naprawdę? - Przyjrzał się wnętrzu pieca. - Ta panna Keller dobra jest w chowaniu różnych rzeczy. Ale przecież były doradca behawioralny powinien taki być. Jak sądzę, to wynika z wiedzy o tym, gdzie co można znaleźć.

Straciłem cierpliwość. Nie było sensu bawić się w jakieś gierki.

- Znalazł pan to, po co przyszedł?

- Ja? - Roper wydał się szczerze zszokowany. - Doktorze Hunter, jak sądzę, my się w ogóle nie zrozumieliśmy. To nie moje dzieło.

Mówił tak, jakby czuł się urażony. Nie do końca mnie przekonał, jednak poczułem, że podejrzewania maleją.

- W takim razie czyje?

- No właśnie, oto jest pytanie, prawda? - Roper przyjrzał się szczątkom, w zamyśleniu drapiąc po brzuchu. - Jak dobrze zna pan pannę Keller?

- A dlaczego pan pyta?

- Bo staram się zdecydować, czy jest pan w to zamieszany.

W głosie Ropera nagle pojawił się ostry ton, a moje ostatnie wątpliwości co do detektywa zniknęły. Dotąd jeszcze nigdy nie traktowałem go poważnie. Zawsze wydawał mi się tylko takim dodatkiem do Simmsa, awansującym raczej za sprawą wierności, a nie zdolności. Teraz, patrząc na niego, zaczynałem się zastanawiać, czy może jednak nie chodziło o coś więcej.

Może nie tylko Sophie dobrze znała się na ukrywaniu różnych rzeczy.

- Nie widziałem jej przez osiem lat, aż do niedawna - wyjaśniłem ostrożnie.

- Sypia pan z nią?

Powstrzymałem się od powiedzenia, że to nie jego sprawa.

- Nie.

Mruknął z satysfakcją.

- Doktorze Hunter, proszę mi powiedzieć, czy trochę pana nie dziwi zbieżność tego wszystkiego w czasie? Terry Connors pojawia się znikąd, żeby pana ostrzec o niebezpieczeństwie ze strony Monka. Pyta pana, czy kontaktował się z panem ktoś ze starego zespołu poszukiwawczego. Potem panna Keller, albo panna Trask, jak zaczęła siebie

nazywać, dzwoni do pana z prośbą o pomoc. Później się okazuje, że jest nieprzytomna, a jej dom zdemolowano. Tyle że włamywacz wcale się nie trudził, aby cokolwiek zabrać.

- Powiedziała, że zginęło trochę pieniędzy i biżuterii.

Machnął na to ręką.

- Pan w to nie wierzy bardziej niż ja. I nie jestem też przekonany co do jej „amnezji”. Ktoś włamał się do jej domu i ją pobił, a ona niczego sobie nie przypomina? No proszę.

- To się może zdarzyć.

- Na pewno, ale zdaje się, że zbytnio się tym nie przejęła. Dlaczego więc kłamała? Kogo chroniła? Siebie czy kogoś innego?

Już otwierałem usta, aby zaprotestować, ale przecież Roper tylko mówił to, o czym sam myślałem. Jedynie nie chciałem tego zaakceptować.

- Co pan o tym sądzi?

- Sądzę, że nie wierzę w zbiegi okoliczności. - Kopnął w kawałek gliny. - Jeśli ma się coś cennego, coś, co się chce ukryć, to są na to dwa sposoby. Pierwszy - to schować tę rzecz gdzieś, gdzie będzie naprawdę bezpieczna, gdzie nikt nie zdoła jej odnaleźć. Jednak problem polega na tym, że skoro zdołało się już takie miejsce wymyślić, istnieje szansa, że i ktoś inny na to wpadnie. Innym sposobem jest ukrycie takiej rzeczy w miejscu, gdzie nikomu nawet nie przyjdzie do głowy zaglądać. W miejscu tak oczywistym, że nikt nawet sobie nie uświadamia, że może być kryjówką. Najlepiej w takim, które ogląda się codziennie.

Wpatrywałem się w stół, na którym Sophie gromadziła glinę. „Nic takiego. Tylko brzydki nawyk”. Przypomniałem sobie, że przyszła tutaj zaraz po powrocie ze szpitala, twierdząc, że chce wziąć zapasowy klucz. Przypomniałem sobie również, jak przesuwała po glinie dłońią, jak gdyby chcąc się upewnić, że wszystko w porządku. To było coś leżącego na wierzchu, jednak zbyt dużego, aby dało się to przemieścić. Nic dziwnego, że Sophie nie chciała opuścić domu.

- Coś chowała w zeschłej glinie - stwierdziłem. Sophie nie fatygowała się nawet, aby założyć zamek w drzwiach do pieca, praktycznie ogłaszając, że w środku nie ma niczego cennego.

Roper się uśmiechnął.

- Mniej ciekawi mnie, gdzie to schowała, bardziej - co to było. Wszystko zaczęło się wraz z ucieczką Jerome'a Monka, więc musiało mieć z nim jakiś związek. A cokolwiek to było, dla panny Keller miało tak wielkie znaczenie, że wolała raczej ryzykować spotkanie z Monkiem, niż spuścić tę rzecz z oczu.

Dla kogoś okazało się również na tyle ważne, że pobił Sophie do nieprzytomności i

pozostawił własnemu losowi, a sam przetrząsnął dom. Umysł pracował mi już na pełnych obrotach, opadły z niego ostatnie pajęczyny zmęczenia.

- Terry Connors wczoraj po południu próbował mnie namówić, żeby zabrać stąd Sophie - powiedziałem. - Właśnie dlatego chciał się ze mną zobaczyć.

- Tak? W takim razie Monk wyświadczył mi przysługę. Usunął ją z drogi na wystarczająco długi czas, żeby mógł znaleźć to, czego szukał. Roper przyjrzał się szczątkom zaścielającym podłogę, po jego twarzy błędził uśmiech. - Zdaje się, że jak na kogoś, kto został zawieszony, Terry okazuje jakieś niezdrowe zainteresowanie całą sprawą. Sadzę, że nadszedł już czas, abyśmy poważnie porozmawiali z sierżantem Connorsem.

Czułem w dołku narastający chłód. Byłem zbyt zmęczony, aby zastanowić się, dlaczego Terry czekał na mnie pod szpitalem. Jego pytania złożyłem na karb ciekawości, ale coś mnie teraz uderzyło. Connors twierdził, że nie wie, gdzie mieszka Sophie, a ja nie powiedziałem mu, jak do niej dojechać.

Znał drogę.

- Właśnie się z nim widziałem - oznajmiłem. - Podwiózł mnie tutaj.

Uśmiech Ropera zniknął.

- Connors tutaj był?

- Podrzucił mnie, a potem odjechał.

- Cholera! - Roper sięgnął do kieszeni po telefon. - Musimy jechać. Powinienem...

Jednak zanim zdołał dokończyć, przez drzwi za jego plecami wszedł jakiś cień. Usłyszałem przyprawiający o mdłości dźwięk uderzenia metalu w kość, gdy ten cień z rozmachem uderzył czymś detektywa w głowę. Roper runął twarzą na ziemię, nie próbując nawet osłabić impetu upadku.

Terry stanął nad nim, oddychając ciężko, w rękach trzymał metalowy pręt. Kiedy spojrzał w dół, usta rozciągnęły mu się we wściekłym grymasie.

- Skurwysyn dawno już na to zasłużył.

Wszystko stało się tak szybko, że nie miałem czasu zareagować. Stałem tak samo oszołomiony pojawieniem się Terry'ego, jak jego agresją. Miał w sobie jakąś dzikość, rozgorączkowaną desperację. Gałęzie potargały mu schludnie uczesane włosy, a buty i dół nogawek spodni ochlapało błoto. Ciężko dysząc, otarł usta rękawem i uniósł ku mnie wzrok.

- Jezu, David. Czy nie mogłeś po prostu zabrać swoich rzeczy i wyjechać?

Mój umysł znowu zaczynał pracować. Nie usłyszałem odgłosu silnika: Terry musiał zaparkować i wrócić tu polami. Może zrobił tak, bo dostrzegł w zatoczce auto Ropera? Policjant leżał tam, gdzie upadł. Ciemna krew połyskiwała mu z tyłu głowy, w świetle lampy

prawie czarna. Uderzając twarzą o podłogę, wybił sobie przednie zęby. Nie potrafiłem dostrzec, czy nadal oddycha.

Kiedy ruszyłem w stronę Terry'ego, ostrzegawczo uniósł pręt.

- Nawet nie próbuj!

Zatrzymałem się poza jego zasięgiem.

- Odłóż to. Pomyśl tylko, co ty wyprawiasz.

- Sądzisz, że nie pomyślałem? Chryste, myślisz, że ja tego chcę? - Przez twarz przemknął mu grymas udręki. Uderzył na oślep i kopnął kawałek gliny, który odbił się od rusztowania podtrzymującego ścianę, i potoczył w ciemność.

- Jak już chcesz kogoś obwiniać, to obwiniaj Keller! To jej wina!

- Sophie? Dlaczego? - Jednak przypomniałem sobie, co mówił Roper. Pomyślałem o glinie, teraz leżącej w kawałkach na podłodze. - Co ona takiego chowa, że to takie ważne?

Sądziłem, że mi nie odpowie. Pokręcił głową, jednak jego uchwyt na pręcie jakby osłabł.

- Pamiętnik Zoe Bennett.

I wtedy zacząłem rozumieć. Zoe, bardziej ekstrawertyczna z bliźniaczek Bennett, ta która w przeciwieństwie do siostry wołała imprezy niż naukę. I Terry, kobieciarz, wciąż jeszcze zgrywający cwaniaka, nawet po odejściu w niesławie z policji metropolitalnej. Czy istniał lepszy sposób podreperowania ego niż ładna, energiczna siedemnastolatka pragnąca zostać modelką?

- Jest w nim twoje nazwisko - stwierdziłem.

Przygarbił ramiona. Opuścił pręt jeszcze niżej.

- Widywałem się z nią przez kilka miesięcy. Zdjęcia nie oddają jej sprawiedliwości, była świetną laską. Problem polegał na tym, że za dobrze o tym wiedziała. Wszystko już sobie zaplanowała - to, że pojedzie do Londynu, podpisze umowę z jakąś dużą agencją modelek. Zrobiłem na niej wrażenie, bo pracowałem w policji metropolitalnej, mogłem jej opowiadać o Soho i całej reszcie.

Uśmiechnął się szeroko na to wspomnienie, jednak uśmiech szybko zgasł. Skrzywił się.

- Potem widziałem ją z kimś innym. Jakimś młodym, cwaniakującym sukinsynem, dwudziestolatkiem w szybkim aucie. Znasz takich. Pokłóciliśmy się. Powiedziała mi, że powinienem się kleić do kobiet w swoim wieku, nazwała mnie frajerem. Powiedziała, że to było żalotne, jak tak ciągle nawijałem o Londynie. Sprawy wymknęły się spod kontroli, uderzyłem ją, a jej odbiło. Wrzeszczała na mnie, mówiła, że zadba o to, żeby mnie zwolnili z pracy, powie, że ją zgwałciłem. Byliśmy w moim samochodzie i bałem się, że ktoś usłyszy. Po prostu chciałem, żeby się zamknęła, złapałem ją za szyję i... to się po prostu stało, tak

kurewsko szybko. W jednej chwili się szarpała, a w następnej...

Spojrzałem na Ropera, który nieprzytomny leżał u stóp Terry'ego.

- Jezu, Terry...

- Wiem! Myślisz, że ja nie wiem? - Opuścił pręt, jednak nadal trzymał go w dłoni. Drugą dłonią przesunął po włosach, miał udreńczony wyraz twarzy. - Miałem garaż, więc tam ukryłem ciało. Myślałem... Myślałem, że jeśli niczego nie zrobię, to uznają, że to kolejna ucieczka nastolatki. Zoe zawsze mówiła, że wybiera się do Londynu.

- Ona miała siedemnaście lat!

- Och, nie zaczynaj od nowa - rzucił w przebłysku dawnego usposobienia. - Co ja miałem zrobić? Przyznać się? To by jej nie przywróciło życia! Musiałem myśleć o Debs i dzieciakach! Jaki był sens marnować im życie?

Zrobiło mi się słabo.

- Jej siostrę też zabiłeś?

Terry jakby się wzdrygnął. Nie patrzył już na mnie, ale w oczach chyba pojawił mu się wstyd.

- Lindsey znalazła pamiętnik Zoe - wyjaśnił beznamiętnie. - Tam był numer mojego telefonu, szczegóły tego, jak się poznaliśmy. Co robiliśmy. Nie powiedziała nikomu, bo nie chciała zaszkodzić reputacji Zoe. Myślała, że skoro jestem policjantem, to pomogę ją odnaleźć.

Chryste. Czyli że podarowała Terry'emu jedyny dowód, który mógł wskazywać go jako sprawcę śmierci siostry. I w ten sposób stała się także jedynym świadkiem.

- Nie patrz tak na mnie! - wrzasnął Terry. - Spanikowałem, dobra? Gdyby to wyszło na jaw, wszystko byłoby skończone! Nie mogłem pozwolić, żeby mnie przesłuchiowano. A ona tak bardzo przypominała Zoe, że gdy na nią patrzyłem, miałem wrażenie, jakby mnie oskarżała!

- A Tina Williams? Dlaczego... - urwałem, kiedy sobie uświadomiłem dlaczego. Kolejna ładna, ciemnowłosa nastolatka. - Była tylko tak dla zmylenia innych? Jak Monk? Po to, żeby wyglądało na robotę seryjnego mordercy i odsunęło uwagę od bliźniaczek?

Terry miał dziwny wyraz twarzy, jakby zmagał się z częścią siebie, którą ledwie rozpoznawał. Wzruszył ramionami, jednak w dalszym ciągu nie patrzył mi w oczy.

- Coś w tym stylu.

Szok już minął, zastąpiły go złość i odraza.

- Terry, ja ją widziałem! Widziałem, co zrobiłeś! Na litość boską, nadepnąłeś jej na twarz!

- Już nie żyła! - wrzasnął. - Skopałem to, dobra? Jezu, myślisz, że chciałem to zrobić? Cokolwiek z tego? Że mi się to podobało?

Nieważne, one i tak nie żyją. Jednak to wyjaśniało mnóstwo rzeczy. Bardziej zrozumiałe stało się teraz zachowanie Terry'ego w trakcie poszukiwań, zwłaszcza kiedy Monk, nie wiadomo dlaczego zaproponował, że zaprowadzi nas do ciał. Pirie okazał się bliższy prawdy, niż sam się spodziewał. Patolog spekulował, że straszliwe obrażenia Tiny Williams mogły stanowić wyraz wstydu zabójcy, próbę wymazania swojej winy. To nie miało sensu, gdy sądziliśmy, że zabójcą jest Monk, teraz go jednak nabrało.

Nic dziwnego, że Terry'emu posypało się życie.

Ponad jego plecami zobaczyłem, że na zewnątrz robi się coraz ciemniej. Lampa rzucała kokon blasku, za którego obrębem ciemność w piecu zdawała się pogłębiać. Nie miałem pojęcia, jak długo już tutaj jestem, ale nie mogłem się spodziewać żadnej pomocy. Roper nadal się nie poruszał, a z tego, co mówił, nikt nie wiedział, że tutaj przyjechał. Musiałem jakoś wyminąć Terry'ego, chociaż nie miałem pojęcia w jaki sposób. Oprócz potłuczonej ceramiki nie było nic, czego mógłbym użyć jako broni.

- Czy komisarz Jones to było najlepsze nazwisko, jakie potrafiłeś wymyślić?

- Nieźle się sprawdziło, prawda? - Terry szczerze się uśmiechnął. Zdawał się spokojniejszy, jakby poczuł ulgę po tym, gdy wreszcie przyznał się do tego, co zrobił. - Mogło być albo to, albo Smith. Monk to była za dobra okazja, żeby ją stracić. Wciąż miałem schowanych kilka rzeczy Zoe, ale musiałem się pospieszyć, zanim w tej jego ruderze zaroi się od kryminalnych. Nie byłem tak ostrożny, jak powinienem. Niemal wpadłem na Walkera. Ale mignąłem mu legitymacją i zagrałem kartą policji. Nastraszyłem go i powiedziałem, że jeśli będzie trzymał głowę na kłódkę, to krzywda mu się nie stanie.

I przez osiem lat Terry dotrzymywał słowa. „Miał więcej żyć, niż jakiś cholerny kot. Zawsze udawało mu się wyslizgnąć”. Tak mówił o nim Naysmith. Nic dziwnego, skoro pewien policjant opiekował się nim, dbał, żeby wszystkie dowody się gubiły albo by wiązano je z kimś innym.

Walker przerwał milczenie dopiero po zawieszeniu Terry'ego, gdy komisarz Jones go zawiódł.

A Monk skatował Walkera na śmierć.

Terry pewnie domyślał się dlaczego. Po ucieczce Monka musiał wręcz szaleć. Zwłaszcza że istniał dowód łączący Connorsa z Zoe Bennett.

- Skąd Sophie miała ten pamiętnik? - zapytałem.

- Wścibska suka szperała w moich rzeczach. To było tak rok po poszukiwaniach. Debs

mnie wykopała, więc wynająłem mieszkanie. Znowu zszedłem się z Sophie. Zawsze chciałem pozbyć się tego pamiętnika, ale jakoś nigdy tego nie zrobiłem. To było naprawdę głupie. Schowałem go, ale Sophie zawsze była dobra w znajdowaniu różnych rzeczy.

Mówił z goryczą. Część mnie zarejestrowała fakt, że ich związek wcale nie był tylko przelotnym romansiem, jak twierdziła Sophie, ale nie miałem teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Pomyślałem, że chyba dostrzegłem, jak Roper porusza dłonią, jednak nie ważyłem się na niego spojrzeć, aby się upewnić. Nie odrywałem wzroku od Terry'ego.

- Co ona wie?

- Tylko, że pieprzyłem się z Zoe, z pamiętnika jasno to widać. Sophie bardzo się wkurzyła, bo to działo się wtedy, kiedy się z nią spotykałem. Po prostu wyszła z siebie. Nie powiedziała, co zrobiła z pamiętnikiem. Mówiła, że jest bezpieczny. - Brzydko się skrzywił na to wspomnienie. - Pieprzona szantażystka. Dopóki Monk siedział w więzieniu, a śledztwo było zamknięte, to nie miało większego znaczenia. Nie mogła nikomu powiedzieć, nie przyznając się, że ukrywała dowody. Ale kiedy Monk uciekł... No, wtedy wszystko się zmieniło.

- To dlatego spanikowałeś i przyszedłeś do mnie. Żeby sprawdzić, czy Sophie czegoś mi nie powiedziała.

- Wcale nie spanikowałem. Po prostu chciałem odzyskać ten pierdolony pamiętnik! I dobrze znam Sophie. Jeśli miałyby się zwrócić do kogoś z przeszłości, wiedziałem, że to byłbyś ty.

On jest zazdrosny? Z podłogi dobiegł jakiś bełkotliwy jęk. Terry, zaskoczony, spojrzał na Ropera, jakby o nim zapomniał. Ranny policjant drgnął, zamrugał.

- Nie! - krzyknąłem, kiedy Connors uniósł pręt.

Zatrzymał się, trzymając drąg w górze. Pomyślałem, że na jego twarzy widzę jakby żal.

- Naprawdę chciałem dać ci spokój, dopóki nie zobaczyłem samochodu Ropera. Ale wiesz, że teraz już nie mogę? Wiesz o tym.

Wiedziałem. I nie wiedziałem, czego mam się teraz spodziewać.

- Co z Sophie?

- Co z nią? Bez pamiętnika nic już nie może zrobić.

- Nie przejmujesz się nawet tym, co jej zrobiłeś?

- Co ja jej zrobiłem? Jezu! Ta podstępna suka przez lata zamieniała mi życie w piekło!

- Bała się! A teraz jest przez ciebie w szpitalu!

Spojrzał prosto na mnie, na chwilę zapomniał o Roperze.

- O czym ty mówisz?

- To nie Monk spowodował tego krwiaka. To ty, kiedy wdarłeś się do niej do domu, szukając pamiętnika.

- Gówno prawda! Nie wierzę ci!

- To uraz *countre coup*, skutek uderzenia głową o podłogę łazienki, kiedy upadła. Wypisała się ze szpitala, zanim zdążyli to wykryć. Chciała wrócić do domu, aby się upewnić, że pamiętnik jest bezpieczny. Nawet wtedy nikomu nie mówiła, co się stało. Była przerażona, ale wciąż cię chroniła!

- Sama się chroniła! Dbała głównie o siebie, tak jak zwykle! - Opuścił pręt, kierując go w moją stronę. - Myślisz, że teraz sprawisz, że zrobi mi się jej żal? Zapomnij o tym. Sama to na siebie ściągnęła!

- A jeśli i ona umrze, to będzie tylko następny wypadek? Jak z Zoe Bennett?

Sposób, w jaki na mnie spojrział, wyjawiał, że posunąłem się za daleko. Słysząc tylko westchnienie wiatru na dworze. Terry poprawił uchwyt na pręcie.

- Powiedz mi przynajmniej, gdzie je pochowałeś - odezwałem się szybko.

- Ale po co? Miałeś swoją szansę osiem lat temu. - Z twarzy Connorsa jakby zniknęły emocje. - Miejmy to już za sobą.

Ruszył w moją stronę, potem nagle się zachwiał. Myślałem, że się potknął, dopóki nie spostrzegłem, że Roper złapał go za nogę. W świetle lampy dolna połowa twarzy detektywa lśniła od krwi. Przednie zęby miał złamane przy samych dziąsłach. Jednak kiedy z trudem usiłował wstać, oczy płonęły mu nienawiścią.

- Skurwiel! - wrzasnął Terry.

Pobiegłem ku niemu, zamachnął się prętem. Zrobiłem unik, padając na główny komin pieca, poczułem coś szorstkiego pod ramieniem. Connors, wyszarpując stopę, kopnął Ropera w głowę, jakby była piłką do rugby. Rozległ się taki dźwięk jak po upuszczeniu arbuza. Detektyw znowu upadł. Kiedy Terry ponownie na mnie ruszył, wyrwałem luźną cegłę stamtąd, gdzie Sophie chowała zapasowy klucz, i cisnąłem w niego. Spróbował się zasłonić, jednak pocisk, zanim upadł na podłogę, przejechał po jego twarzy.

- Ty sukinsynu! - rzucił, pryskając krwią i śliną. Zamachnął się prętem, chcąc uderzyć mnie w głowę.

Zdołałem podnieść rękę, ale metalowy pręt walnął mnie w pierś. Oddech eksplodował bólem, gdy poczułem, jak pękają mi żebra. Padłem na podłogę, na ostre odłamki ceramiki. Gdy przenikał mnie nowy ból, Terry podszedł i z rozmachem kopnął mnie w brzuch.

Zgiąłem się wpół, nie mogąc oddychać. Rusz się! Zrób coś! Jednak ciało odmówiło posłuszeństwa. Terry stał nade mną. Sam ledwie łapał oddech, twarz lśniła mu od potu.

Palcami dotknął włosów, w miejscu gdzie uderzyła cegła. Zobaczył na nich krew. Wykrzywił twarz.

- Wiesz co, Hunter? Cieszę się, że nie wyjechałeś, jak miałeś okazję - wydyszał, unosząc nad głową metalowy pręt.

Za jego plecami drzwi pieca zamknęły się z trzaskiem.

Monk, pomyślałem od razu. Jednak w przejściu nikt się nie pojawił. Drzwi klekotały na wietrze, a kiedy Terry odwrócił głowę, by spojrzeć w ich stronę, rzucił się na niego Roper.

Ledwie trzymał się na nogach, jednak wytrącił Terry'ego z równowagi. Impet przeciągnął ich obu obok mnie i rzucił na stare rusztowanie pod ścianą pieca. Rozklekotana konstrukcja zadrżała pod ciężarem, zadźwięczała niczym olbrzymi widelec, luźne kawałki poleciały na podłogę. Rusztowanie zachwiało się jak pijane, ale przez chwilę wydawało się, że wytrzyma. Później, jak na zwolnionym filmie, cała konstrukcja wydała z siebie trzask i upadła na wależących jak rozsypany domek z kart.

Wydawało mi się, że słyszę krzyk bólu, chociaż nie potrafiłem stwierdzić czyj. Zwinąłem się w kłębek, osłaniając głowę rękoma, spadały na mnie deski i stalowe pręty. Powietrze wypełniło się hałasem, jakby szaleńczo biły dzwony.

Potem zapadła cisza.

W uszach jeszcze grało mi echo. Powoli odjąłem ręce od głowy. W powietrzu było gęsto od kurzu. Piec pograżył się w ciemnościach: spadające rusztowanie rozbiło lampę. Kaszlnąłem, czując, jak ból przenika moje połamane żebra. Niezdarnie ruszyłem w stronę przeciwległej ściany. Podłoga była usiana resztkami rusztowania i połamanymi deskami. Brnąłem przez nie, kierując się wyłącznie dotykiem.

- Roper? Terry?

Mój krzyk się urwał. Wśród ciemności z łupnięciem spadła jakaś cegła, dzwoniąc o pręty jak o rozstrojone kuranty. Potem słyszałem już tylko stukot spadającej zaprawy.

Sophie mówiła, że to rusztowanie od dziesięcioleci podtrzymywało wałący się komin oraz ściany pieca.

Teraz już nic ich nie podtrzymywało.

Sam nie byłem w stanie niczego zrobić. Musiałem dostać się do telefonu. W mroku ledwie dostrzegałem nieco tylko jaśniejszy prostokąt drzwi. Ruszyłem w tamtą stronę wyboistą ścieżką, przez zwalone rusztowanie. Na zewnątrz powietrze było chłodne oraz cudownie rześkie. Kiedy dokuśtykałem do domu, na niebie pozostał jeszcze ostatni blask dnia. Zapasowy klucz był w piecu, ale miałem za mało czasu, żeby go tracić na poszukiwania. Nie miałem również siły, aby włamywać się przez drzwi wejściowe, w których zamontowano

nowe zamki. Musiałem wejść oknem.

Gramoliłem się na parapet, kiedy usłyszałem rumor za plecami.

Odwróciłem się, akurat w samą porę, żeby zobaczyć walący się piec. Jakby się przygarbił, a potem od razu zwyczajnie się zapadł. Odkuśtykałem dalej, zasłaniając oczy, kiedy chmura pyłu obsypała mnie ostrymi drobinkami żwiru. Potem znów zrobiło się cicho.

Nad tym, co pozostało z pieca, niczym dym unosił się teraz tuman pyłu. Ponad połowa ceglanego stożka zniknęła, pozostały tylko ruiny. Nietknięta była część muru z drzwiami. Pokuśtykałem tam, rękawem osłaniając usta oraz nos. Spojrzałem przez drzwi. Przejście częściowo tarasowały cegły.

Tym razem nie zwracałem sobie głowy wołaniem. Ostatnia cegła potoczyła się na zgliszczu, brzmiąc jak upadający pion kręgli. Potem nie było już nic. Żadnego dźwięku, żadnej oznaki życia.

Piec był ciemny i cichy jak grób.

Rozdział 31

Policja znalazła Monka dwa dni po zawaleniu się pieca. Po wszystkim, co się wydarzyło, zbiegłego więźnia poszukiwano jeszcze intensywniej. Ale nawet po jego odnalezieniu zdarzenia nie zwolniły biegu.

Samo wydobycie Terry'ego i Ropera spod zawalonego pieca zajęło służbom ratunkowym osiem godzin. Do tego czasu ocalałą strukturę zabezpieczono w takim stopniu, aby można było spokojnie przeszukiwać gruzy. Wszyscy wiedzieli, że chodzi już raczej o wydobycie ciała, a nie o ratunek.

Nie było mnie tam, ale słyszałem, że zespołowi ratowniczymu i policji odebrało mowę. Po zdjęciu ostatnich cegieł ukazał się Roper leżący na Terry'm. Sekcja zwłok wykazała, że umarł niemal od razu, co nie dziwiło, biorąc po uwagę obrażenia, jakich już wcześniej doznał. Terry nie miał tyle szczęścia. Ciało Ropera częściowo uchroniło go przed spadającym gruzem, a ilość ceglanego pyłu w jego płucach sugerowała, że nie zginął natychmiast. Chociaż nie istniała możliwość, aby sprawdzić, czy do końca był przytomny, przyczynę zgonu stanowiło uduszenie.

Został pogrzebany żywcem.

Moje własne obrażenia bolały, jednak nie były poważne: trzy pęknięte żebra po uderzeniu prętem z rusztowania, a do tego różne skaleczenia i siniaki. Po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin trafiłem do szpitala, chociaż tym razem do oddzielnego pokoju, a nie przestrzeni odgradzonej parawanami - gdzie dało się trzymać dziennikarzy z dala ode mnie.

- Rozpętał pan prawdziwe piekło - powiedział Naysmith. - Wie pan, że po tym wszystkim zaczną się cholernie wielkie problemy?

Zakładałem, że tak właśnie się stanie, ale teraz nie byłem w stanie się nad tym zastanawiać. Detektyw przypatrywał mi się uważnie.

- Na pewno o wszystkim pan powiedział? Niczego pan nie pominął?

- A dlaczego miałbym cokolwiek przemilczeć?

Kiedy już opuściłem szpital i wyszedłem na światło dnia, wszystko wydawało się trochę nierealne. Usłyszałem, że stan Sophie jest stabilny, ale wciąż nie odzyskała przytomności. Jednak nie pozwolono mi jej zobaczyć. Teraz nie mógłbym pojechać do jej domu, więc zatrzymałem się w pobliskim hotelu. Przez następne dwa dni prawie z niego nie wychodziłem, zamawiając do pokoju posiłki, których prawie nie tknąłem, i oglądając wiadomości w telewizji. Monka w dalszym ciągu nie znaleziono, trwały gorączkowe spekulacje, gdzie może się ukrywać i dlaczego policja jeszcze go nie złapała.

Z informacji dostarczanych przez Naysmitha wiedziałem, że wcale nie działo się tak dlatego, że policjanci się nie starali. Wciąż padało, a zespoły schodzące do jaskiń, tam, gdzie Monk zabrał Sophie, zatrzymała wzbierająca woda. Odkrycie trzeciego wejścia do podziemi odebrało wszystkim ducha. Przez jakiś czas wydawało się, że Monk uciekł do jakiegoś innego schronienia albo w ogóle opuścił Dartmoor.

Nie opuścił. Kiedy wezbrana woda ustąpiła na tyle, aby zespół poszukiwawczy wszedł głębiej w tunele, Monka odnaleziono w wąskiej rozpadlinie, tam, gdzie widziałem go po raz ostatni. Nie żył już od jakiegoś czasu, tak mocno wciśnięty między skalne ściany, że wydobyć go zabrało większą część dnia. Chociaż rozpadlina została zalana, nie utonął. Prześciśnięcie potężnego ciała przez wąską szczelinę okazało się niemożliwe nawet dla niego, zresztą sądziłem, że był tego świadomy. Kiedy latarka Monka zgasła za naszymi plecami, sądziłem, że zdołał się uwolnić. Jednak poszukiwacze stwierdzili, że po prostu ją wyłączył. Umarł samotnie w ciemnościach, odcięty od światła dziennego i innych ludzi.

Tak właśnie wybrał.

Przyczynę zgonu stanowił atak serca oraz zapalenie płuc po przedawkowaniu kokainy, tak jak się spodziewałem. Sekcja zwłok wykazała jednak dwie sprawy godne uwagi. U większości ludzi bruzdy w miejscach, gdzie włókna mięśniowe trzymają się długich kości

ramion oraz nóg są dosyć delikatne. U Monka były nietypowo głębokie, przystosowane raczej do utrzymania zwartej muskulatury zwierzęcia, a nie człowieka.

To tłumaczyło nadzwyczajną siłę, jednak ważniejsze okazało się drugie odkrycie. W mózgu Monka wykryto rozległe uszkodzenia, odpowiadające zagłębieniu w czaszce po lewej stronie. Były umiejscowione w korze około-oczodołowej, gdzie nawet niewielki uraz może wywołać problemy natury behawioralnej oraz padaczkę czołową. Najprawdopodobniej był to efekt porodu kleszczowego, który zabił jego matkę. Monk urodził się okaleczony, jako dziwadło - ale nie potwór.

Dopiero my go nim uczyniliśmy.

Wieści o śmierci Monka pogłębiły moje wrażenie, że utknąłem w jakimś zawieszeniu. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, powracałem do jaskiń z Sophie i Monkiem albo słyszałem okropny głuchy odgłos pręta, uderzającego Ropera w tył głowy. Przez głowę zaczęły gwałtownie przelatywać mi rozmaite myśli. Miałem wrażenie, że istnieje coś, o czym powinienem pamiętać, coś ważnego.

Tylko nie wiedziałem co.

Tamtej nocy zapadłem wreszcie w niespokojny sen, ale jedynie po to, żeby obudzić się z echem głosu Terry'ego, rozbrzmiewającym mi w głowie, jakby Connors był tutaj ze mną w hotelowym pokoju.

„Miałeś swoją szansę osiem lat temu”.

Powiedział to wtedy w piecu, ale jego słowa zostały pogrzebane razem ze wszystkim innym, dopóki nie zostały wyplute przez moją podświadomość. Przemyślałem je, dopasowując do wszystkiego innego tak długo, aż nabrałem pewności - i wtedy zadzwoniłem do Naysmitha.

- Musimy jechać na torfowisko.

Trawę w zagłębieniu terenu okrywał szron pierwszego mrozu, kiedy pracownicy laboratorium kryminalistycznego zaczęli kopać w tym miejscu, do którego przed laty zaprowadziła nas Sophie. Obok mnie stali Naysmith i Lucas, w milczeniu patrząc, jak martwy borsuk ponownie zostaje wydobyty na światło dzienne. Zwierzę, zakonserwowane w torfie, od ostatniego razu prawie się nie rozłożyło. Jednak im bardziej rozkopywano wzniesienie, tym wyraźniej było widać, że szczątki borsuka są rozplaszczone i zmiażdżone, potrzaskane kości wystawały poprzez umazane torfem futro.

- Jak pan sądzi, skąd Connors wziął tego borsuka? - zapytał Lucas, kiedy pracownik laboratorium ostrożnie wydobywał szczątki z jamy.

- Rozjechane zwierzę - powiedziałem.

To właśnie powiedział mi Wainwright, gdy go odwiedziłem, ale wtedy zlekceważyłem jego słowa, biorąc je za jakiś bełkot. Pomyliłem się. Odnalezienie borsuka tłumaczyło zarówno reakcję psa, jak i poruszenie gleby. Stanowił, w dosłownym sensie, martwą strefę - Jego obecność wystarczyła, aby odwieść nas od dalszego kopania.

Nikt nie zadał sobie pytania, dlaczego zwierzę lubiące suche, piaszczyste gleby miało być w terenie podmokłym. Od tej sprawy naszą uwagę odwróciła próba ucieczki Monka, jednak przeoczyliśmy też inne wskazówki. Zwierzęce kości znaleziono również w płytkim grobie Tiny Williams. Tam, co prawda, był królik, nie borsuk, objedzony do czysta przez padlinożerców, jednak sam zbieg okoliczności powinien nas zaalarmować. Podobnie jak zapach rozkładu: nawet delikatny, i tak był mocniejszy niż powinien na torfowisku.

Najbardziej oczywistą ze wszystkich wskazówek stanowiła złamana kość odsłonięta przez Wainwrighta. To było złamanie wieloodłamkowe, takie, jakie widziałem u Tiny Williams. Zwierzę padłe w norze nie odniosłoby podobnych obrażeń. Urazy tego typu powstawały w sposób gwałtowny, przypadkiem lub celowo. Powiedzmy, skutek upadku.

Albo zderzenia z samochodem.

Nie sposób określić, jak dawno temu Wainwright się domyślił. Możliwe, że wiedział już od lat i postanowił zachować milczenie, aby chronić swoją reputację. Jednak osoby cierpiące na demencję często żyją bardziej w przeszłości niż w teraźniejszości. Niewykluczone, że owa wiedza drzemała w podświadomości archeologa, aż wydobyło jakieś przypadkowe, błędne połączenie ułomnych synaps.

Sam powinienem się domyślić. I do pewnego stopnia się domyśliłem. Nawet wtedy, kiedy tamte poszukiwania dotarły do dramatycznego finału, czułem znajome ukłucie, podpowiadające, że coś przegapiłem. Jednak nie zająłem się tym. Byłem tak pewny siebie, tak bardzo ufałem własnym umiejętnościom, że nie uznałem za stosowne ponownego rozważania moich przemyśleń. Dostrzegałem tylko to, co oczywiste, bezrefleksyjnie wypierając z głowy sprawę Monka.

Przez prawie dekadę w ogóle się nad tym nie zastanawiałem.

Znaleźliśmy Zoe i Lindsey Bennett tylko odrobinę niżej niż padlinę borsuka. Czy to wiedziony sentymentem, czy może wyrzutami sumienia, Terry pochował obie siostry we wspólnym grobie. Dziesięć lat nacisku ziemi zniekształciło im kończyny, przez co wyglądały jakby wzajemnie się obejmowały, lecz magia torfu zadziałała. Oba ciała zachowały się wyjątkowo dobrze, skóra i mięśnie pozostały nienaruszone, włosy również były w dobrym stanie.

W przeciwieństwie do Tiny Williams na ciałach bliźniaczek nie było widocznych urazów.

- Ciekawe, dlaczego nie zadał im takich samych obrażeń? - zapytał Lucas, przyglądając się nienaruszonej, ubrudzonej torfem tkance. - Jak myślicie, to oznaka szacunku?

Wątpiłem, aby to miało jakikolwiek związek z szacunkiem. Terry nie pobił Tiny Williams dlatego, że nią gardził, tylko dlatego, że gardził sobą samym. Długo trwało, zanim zobaczył, kim się stał.

Policja znalazła w jego aucie pamiętnik Zoe Bennett owinięty foliową torbą umorusaną gliną. Jaskrawożółte mitsubishi sprzedał już lata temu, ale nawet zagadka białego samochodu widzianego, zarówno gdy zaginęła Lindsey Bennett, jak i Tina Williams, również doczekała się wyjaśnienia. Nocą, zwłaszcza na monochromatycznym obrazie z telewizji przemysłowej, prawie nie sposób odróżnić koloru żółtego od bieli. Z tego, co opowiadał mi Naysmith, pamiętnik nie zawierał niczego obciążającego, z wyjątkiem tego, że pojawiał się w nim nazwisko Terry'ego. Z zapisków wynikało, że siedemnastolatka wcale nie była taką materialistką, za jaką chciała uchodzić, ekscytowało ją, że ma kochankę, który jest policyjnym detektywem. Connors pewnie czuł się mile połączony niektórymi z jej notatek.

Może właśnie dlatego zachował pamiętnik.

- To, co robi Simms, nie jest w porządku - stwierdził Lucas, kiedy zostawiliśmy specjalistów od kryminalistyki, aby ukończyli swoją pracę, a sami ruszyliśmy w stronę samochodów. - Cieszę się, że już idę na emeryturę. Pan zasłużył na nagrodę, a nie takie traktowanie, jakby zrobił pan coś złego.

- To nie ma znaczenia - odparłem.

Policyjny konsultant spojrział na mnie z ukosa, ale niczego nie powiedział. Mojej relacji nie mógł potwierdzić nikt żywy, a Simms ze wszystkich sił starał się ją zdyskredytować. Okazywało się przecie, że nie tylko zbudował swoją karierę na niesłusznym skazaniu Monka, ale również prawdziwemu zabójcy powierzył poszukiwania zaginionych ofiar. Dziennikarze domagali się krwi i chyba po raz pierwszy w życiu Simms nie miał ochoty pokazywać się przed kamerami. W związku z tym, że na szali znalazła się jego kariera, posunął się nawet do sugestii, że po ostatnich przeżyciach mogę cierpieć na stres pourazowy, co czyniłoby mnie niewiarygodnym. Jak na razie błoto, którym mnie obrzucał, nie przyłgnęło, jasne było jednak, że stałem się osobą niepożądaną. Simms zadbał, aby wyłączono mnie ze śledztwa i tylko dzięki uprzejmości Naysmitha mogłem tamtego ranka towarzyszyć policji na wrzosowiskach.

Ale byłem ponad to. Kiedy wróciłem do hotelu, zadzwonił mój telefon. Od razu poznałem głos kobiety na drugim końcu linii.

- Tutaj Marie Eliot, siostra Sophie. - Sprawiała wrażenie zmęczonej.

Mocno zacisnąłem rękę na słuchawce.

- Tak?

- Obudziła się. Chciałaby się z panem zobaczyć.

Chociaż wiedziałem, czego się spodziewać, stan Sophie i tak mną wstrząsnął. Bujne włosy ostrzyżono, zastąpił je biały bandaż. Była blada i wymizerowana, a ramiona, w które wkłuto rurki, za pomocą których ją odżywiają, miała wychudzone.

- Pewnie wyglądam okropnie.

Jej głos był zaledwie szeptem. Pokręciłem głową.

- Wszystko już z tobą w porządku, a to jest najważniejsze.

- David... Ja... - chwyciła mnie za rękę. - Umarłabym, gdyby nie ty.

- Nie umarłabyś.

Oczy zaszyły jej łzami.

- Wiem o Terry. Naysmith mi powiedział. Prze... przepraszam. Nie powiedziałam ci wszystkiego. O pamiętniku. Muszę ci wyjaśnić...

- Nie teraz. Możemy porozmawiać później.

Uśmiechnęła się słabo.

- Przynajmniej odzyskaliśmy Zoe i Lindsey... Jednak miałam rację...

Oczy już jej się zamykały. Poczekalem, aż oddech wskaże mi, że zasnęła, a potem delikatnie wysunąłem dłoń. Sophie była spokojna, z twarzy zniknął stres ostatniego tygodnia. Przysiadłem na chwilę na skraju łóżka, przyglądałem się jej.

Rozmyślałem.

Wciąż nie było wiadomo, czy zostanie oskarżona o ukrywanie pamiętnika Zoe Bennett. Chociaż utrzymywała jego istnienie w tajemnicy przed policją, to nawet według Terry'ego trafił w jej ręce dopiero po tym, jak Monk został skazany za morderstwa i się do nich przyznał. Pamiętnik nie zawierał niczego, co mogłoby podważyć wyrok, zatem było sprawą dyskusyjną, czy stanowił jakiś dowód w śledztwie. Sophie czekało kilka nieprzyjemnych pytań, jednak z tego, co mówił Naysmith, mało prawdopodobne, aby usłyszała jakieś zarzuty.

Tak naprawdę nie popełniła przestępstwa.

Szybko odzyskiwała siły. Lekarze spodziewali się, że całkiem powróci do zdrowia i nie grozi jej trwale kalectwo. Mówili również, że biorąc pod uwagę to, co przeszła, ma wręcz niewiarygodne szczęście.

Zgadzałem się z nimi. Jednak z długo odkładaną rozmową poczekalem, aż Sophie

poczuję się wystarczająco dobrze. Moje kroki rozbrzmiewały echem, kiedy szedłem korytarzem do sali, gdzie leżała. Droga wydawała się długa. Przy Sophie była jakaś pielęgniarka, już widziałem ją tutaj wcześniej. Gdy wszedłem, obie się śmiały. Pielęgniarka pokazywała dołeczki. Zastanowiłem się, o czym właśnie rozmawiały.

- Zostawię was oboje - powiedziała, wychodząc.

Sophie usiadła w łóżku. Z głowy już zdjęto jej bandaż, włosy zaczęły odrastać, ukrywając zszytą bliznę o kształcie podkowy. Sophie wyglądała, jakby zdjęto z niej jakiś ciężar.

- Marie rozmawiała z ubezpieczycielami - oznajmiła. - Zgodzili się pokryć całkowitą wartość towaru i wyposażenia, które utraciłam, kiedy zawalił się piec. Cały czas targujemy się o sam piec, ale dostałam więcej, niż mi potrzeba, aby zacząć od nowa. Wspaniale, prawda?

- Tak - przytaknąłem. Wróciłem do jej domu tylko raz, po samochód. Widok zawalonego pieca, którego cegły ekipa ratunkowa porzuciła po ogrodzie, był przygnębiający. Cieszyłem się, że stamtąd wyjeżdżam.

Uśmiech Sophie zgasł.

- Co się stało?

- Jest coś, o co muszę cię zapytać.

- Tak, słucham? Mów.

- Wiedziałaś, że to Terry je zabił, prawda?

Przyglądałem się, jak na twarzy Sophie malują się różne emocje.

- Co? Nie rozumiem...

- Wiedziałaś, że zamordował Zoe i Lindsey Bennett, a przypuszczalnie także Tinę Williams. Po prostu nie potrafię zdecydować, czy milczałaś dlatego, aby go chronić, czy też bałaś się tego, co mógłby ci zrobić.

Patrzyła na mnie, odsuwając się nieco.

- Co za straszne rzeczy opowiadasz!

- Nie mówię wcale, że miałaś na to jakiś dowód. Ale i tak wiedziałaś.

- Oczywiście, że nie wiedziałam! - Jej policzki się zarumieniły. - Czy ty naprawdę uważasz, że siedziałabym cicho, wiedząc, że Terry był mordercą? Jak w ogóle możesz tak myśleć?

- Bo jesteś zbyt inteligentna, aby coś takiego nie przyszło ci do głowy.

To ją ostudziło. Odwróciła wzrok.

- Najwyraźniej nie jestem taka mądra, jak myślisz. Dlaczego zawracałabym sobie głowę

pisaniem do Monka, wypytywaniem o groby bliźniaczek, gdybym wiedziała, że to wcale nie on je zabił?

- Zastanawiałem się nad tym. Sądziłem, że zachowałeś kopie tych listów jakimś szczęśliwym trafem, jednak teraz nie sądzę, aby szczęście miało z tym cokolwiek wspólnego. Chciałaś mieć dowód, że naprawdę myślałaś, że Monk jest winny, na wypadek gdyby wydarzyło się właśnie coś takiego jak teraz. Nie spodziewałaś się, że ktoś zarzuci ci oszustwo.

- Nie do wiary! Słuchaj, jeśli chodzi o ten pamiętnik, to już wszystko opowiedziałam policji. Wiedzą o wszystkim.

- To dlaczego mnie również tego nie wyjaśnisz?

Opuściła oczy na splecione dłonie, a potem uniosła wzrok na mnie.

- Dobra, kłamałam o mnie i o Terry. To było coś więcej niż tylko przelotny romans. Spotykaliśmy się przez kilka lat, wtedy gdy był w Londynie. W pewnej chwili była nawet mowa o tym, żeby rozwiódł się z żoną.

Kolejny drobny fragment układanki wskoczył na swoje miejsce.

- W trakcie poszukiwań byliście jeszcze ze sobą?

- Nie, rozstaliśmy się wcześniej. On był... między nami zawsze kipiało. Często się kłóciliśmy. O to, że spotyka się z innymi kobietami - zdawała się nie dostrzegać ironii własnych słów. - Wróciliśmy do siebie dopiero kilka miesięcy po poszukiwaniach. Obiecał, że się zmieni. Uwierzyłam mu, jak jakaś idiotka.

- Czy to wtedy znalazłaś dziennik Zoe Bennett?

- Do tego czasu żona już go wyrzuciła. Wyjechał do pracy i zostawił mnie samą w tym nędznym, ciasnym mieszkanku, które wynajmował. Nudziłam się, więc zaczęłam robić porządki. Połowę swoich rzeczy trzymał jeszcze w pudłach. Pamiętnik był w jednym z nich, zagrzebany pod stertą papierów. Boże, kiedy sobie uświadomiłam, co to jest... Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak się poczułam.

Nie spodziewałem się, abym potrafił to sobie wyobrazić.

- Dlaczego nikomu nie powiedziałaś? Miałaś dowód na to, że Terry'ego coś wiązało z zamordowaną dziewczyną. Dlaczego milczałaś o czymś takim?

- Bo myślałam, że to Monk jest winny. Wszyscy tak myśleli! - Spojrzała na mnie bardzo poważnie. - Jaki był sens sprawiać mnóstwo niepotrzebnych problemów? Nie tyle jemu, co jego rodzinie. I bez tego zrobiłam im wystarczająco dużo złego. Znajdowałam już rzeczy pozostawione przez jego dziewczyny. Tanią biżuterię i przybory do makijażu w samochodzie. Bieliznę. Myślałam, że ten pamiętnik też jest czymś takim!

- Sophie, byłaś specjalistką od behawioryzmu. I ty mi mówisz, że ani razu nie przyszło ci do głowy, że to znaczy coś więcej?

- Nie! Chciałam mu dopiec, dlatego zabrałam pamiętnik Zoe. Wiedziałam, że z nią sypiał, ale nigdy nie podejrzewałam go o cokolwiek innego!

- To dlaczego się go bałaś?

Zamrugła.

- Ja... Ja nie...

- Owszem, bałaś się go. Kiedy zabrałam cię do domu ze szpitala, byłaś przerażona. Chociaż udawałaś, że nie potrafisz sobie przypomnieć, kto cię zaatakował.

- My... myślę, że nie chciałam pakować go w kłopoty. Nie można tak po prostu wyłączyć swoich uczuć do kogoś, nawet jeśli na nie wcale nie zasługuje.

Przesunąłem dłonią po twarzy. Miałem szorstką skórę.

- Pozwól, że powiem, co ja o tym myślę - odezwałem się. - Myślę, że zabrałaś pamiętnik pod wpływem impulsu, właśnie tak jak mówiłaś, żeby dopiec Terry'emu. Byłaś wściekła i zazdrosna, a pamiętnik pozwalał ci trzymać go w szachu. Dopiero potem uświadomiłaś sobie, jakie niebezpieczeństwo na siebie ściągnęłaś. Ale wtedy już nie mogłaś iść na policję, sama nie pakując się w kłopoty. Ukryłaś więc pamiętnik i siedziałaś cicho, mając nadzieję, że związane z nim zagrożenie powstrzyma Terry'ego przed zabiciem również ciebie.

- To śmieszne.

Jednak pod jej oburzeniem skrywała się obrona.

- Myślę, że winałaś Terry'ego o złamanie ci kariery kontynuowałem. - Musiało być trudno pracować dla policji przy odsłanianiu sekretów innych ludzi, kiedy samemu miało się taki sekret. Dlatego przestałaś pracować jako doradca behawioralny i próbowałaś zacząć coś nowego. Tyle że potrzebowałaś na to pieniędzy, prawda?

Przez chwilę Sophie wyglądała na zaniepokojoną. Ukryła to pod oburzeniem.

- Co ty próbujesz mi powiedzieć?

Przez minionych kilka dni miałem sporo czasu, aby wszystko przemyśleć. Terry nazwał Sophie „pieprzoną szantażystką” i chociaż wówczas niezbyt mu wierzyłem, później zacząłem się zastanawiać. Co wcale nie znaczyło, że podoba mi się to, co zamierzałem teraz powiedzieć. Jednak dotarliśmy już zbyt daleko, abym się zatrzymał.

- Dom, w którym mieszkasz, nie mógł być tani. A sama mówiłaś, że ceramika nie sprzedaje się zbyt dobrze. Wygląda na to, że żyjesz na całkiem przyzwoitym poziomie.

Twarz Sophie była zawzięta.

- Daję sobie radę.

- Czyli że nigdy nie prosiłaś Terry'ego o pieniądze?

Spojrzała w dół, na swoje dłonie, ale zdążyłem spostrzec, że oczy ma pełne łez. Drzwi otworzyły się i weszła ta sama pielęgniarka, która była tutaj poprzednio. Uśmiech zamarł jej na ustach.

- Wszystko w porządku?

Sophie szybko przytaknęła, odwracając twarz.

- Tak, dziękuję.

- Proszę dać mi znać, gdyby pani czegoś potrzebowała. - Pielęgniarka, zanim wyszła, rzuciła mi chłodne spojrzenie.

Niczego więcej już nie powiedziałem. Tylko czekałem. Słyszałem dobiegające z korytarza kroki i ożywione głosy, jednak w tym niewielkim pomieszczeniu nie zabrzmiał żaden dźwięk. Zgiełk oraz energia zewnętrznego świata zdawały się pochodzić z innej rzeczywistości.

- Nie wiesz, jak to jest. - Sophie odezwała się wreszcie, łamiącym głosem. - Chcesz wiedzieć, czy się bałam? Oczywiście, że się bałam! Ale nie wiedziałam, co innego mogę zrobić! Zabrałam ten pamiętnik bez namysłu. Byłam po prostu tak... tak cholernie wkurzona! On pieprzył się z tą... z tą siedemnastoletnią zdziurą, kiedy się ze mną spotykał! Ale przysięgam, na początku wciąż jeszcze myślałam, że to Monk ją zabił! Dopiero później, że... że... Och, Chryste!

Sophie zasłoniła twarz, gdy z oczu popłynęły jej łzy. Zawahałem się, a potem podałem jej chusteczkę z szafki obok łóżka.

- Przez Terry'ego straciłam wszystko - powiedziała, ocierając oczy. - Karierę, mieszkanie. Sukinsyn mógł mi przynajmniej pomóc zacząć od nowa. Nie prosiłam o wiele, tylko żeby pomógł mi zacząć. Myślałam... myślałam, że tak długo, jak będę miała ten pamiętnik, to będę bezpieczna.

Och, Sophie...

- Ale nie byłaś, prawda?

- Byłam, dopóki Monk nie uciekł. Nie kontaktowałam się z Terrym od ponad roku. Pewnej nocy do mnie zatelefonował. Wykrzykiwał, groził, co mi zrobi, jak nie oddam mu pamiętnika. Jeszcze nigdy go takiego nie słyszałam. Nie wiedziałam, co mam robić!

- Zatelefonowałaś więc do mnie - odparłem znużony. Nie po to, żeby mi pomógł odnaleźć groby, a przynajmniej nie tylko po to.

Chciała, aby ktoś z nią był, na wypadek gdyby Terry czegoś próbował.

- Nie wiedziałam, do kogo innego mogłabym zadzwonić! I wiedziałam, że nie odmówisz.

- Skubnęła wilgotną chustkę. - Następnego dnia, gdy przygotowałam się na twój przyjazd, załomotał do drzwi. Kiedy go nie wpuściłam... to je wyłamał. Pobieglam na górę i próbowałam zamknąć się w łazience, ale tam też się wdarł. Uderzyłam się o drzwi.

Dłoń Sophie odruchowo powędrowała do blednącego sińca na policzku. Przypomniałem sobie, że kiedy ją znalazłem, schody były mokre. Gdybym wtedy się nad tym chociaż chwilę zastanowił, uświadomiłbym sobie że wbrew temu, co twierdziła, wcale nie zaskoczono jej w łazience.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - zapytałem

- Nie mogłam! Od lat ukrywałam dowód! I nie miałam pojęcia, że Terry został zawieszony. Kiedy powiedziałaś, że przyszedł się z tobą zobaczyć...

Przeszedł ją dreszcz. Odruchowo wyciągnąłem ku niej rękę, ale cofnąłem.

- Tak naprawdę to nie zrobiłam niczego złego! - rzuciła. - Wiem, że popełniłam błąd, ale to właśnie dlatego chciałam odnaleźć groby Zoe i Lindsey. Myślałam, że jeśli zrobię chociaż tyle, to może odpokutuję za... za...

Za co? Za ochranianie ich zabójcy? Za to, że pozwoliłaś, aby niewinny człowiek siedział w więzieniu? Sophie spojrzała w dół, na poszarpaną chusteczkę trzymaną w dłoniach.

- Co teraz? - zapytała cicho. - Powiesz Naysmithowi?

- Nie. Ty możesz to zrobić.

Złapała mnie za rękę.

- Naprawdę muszę? Już wiedzą o pamiętniku. To przecież niczego nie zmieni.

Nie, ale zakończy osiem lat kłamstw. Położyłem jej dłoń na łóżku i wstałem.

- Żegnaj, Sophie.

Wyszedłem na korytarz. Moje buty stuknęły o posadzkę, obejmował mnie szpitalny zgiełk. Idąc przez niego, czułem się tak jakoś dziwnie daleki, niczym zamknięty w bańce odcinającej mnie od hałasu i ożywienia wokół. Nawet świeże zimne powietrze na zewnątrz nie zdołało jej rozwiać. Kiedy wracałem do samochodu, jaskrawe jesienne światło wydawało mi się bez wyrazu. Otworzyłem auto, sztywno usiadłem w fotelu. Połamane żebra zbytnio nie utrudniały ruchów, ale wciąż bolały.

Zamknąłem oczy i odchyliłem głowę. Czułem się pusty. Nie podobał mi się pomysł, aby wracać teraz do Londynu, jednak spędziłem tutaj już wystarczająco dużo czasu. Tak naprawdę, za dużo. Przeszłość znalazła się poza zasięgiem.

Pora się ruszyć.

Otrząsając się, sięgnąłem do kieszeni po telefon. Skrzywiłem się, kiedy żebra zaprotestowały. W szpitalu wyłączyłem aparat, a kiedy ponownie go uruchomiłem, od razu

pisnął. Przez chwilę znowu byłem w ciemnościach jaskini, a potem ruchem głowy odpędziłem tamto wspomnienie.

Odebrałem jakąś wiadomość. A raczej wiadomości: trzykrotnie do mnie telefonowano, z tego samego aparatu. Nie znałem numeru. Zmarszczyłem brwi, lecz zanim zdołałem cokolwiek zrobić, komórka znowu zapiszczała. Ktoś do mnie dzwonił, z tego samego numeru co poprzednio. Wyprostowałem się. Coś pilnego.

Odbierając, poczułem znajomy dreszcz ciekawości.

Podziękowania

Tak jak zwykle, nie zdołałbym napisać tej książki bez pomocy innych osób, zwłaszcza prawdziwych ekspertów, którzy byli na tyle uprzejmi, aby wesprzeć mnie na często wyboistej drodze do wiedzy. A zatem, bez żadnej ustalonej kolejności, chciałbym podziękować: Tony'emu Cookowi, rejonowemu konsultantowi policyjnemu z Narodowej Agencji Doskonalenia Policji; doktorowi Markusowi Reuberowi z Wydziału Neurologii Uniwersytetu w Sheffield; ekologowi kryminalistycznemu Patricii Wiltshire; doktorowi Timowi Thompsonowi, profesorowi kryminalistyki na uniwersytecie w Teesside i doktor Rebecce Gowland z Zakładu Archeologii Uniwersytetu w Durham, za umożliwienie mi wzięcia udziału w prowadzonych przez siebie zajęciach z lokalizacji oraz wydobywania zwłok; dziękuję Dougowi Bainowi, emerytowanemu treserowi psów i technikowi kryminalistycznemu; profesor Sue Black i doktorowi Patrickowi Randolph-Quinneyowi z Centrum Anatomii oraz Identyfikacji Człowieka na uniwersytecie w Dundee; profesorowi Johnowi Hunterowi z Instytutu Archeologii i Starożytności na uniwersytecie w Birmingham; Dave'owi Warne'owi, szefowi Grupy Grotolazów z Plymouth oraz biuru prasowemu Ministerstwa Sprawiedliwości.

*Opis stopni rozkładu zaczerpnięto z książki: W. R. Maples i M. Browning *Dead Men Do Tell Tales (Umarli nie milczą)*, wyd. Doubleday, 1994.*

Dziękuję także Hilary za jej niezłomne wsparcie, Mamie i Tacie za to, że nigdy we mnie nie zwątpili, Benowi Steinerowi, SCF, Simonowi Taylorowi oraz ekipie Transworld, moim agentom: Mic Cheetham i Simonowi Kavanaghowi, całej Marsh Agency oraz tłumaczom, którzy zaprezentowali Davida Huntera szerszej publiczności.

Jestem także dłużnikiem swojego międzynarodowego agenta Paula Marsha, którego śmierć w 2009 roku była wielką stratą dla branży wydawniczej oraz wszystkich, którzy go znali.

*Simon Beckett
sierpień 2010*